

Autor bestsellerowego *Helikoptera w ogniu*

Mark Bowden



**ZABIĆ
BIN LADENA**

Mark Bowden

ZABIĆ BIN LADENA

Tłumaczenie Krzysztof Cierniak
Konsultacja Andrzej Wojtas

Pascal

First published in United States of America in 2012 by GROVE/ATLANTIC, INC.
Copyright © Mark Bowden 2012.

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor: *Mark Bowden*

Tytuł: *Zabić Bin Ladena*

Tytułoryginał: *The Finish.*
The Killing of Osama bin Laden

Tłumaczenie: *Krzysztof Cierniak*

Redakcja: *Magdalena Łobodzińska*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Konsultacja: *Andrzej Wojtas*

Okładka: *Mill Studio*

Zdjęcie na okładce: *Rockfinder/iStockphoto,*
MILpictures by Tom Weber
Getty Images
Flash Press Media

Redaktor prowadząca: *Małgorzata Jasińska-Kowynia*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Bielsko-Biała 2014
ISBN 978-83-7642-367-8

Wydawca: Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
tel. 338282828, fax 338282829
pascal@pascal.pl
www.pascal.pl

eBook maîtrisé par: *Dominik Trzebiński*
Atelier Du Châteaux

Dla Clary i Audrey

Wspólnotę ludzkich działań uzasadnia w końcu tylko jeden główny cel: wywalczyć dla ludzi prawo do bycia różnymi, odrębnymi jednostkami, żeby mogli po swojemu, każdy inaczej, czuć, myśleć, żyć na tym świecie. Żeby wywalczyć takie prawo, obronić je albo rozszerzyć, ludzie się jednoczą. Wtedy jednak rodzi się straszliwy, ale potężny przesąd, że właśnie owo zjednoczenie – w imię rasy, Boga, partii, państwa – jest nie tylko środkiem, ale i celem życia. Nie, nie, i jeszcze raz nie! W człowieku, w jego skromnej swoistości, w jego prawie do niej tkwi jedyny, prawdziwy i wieczny sens walki o życie.

Wasilij Grossman, *Życie i los* (przeł. Jerzy Czech)

Właściwością ruchu jest jego spontaniczność, żywiołowa, dynamiczna ekspansywność i – krótkotrwałość. Natomiast właściwością struktury jest bezwładność, odporność, zdumiewająca, niemal instynktowna zdolność przetrwania.

Ryszard Kapuściński, *Szachinszach*

PROLOG

2007–2008

To była jesienna noc w zachodnim Iraku. Żołnierze elitarnej amerykańskiej jednostki JSOC (Joint Special Operations Command) przeprowadzili jeden z wielu nocnych nalotów na ludzi podejrzewanych o terroryzm i ściśle związanych z Al-Kaidą. Tym razem celem był regionalny przywódca, który sam siebie określał mianem Muthanny. Rezultaty akcji były nieoczekiwane, albowiem przyniosła ona odkrycie prawdziwej złotej żyły.

Gdyby chodziło o inną wojnę, prowadzoną w innych czasach, „żyła złota” mógłby być wielki magazyn cennej broni czy zbiór map wojskowych ukazujących ruchy i rozlokowanie wojsk przeciwnika. W XXI wieku żołnierze JSOC znaleźli coś równie wartościowego – niewielki notatnik.

W czasie akcji zabito Muthannę. Z materiałów przejętych w jego siedzibie niezbitnie wynikało, że był odpowiedzialny za koordynację ruchów zagranicznych bojowników Al-Kaidy i potencjalnych zamachowców-samobójców działających tuż za pobliską granicą z Syrią oraz w Iraku, gdzie wojska amerykańskie i irackie, a także ludność cywilna, zmagaly się z kolejnymi atakami, w których ginęło coraz więcej osób. Wkrótce okazało się, że znalezisko nie jest zwyczajnym notatnikiem, lecz czymś znacznie cenniejszym – zbiorem nazw i numerów odnoszących się do plików komputerowych, w których znajdują się nazwiska, zdjęcia, wzory dokumentów potrzebnych w podróży, przelewy bankowe, rachunki za karty telefoniczne, ubrania, pojazdy, paliwo oraz wiele innych szczegółowych informacji związanych z około pięćciuset nowymi członkami organizacji. W tej bazie danych można było znaleźć niemal każdego mudżahedina, który w ostatnich latach przejeżdżał przez Syrię i dotarł do Iraku.

Przez całe wieki podstawowa taktyka prowadzenia walki przez piechotę opierała się na zasadzie „ogień i manewr”. Sprawny dowódca mógł pokonać przeważające siły przeciwnika, doskonaląc sztukę przemieszczania swoich żołnierzy i efektywnego skupiania ognia. Takie umiejętności są nadal niezwykle istotne na konwencjonalnym polu walki, ale współczesne bitwy to rzadko dwie armie prowadzące manewry na łądzie. Generał broni Michael Flynn, stojący obecnie na czele amerykańskiej Agencji Wywiadu Obronnego (Defense Intelligence Agency), podsumowuje to w następujących słowach: „Informacja i wywiad to ogień i manewr XXI wieku”.

Co ma na myśli, wypowiadając to zdanie?

Doskonałą ilustracją tej opinii stanowi wspomniana „żyła złota” w postaci dokumentów przejętych w akcji określonej mianem nalotu na Sindżar. Odegrały one ogromną rolę w unicestwieniu Al-Kaidy w Iraku. W ciągu sześciu lat od zamachów z 11 września amerykańska armia i wywiad, reprezentowane przez najróżniejsze jednostki i agencje, zarówno te powszechnie znane, jak i absolutnie tajne, ściśle współpracowały – na niespotykaną wcześniej skalę – w celu zniszczenia podziemnych siatek terrorystycznych. W działaniach wykorzystano nie tylko wyjątkowe umiejętności znakomitych komandosów JSOC, ale także superkomputery i specjalne oprogramowanie. Wykwalifikowani analitycy pracowali w najdalszych zakątkach Iraku, a wszelkie zdobyte materiały przekształcano w przetwarzalne komputerowo dane. Dotyczyło to zarówno informacji i dokumentów dostarczanych przez tradycyjne siatki szpiegowskie, jak i stenogramów z przesłuchań zatrzymanych, rejestrów z elektronicznego monitoringu internetu oraz sieci komórkowych, a także obrazów i odczytów czujników zebranych przez bezszelestne drony, latające wysoko nad potencjalnymi celami przez całe dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata. Ogromna baza danych, na którą składają się te skrawki informacji – rzadko bezpośrednio ze sobą powiązanych – służy komputerom do wynajdywania związków pozostających do tej pory w ukryciu. Może to być na przykład wspólny rachunek bankowy należący do polityka Hezbollahu i nowego członka Al-Kaidy, adres w Nadżafie, pod którym w dwóch różnych terminach pojawili się dwaj znani z nazwisk terroryści-samobójcy czy zdjęcie z portfela zamordowanego amerykańskiego żołnierza, znalezione na twardego dysku komputera człowieka pełniącego najprawdopodobniej funkcję skarbnika organizacji terrorystycznej. Komputer działa bez przerwy, odnajdując krwawe wątki łączące poszczególne dane. Gdyby nie ta analiza, wspomniane związki nigdy nie wyszłyby na jaw i nikt nie odkryłby, że w tych sytuacjach przypadek nie wchodził w grę. Krwawe wątki tworzą związki o coraz większym zasięgu, składające się na wielką niewidoczną sieć. Po odkryciu tych zależności komandosi wiedzą już, gdzie i kiedy zadać kolejny cios.

Po zdobyciu łupu z Sindżaru dowódca JSOC Stanley McChrystal podjął zaskakującą decyzję o odtajnieniu materiałów i przekazaniu ich do Centrum Walki z Terroryzmem w West Point, a tam ich rozszyfrowaniem zajęli się specjaliści z różnych dziedzin. Do jakich wniosków doszli? Niewątpliwie dane obalały propagandowe stwierdzenia głoszące, że Al-Kaida w Iraku to patriotyczny ruch oporu. Nowo zwerbowani członkowie ujawnieni na podstawie danych z Sindżaru pochodzili z Libii, Maroka, Syrii, Algierii, Omanu, Jemenu, Tunezji, Egiptu, Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Belgii, Francji i Wielkiej Brytanii. Na podstawie znalezionych materiałów, analitycy amerykańskiego Departamentu Skarbu prześledzili transakcje finansowe i zidentyfikowali całe kierownictwo irackiej sieci pomocy zagranicznej na rzecz terrorystów, mającej siedzibę w Syrii.

Na jej czele stał człowiek, który przedstawiał się jako Abu Ghadiya, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało Badran Turki Hashim al-Mazidih.

Nieco ponad rok po nalocie na Sindżar zlikwidowano całe główne dowództwo sieci pomocy dla Al-Kaidy działające na terenie Syrii. Wystarczyła jedna akcja z października 2008 roku, by zabić Abu Ghadię, jednego z jego braci oraz dwóch kuzynów. Wszyscy należeli do najwyższego kierownictwa tej organizacji. Baza danych pozwoliła też na utworzenie planu operacji JSOC na terenie Iraku oraz wysłedzenie i pojmanie lub zabicie zagranicznych członków, którzy nie zdążyli poświęcić życia w samobójczych atakach.

Wedle danych amerykańskiego Departamentu Obrony pod koniec 2008 roku liczba zamachów terrorystycznych w Iraku spadła o osiemdziesiąt procent. Zdecydowana tendencja spadkowa trwała także po wycofaniu wojsk USA w 2011 roku i dziś liczba aktów przemocy jest mniejsza niż w jakimkolwiek okresie od czasu inwazji Amerykanów w 2003 roku.

Jest kilka przyczyn tej uderzającej zmiany. W wyniku powstania w 2008 roku sunnickiego ruchu Przebudzenie, wielu irackich powstańców obróciło się przeciwko Al-Kaidzie. Przynajmniej w pewnym stopniu sprzyjało temu także ujawnienie latem 2008 roku analizy danych z Sindżaru, które dowiodły, że korzenie organizacji znajdują się za granicą. Trzeba też przyznać, że duże znaczenie miała zdecydowana zmiana taktyki walki z rebeliantami, jaką w tym samym okresie zastosował gen. David Petraeus. Filozofia Petraeusa zakładała bezwzględne zwiększanie nacisku na tzw. nieprzejednane elementy. Podsumowaniem tego podejścia są jego słowa: „Lubię się kłaskać wieczorem ze świadomością, że mam więcej przyjaciół i mniej wrogów”.

JSOC zapewniła „mniej wrogów”, a McChrystal określił nalot na Sindżar mianem jednego z przełomowych dokonań swojej jednostki.

Zwycięstwo na wojnie często wymaga nowych taktyk, metod i narzędzi. Ataki na Amerykę dokonane 11 września 2001 roku zachwiały utrwalonymi od lat założeniami w kwestii obrony narodowej USA. Osama bin Laden i jego ekstremistyczna organizacja okazali się zagrożeniem zupełnie nowego typu – globalną siecią dobrze opłacanych inteligentnych zamachowców-samobójców, która nie miała określonego adresu. Ogromny arsenał Stanów Zjednoczonych, główce jądrowe, niezwykłe siły lotnicze, armia i marynarka wojenna, a nawet cała biurokratyczna struktura globalnego monitoringu, szpiegostwa i analizy danych wywiadowczych powstały głównie po to, żeby odstraszać potencjalnego agresora. Któż odważyłby się na atak, skoro reakcja byłaby błyskawiczna, śmiertelna i niemożliwa do powstrzymania?

Ale co stałoby się w sytuacji, gdyby zagrożenie przyszło „znikąd”? Co wtedy?

Przed takim oto problemem stanęła Ameryka po atakach z 11 września. Odpowiedzią była informacja. Zlokalizowanie wroga to jedno z najważniejszych zadań stojących przed każdym, kto uczestniczy w wojnie, ale wraz z atakami Al-Kaidy zmienił się poziom trudności. Jej członkowie żyli i pracowali w różnych zakątkach świata, pozostając w kontakcie dzięki sieciom telekomunikacyjnym obejmującym cały glob. Biorąc pod uwagę stopień skomplikowania, międzynarodowy charakter tych powiązań, wykorzystanie pseudonimów oraz najróżniejszych szpiegowskich sztuczek, zlokalizowanie wroga wydawało się wprost niemożliwe.

Zdobycie notatnika z Sindżaru oraz wynikające z tego rozbitcie ważnej organizacji pokazało, że można tego dokonać. Sześć lat po ataku Stany Zjednoczone, zaangażowane w dwie wojny i wciąż nękane przez widmo bezkarnego, pozostającego na wolności bin Ladena, przeżyły

w końcu coś, co można było uznać za pocieszenie.

Wreszcie udało się znaleźć dobry sposób na dokonanie odwetu...

DEFINICJA ZŁA

11 września 2001 roku

W Chicago zbliżała się ósma rano. Był piękny słoneczny poranek. Barack Obama jechał właśnie Lake Shore Drive, gdy nagle umilkła muzyka w radiu i włączyły się wiadomości. Okazało się, że w jedną z wież nowojorskiego World Trade Center uderzył jakiś samolot. Obama nie zwrócił większej uwagi na tę informację, zakładając, że chodzi o jakiegoś pilota cessny, który popełnił niewybaczalny błąd.

Senator często pokonywał piętnastominutową trasę między swoim domem w Hyde Park w Illinois i The Loop, gdzie pracował. Po prawej stronie widział ogromne jezioro Michigan, a przed sobą, nieco na lewo – szereg drapaczy chmur, wśród których uwagę zwracała czarna bryła zwieńczonej antenami Sears Tower. Kierowca, który ma z jednej strony rozległe jezioro, a nad sobą niebo Illinois, może się poczuć tak, jakby się zanurzał w krainie błękitu.

Obama jechał właśnie do Thompson Center, siedemnastopiętrowej siedziby władz miasta. Monumentalna, lśniąca budowla wyłożona giętym, odbłaskowym szkłem, przypomina statek kosmiczny, który właśnie wylądował na Ziemi. Sprawy, którymi miał się zająć w tym efektywnym gmachu, nie miały w sobie nic romantycznego, chodziło bowiem o rutynowe obrady Połączonego Komitetu ds. Regulaminu Administracyjnego. Harmonogram posiedzenia zakładał kilgodzinne zmagania z drobnymi zmianami dotyczącymi działania trzydziestu dziewięciu

różnych rad, programów, komisji i departamentów.

Obama reprezentował Dystrykt 13. leżący na północnych obrzeżach South Side. Poza zajęciami w ramach mandatu senatora pracował też jako prawnik w jednej z wielkich chicagowskich kancelarii oraz jako starszy wykładowca prawa konstytucyjnego w Law School na University of Chicago. W mieście, w którym osiadł, był dość znany – uznawano go za bardzo obiecującego młodego człowieka, ale mimo wszystko wydawało się, że jego kariera stoi w miejscu. Dwa lata wcześniej poniósł smrotną klęskę w wyborach do Kongresu, co było dla niego surową lekcją pokory, zwycięzca otrzymał bowiem dwukrotnie większą liczbę głosów. Wszyscy aż nazbyt dobrze zdawali sobie sprawę z jego kwalifikacji intelektualnych, o których dobitnie świadczył dyplom prawa z Harvardu i to, że był pierwszym Afroamerykaninem pełniącym funkcję szefa prestiżowego „Law Review” wydawanego na tym słynnym uniwersytecie. Ukończenie najlepszych amerykańskich uczelni liczy się w wielkiej polityce tylko wtedy, gdy towarzyszy mu znajomość codziennego życia przeciętnych ludzi, a tego Obamie brakowało. Wyglądał i wypowiadał się jak profesor prawa. Określano go przymiotnikiem *cool*, co miało zarówno pozytywny, jak i negatywny wydźwięk. Był zatem *cool* w znaczeniu „fajny”, bo miał styl i prezencję – wysoki, szczupły, opanowany i pełen osobistego uroku. Ale był też *cool* w znaczeniu „chłodny”, bo często wydawał się zdystansowany, pełen rezerwy, a nawet wywyższający się. Przed miesiącem skończył czterdzieści lat, więc wiek nie kwalifikował go już do miana cudownego dziecka polityki. Jeździł czarnym jeepem cherokee – samochodem typowym dla amerykańskich ojców rodzin. Wraz z żoną Michelle wychowywał dwie córki – maleńką Sashę i trzyletnią Malię.

Po zaparkowaniu samochodu senator wjechał na górę jedną z przeszklonych wind, do których wchodzi się z przestronnego atrium, po czym usiadł na krześle i zaczął słuchać przygotowanego wcześniej oświadczenia świadka. Nagle z wszystkich zakątków sali rozległy się dzwonki telefonów komórkowych. Obama spojrział na wyświetlacz swojego blackberry, żeby sprawdzić otrzymane SMS-y. Po chwili szmer rozmów zagłuszył zeznania świadka, nikt już nie zwracał na niego uwagi. Wieści dotyczące dolnego Manhattanu sływały równocześnie z tysięcy różnych źródeł. Zaatakowano drugą wieżę. To były zwykle samoloty pasażerskie. Wieże płonęły. To nie był wypadek. To był skoordynowany atak.

Po decyzji o ewakuacji Thompson Centre Obama opuścił budynek wraz z innymi osobami. Gdy tak stał na chodniku wśród tysięcy mieszkańców Chicago ewakuowanych z wysokościowców w The Loop, mimowolnie podniósł wzrok na Sears Tower. Nagle zobaczył ten symbol miasta w zupełnie innym świetle. Charakterystyczny drapacz chmur nie był już w tym momencie znakiem rozpoznawczym Wietrznego Miasta. Teraz Obama widział w nim jedynie gigantyczny obiekt, który może stać się łatwym celem kolejnego uderzenia.

Michael Morell, który w tym czasie przebywał w Sarasocie, zastanawiał się, czy kolejny samolot uderzy właśnie w niego. Człowiek, zajmujący się przygotowaniem informacji CIA dla prezydenta George’a W. Busha, znajdował się tego ranka w składzie ekipy towarzyszącej głowie państwa podczas wizyty w mieście leżącym w zachodniej części Florydy. Odwiedziny prezydenta były wielkim wydarzeniem dla Sarasoty. Każdy, kto obrałby Busha za cel uderzenia, wiedziałby dokładnie, gdzie go znaleźć w tym dniu, a pasażerski samolot doskonale wykonałby swoje zadanie.

Gdy pierwszy samolot uderzył w wieżę WTC, Morell siedział na tylnym fotelu wana jadącego w kolumnie prezydenckiej. Samochody mknęły po Gulf of Mexico Drive i znajdowały się na Longboat Key, kiedy Ari Fleischer, rzecznik prasowy Busha, odebrał rozmowę i zwrócił się do Morella:

– Michael, wiesz coś może o samolocie, który uderzył w World Trade Center?

Morell jako oficer wywiadu pracujący na stałe w Białym Domu był właśnie tym człowiekiem, do którego zwracano się, gdy chodziło o najnowsze informacje w najbardziej sensacyjnych sprawach. Samolot uderzył w budynek, gdy ekipa prezydencka była w podróży, więc tym razem Morell nie wiedział nic o tym wydarzeniu. Myślał, jak wszyscy, że najprawdopodobniej chodzi o niewielki samolot, którego pilot zapewne stracił orientację przy złej pogodzie, ale na wszelki wypadek zadzwonił do sztabu w Langley w stanie Wirginia. Centrum operacyjne CIA poinformowało go, że doszło do katastrofy – w North Tower uderzył samolot. Nie był to mały statek powietrzny, ale samolot pasażerski.

Tego dnia doświadczony analityk CIA wstał jak zwykle przed świtem i przygotował się w swoim pokoju hotelowym na rutynową poranną sesję z prezydentem. Każdego ranka o ósmej Morell dostarczał prezydentowi tzw. PDB (President's Daily Briefing) – podsumowanie najnowszych raportów wywiadu z całego świata. Poprzedniego dnia po południu poleciał prezydenckim Air Force One na południe, by rozpocząć tygodniową wizytę na prowincji. Celem tej podróży była promocja inicjatyw edukacyjnych prezydenta Busha. Pierwszym przystankiem było Jacksonville, gdzie zorganizowano dyskusję przy okrągłym stole. Następnie cała ekipa pojechała na południe do Sarasoty, by spędzić noc w Colony Beach and Tennis Resort na wyspie ciągnącej się wzdłuż wybrzeża, na którym leży miasto.

Obecność Morella nie miała żadnego związku z tematyką edukacyjną, której poświęcony był nadchodzący tydzień. Podobnie jak wojskowy, który nosił prezydencką „piłkę” – urządzenie szyfrujące niezbędne do potwierdzenia rozkazu ataku jądrowego – analityk CIA towarzyszył Bushowi zawsze i wszędzie. Ameryka nie stała się obiektem poważnego bezpośredniego ataku od czasów Pearl Harbor, więc poranny briefing zazwyczaj dotyczył spraw znacznie bardziej abstrakcyjnych, jak na przykład „zagadnień związanych z bezpieczeństwem narodowym”. Zawsze pojawiały się jakieś zagrożenia terrorystyczne, ale raport przygotowany na ten poranek nie zawierał niczego szczególnego ani poważnego.

Bush nigdy nie lubił przekopywać się przez pisemne sprawozdania. Wolał, żeby podzruciono mu najważniejsze kwestie podczas porannego spotkania, a on mógł następnie przeczytać odpowiednie fragmenty raportu i zadać pytania. Dla Morella to półgodzinne spotkanie stało się czymś w rodzaju przedstawienia odgrywanego codziennie na zamówienie prezydenta. Sam Bush bardzo lubił te sesje i nazwał je potem „jednymi z najbardziej fascynujących punktów w programie dnia”. Morell odgrywał w nich główną rolę, choć był właściwie niewidoczny. Ten drobny pedantyczny szatyn w okularach, o gładko zaczesanych włosach, nie wyróżniał się ani swoim wyglądem, ani stylem. Często nosił wymięty garnitur i poruszał się jak cywil – miękkiem, swobodnym krokiem. To człowiek, który siedząc na krześle, podkurcza nogi i zwiija się w kulkę, na dodatek jest śmiertelnie błądy, więc wśród potężnych ochroniarzy i rumianych doradców wojskowych wyglądał jak chorowite chucherko. W czasie rozmowy Morell był zawsze bardzo aktywny. Mówił w szeszelczącym akcentem typowym dla Ohio, a swoje poglądy i opinie podkre-

ślął gestykulacją i mową ciała, marszcząc brwi i wysuwając podbródek. Przez większość swojej pracy w agencji wywiadowczej zajmował się problemami Azji.

Przed porannym spotkaniem z Morellem Bush zdążył poświęcić kilka minut na czytanie Biblii, urządził sobie przebieżkę w ciemnościach wokół pola golfowego Colony, po czym ubrał się i zjadł śniadanie. Tematyka briefingu skupiała się tego dnia na Chinach. Jest ona wprawdzie nadal utajniona, jednak wiadomo, że kilka miesięcy wcześniej samolot EP-3 o napędzie turbośmigłowym, zbierający informacje wywiadowcze dla marynarki USA, zderzył się z chińskim myśliwcem odrzutowym w rejonie wyspy Hainan. W wyniku wypadku zginął chiński pilot, doszło też do pierwszego, na szczęście niezbyt poważnego kryzysu międzynarodowego za kadencji Busha. Morell dysponował także nowymi informacjami wywiadowczymi z Rosji, które były jeszcze tajne, ale wiadomo, że świeży wówczas skandal szpiegowski wokół osoby Roberta Hanssena doprowadził do wzajemnego wydalenia dyplomatów przez oba kraje. Morell przedstawił następnie nowe informacje o trwającej w Palestynie intifadzie¹⁾, która się zaostrzała i zajmowała czołowe miejsca w światowych dziennikach informacyjnych. Jeden z punktów raportu skłonił prezydenta do rozmowy telefonicznej z doradczynią ds. bezpieczeństwa narodowego Condoleezą Rice, która pozostała w Białym Domu. W późniejszych latach nikt już nie pamiętał, o czym rozmawiali, zwłaszcza że w świetle tego, co się miało zdarzyć za chwilę (w momencie rozmowy prezydenta z Rice wszystkie cztery porwane samoloty pasażerskie znajdowały się już w powietrzu) program dnia był już nieistotny.

1) Chodzi o tzw. drugą intifadę, która rozpoczęła się 28 września 2000 roku. Intifada, arb. bunt, była masowym powstaniem Palestyńczyków przeciwko izraelskiej okupacji Palestyny. Obejmowała również konflikty wewnątrz ruchu palestyńskiego między fundamentalistycznymi ugrupowaniami muzułmańskimi (Hamas) a zwolennikami ruchu narodowego kierowanego przez Jasira Arafata (przyt. AW).

Po zakończeniu briefingu Bush wyjechał na zaplanowane spotkanie w Emma E. Booker Elementary School, w której o dziewiątej rano miał odwiedzić drugoklasistów w obecności kamer telewizyjnych i licznych reporterów. Wszyscy byli już w szkole, gdy dotarła do nich wiadomość o drugim samolocie. Morell z pozostałymi członkami ekipy prezydenckiej przebywał w sąsiedniej sali lekcyjnej. Był w niej telewizor, w którym wkrótce można było zobaczyć nagranie z samolotem uderzającym w South Tower. Płomienie ogarnęły już obie wieże.

Andrew Card, szef administracji prezydenckiej, postanowił przekazać tę wiadomość Bushowi, przeszedł więc do klasy, w której prezydent siedział właśnie na krześle przed dziećmi czytającymi na głos książkę o małej gąsce.

– Drugi samolot uderzył w drugą wieżę – szepnął Card. – Ameryka została zaatakowana.

Kamery uchwyciły zdumiony wyraz twarzy prezydenta. Niektórzy później wyśmiewali go za tę reakcję, ale jaka mina byłaby odpowiednia w przypadku takich wiadomości? Bush postanowił zachować kamienny spokój. Został z dziećmi aż do końca czytanej historyjki, ale jego zachowanie uległo gwałtownej zmianie. Wcześniej był radosny i doskonale bawił się podczas występu dzieci. Teraz siedział z ponurą miną i było widać, że jest nieobecny duchem. Po zakończeniu

lektury pochwalili uczniów i szybko wyszedł do sąsiedniej klasy. W telewizji pokazywano właśnie w zwolnionym tempie samolot United Airlines lot 175, który wbija się w South Tower i zamienia w kulę ognia. Fleischer odbył krótką rozmowę z prezydentem, który pośpiesznie poczynił jakieś odręczne notatki, po czym wrócił do zatłoczonej klasy, by ponownie stanąć przed kamerami i dziennikarzami.

– Panie i panowie, to trudna chwila dla Ameryki – zaczął.

Samoloty spadały z nieba na ziemię, porywacze-samobójcy naprowadzali je na najważniejsze budynki użyteczności publicznej, budowle-symbolowe, zabijając tysiące ludzi i zamieniając w popiół zarówno maszyny, jak i pasażerów. Na dodatek nikt nie wiedział, ile samolotów bierze udział w tej akcji.

Morell pomyślał, że powinien natychmiast przenieść Busha w inne miejsce. Ruszył w stronę jednego z agentów Secret Service, ale spostrzegł, że ochrona już go wyprzedziła. Ochroniarze kazali mu wyjść z budynku w stronę kolumny samochodów. Gdy prezydent zakończył swoje krótkie oświadczenie, wszyscy natychmiast wyruszyli na lotnisko.

Napływały kolejne złe wiadomości. Trzeci samolot, należący do American Airlines lot 77, uderzył w Pentagon, gdy kolumna prezydencka mknęła jeszcze na północ po Route 41. Wszyscy mieli wrażenie, że każdy wysoki budynek, każdy wielki pomnik i zabytek, każdy symbol Ameryki znalazł się w niebezpieczeństwie. Gdzie uderzy kolejny samolot? Powszechne przerażenie, jakie zapanowało w tych pierwszych godzinach, nie miało w sobie nic z urojeń. Ataki wywołały strach, ale jednocześnie obudziły w ludziach pierwotne odruchy i instynkt samozachowawczy. Zaledwie siedemdziesiąt jeden minut po uderzeniu w North Tower, setki kilometrów na zachód od Nowego Jorku, wysoko nad Pensylanią, pasażerowie lotu 93 United Airlines zorganizowali się i zaatakowali porywaczy. Samolot, którym lecieli, spadł na ziemię i rozbił się na polu w miejscowości Shanksville w stanie Pensylania, na wschód od Pittsburga.

Reakcja na te wydarzenia była natychmiastowa i ogarnęła cały naród. Wojsko poderwało w powietrze myśliwce i zabezpieczyło bazy. Zamknięto lotniska, zablokowano ulice, ewakuowano wiele budynków.

Tymczasem w Chicago Obama zorientował się, że w dającej się przewidzieć przyszłości nikt nie wróci do Thompson Center, wszedł więc do samochodu i udał się do pobliskiej kancelarii prawnej, w której pracował. Siedziba Davis, Miner, Barnhill i Galland mieściła się w ceglanej kamienicy. Na dole znajdowała się niewielka sala konferencyjna, a w niej telewizor, na którym pracownicy biura śledzili rozgrywającą się właśnie tragedię. Wraz z milionami widzów na całym świecie patrzyli na kobiety i mężczyzn uwięzionych na górnych piętrach Bliźniaczych Wież. Oni wciąż jeszcze żyli, tłoczyli się przy oknach, a za nimi buchały płomienie. Ci ludzie rozpaczliwie wzywali pomocy, usiłując znaleźć jakiś ratunek. Niektórzy decydowali się na skok, ostatni w ich życiu. Obama wraz z innymi patrzył, jak wieże runęły w dół. Wyobrażał sobie tysiące ludzi zamkniętych w śmiertelnej pułapce. Widział też dym i płomienie unoszące się nad zniszczonymi ścianami Pentagonu.

Bill McRaven obserwował przebieg wydarzeń ze szpitalnego łóżka umieszczonego w jego domu w San Diego. Na Zachodnim Wybrzeżu był jeszcze wczesny ranek. Kapitan oddziałów SE-

AL marynarki wojennej wyglądał jak prawdziwy żołnierz nawet wówczas, kiedy leżał w łóżku. Był wysokim, szczupłym, i dobrze umięśnionym mężczyzną z krótko przyciętymi włosami, przez co jego odstające uszy jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Gdy patrzyło się na jego twarz, wydawało się, że dolna i górna część są nieco asymetryczne, a wyrazista żuchwa wskazywała, że jest to człowiek twardy i zdecydowany. W ostatnim czasie aktywność kapitana sprowadzała się właściwie wyłącznie do przenoszenia się ze szpitalnego łóżka na wózek i z powrotem. Taka bezradność była upokarzająca dla człowieka, który przywiązywał ogromną wagę do sprawności fizycznej. W szkole średniej w San Antonio w stanie Teksas stał się prawdziwą gwiazdą bieżni, a po jej ukończeniu wybrał karierę wojskową. Jak każdy członek elitarnych jednostek specjalnych poświęcił całe życie na rozwój umysłowy i fizyczny. Dwa miesiące wcześniej przytrafił mu się straszliwy wypadek podczas skoku ze spadochronem. Po swobodnym spadaniu z wysokości ponad trzech tysięcy metrów McRaven wpadł na spadochron innego skoczka, zaczął się gwałtownie obracać i niemal całkowicie stracił przytomność. Udało mu się w końcu wyszarpnąć linkę wyzwalającą zapasowy spadochron, co uratowało mu życie. Niestety, jedna noga zaplątała mu się w linki, druga w taśmy nośne, a siła otwierającego się spadochronu o mało nie rozerwała go na pół. Wszystko skończyło się pęknięciem miednicy, złamaniem kręgosłupa i oderwaniem mięśnia brzucha. Stało się jasne, że w najbliższej przyszłości nie ma mowy o żadnych ryzykownych akcjach, a jeśli uda mu się stanąć na nogach, w jego ciele pozostaną na zawsze śruby i metalowe płytki.

McRaven wydostał się ze szpitala, każąc przenieść łóżko do domu, gdzie tego ranka oglądał, jak na Amerykę spadają kolejne ciosy. Nie czuł goryczy, bo przyjmował surowe zasady rządzące jego zawodem. Doszedł do wniosku, że gdyby rzeczywiście był na tyle dobry, żeby wykonać skok ze swobodnym spadaniem w ramach akcji bojowej SEAL, to nigdy nie doszłoby do tego wypadku. Zasłużył na to, co go spotkało. Nie martwił się utratą szans na awans, bo gdyby mu zależało na stopniach wojskowych, nigdy nie wstąpiłby w szeregi marynarki wojennej. Tak samo było w wojskach lądowych – jednostki specjalne były drogą do działania w ramach małych zespołów, a nie ścieżką awansu na kolejne stanowiska dowódcze, które wiążą się z odpowiedzialnością za coraz większą liczbę żołnierzy. Przedstawiciele konwencjonalnych sił zbrojnych wiedzieli, że jednostki specjalne rządzą się po prostu innymi prawami. Do ich oddziałów wstępował ludzkie, którzy chcieli skakać z samolotów, wysadzać w powietrze różne obiekty, a czasem także sprawdzić się w prawdziwej misji – nawet jeśli kraj nie toczył oficjalnie żadnej wojny. McRaven miał czterdzieści pięć lat, a ostatnio służył jako dowódca Specjalnej Grupy Bojowej Marynarki Wojennej w Coronado, co uznawał za swoją wymarzoną pracę. Wiedział, że będzie mu brakowało jednego – udziału w akcjach.

McRaven walczył w wojnie w Zatoce Perskiej i przez całe swoje dorosłe życie ciężko pracował, żeby brać udział w niebezpiecznych misjach. W tej chwili nikt jeszcze dokładnie nie wiedział, jak Stany Zjednoczone zareagują na ataki, ale było jasne, że kraj znalazł się w stanie wojny. McRaven zdawał sobie sprawę z tego, że ta wojna go ominie.

Wiadomo było, że sprawcą zamachów nie jest żaden konkretny kraj. Najprawdopodobniej stała za nimi grupa zagorzałych fanatyków działających w różnych miejscach. Trudno było ich zlokalizować i odpowiedzieć na atak. Wojna zawsze stawia przed ludźmi nowe wyzwania. Naród, który rusza do boju, reagując na nieznanie wcześniej zagrożenie, musi po omacku znaleźć

drogę działania i opracować taką strategię i taktykę, która doprowadzi do zwycięstwa. To wymaga czasu (w tym przypadku dobrych kilku lat), ale wiedza McRavena upoważniała go do stwierdzenia, że wie, jaki będzie koniec tych zmagañ. Ten człowiek dokładnie przestudiował historię amerykańskich operacji specjalnych. Na podstawie pierwszych tropów, pojawiających się już w telewizji, nabrał też przekonania, że całą akcję zorganizowało niewielkie ugrupowanie terrorystyczne o nazwie Al-Kaida. Ludzie tacy jak on słyszeli o tej organizacji znacznie więcej niż przeciętny mieszkaniec Stanów Zjednoczonych. Jeśli za atakami nie stało akurat to ugrupowanie, to w grę wchodziło inne o podobnym charakterze. Jak można walczyć z tajną ponadnarodową organizacją dokonującą zamachów? Jest to możliwe dzięki wywiadowi oraz doskonale wyszkolonym jednostkom specjalnym typu SEAL – dzięki ludziom, którzy potrafią zadać błyskawiczny, celny cios w każdym zakątku świata. McRaven doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że jego oddział pójdzie walczyć bez niego.

Przede wszystkim był świadom, że ta wojna będzie się toczyć latami. A czas gra na jego korzyść. Kiedyś będzie znowu sprawny. Kiedyś może się okazać, że znajdzie jakiś sposób na to, by znów wziąć udział w akcji.

Michèle Flournoy przebywała w Waszyngtonie, gdy ujrzała dym unoszący się nad Pentagonem, na drugim brzegu Potomacu. Pracowało tam wielu jej przyjaciół.

Czterdziestoletnia pracownica naukowa, absolwentka Harvardu i Oksfordu, była jedną z najwybitniejszych intelektualistek w kręgach wojskowych. Należała do nielicznych mieszkanki Waszyngtonu, które postanowiły związać swoją karierę zawodową z zagadnieniami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego. Każdy, kto ją znał, wiedział doskonale, że kwestią czasu pozostaje zajęcie przez nią kolejnego ważnego stanowiska w Pentagonie. Teraz jednak – podobnie jak w przypadku wielu innych osób, które zawdzięczały rządowe posady poparciu jednej czy drugiej partii politycznej – jej przeszłość na stanowisku głównego planisty Pentagonu za czasów administracji Clintona oznaczała, że znalazła się w gronie licznych ekspertów politycznych na wygnaniu. W Białym Domu mieszkał teraz republikanin, który niedawno rozpoczął pierwszą kadencję.

Flournoy była znana z tego, że opowiadała się za ujmowaniem zagadnień obrony narodowej w kontekście międzynarodowym. Bardziej niż na ideologii skupiała się na partnerstwie i pragmatyzmie. Na wiele stanowisk związanych z obronnością prezydent Bush wyznaczył takich ludzi, którzy mieli skłonność do zdecydowanego korzystania z siły wojskowej USA. Tacy politycy poszukiwali partnerów za granicą, ale nie chcieli, by to partnerstwo wiązało Amerykę ręce przy podejmowaniu działań. W czasie pokoju takie różnice w filozoficznych założeniach mogły zainteresować głównie ekspertów i dyskutowano nad nimi w czasie debat poświęconych wojskowości oraz rozwojowi armii. Tego samego ranka Flournoy udzieliła wywiadu dla National Public Radio, w którym wypowiedziała się na temat niektórych inicjatyw planowanych przez sekretarza obrony Donalda Rumsfelda. Pani Flournoy pracowała w Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych (Center for Strategic and International Studies; CSIS) – think tanku, w którym udzielali się przedstawiciele obu partii. Była też profesorem na Uniwersytecie Obrony Narodowej i wspomagała Pentagon w przygotowaniu strategicznego Czteroletniego Planu Obrony. Ten obszerny dokument wskazywał bardzo konkretnie wszystkie priorytety dotyczące

obronności państwa. Gdy kolejne samoloty uderzały w cele, Flournoy brała udział w międzynarodowym spotkaniu na temat prognoz dotyczących obronności, odbywającym się naprzeciwko Białego Domu.

Po ewakuacji wszystkich budynków w okolicy pani Flournoy stała na Pennsylvania Avenue i patrzyła na złowieszczy słup dymu wyrastający na drugim brzegu rzeki. Wiedziała, że w tej chwili wszystkie tematy podjęte na spotkaniu stały się zupełną abstrakcją, jakby ktoś jednym ruchem wymazał je wszystkie z tablicy. W jednej chwili priorytety obronne Ameryki uległy radykalnej, brutalnej zmianie.

Michèle Flournoy przeszła kilka przecznici i znalazła się w siedzibie CSIS, skąd zadzwoniła do domu, żeby sprawdzić, czy z jej dziećmi wszystko w porządku. Następnie próbowała skontaktować się telefonicznie z kolegami z Pentagonu, niestety bezskutecznie. W końcu odebrała kilka połączeń od kolegów z pracy i dziennikarzy, m.in. od reportera NPR, z którym rozmawiała zaledwie kilka godzin wcześniej. Zdradziła, że jest coraz bardziej przekonana o udziale Al-Kaidy w zamachach, lecz na tym etapie była to jedynie hipoteza.

Kolejny demokratą przebywający na przymusowym wygnaniu, Thomas Donilon, także znajdował się w centrum Waszyngtonu. Akurat poddawał się corocznym kompleksowym badaniom lekarskim w gabinecie przy M Street. Donilon skończył czterdzieści sześć lat, był więc w wieku, w którym człowiek, zwłaszcza tak pokaźnej postury, zaczyna płacić za długie godziny spędzone za biurkiem. Przez wiele lat pracował na rządowych posadach jako prawnik. Tyrał za trzech, a teraz okazało się, że jego organizm zaczyna się buntować. W światowej stolicy pracobolików uznawano go za wyjątkowy okaz. W 1977 roku był najmłodszym doradcą w ekipie prezydenta Cartera, a za prezydentury Clintona pracował jako szef personelu w Departamencie Stanu. W 1992 roku brał udział w kampanii Clintona, odgrywał też rolę prezydenta G.H.W. Busha, przygotowując do debaty Rossa Perota. Długie godziny prób zaowocowały znajomością mnóstwa istotnych faktów przydatnych w wielu sytuacjach. Donilon był twardym graczem – zawsze uprzejmy, lecz nieustępliwy. Gdy mówił, pokazywał cały garnitur górnych i dolnych zębów, więc wydawało się, że przeżuwa każde słowo. Przed wielkimi pojedynkami Clinton lubił przeprowadzać z nim sparing, uprawiając szermierkę słowną. Teraz, niecały rok po zainstalowaniu się nowej republikańskiej administracji, stanął z boku, wykorzystując dyplom z prawa i doświadczenie polityczne w pracy lobbysty w Federal National Mortgage Association (zwanym popularnie Fannie Mae)²⁾.

2) Fannie Mae jest prywatnym przedsiębiorstwem sponsorowanym przez rząd USA, na mocy specjalnego prawa autoryzowanym do pożyczania pieniędzy i udzielania gwarancji kredytowych. Nie jest bezpośrednio finansowane przez rząd, a emitowane przez nie papiery wartościowe nie są poręczone ani chronione przez państwo. Firma jest częściowo zwolniona z płacenia podatków dochodowych (przyp. red.).

Po zakończeniu badań lekarskich Donilon wyjechał z podziemnego garażu i znalazł się w gigantycznym korku. Ludzie opuścili biurowce w całym Dystrykcie Kolumbii i wyglądało na to, że wszyscy w jednej chwili ruszyli do domów. Donilon usiłował dodzwonić się do żony, ale sieć

była przeciążona i połączenie okazało się niemożliwe. Włączył radio i z przerażeniem słuchał kolejnych wiadomości, przesuwając się centymetr po centymetrze na północny wschód, w stronę domu. Jazda przedłużała się w nieskończoność. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, okazało się, że jego żona także wróciła już z pracy, odebrawszy wcześniej córeczkę z przedszkola Bethesda. Po chwili razem z milionami Amerykanów oglądali w telewizji dalszy rozwój zdarzeń.

Michael Vickers znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej, w siedzibie niewielkiego Centrum Analiz Strategicznych i Budżetowych, które założył po odejściu z wywiadu i wojska. Dwadzieścia lat wcześniej jako uzdolniony oficer CIA zorganizował tajną amerykańską misję, której celem było udzielenie pomocy grupie luźno współpracujących przywódców plemiennych oraz islamskich ekstremistów, którzy walczyli w Afganistanie z inwazją sowiecką. Akcja została uznana za największą tajną misję w całej historii agencji wywiadowczej. Vickers jako dawny oficer wojskowych sił specjalnych stał się w swoim środowisku prawdziwą legendą. Był ekspertem od spraw Bliskiego Wschodu, miał w tym regionie szerokie kontakty, a doświadczenie zawodowe zdobyte w wywiadzie i jednostkach specjalnych miało być niezwykle przydatne w rozpoczynającej się właśnie nowej wojnie. Na wezwanie Rumsfelda miał następnego dnia wrócić do pracy, jako konsultant Pentagonu. Jego zadaniem było opracowanie odpowiedzi Stanów Zjednoczonych na ataki z 11 września.

Generał brygady David Petraeus przebywał w Bośni. Wiadomość o ataku na Amerykę zastała go wczesnym wieczorem w siedzibie sztabu Brygady Nordycko-Polskiej. Ten drobny żyłasty mężczyzna, garbiący się lekko od czasów wypadku spadochronowego, który przeżył wiele lat temu, siedział w towarzystwie oficerów z różnych krajów i patrzył, jak runęły obie wieże. W tym momencie zdał sobie sprawę, że misja zarówno jego, jak i wszystkich żołnierzy amerykańskich, ulegnie wkrótce zmianie. Podejrzenia Petraeusa natychmiast skierowały się w stronę Al-Kaidy i jej założyciela, który nazywał się Osama bin Laden.

Petraeus nie strzelał w ciemno. W latach 1997–1999 pracował na stanowisku zastępcy przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów w Pentagonie. W tamtym czasie administracja Clintona często dyskutowała na temat tego, czy i kiedy rozpocząć polowanie na radykalnego islamskiego przywódcę. Postanowiono wówczas wystrzelić rakiety samosterujące, biorąc na cel obiekty Al-Kaidy w Sudanie i w Afganistanie, ale akcja ta nie przyniosła znaczących efektów. Bin Laden był nieuchwytny. Teraz jednak reakcja miała być zakrojona na znacznie większą skalę – miała zmienić oblicze świata. Do zadań Petraeusa w Bośni należało dowodzenie tajną jednostką uderzeniową, w której skład wchodziłi najlepiej wyszkoleni przedstawiciele różnych sił. Jednostka zajmowała się tropieniem i lokalizacją zbiegłych serbskich i chorwackich zbrodniarzy wojennych, zbieraniem informacji wywiadowczych, błyskawicznymi nalotami na wyznaczone cele, często przeprowadzanymi w porze nocy z wykorzystaniem helikopterów.

Świeżo upieczony absolwent New York University Ben Rhodes obserwował z Brooklynu tragedię, która rozwijała się przed jego oczami. Robił magisterium z literatury (Creative Writing), a równocześnie był zaangażowany w lokalną politykę. 11 września zajmował się rozdawaniem ulotek kandydatki do Rady Miasta Diany Reyny – tego dnia odbywały się w Nowym Jorku wybory samorządowe. Rhodes zaangażował się w politykę po doświadczeniach ze skrajnymi socja-

listami, z którymi zetknął się na Upper West Side, oraz z zatwardziałyymi republikanami w iście teksańskim stylu poznanymi na Rice University. Obawiał się wszystkiego, co mogłoby się kojarzyć z dogmatyzmem, dlatego stał teraz na nabrzeżu Brooklyn Heights i rozdawał ulotki. Płomienie i dym unoszący się nad North Tower tworzyły wstrząsający obraz. Rhodes przypuszczał, że doszło do nieszcześnie wypadku, jednak siedemnaście minut później zobaczył na drugim brzegu East River coś jeszcze straszniejszego. Najpierw w górnej części South Tower pojawił się oślepiający błysk, a po chwili obie wieże stały już w płomieniach, a nad nimi wyrosły ogromne pióropusze dymu, które zasnuły cały Manhattan. Rhodes nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z krótkofalówki stojącego obok policjanta rozległo się wezwanie o pomoc skierowane do wszystkich, którzy mogą jej udzielić, a powietrze wypełnił jęk syren. Rhodes odwrócił się i spojrzał w dół na trasę Brooklyn–Queens oraz masę karettek i policyjnych radiowozów mknących na sygnale na północ, w stronę Brooklyn Bridge i dalej, w kierunku Manhattanu.

Płomienie i smugi dymu wcale się nie zmniejszały. Ogrom katastrofy był nie do ogarnięcia. Ben nie odwracał wzroku od wież. W końcu South Tower runęła, ale po drugiej stronie rzeki nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Nie było słyhać ani huku ani łomotu. Drapacz chmur po prostu nagle się osunął, zwijając się, jakby to było coś zupełnie normalnego. Po chwili zniknął, ginąc w ogromnej białej chmurze popiołów i zgliszczy.

Rhodes ruszył przed siebie. Wydawało się jasne, że North Tower spotka taki sam los, a tego nie chciał już oglądać. Dwie wieże, symbol jego dzieciństwa, które spędził w Nowym Jorku. W swoim dwudziestotrzyletnim życiu nie doświadczył niczego, co pomogłoby mu pogodzić się z oglądanymi przed chwilą scenami. Uwielbiał Ernesta Hemingwaya – jako student całe lata nosił w tylnej kieszeni spodni egzemplarz powieści *Słońce też wschodzi*. Filozofia Hemingwaya zakładała, że męską rzeczą jest stanąć z najtrudniejszą prawdą twarzą w twarz. Ben, niedoszły powieściopisarz, także odszedł w tym dniu od świata fikcji. Niezależnie od tego, czym były oglądane przez niego sceny, wiedział, że musi stawić im czoła, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo, podobnie zresztą jak życie wielu Amerykanów, którzy byli świadkami tych wydarzeń.

Gdy wieże runęły, prezydent Bush znajdował się na pokładzie samolotu. W gronie najbliższych współpracowników obserwował przebieg zdarzeń, siedząc w pomieszczeniu dla personelu w przedniej części Air Force One, gdzie można było złapać słaby sygnał telewizyjny. Obraz co chwila pojawiał się i zniknął. Bush zaniepokoił się brakiem telewizji satelitarnej na pokładzie i doszedł do wniosku, że należy się tym zająć. Jeden z komentatorów powiedział, że odpowiedzialność za ataki wzięła na siebie Front Demokratyczny Wyzwolenia Palestyny.

Morell uznał, że ta wersja jest zupełnie nieprawdopodobna. Wspomniana organizacja powstała wiele lat temu w wyniku rozłamu w łonie Organizacji Wyzwolenia Palestyny i była dziś właściwie martwa.

– Co wiesz o tej grupie? – zapytał Bush.

– Nie mają możliwości ani środków do przeprowadzenia takiego ataku – odparł Morell.

Informacja została zdementowana w ciągu kilkunastu minut.

Niesamowite, jak szybko wprowadzono procedury wojenne. Zanim kolumna samochodów dotarła do Międzynarodowego Portu Lotniczego Sarasota Bradenton, Air Force One był już oto-

czony przez agentów Secret Service uzbrojonych w karabiny automatyczne. Nigdy wcześniej nie doszło do takiego ataku, zatem nikt nie wiedział, czego się spodziewać, kto stoi za całą akcją i jaki jest jej zasięg. W kręgu podejrzeń znalazło się wszystko i wszyscy. Zanim ekipa prezydencka weszła na pokład, agenci sprawdzili każdą torbę, nawet Carda i Morella i wojskowego opiekującego się walizeczką z przyciskiem atomowym.

Gdy przedstawiciel CIA wszedł na pokład, zapytał jednego z agentów:

– Dokąd lecimy?

– Będziemy po prostu latali nad ziemią – odpowiedział tamten.

Skoro samoloty spadają z nieba na ziemię jak pociski, to może rzeczywiście najbezpieczniejszym miejscem dla prezydenta będzie przestrzeń powietrzna...

Air Force One wylądował w bazie lotnictwa wojskowego w Barksdale w stanie Luizjana, żeby zatankować paliwo i uzupełnić zapasy żywności. Na drodze do kołowania stały w szeregu bombowce. Wciąż napływały nowe doniesienia o atakach: bombach, kolejnych samolotach-pociskach, groźbach wobec Air Force One i ataku wymierzonym w ranczo Busha w Crawford w stanie Teksas. Wszystkie te informacje okazały się fałszywe, ale w świetle tego, jak zuchwałe i straszliwe były dotychczasowe zamachy, każdy nowy sygnał wydawał się prawdopodobny.

Gdy prezydent wysiadł z samolotu, by nagrać przesłanie do narodu amerykańskiego, Morell pozostał w środku wraz z większością członków ekipy. Załoga pośpiesznie ładowała na pokład wodę i żywność, bo nikt nie wiedział, jak długo samolot z prezydentem będzie musiał unosić się w powietrzu. Gdy między fotelami przeszedł doradca wojskowy z listą pasażerów, wyprasząc niektórych z nich z samolotu, przedstawiciel CIA zapytał, o co w tym wszystkim chodzi.

– Trzeba tu wysadzić kilka osób – odparł doradca.

– A co ze mną? – zapytał Morell.

– Andy Card powiedział, że pan zostaje.

Samolot wystartował ze zmniejszonym ładunkiem, kierując się do bazy Strategicznego Dowództwa Lotnictwa w Omaha w stanie Nebraska. Gdy wzniósł się w powietrze, Morell został ponownie wezwany do kabiny Busha.

– Jak myślisz, kto to zrobił? – zapytał prezydent.

Morell rozmawiał już przez telefon z centralą, ale w tej chwili nikt nie mógł jeszcze udzielić mu ostatecznej odpowiedzi na to pytanie.

– Mamy na świecie dwa państwa, które wspierają terroryzm i mogły przeprowadzić taką akcję, Iran i Irak – powiedział Morell – ale oba mają wszystko do stracenia, a nic do zyskania. Gdybym miał zgadywać, postawiłbym dużo pieniędzy na to, że za wszystkim stoi Al-Kaida.

– Więc kiedy będziemy wiedzieć na pewno? – spytał Bush.

Morell nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Wyjaśnił prezydentowi, że agencja zawsze potrzebowała czasu, żeby ostatecznie potwierdzić odpowiedzialność za wcześniejsze ataki. Wymienił zamachy bombowe w Al-Khobar w Arabii Saudyjskiej w 1996 roku, amerykańskie ambasady w Tanzanii i Kenii w 1998 roku i okręt USS „Cole” u wybrzeży Jemenu w 2000 roku. W pierwszym przypadku ustalenie mocodawców zajęło dziesięć dni, a w kolejnych – kilka miesięcy.

– Może się zdarzyć, że dowiemy się o tym dopiero za jakiś czas – powiedział.

Informacje pojawiły się całkiem szybko. Jeden z analityków z Langley sprawdził listy pasa-

żerów porwanych samolotów i wykrył bezpośrednie związki niektórych porwaczy z Al-Kaidą. Informacja ta krążyła już mniej więcej od godziny, ale jeszcze nie dotarła do Morella. Bush otrzymał ją za pośrednictwem wideofonu bezpośrednio od dyrektora CIA George'a Teneta tuż po wylądowaniu w Omaha. W tej sytuacji prezydent przejął inicjatywę z rąk swoich ochroniarzy i rozkazał wracać do Waszyngtonu. Chciał jeszcze tego samego wieczora skierować orędzie do narodu, wygłaszając je z Białego Domu.

W drodze powrotnej Morell odbył kolejną rozmowę z Bushem, tym razem informując go o sprawozdaniu wywiadu ds. zagranicznych. Wynikało z niego, że w Stanach Zjednoczonych istnieją uśpione komórki organizacji terrorystycznej przygotowane na przeprowadzenie drugiej fali ataków. Już w sierpniu podczas jednego z briefingów Morell ostrzegł Busha przed Al-Kaidą, która miała planować jakieś działania, ale wówczas informacja ta nie była potwierdzona, więc nie wzbudziła szczególnego zaniepokojenia. Władze nie zdecydowały się na wszczęcie żadnego alarmu ani podjęcie jakichkolwiek konkretnych kroków. Jedynym sygnałem, że sprawa może być poważna, był groźnie brzmiący tytuł samego raportu: *Gotowość bin Ladena do uderzenia na terenie USA*. Oczywiście nikt wówczas nie przypuszczał, że ewentualny atak może przybrać takie rozmiary, z jakimi Ameryka miała właśnie do czynienia. W sierpniu wielu pracowników było na urloпах, więc Morell z trudem zdobywał materiały, które mógłby przekazać prezydentowi. Nazywał je zresztą „papierkami z czasu letniego zastoj”. Miały one najczęściej ogólnikowy charakter. Znajdowały się wśród nich zapiski dotyczące potencjalnych zagrożeń, o których rozmawiano znacznie rzadziej niż o innych kwestiach pojawiających się w porannym planie dnia. Były to oczywiście tematy, do których CIA podchodziło bardzo poważnie, ale w materiałach po prostu brakowało konkretów. Bin Laden mówił o jakiejś dużej akcji w Stanach, która miała „uradować” jego zwolenników, ale podobne groźby wygłaszał już od wielu lat. W sprawozdaniu znalazła się także informacja o tym, że FBI prowadziło „siedemdziesiąt szeroko zakrojonych śledztw” dotyczących groźb, w których pojawiała się postać bin Ladena. Zasadnicze przesłanie raportu sprowadzało się do tego, że Al-Kaida coś planuje, rząd USA nie ma pojęcia, co to ma być, ale i tak podejmuje wszelkie możliwe kroki, by temu zapobiec.

O zmierzchu Air Force One podszedł do lądowania w Bazie Lotniczej Andrews. Wielu pasażerów drzemało po długim, pracowitym dniu, mając zresztą przed sobą perspektywę ciężkiej nocy. Morell podniósł się, żeby spojrzeć przez okno. Zobaczył dwa myśliwce F-16, które przygotowały się do eskortowania samolotu prezydenckiego podczas lądowania. Leciały w precyzyjnym szyku, tak blisko końcówek skrzydeł Air Force One, że było dokładnie widać twarze pilotów w kokpicie. W oddali Morell dostrzegł smugę dymu, który wciąż unosił się nad Pentagonem.

Wieczorem, już w domu, Morell wysłuchał w telewizji prezydenckiego orędzia do narodu. Zanim położył się do łóżka, zajrzał do dzieci, które już spały otoczone stertami pluszowych zwierzątek. Pomyślał wtedy: świat, w którym żyją, całkowicie się zmienił, a one nie mają o tym pojęcia.

Wieczorem prezydent Bush wygłosił przemówienie z Gabinetu Owalnego.

– Dzisiaj nasi współobywatele, nasz sposób życia i nasza wolność zostały zaatakowane w serii rozmyślnych, śmiercionośnych aktów terroru – powiedział. Następnie szczegółowo przed-

stawił wydarzenia i złożył wyrazy uznania wszystkim, którzy w ciężkiej sytuacji nieśli innym pomoc, narażając własne życie. Obiecał „znaleźć odpowiedzialnych za ataki i postawić ich przed obliczem sprawiedliwości”.

Człowiek, który ponosił największą odpowiedzialność za zamachy, Osama bin Laden, nie był dotąd dobrze znany poza kręgami związanymi z obroną narodową, ale wkrótce miał zostać najslawniejszym terrorystą na świecie. W kolejnych tygodniach i miesiącach przyznał się do odpowiedzialności za ataki, pochwalił porywaczy-samobójców, uznając ich za męczenników sprawy, i nagrał film, na którym z uśmiechem wyraża zadowolenie z dokonani organizacji i wychwala Allaha za sukcesy bojowników.

– Mamy Amerykę ugodzoną przez Boga w jedno z najczulszych miejsc – powie w nagraniu wideo upowszechnionym kilka tygodni później. Pojawia się na nim w kurtce panterce, siedząc z kalasznikowem, który nosił od czasów dżihadu z ZSRR. Na długiej brodzie można było dostrzec siwe pasma.

– Jej wielkie budowle zostały zniszczone, za co Bogu dzięki. Mamy Amerykę, która drży ze strachu z północy na południe i z zachodu na wschód. Bogu dzięki. To, czego Ameryka doświadcza teraz, jest niczym w porównaniu z tym, czego my doświadczyliśmy przez wiele lat. Nasz Narod³⁾ doświadczał takiego poniżenia i upokorzeń przez ostatnie dziewięćdziesiąt lat.

3) Termin oznacza muzułmanówna całym świecie, tzw. Ujma (przyp. AW).

Od 11 września każdy dzień, w którym bin Ladenowi udawało się uciec przed polującą na niego Ameryką, stanowił dla Al-Kaidy kolejne zwycięstwo. Trudno przecenić znaczenie tego, że przez tyle lat udawało mu się uniknąć kary. Nieważne, jak wiele Stany Zjednoczone zrobiły, żeby pomóc zamachy, nieważne, ile reżimów obaliły, nieważne, że osłabiały i dziesiątkowały szeregi Al-Kaidy, bo każdy dzień, w którym bin Laden oddychał, stanowił dla Amerykanów obelgę rzuconą prosto w twarz. Oznaczało to bowiem, że ten człowiek, który uczynił tyle zła, pozostaje bezkarny i równie dobrze może powtórzyć swój czyn.

Dwaj ludzie, którzy mieli stać na czele Stanów Zjednoczonych w kolejnej wojennej dekadzie, początkowo zareagowali na zamachy w zupełnie odmienny sposób. Bush zapisał swoje przeżycia w książce *Decision Points*. Obama w nadchodzących latach podejmował ten temat w przemówieniach i tekstach oraz w rozmowie, którą przeprowadziliśmy w Gabinetcie Ovalnym.

Bush czuł oburzenie i chęć natychmiastowej zemsty. „Ktoś ośmielił się podnieść rękę na Amerykę – napisał – i musiał za to zapłacić”.

Po wylądowaniu w Bazie Sił Lotniczych w Barksdale prezydent zobaczył rzędy bombowców, które uświadomiły mu, że dysponuje ogromną potęgą militarną. Gdyby na jego miejscu stał ktoś inny, mógłby pomyśleć o tym, jak bezsensowny jest arsenał z okresu zimnej wojny w obliczu wroga, który stoi ponad państwami i nie ma określonego adresu. Bush napisał jednak później: „Wiedziałem, że kwestią czasu pozostaje użycie tej potęgi przeciwko komuś, kto zlecił ten atak”.

W zapiskach poczynionych wieczorem w dniu zamachów przedstawił szerzej wizję kary, jaką należy wymierzyć sprawcom: „Nie będziemy czynić rozróżnienia między tymi, którzy popełnili te czyny i tymi, którzy udzielają im schronienia”. Prezydencka żądza odwetu będzie rosła z upływem czasu, prowadząc do mobilizacji wielkich armii, okupacji dwóch krajów oraz prowadzenia pomniejszych akcji wojskowych i wywiadowczych na całym świecie. Wspomniane misje wypełnią kolejne siedem i pół roku prezydentury Busha, przyniosą śmierć i kalectwo tysiącom ludzi i zadecydują o tym, jak będzie wyglądać Ameryka w pierwszej dekadzie XXI wieku. Wojna w Afganistanie, pierwszym z zaatakowanych państw, okaże się najdłuższa w historii Ameryki. W Iraku Stany Zjednoczone stoczą jeszcze bardziej krwawy i jeszcze bardziej kosztowny bój. Amerykanie błędnie sądzili, że iracki dyktator Saddam Husajn ponosi pośrednio odpowiedzialność za ataki i dysponuje bronią, która może zadać jeszcze dotkliwsze ciosy. To przekonanie okazało się w znacznej części nieuzasadnione, ale reakcja Busha wpisała się idealnie w nastroje społeczne i w pewnej mierze zadowolili społeczeństwo, które prężyło muskuły i żądało zemsty na wrogu.

Tak więc po 11 września Bush rozglądał się za miejscem, które mógłby zbombardować, natomiast z wypowiedzi Baracka Obamy wynikało, że jest gotów do rozpoczęcia ogólnosiwiatowej kampanii walki z ubóstwem.

Mało kto interesował się przemyśleniami senatora stanowego Illinois, ale tuż po zamachach lokalna gazeta „Hyde Park Herald” zwróciła się do niego, podobnie jak do innych miejscowych polityków, z prośbą o opinię na temat ataku na Amerykę. Odpowiedzi, jakiej udzielił, można się było spodziewać po kimś, kto dawniej działał społecznie i miał wielokulturowe korzenie. Ojciec Obamy pochodził z Kenii, a on sam najmłodsze lata spędził z matką w Indonezji (potrafił jeszcze coś powiedzieć w języku bahasa, którego uczył się jako dziecko). Gdy studiował na Columbia University i mieszkał na obrzeżach Manhattanu, dużo czasu poświęcał pogłębianiu stosunków międzynarodowych oraz podróżom w różne zakątki świata. Gdyby porównać go z poprzednimi prezydentami, trudno nie zauważyć, że globalizacja wywarła duży wpływ na rozwój jego osobowości, a gdy dodamy do tego ciemną skórę i afrykańskie nazwisko, to u niektórych obudzą się podejrzenia, że nie jest prawdziwym Amerykaninem. Obama miał bezpośrednio do czynienia z urazą i gniewem wobec Stanów Zjednoczonych, jakie żywili ludzie, którzy mieszkali w innych, znacznie mniej spokojnych zakątkach świata. Takie same uczucia podzielało wielu Afroamerykanów dorastających w USA. Antyamerykanizm nie był dla niego abstrakcyjnym pojęciem. Obama przez całe życie zmagał się z własną wielorasową i wielokulturową tożsamością, a poruszającym świadectwem tego procesu stały się słowa umieszczone w wydanych w 1995 roku wspomnieniach *Dreams from My Father*. W odpowiedzi udzielonej „Hyde Park Herald” wezwał do zbadania głębokich przyczyn terroryzmu.

– On rodzi się w klimacie ubóstwa i niewiedzy, bezradności i rozpaczcy – powiedział.

Wezwał Amerykę do poświęcenia znacznie większej uwagi wielkiemu zadaniu budzenia nadziei i perspektyw przed rozgoryczonymi dziećmi na całym świecie – nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale także w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej, Europie Wschodniej i we własnym kraju. Brzmiało to jak jakiś lewicowy manifest i – niezależnie od tego, czy było słuszne, czy nie – kompletnie rozmiękało się z nastrojami społecznymi, w których dominowała wściekłość na terrorystów.

Trzeba pamiętać, że Obama nie stał jeszcze na czele militarnej potęgi Ameryki i nie odpowiadał za bezpieczeństwo narodowe. Jego polityczny instynkt nie był wówczas wyrobiony. W tamtych czasach z trudem szukał swojego miejsca na scenie politycznej. W wyborach do Kongresu został pokonany przez działacza z lat sześćdziesiątych, Bobby'ego Rusha, współzałożyciela Czarnych Panter z Chicago, skazanego niedługo na pół roku więzienia za nielegalne użycie broni. Pierwszy Dystrykt, z którego kandydował Rush, był jednym z niewielu okręgów wyborczych, w którym mógł uzyskać mandat człowiek z takim życiorysem. Tam znajdowała się siedziba Nation of Islam Louisa Farrakhana. Wielorasowość i zagraniczne korzenie Obamy, a także wykształcenie zdobyte na Harvardzie, działały na jego niekorzyść. W nadchodzących latach miał rozszerzyć swoje horyzonty i wzbogacić przesłanie, z jakim szedł do ludzi. Zaczął już kłaść mocne podwaliny pod kolejną, tym razem udaną kampanię, której celem było pozabawienie senatorskiego fotela republikanina Petera Fitzgeralda w 2005 roku.

Na razie jednak reakcja Obamy na wydarzenia z 11 września była dość typowa i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Formułując swoje opinie na temat zamachów, Obama opierał się na wzorcu sięgającym czasów wojny wietnamskiej. Najbardziej liberalnie nastawieni demokraci, oraz wielu czarnych Amerykanów nigdy nie doszło do siebie po tym konflikcie zbrojnym. Minęło ćwierć wieku, a oni nadal sprzeciwiali się wojnie, reprezentując czasem zupełnie skrajny pacyfizm. Ciekawe zresztą, że Rush został wybrany do Kongresu, mimo że zdezerterował z armii. W każdym razie na modelu politycznym typowym dla lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych (z jednej strony republikańskie jastrzębie, z drugiej – demokratyczne gołębie) zaczynały się pojawiać pierwsze rysy. Obraz był coraz bardziej złożony, bo liberałowie domagali się humanitarnych interwencji w Somalii, Bośni i innych zakątkach świata, nie zważając na zastrzeżenia konserwatystów. Ci z kolei krytykowali mrzonki o „budowaniu narodu” i „stawianiu się światowemu policjantem” oraz współpracę z ONZ.

Obama to człowiek ostrożny, a dowody tej ostrożności pojawiły się w pierwszych dniach po zamachach. Wyglądało na to, że jest zainteresowany tematem, a nie sprowokowany wydarzeniami. Wyrzucił nadzieję, że Ameryka „wyciągnie z tej tragedii jakąś mądrość”. Skłaniał się raczej ku zbadaniu ataku niż ku zemście. Oto pojawił się człowiek, któremu krew zaczynała wrzeć w wyższej temperaturze niż większości polityków. On sam uważał się za kogoś, kto potrafi manewrować między skrajnościami, zarówno kulturowymi, jak i (czego dowiodła jego praca w „Harvard Law Review”) światopoglądowymi. W tym jednak przypadku przyczynami nie były bieda i niewiedza. Zamachowcy-samobójcy nie byli zgorzkniałymi młodymi ludźmi z biednych domów. Nie kierowali się brakiem nadziei czy perspektyw. Większość z nich stanowili całkiem zamożni młodzi Saudyjczycy wysłani przez rodziny za ocean w celu pobierania nauk na drogich uczelniach. To byli religijni fanatycy, na czele których stał dziedzic wielkiej fortuny. Ich żale i pretensje do świata nie miały podłoża ekonomicznego, lecz polityczne i religijne.

Obama wezwał do reakcji zbrojnej, ale nawet w tym przypadku wykazał się ostrożnością. „Musimy być stanowczy w rozpoznaniu sprawców tych potwornych zbrodni oraz neutralizacji ich szkodliwych organizacji” – mówił. Nie było zatem mowy o tym, żeby ich „znaleźć i aresztować lub zabić”, ale o tym, by zneutralizować ich organizacje. Reakcja Busha na ataki była od samego początku bardzo stanowcza, a z upływem czasu stawała się jeszcze radykalniejsza. Obama natomiast myślał o wojnie z głęboką powściągliwością. Chociaż w końcu doszło do tego, że i

on prowadził działania zbrojne w sposób zdecydowany, powściągliwość pozostała. Bynajmniej nie był pacyfistą. Widział w stosowaniu przemocy konieczność, ale odwoływał się do niej, gdy wyczerpały się wszelkie inne środki. Dopóki jednak nie wziął na swoje barki ciężaru odpowiedzialności za obronę narodu, mógł sobie pozwolić na to, by stopniowo, niespiesznie oswajając się ze wstrząsającymi zamachami z 11 września.

Ameryka nigdy wcześniej nie miała do czynienia z takimi wydarzeniami. Przeżywała rozlew krwi, inwazje i zdradzieckie napaści. Obrazy z Pearl Harbor były wciąż żywe w pamięci milionów obywateli. Telewizja sprawiła jednak, że 11 września wywarł na społeczeństwo taki wpływ, jakiego nie miało żadne inne zdarzenie w historii USA. Pearl Harbor znajdowało się ponad trzy tysiące kilometrów od kontynentu, a Hawaje nie były jeszcze wtedy stanem USA. Gazety i radio przyniosły informacje o japońskim ataku z pewnym opóźnieniem. Wrześniowe zamachy można było natomiast oglądać w telewizji na żywo, obrazy transmitowano na cały świat, a najważniejsze momenty powtarzano w nieskończoność w zwolnionym tempie. Tu nie było żadnej zasłony, żadnej bariery. Tu na naszych oczach odbywała się nieludzka rzeź i ginęli ludzie.

W dyskusjach na temat konfliktów zbrojnych prowadzonych za życia Obamy – w Salwadrze, Panamie, Kuwejcie, Somalii, Rwandzie, Bośni – zawsze pojawiały się abstrakcyjne pytania dotyczące wykorzystania potęgi Stanów Zjednoczonych. Jakie było moralne zobowiązanie państwa? Jak szeroko należy definiować „interes narodowy”? Jakie są koszty interwencji? Czy przyniesie ona poprawę czy pogorszenie sytuacji? Jaka będzie reakcja świata na tę decyzję? W przypadku 11 września nie było już żadnych wątpliwości.

Niektórzy zatwardziali krytycy Stanów Zjednoczonych będą utrzymywać, że to państwo samo prosiło się o ataki. Będą oskarżać egoistyczną politykę USA wobec Bliskiego Wschodu, przekonanie o wyższości kulturowej Stanów oraz ustawiczne zamykanie oczu na rosnącą globalną nierównowagę w dystrybucji dóbr oraz perspektywach rozwoju. Na te czynniki wskazywał zresztą Obama w swoich wystąpieniach. Dla większości było jednak oczywiste, że korzenie zamachów tkwiły gdzieś głębiej, w znacznie mroczniejszych zakamarkach. Globalne strategie Waszyngtonu, polityczne intrygi i sojusze wzbudziły niezadowolenie w wielu częściach świata, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Antyamerykanizm był zjawiskiem realnym i bardzo niebezpiecznym. Jednak wydarzenia z 11 września sięgały najgłębszych pokładów nienawiści. Śmierć niewinnych ludzi zawsze była jedną z tragicznych konsekwencji wojny, ale tym razem ślepe morderstwa okazały się celowo przyjętą strategią. Było to zjawisko stare jak świat, lecz od dawna zapomniane.

11 września Obama do późna siedział przed telewizorem, opiekując się malutką Sashą, przewijając ją i karmiąc z butelki. W tym czasie szeroko informowano już o powiązaniach zamachów z Al-Kaidą. Na ekranie pojawiały się zdjęcia bin Ladena – wysokiego, szczupłego, dostojnego mężczyzny z brodą jak prorok, ubranego w luźne szaty. Te fotografie przywoływały na myśl postać fanatycznego, gniewnego abolicjonisty Johna Browna⁴⁾, a może i samego Jahwe. Wiedza Obamy o tym saudyjskim renegacie i jego ekstremistycznym ruchu była już znacznie bogatsza niż większości Amerykanów. W wybuchach, jakie miały miejsce w ambasadach amerykańskich w Kenii i Tanzanii w 1998 roku, zginęły dwieście dwadzieścia trzy osoby, głównie Afrykańczycy. Tysiące innych zostało rannych. Obama miał rodzinę w Kenii i kiedyś odwiedził

ambasadę w Nairobi. Jego skłonność do poszukiwania odpowiedzi na drodze wzajemnego porozumienia miała zostać poddana trudnej próbie.

-
- 4) John Brown (ur. 9 maja 1800 r., zm. 2 grudnia 1859 r.) – jeden z głównych przedstawicieli abolicjonizmu amerykańskiego. W 1859 roku na czele uzbrojonego oddziału próbował wywołać powstanie niewolników na południu Stanów Zjednoczonych. Został schwytany i skazany na śmierć.

Wypadki rozgrywające się 11 września wywarły ostatecznie ogromny wpływ na Baracka Obamę. Mało który człowiek musi podejmować decyzje dotyczące życia i śmierci. Mało kto otrzymuje rozkaz zabicia człowieka. Trudno przypuszczać, by tamtego wieczora Obama wyobrażał sobie, że stanie kiedykolwiek przed taką koniecznością. Cechy osobowości oraz umysłowość stawiały go w pozycji kogoś, kto buduje mosty między ludźmi, kto rozumie innych i współczuje drugiemu człowiekowi. Do tej pory postrzegał konflikty wyłącznie jako wynik niesprawiedliwości i braku zrozumienia.

Jego ojciec należał do kenijskiego plemienia Luo, a matka była białą dziewczyną z Kansas. Barack odróżniał się od wszystkich w każdym miejscu, w którym się znalazł – jako chłopak zaczynający nowe życie i nową szkołę w Dżakarcie, i jako młody mulat o ciemnej skórze żyjący w świecie zdominowanym przez białych. Przekraczanie różnic, także mentalnych, stało się jego znakiem rozpoznawczym i czynnikiem dominującym w jego postrzeganiu świata. Kilka lat później tak mówił o sobie swojemu biografowi Davidowi Maranissowi:

– Moje życie ma sens wyłącznie wtedy, gdy niezależnie od kultury, rasy, religii i plemienia istnieje jakaś wspólnota, uniwersalne zasady, gdy potrafimy przekraczać dzielące nas różnice. Jeśli nie ma zrozumienia, to trudno mi znaleźć sens. Jest to zatem rdzeń mojego ja – fundament, na którym opiera się moja tożsamość.

Jego naturalnym narzędziem postrzegania świata była empatia. Trzeba przyznać, że to szlachetny punkt widzenia. Na dodatek właśnie taki pogląd często okazuje się właściwy...

Jednak nadszedł 11 września – dzień, w którym Obama stanął oko w oko ze zdarzeniami podającymi w wątpliwość te optymistyczne wizje. Próbował szukać jakiejś logiki, która mogłaby usprawiedliwić czy osłabić wymowę tych ataków, ale tu już nie sięgała ani jego empatia, ani rozum. Niemożliwe było osiągnięcie zgody i porozumienia, gdy miało się do czynienia z pełnymi nienawiści poglądami bin Ladena. Opinie wyrażone na łamach gazety „Hyde Park Herald” były utrzymane w łagodnym tonie, ale Obama mówił też o „fundamentalnym braku empatii po stronie zamachowców: braku umiejętności wyobrażenia sobie czy dzielenia bólu i cierpienia, jakiego doznają inni ludzie”.

Nie wiemy, czy George W. Bush podzielał ten typ refleksji na temat własnej roli oraz odpowiedzialności. W każdym razie nie mówił o tym wprost. Urodził się w rodzinie, która uznawała siłę i możliwość jej użycia za coś, co człowiek otrzymuje, przychodząc na świat. Nic dziwnego, że po zamachach Bush skwapliwie przystąpił do odgrywania przydzielonej mu roli. Obama pochodził z zupełnie innego środowiska, bo jego korzenie były wśród ludzi bezbronnych i pozbawionych wpływów. Trzeba jednak podkreślić, że nawet przy swoim bogatym doświadczeniu

społecznym nie potrafił znaleźć sposobu na zrozumienie Osamy bin Laden.

Wybór do Senatu USA, cztery lata po zamachu, wywołał falę entuzjazmu wśród wyborców i doprowadził w końcu do objęcia przez Obamę najwyższego urzędu w kraju. Wtedy nowy prezydent dopisał wstęp do swoich pamiętników. Odwołał się w nim w kilku słowach do wydarzeń z 11 września.

„Przedstawienie tego dnia i kolejnych, które nadeszły potem, przekracza moje kompetencje literackie. Samoloty ginące jak widma wśród stali i szkła, wieże zapadające się w zwolnionym tempie, pokryci popiołem ludzie błakający się po ulicach... Cierpienie i strach. Nie potrafię też zrozumieć skrajnego nihilizmu, którym tego dnia kierowali się terroryści i którym wciąż kierują się ich bracia. Moja empatia, moja zdolność wczuwania się w serca innych nie wystarczy, żeby zbadać puste oczy tych, którzy potrafią mordować niewinnych ludzi z zimną, nieludzką satysfakcją”.

Zauważył też, że w poprzednim dziesięcioleciu śmiertelny szlak, na którym Al-Kaida zbierała swoje krwawe żniwo, w niewyjaśniony sposób nakładał się na jego drogę życiową, biegnąc przez Nairobi, Bali i Manhattan. O zamachowcach mówił już znacznie ostrzej niż przed kilkoma laty. Potępił każdego, „kto szukałby pod jakąkolwiek flagą, pod jakimkolwiek hasłem, w jakiegokolwiek świętej księdze pewnych i prostych prawd, które usprawiedliwiają przemoc wobec ludzi odmiennych od nas”.

Obama całe swoje życie spędził, jako ktoś odmienny, inny od reszty. Zamachy sprawiły, że niektóre jego poglądy skryształizowały się jeszcze bardziej.

Gdy pamiętnego wieczora w 2001 roku Sasha opróżniła butelkę, podniósł córeczkę, przełożył przez ramię i delikatnie poklepał po plecach. Na ekranie po raz kolejny zobaczył te same straszne sceny. Zastanawiał się, co przyszłość przyniesie Sashy i jej starszej siostrze Malii. Zamachy odczuł osobiście – został zaatakowany jako Amerykanin i jako ojciec. Zaczął się zastanawiać, jak powinien sformułować swoją własną definicję zła...

DROGA DŹIHADU

Lato 2010 roku

Przez ten cały czas, kiedy przebywał w ukryciu, jego włosy i broda posiwiały. Szejk (podobalo mu się, gdy go tak nazywano) miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata, ale długie siwe pasma sprawiały, że wyglądał jak starzec. Można powiedzieć, że przez całe dorosłe życie odgrywał rolę człowieka starszego – odkąd wyrosła mu broda, starał się być surowy, skupiony i dostoyny. Wyróżniał się bogactwem, no i był mężczyzną, a to jest wysoko cenione w kulturze, w której dorastał. Przez całe życie najbliżsi mu ludzie darzyli go szacunkiem i poważaniem.

Ruch, na którego czele stał, poniósł w ostatnich latach ciężkie straty, ale listy, które pisał, wciąż były utrzymane w optymistycznym tonie. Jego wiara nie dopuszczała żadnych wątpliwości, a tym bardziej pytań. Nie licząc podróży po Bliskim Wschodzie, świat bin Ladena zawężał się coraz bardziej.

Jego największy wróg, Barack Obama – człowiek mieszkający w Białym Domu, odpowiedzialny za obronę Stanów Zjednoczonych jest zaskakującą mieszanką. Wpływ na jego wychowanie miały doświadczenia z różnych krajów i kultur, a gruntowne wykształcenie utrzymane było w duchu liberalnym. Bin Laden stanowił całkowite przeciwieństwo prezydenta USA. Ścieżka życiowa Szejka była dość wąska. W młodym wieku poznał prawdę objawioną i od tego czasu opierał się wszystkiemu, co mogłoby podać w wątpliwość jego przekonania lub stać z nimi w

sprzeczności. Jeszcze zanim został najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie, dbał o to, by harmonogram codziennych zajęć jego oraz rodziny ograniczał do minimum kontakty z osobami spoza wąskiego kręgu zaufanych. Wszystkie zwyczaje – od postu poprzez unikanie kobiet (poza własnymi żonami), aż po codzienne modlitwy – sprowadzały się do tego, by zredukować zewnętrzne wpływy. Miało to umocnić oddanie sprawie oraz wiarę bin Laden w ostateczne zwycięstwo.

Wszędzie wokół siebie widział pomyślnie znaki.

„Každy, kto spojrzy na naszych wrogów w NATO, zwłaszcza na Amerykanów, zobaczy, że mają poważne problemy – pisał. – W kwestii Afganistanu bieżący rok jest dla nich najgorszy od czasu napaści. Liczba zabitych nigdy nie była tak wysoka, co poświadczają ich własne sprawozdania. Nadal są pogrążeni w kryzysie finansowym. Wielka Brytania obciąła wydatki na obronność, a Ameryka zmniejszyła budżet Pentagonu. Každy, kto ma wiedzę o świecie i rozumie politykę, zdaje sobie sprawę z tego, że nasi wrogowie nie są już w stanie kontynuować wojny. Obecnie nie ma żadnej różnicy między nimi a Związkiem Radzieckim tuż przed wycofaniem się z Afganistanu”.

W głębi serca Szejk był marzycielem, a powyższe słowa ujmują w sedno jego fantazje. Opuścił dom w wieku dwudziestu dwóch lat i przyłączył się do sprawy, która wyglądała na z góry przegraną – panislamskiego dżihadu, którego celem było wyparcie wojsk radzieckich z Afganistanu. Mudżahedini⁵⁾, którzy podjęli się walki, byli bardzo słabo wyszkolonym i kiepsko uzbrojonym pospolitym ruszeniem, które stało się przeciwko jednej z najbogatszych, najlepiej wyszkolonych i najlepiej uzbrojonych potęg militarnych świata. W późniejszych latach bin Laden będzie przedstawiany jako morderca-nihilista, który w nic nie wierzył. Owszem, był mordercą, ale z pewnością nie nihilistą – wręcz całkowitym jego zaprzeczeniem. Żył silną, głęboką wiarą i miał spójną wizję wymarzonego świata. Świata, jakiego pragnął, który na pewno nadejdzie, gdyż Bóg Wszchemogący tego chce. Bin Laden wierzył w cuda i znaki. Widział je przez całe życie i był pewien, że są to dowody łaski Boga. Jego niezłomna decyzja o przystąpieniu do dżihadu w Afganistanie stanowiła akt wiary, a pokonanie Sowietów umocniło jego religijność. Ten pierwszy wielki cud na jego drodze był najmocniejszym dowodem na słuszność tego wyboru.

5) Mudżahedin (dosł. święty wojownik) – mężczyźni uczestniczący w ruchu religijnym, społecznym lub wyzwoleniczym w krajach muzułmańskich lub zamieszkałych przez muzułmanów. Prowadzą walkę partyzancką przeciwko okupantom lub przeciwnie-akceptowanej przez nich władzy (przyp. red.).

Bin Laden był jednym z pięćdziesięciorga czworga dzieci saudyjskiego miliardera zajmującego się budownictwem. Nauki pobierał głównie w islamskich szkołach religijnych. Religia stanowiła swoiste antidotum na świeckość jego rodziny. Osama był jednym z niewielu dzieci swojego ojca, które kształciły się wyłącznie w Arabii Saudyjskiej. W szkołach, do których uczęszczał jako chłopiec, uczono religii, ale także matematyki, przyrody, historii, geografii i angielskiego, więc już w młodym wieku opanował ten język w zadowalającym stopniu. Bin Laden dorastał w la-

tach sześćdziesiątych, należąc do najlepiej wykształconych Saudyjczyków w swoim pokoleniu. Pracował też u swojego ojca, zaczynając od stanowiska prostego robotnika. Firma bin Laden'a zyskała renomę, budując drogi, a także część meczetów w Mekce i Medynie. Młody Osama awansował najpierw na brygadzystę, a w końcu na kierownika budowy. Jedną z jego specjalizacji było budowanie tuneli. Dzięki pracy w przedsiębiorstwie ojca poznał z bliska muzułmańskich robotników z całego Bliskiego Wschodu i innych zakątków świata – Egipcjan, Jemeńczyków, Marokańczyków, a nawet Malezyjczyków. Jego wizja muzułmańskiego świata była dzięki temu znacznie szersza od tej pielęgnowanej przez najbardziej ortodoksyjnych młodych Saudyjczyków, którzy należeli do odłamu wahabitów i traktowali inne nurty islamu z wyższością. W tym okresie bin Laden wiódł coraz bardziej religijne życie, unikając wszelkich kontaktów z kobietami poza własnymi żonami (pierwszą z nich, Najwę, poślubił w wieku siedemnastu lat). Wyrzekł się wystawnego życia, jakie wiodli przedstawiciele jego liczego rodu, i odkrył prace egipskiego uczonego Sayyida Qutba⁶⁾ – skromnego chorowitego człowieka z wąsikami à la Hitler, który został powieszony przez władze Egiptu w 1966 roku. Śmierć Qutba była przejmująca i wymowna dla ludzi, do których trafiały jego przepełnione gniewem słowa.

6) Sayyid Qutb (ur. 9 października 1906 r., zm. 29 kwietnia 1966 r.), autor dwudziestu czterech książek, w których przede wszystkim pisał o społecznej i politycznej roli islamu. Był także zagorzałym krytykiem społeczeństwa USA, które według niego przepełnione było materializmem, przemocą i seksem. Skazany na śmierć przez powieszenie za udział w spisku wymierzonym w prezydenta Egiptu Gamala Abdela Nasera.

Qutb bolewał nad tym, że tradycyjne arabskie społeczeństwa szybko przejmują wzorce zachodnie. W upadłym współczesnym świecie stawał po stronie boskiego objawienia, zjadł krytykując w swoich pismach zarówno kapitalistyczną demokrację, jak i komunizm. Zaciekle nienawidził Żydów i uważał, że za wszystkim, co mu się nie podobało, stoi syjonistyczny spisek. Bezskrytycznie przyjmował najbardziej niedorzeczne wymysły i mity wyrosłe na gruncie antysemityzmu. Według niego Koran był jedyną prawdziwą drogą. W tej księdze zawarta była wszelka mądrość potrzebna ludzkości, więc całe swoje życie poświęcił na jej studiowanie, interpretację i objaśnianie. Dbał przy tym, żeby odczytanie świętej księgi pasowało do jego własnej wizji. Qutb twierdził, że muzułmanie posiadli jedyną prawdę i mają obowiązek przeciwstawiać się niewiernym, nawet przemocą – jeśli zajdzie taka potrzeba. Rządy i państwa zagradzające drogę władzy religijnej uznawał za *dżahiliję* – pogrążone w niewiedzy społeczeństwa przedislamskie – które w ten sposób stawały się celem uzasadnionych ataków. Siły Boga muszą się zmagać z siłami Szatana, poczynając od świeckich reżimów we współczesnych państwach arabskich. Qutb domagał się od wiernych, by utworzyli jedno państwo, w którym zamieszka społeczeństwo żyjące według islamskiego szariat. W upadłym świecie ma to być dla wiernych przyrzeczeniem, z którego prawo będzie promieniowało na zewnątrz, w razie potrzeby posługując się mieczem. Zorganizowany w ten sposób nowy kalifat miał nakłonić całą cywilizację do posłuszeństwa wobec woli Boga. W czasach, gdy zamożni Arabowie przejmowali zachodnie świeckie wzorce, wysyłając dzieci na studia do Europy i USA oraz przejmując styl życia całkowicie

sprzeczny z arabską tradycją, Qutb wzywał ich do podążania w przeciwnym kierunku.

Spędził pewien czas w Stanach Zjednoczonych, mieszkając krótko w Kolorado i w Kalifornii. Wydaje się, że wszystko, co tam zobaczył, ugruntowało jego nienawiść nie tylko do Ameryki, ale także do humanizmu, który ukształtował intelektualne podwaliny zachodniego świata. Ten ascetyczny mężczyzna, który nigdy się nie ożenił i najprawdopodobniej żywił niechęć do seksu, potępił rozpustę, materializm i wolność osobistą, gdyż kojarzyły mu się one z kapitalistyczną demokracją. Widział wyraźnie, że mimo wyrażanego głośno szacunku dla religii, społeczeństwo Zachodu doświadczyło głębokiej sekularyzacji, a wiara, będąca dla Qutba główną wartością w życiu, w świecie kapitalizmu została zredukowana do czegoś na kształt towaru. Wyglądało to tak, jakby na rynku dostępne były różne smaki objawionej prawdy, poustawiane jak artykuły na półkach w supermarkecie, aby klienci mogli w nich wybierać do woli. Jakie znaczenie mogło mieć dla Boga, którą prawdę wybierze człowiek? Przecież istnieje tylko jedna właściwa, a zadaniem człowieka jest przyjąć ją z szacunkiem i starać się żyć zgodnie z nią. Sama idea tolerancji, szacunku dla różnorodnych wierzeń, była bluźnierstwem. Albo przyjmujesz prawdę, albo jesteś zgubiony. W marksizmie, który rywalizował z wartościami Zachodu, Qutb widział najwzyczajniejsze bałwochwalstwo, wyniesienie ludzkiego rozumu – „racjonalnego idealizmu” – ponad objawienie. Utrzymywał też, że zarówno za marksizmem, jak i kapitalizmem, kryją się Żydzi.

„Islam to system nadany przez Boga, a jego celem jest ustanowienie fundamentalnej zasady boskiej suwerenności i posłuszeństwa ludzi wyłącznie wobec Niego – pisał. – W tej sytuacji islam ma prawo do usuwania wszelkich przeszkód pojawiających się na jego drodze oraz do swobodnego zwracania się do człowieka bez oglądania się na takie przeszkody, jak system polityczny, obyczaje społeczne czy tradycja... Prawem islamu jest przejście inicjatywy. To nie jest wyznaczenie ograniczone do narodu czy struktury obowiązującej w konkretnym kraju, ale system nadany przez Boga całemu światu, a jako taki ma prawo do podejmowania działań i usuwania wszelkich przeszkód, które krępują człowieka, ograniczając jego wolność wyboru. To wiara, która nie stosuje przemocy wobec żadnej jednostki, ona atakuje wyłącznie sytuacje i reżimy w celu wyzwolenia spod zgubnych wpływów psujących naturę człowieka i ograniczających jego wolność”.

Młody Osama bin Laden nie był pierwszym młodzieńcem, którego porwała czysta, prosta ideologia obiecująca człowiekowi postawienie go przed wolnym wyborem poprzez zakazywanie wszystkiego, co było niezgodne z głoszonymi przez nią prawdami. Koran był ostoją – skałą, która trwała, gdy wokół przelewały się zmienne fale historii ludzkości. Postęp oznaczał dla ludzi jedno: życie prowadzone jak najściślej wedle nauk zawartych w świętej księdze.

„Islamskie pojęcie Bóstwa jest zupełnie odmienne od ludzkiego... i dlatego nie musi się ani rozwijać, ani zmieniać – pisał Qutb. – Ten, który ustanowił to pojęcie, potrafi przewidzieć wszystko, nie znając ograniczeń ani w czasie, ani w przestrzeni. Jego wiedzy nie imają się przeszkody w postaci ignorancji czy niedostatków, a na Jego wybory nie wpływają żadne namiętności czy emocje. Dlatego więc to On ustanowił dla całej ludzkości, dla ludzi wszystkich czasów i z wszystkich miejsc, trwałą zasadę, która tworzy ramę umożliwiającą swobodny postęp i rozwój ludzkiego życia”.

Qutb został w końcu oskarżony o udział w spisku Bractwa Muzułmańskiego, którego celem miał być zamach na wielkiego egipskiego męża stanu Gamala Abdela Nasera. Stanął na szubie-

nicy, nie wyrzekając się swoich niewzruszonych przekonań. „Bractwo Muzułmańskie to nie ugrupowanie kaznodziejów czy misjonarzy, ale raczej boskich wojowników – pisał. – Jego misją jest likwidacja, w razie potrzeby siłą, moralnej anarchii, ucisku, nieładu społecznego oraz wyzysku, kładąca kres tzw. boskiej roli samozwańczych proroków i zastępująca dobrem dotychczasowe zło. Koran wszak mówi: »Walczyć z nimi, aż zniknie ucisk, a jedyną władzą, przed którą człowiek się ukloni, będzie Bóg«”.

Bin Laden został zatem „boskim wojownikiem”. W młodości nie był ani uczonym, ani myślicielem. Brakowało mu elokwencji Qutba – ludzie, którzy go znali, widzieli w nim człowieka małowómnego i dość przeciętnego. Nie brakowało mu jednak ambicji i pieniędzy. W 1967 roku jego ojciec miliarder zginął w katastrofie lotniczej, pozostawiając wielką fortunę, dzięki której każde z jego dzieci stało się co najmniej multimilionerem. Spadek dziesięcioletniego Osamy szacowano na dziesiątki milionów dolarów. On sam nie zamierzał wykorzystywać swego bogactwa na budowę wspaniałej rezydencji czy prowadzenie wystawnego życia, jak większość jego rodzeństwa. Osama poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Uczył się wprawdzie w prywatnej szkole świeckiej, ale gdy uczęszczał na Uniwersytet im. Króla Abdulaziza, na którym studiował ekonomię i zarządzanie, nauczał już życia w prostocie i interesował się głównie religią oraz działalnością charytatywną. Pozostał wierny tym zainteresowaniom aż do inwazji Związku Radzieckiego na Afganistan, kiedy to wszedł na ścieżkę, która doprowadziła go do największego dzieła życia.

Zaledwie czternastoletni Huthaifa Azzam usłyszał dzwonek i otworzył bramę w domu swojego ojca w Jordanii. Zobaczył przed sobą bardzo wysokiego, bardzo chudego, śniadego i brodatego młodzieńca w arabskich szatach. Na głowie miał prosty biały turban, a nie *shemagh*, czerwono-białą kraciastą chustę motaną na głowie przez większość Saudyjczyków.

Gość nieśmiało zapytał:

– Czy to dom doktora Abdullaha Azzama?

Azzam był znanym palestyńskim islamistą i uczonym, którego *fatwa*⁷⁾ „Obrona Ziemi Muzułmańskich: Pierwszy Obowiązek po Wierze” wywołała burzę w arabskim świecie, wzywając wyznawców islamu do Afganistanu, by stawili opór niewiernym Sowieciom. Azzam nie ograniczył się do nauczania – przeniósł się do Pakistanu, by osobiście wziąć udział w świętej wojnie. Osiadł w Peszawarze, w pobliżu afgańskiej granicy, i założył tam tzw. biuro usług, w którym rekrutowano i szkolono młodych arabskich ochotników zgłaszających się do walki. Biuro przygotowywało czasopisma, fotografie i filmy, dzięki którym informowano o bohaterskim religijnym oporze w całym arabskim świecie. Wydawnictwa te trafiły też w ręce młodego bin Ladena. Azzam akurat przebywał z rodziną na krótkim urlopie w Jordanii, więc młodemu Saudyjczykowi wystarczyły cztery godziny podróży, by znaleźć się u drzwi jego domu. Ten ochotnik różnił się od innych – przede wszystkim z uwagi na fortunę, jaką posiadał. Azzam z pewnością był zachwycony. Obaj mężczyźni spędzili resztę dnia na rozmowach, a wieczorem – po złożeniu przysięgi – bin Laden należał już do bojowników sprawy. Był jednak wciąż na tyle lojalnym obywatelem Arabii Saudyjskiej, że zamiast od razu pojechać z Azzamem do Pakistanu, wrócił do kraju, by uzyskać zgodę króla Fahda. W Peszawarze pojawił się kilka tygodni później.

7) *Fatwa*, oficjalne pouczenie dotyczące stosowania prawa islamu, udzielane przez muftiego, czyli mużulmańskiego prawnika i teologa, w sprawach religijnych i prawnych (przyj. red.).

W tamtych czasach pieniądze bin Ladena miały większą wartość dla sprawy niż jego przywództwo czy nawet życie, więc pierwsze lata u boku Azzama młody człowiek spędził w bezpiecznym miejscu, z dala od frontu. Pracował w biurze usług i pomagał w werbowaniu kolejnych bojowników. To jednak nie mogło trwać wiecznie. Bin Laden był romantykiem i fanatykiem, a jego dżihad nie miał polegać na bezpiecznym życiu daleko od frontu. Stopniowo oddalał się od Azzama, zbliżając się jednocześnie do Aymana al-Zawahiri, radykalnego egipskiego lekarza, który opuścił ojczyznę po trzyletnim pobycie w więzieniu. Zawahiri pracował w szpitalu Czernowego Półksiężycza w Peszawarze. Był zaledwie o sześć lat starszy od bin Ladena, ale miał znacznie większe doświadczenie życiowe i gruntowniejsze wykształcenie. Wpływ na jego poglądy i głębokie zgorzknienie miały tortury, jakich doświadczył z rąk egipskiej policji. Skrajny radykalizm, jaki wyznawał, skłonił bin Ladena, by aktywniej zaangażować się w świętą wojnę i zostać prawdziwym mużahedinem.

Rosnący ekstremizm bin Ladena zaczął niepokoić jego palestyńskiego mentora. Azzam, profesor wyższej uczelni zrywał się na wieść o tym, że bin Laden odmówił wysłania swoich dzieci do szkoły. Niedawny uczeń chciał, żeby zwerbowani Arabowie stworzyli oddzielne, czyste pod względem religijnym oddziały bojowe, podczas gdy Azzam uważał, że Arabowie przyniosą więcej pożytku, jeśli wejdą w skład lepiej wyszkolonej i bardziej doświadczonej afgańskiej milicji. Nie podobało mu się też, że jego protegowany coraz mniej ceni ludzkie życie. Definicja „niewiernego” miała w ustach bin Ladena bardzo szeroki zakres. Wcześniej za wrogów uznawano sowieckich żołnierzy oraz Afgańczyków walczących u ich boku. Nic dziwnego – przecież to z nimi toczono wojnę. Bin Laden rozszerzył tę definicję, obejmując nią wszystkich Sowieców, a nawet szerzej – wszystkich ludzi, którzy nie byli mużulmanami. Toczył większą wojnę niż ta, którą popierał Azzam. Żona Azzama Samira pamięta, jak mąż spierał się z bin Ladenem o jego plan podłożenia bomby w autobusie wypełnionym Sowiecami, którzy zwiedzali Pakistan.

– Wjechałeś do Pakistanu na podstawie wizy – przypomniał mu Azzam – a wiza to jest kontrakt. Gdy ją otrzymywałeś, podpisałeś oświadczenie, w którym obiecałeś, że nie będziesz zakłócał porządku ani łamał prawa. Mużulmanin nie powinien łamać postanowień umowy.

– Pakistan jest państwem mużulmańskim – odparł bin Laden. W ten sposób chciał podkreślić, że ludzie innego wyznania nie mają po co przyjeżdżać do tego kraju.

Azzam przekonywał go, że czym innym jest zabijanie Sowieców, którzy zaatakowali Afganistan i zajmowali go przemocą, a czym innym mordowanie niewinnych cywilów przebywających na wakacjach w kraju, który okazywał im gościnność.

– Więc co się stanie, jeśli Związek Radziecki straci autobus wypełniony ludźmi? – zapytał lekceważąco bin Laden. – To nie będzie miało żadnego znaczenia.

Widać było, że wyszedł daleko poza konflikt w Afganistanie, a dzięki wierze zyskał poczucie mocy. Poczul palec Boga i sądził, że to dało mu prawo do podejmowania decyzji o życiu i śmierci

innych, że zyskał prawo do zabijania.

Bin Laden wiedział, że dżihad wymaga od niego bezpośredniego zaangażowania w walkę. Nie mógł ograniczać swojej działalności wyłącznie do rekrutowania, szkolenia i opłacania tych, którzy szli do boju. Jego mentor spierał się z nim na ten temat całymi miesiącami, doskonale wiedząc, że żywy saudyjski multimilioner jest o wiele więcej wart dla sprawy niż martwy. Jednak bin Laden podjął już decyzję o przekroczeniu granicy i przystąpieniu do walki. W 1987 roku odłączył się od Azzama i stworzył własną grupę złożoną z ponad dwudziestu arabskich wojowników. Stanowili oni oddział, o jakim marzył – czystą arabską jednostką bojową, która walczyła wyłącznie w imię wartości religijnych, a nie w obronie zasad wypływających z afgańskiego nacjonalizmu. Bojownicy, wyposażeni w broń i spychacze, wjechali kilkanaście kilometrów w głąb Afganistanu, dołączyli do powstańców wyznających podobne wartości i przystąpili do budowy górskiej placówki w pobliżu wioski Jaji. Bin Laden ufortyfikował kilka grzbietów górskich i zabrał się do wznoszenia kolejnych budowli (twierdził, że zaczyna od szkoły i szpitala), które sygnalizowały pojawienie się nowej siły. Działal w najbardziej na wschód wysuniętym zakątku Afganistanu, na skalistym terenie, który nie miał żadnego znaczenia strategicznego, przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu. Nazwał je al-Masada, czyli Jaskinią Lwa. Niedaleko znajdował się o wiele większy garnizon radziecki, więc podstawowym celem bin Ladena było sprowokowanie ataku. Dla rozsądnego człowieka, jakim był Azzam (zamordowany zresztą dwa lata później), to wszystko wyglądałoby zapewne na szaleństwo, ale bin Laden żył w świecie romantycznej fantazji, a w tym królestwie al-Masada była jak najbardziej na miejscu. Stawką w walce był nie tylko Afganistan, ale cały świat. Oto zaczynał się nowy kalifat, oto świtała nowa muzułmańska era. Bin Laden był świętym wojownikiem, a wojownicy nie wygrywają bitew, wypisując czeki, kręcąc filmy czy kierując walką z drugiego szeregu. Według bin Ladena nie chodziło wcale o przetrwanie ani o pokonanie Sowieców w walce, lecz o pokazanie takiego heroizmu i poświęcenia, które rozpaliby ducha walki w całym narodzie muzułmańskim.

– Jeśli Bóg pozwoli, to chcemy, aby Jaskinia Lwa była pierwszym miejscem, na które natknie się wróg – powiedział bin Laden jednemu z syryjskich dziennikarzy. – Jest pierwszym obozem widocznym dla wrogów, a to oznacza, że będą nas atakować z wyjątkową zaciekłością.

Rosjanom nie trzeba było dwa razy powtarzać – natychmiast potraktowali obóz napalmem i taką ilością konwencjonalnych materiałów wybuchowych, że placówka i jej okolice zostały zupełnie ogołocone z drzew i jakiegokolwiek roślinności. Następnie przystąpili do bezpośredniego ataku, otaczając obóz i oblegając go przez dwadzieścia jeden dni. Obie strony poniosły ciężkie straty. Niektórzy bojownicy bin Ladena byli lepiej wyszkoleni i bardziej doświadczeni od swojego dowódcy. Abu Hafs (Mohammed Atef, egipski policjant, który zginie w 2001 roku) oraz Abu Ubaidah (Ali Amin al-Rashidi, także były egipski policjant, zabity w 1996 roku) przeprowadzili groźne kontrnatarcia. Wojska radzieckie dały w końcu za wygraną i wycofały się, więc arabscy partyzanci mogli świętować zwycięstwo, które miało stać się natchnieniem dla ich towarzyszy. Bin Laden otrzymał w ten sposób cudowny prezent, będący jasnym znakiem z niebios.

Później tak opowiadał o tym wydarzeniu wspomnianemu syryjskiemu dziennikarzowi:

– O siódmej dwudziestego siódmego poranka ramadanu 1407 roku (czyli w kwietniu 1987 roku) większość moich ludzi spała w obozie, ponieważ trwał ramadan. Potem zobaczyłem coś, czego – Bóg mi świadkiem – nigdy wcześniej nie widziałem. Radziecki samolot, najprawdopo-

dobniej MiG, przeleciał nad nami w chwili, gdy grupa naszych afgańskich braci mudżahedinów zebrała się (i zaatakowała). Samolot od razu rozpadł się na kawałki i na naszych oczach runął na ziemię. To właśnie ta bitwa umocniła we mnie wolę dalszej walki.

Wszyscy świadkowie twierdzą, że bin Laden walczył dzielnie i narażał się na niebezpieczeństwo, dzieląc z innymi niewygody, biedę i chłód. W jednym ze starć został ranny, opowiadał potem dziennikarzowi o tym, jak leżał nieprzytomny i zakrawiony w okopie obok ciał zabitych towarzyszy. W końcu go uratowano, ale stracił wiele krwi, ale według niego stało się przyczyną późniejszych chronicznych dolegliwości związanych z niskim ciśnieniem tętniczym. Gotowość do narażania się na niebezpieczeństwo i podejmowania ryzyka sprawiła, że szybko zyskał ogromny szacunek. W ostatecznym rozrachunku nieistotne było, że bitwa pod Jaji nie miała większego znaczenia strategicznego. Ogłoszono ją wielkim zwycięstwem, a bin Ladena, który był mózgiem całej operacji, uznano za bohatera. Reporterzy wędrowali przez góry do al-Masady, by poznać saudyjskiego multimilionera, który walczył z Sowietami, wykazując stracącą determinację. Jeden z dziennikarzy, Ahmad Zaidan, pakistański reporter pracujący dla kilku arabskich gazet, zobaczył przed sobą wyjątkowo pobożnego młodzieńca, który miał bezgraniczny posłuch wśród bojowników i, otoczony przez wiernych zwolenników, zajął miejsce należące niegdyś do znacznie sławniejszego Azzama. Bin Laden przeobraził się z bogatego dziecka-sponsora, zajmującego bezpieczne miejsce na tyłach, w prawdziwego przywódcę mudżahedinów, który walczył z wrogiem w pierwszym szeregu.

Ta zmiana przyniosła mu coś więcej niż nowych rekrutów – umocniła jego przekonanie o przeznaczeniu. Wyniosła go w górę, czyniąc Szejkim. Miał wtedy trzydzieści lat, był wysoki i chudy, a długa czarna broda jeszcze bardziej wydłużała jego pociągłą twarz o wyrazistych rysach. Najchętniej nosił tradycyjne arabskie szaty, w których wyglądał jak święty mąż, emanujący skromnością i pokorą. Jego świątobliwy wizerunek miał w sobie rys teatralności. Od czasu do czasu bin Laden urządzał audycje dla reporterów, podczas których po każdym pytaniu siedział w milczeniu przez kilka chwil, modląc się po cichu, jakby prosił Wszechmogącego o sformułowanie odpowiedzi. Dopiero potem przemawiał tak cichym głosem, że wszyscy pochylali się nad nim, żeby cokolwiek usłyszeć. Przez jeden lub dwa dni w tygodniu zachowywał post, odrzucał też wszelkie luksusy, udogodnienia i nowoczesne wynalazki, na które mógł sobie bez problemu pozwolić. Zrezygnował z elektryczności, obywając się bez klimatyzacji i lodówki w najgorętszych miejscach, na przykład w Sudanie, gdzie mieszkał przez pewien czas z całą rodziną. Dzięki temu i on sam, i jego bliscy byli przygotowani do wojennych niedostatków, niewygód oraz do życia w ukryciu. Zwolenników bin Ladena nie przyciągała wyłącznie jego sława, szczerość, odwaga i oddanie sprawie, ale także jego pieniądze. Wielka fortuna wciąż odgrywała główną rolę. Dla ludzi, którzy przeżyli niezapomniane dni dżihadu w Afganistanie i chcieli iść tą drogą przez całe życie, bin Laden był gwarancją utrzymania, a na dodatek kusił odważną wizją przyszłości. Dla większości Arabów kalifat kojarzył się ze starożytnością, ale dla Szejka oznaczał on przeznaczenie, przyszłość. Bin Laden został wybrany przez Boga. Jego wiara w przydzieloną mu szczególną rolę umocniła się podczas ciężkiego radzieckiego oblężenia w Jaji.

Jego mentor Qutb nawoływał do utworzenia czystego państwa muzułmańskiego, z którego mieli wychodzić na cały świat głosiciele prawdy i orędownicy jedynej słusznej sprawy. Wszystko wskazywało na to, że takim wybranym państwem stał się Afganistan. Gdy w VII wieku kraj

ten przyjął islam, został nazwany Chorasaniem i przez kilka stuleci stanowił jeden z wielkich filarów kalifatu. Pokonanie Sowieców na tej ziemi odbiłyby się wielkim echem wśród wyznawców islamu. Najprawdopodobniej to właśnie Afganistan był najodpowiedniejszym miejscem na rozpoczęcie zwycięskiego marszu. Według bin Ladena wszystko zaczęło się w al-Masadzie, gdzie nieliczni i słabo uzbrojeni, ale czysti sercem ludzie, zgodnie z wolą Boga oparli się radzieckim MiG-om i bombom, dzięki czemu przetrwali kilka tygodni zacieklej ataków.

A potem zdarzyło się coś, co było po prostu niemożliwe. W 1989 roku, tuż po wycofaniu się z al-Masady, wrogie wojsko opuściło Afganistan, nie odniósłszy większych sukcesów. W ciągu trzech lat upadło też radzieckie imperium, pociągając za sobą przychylny sobie reżim zainstalowany w Kabulu. Bin Laden wrócił do Arabii Saudyjskiej otoczony niezwykłą sławą i nimbem kogoś, kto dokonał rzeczy wyjątkowej – łatwo więc zdobywał kolejnych uczniów. On oraz jego współtowarzysze walk z Jaji uważali się za fundament triumfu, nazwali się więc „Bazą”, czyli Al-Kaidą. To oni ucieleśniali ducha rodzącego się według bin Ladena kalifatu, prawdziwego Narodu Muzułmańskiego.

Był to oczywiście jeden wielki absurd, bo w rzeczywistości źródło triumfu mudżahedinów stanowiły miliardy dolarów przekazane w ramach amerykańskiego wsparcia oraz broń, którą dzięki pomocy Michaela Vickersa dostarczano do Afganistanu po radzieckiej napaści. Bin Ladena nie obchodziła jednak prawda – dla niego ważne były pozory i propaganda, a w tej dziedzinie szło mu znakomicie, podobnie jak jego zwolennikom. Ich wygląd i styl mówił sam za siebie. Długie brody i włosy, a także modlitewne nakrycia głowy i szaty sprawiały, że wyglądali jak ludzie z dawnych świętych czasów. Wszyscy przyjęli ascetyczne zasady bin Ladena. Stanęli po stronie walki i śmierci, jawnie pokazując, że pragnienie męczeństwa jest dla nich ważniejsze niż przywiązanie do życia. Stanęli do walki z potęgą. Byli prawdziwymi, żywymi ludźmi, a brak dbałości o wygląd zewnętrzny dodawał im autentyczności. Byli też pobożni i wierzyli, że cywilizacja nie zmierza w stronę szczęścia i sprawiedliwości, bo uważali te wartości za zaginione we współczesnym świecie.

U źródła upadku Związku Radzieckiego legło wiele przyczyn, do których należało oczywiście upokorzenie związane z wycofaniem z Afganistanu, ale dla wyznawców islamu istniał tylko jeden powód – ręka Boga jeszcze raz wyraźnie interweniowała w dzieje ludzkości, podobnie jak czyniła to w dawnych legendach. Żaden poważny naukowiec nie przypisałby bin Ladenowi zasadniczej roli w walce w Afganistanie, nie mówiąc już o wpływie na upadek ZSRR, ale w głowie Szejka sprawy wyglądały właśnie tak. To był materiał na wspaniałą opowieść, w której słabi, lecz czysti sercem pokonują przeszkody nie do pokonania. Bin Laden uwielbiał takie historie, bo sam był poetą specjalizującym się w fantastycznych, pełnych rozmachu tekstach, opartych na kosmicznych skojarzeniach i romantycznych kliszach. Składał w nich hołd przemocy i śmierci nierozzerwalnie związanej z walką w obronie wiary, a sposobem obrazowania nawiązywał do starodawnego sztafażu zdominowanego przez miecze, wierzchowce, niebotyczne góry i nieustraszonych wojowników.

*Rusza naprzód,
A ostrza pik rozkwitają czerwienią.
Nie pozwól, Boże, hym stracił z oczu
Największych ludzi,*

*Jeśli padną w boju,
Gdy mój rumak świadkiem,
Że ich odpieram,
Ciosy mojego noża są jak popioły
Wybuchające płomieniem⁸⁾.*

8) Tłumaczenie Krzysztof Cierniak.

Bin Laden używał swoich wierszy, by objaśniać różne zagadnienia, budzić ducha i werbować zwolenników tam, gdzie żywe jeszcze były tradycje plemienne i gdzie przekazywano opowieści ustnie z pokolenia na pokolenie. W poezji zawarł też wizję samego siebie oraz takiego świata, jaki chciał widzieć dokoła. Jako młody człowiek tworzył i recytował swoje wiersze na weselach i innych uroczystościach. Starał się wpasować swoje życie i współczesną walkę w obrazy z chwalebnej przeszłości. Często dołączał wiersze do swoich listów z poleceniem, by odczytywać je przy ważnych okazjach i rozpowszechniać w formie pisemnej lub przez radio. Zwycięstwo w Afganistanie sprawiło, że epoka wielkich bohaterów i wielkich czynów ożyła we współczesności. Bin Laden przekonywał swoich czytelników, że my także żyjemy w epoce cudów.

Po upadku ZSRR bin Ladenowi wydawało się, że może zrealizować każdy, najbardziej fantastyczny scenariusz wypływający z jego niepomamowanej ambicji. Gdy Saddam Husajn zaatakował Kuwejt, Szejik, mieszkający wówczas w swoim ojczystym kraju, napisał kilka listów do króla Fahda. Domagał się w nich, by ten nie wpuszczał do Arabii Saudyjskiej wojsk amerykańskich i w zamian zaproponował wystawienie armii mudżahedinów, która miała wyprzeć Irakijczyków. Jego żądania zostały zignorowane. Huthaifa Azzam, który przyjaźnił się z bin Ladenem przez wiele lat po konflikcie afgańskim, wspomina, że była to jedyna sytuacja, w której Szejik – zawsze zachowujący wystudiowany spokój i łagodność – stracił panowanie nad sobą. Poczuli się wtedy zdradzeni i znieważony. Na dodatek w jego własnej ojczyźnie uznano go za człowieka na tyle niebezpiecznego, że umieszczony został w areszcie domowym.

Gdy król odmówił przyjęcia jego planu prowadzenia nowej świętej wojny, a zamiast tego wybrał bardziej praktyczne rozwiązanie, zapraszając USA i inne pogańskie państwa do interwencji militarnej przeciwko Saddamowi, bracia bin Ladena użyli swoich wpływów, by odzyskać jego paszport. Osama na zawsze opuścił Arabię Saudyjską, wyjeżdżając najpierw do Pakistanu, potem do Afganistanu, następnie do Sudanu, by na koniec znowu powrócić do Afganistanu.

Gdy w 1995 roku młodszy Azzam wyjechał na konferencję do Sudanu, wykorzystał pobyt w tym kraju i odwiedził bin Ladena. Wspomina, że podczas tej wizyty poznał Chalida Szejkę Mohammeda, który przyprowadził swojego osławionego siostrzeńca Ramzi Yousefa, sunnickiego ekstremistę, poszukiwanego wówczas przez Stany Zjednoczone za pierwszy atak na World Trade Center, przeprowadzony dwa lata wcześniej. Azzam opisał mężczyznę jako kościstego człowieka, którego twarz szpecila blizna – pamiątka po wybuchu sporządzonej własnoręcznie bomby. Ramzi razem ze swoim wujkiem znalazł się później na kartach Raportu komisji w sprawie 11 września, w którym przedstawiono ich jako „niezwiązanych bliżej z żadną grupą, ale

bardzo doświadczonych bojowników”. Tego samego roku Yusef został schwytany w Pakistanie. Według relacji Azzama bin Laden słuchał Yusefa, który przedstawił plan kolejnego ataku na cele w USA, w tym na wieże World Trade Center, tym razem przy użyciu pasażerskich samolotów. Zamachowcy mieli je najpierw porwać, a potem skierować na budynki. Ramzi chciał, by Al-Kaida udzieliła mu pomocy w poszukiwaniu przyszłych męczenników i zbieraniu pieniędzy na ich wyjazd do USA w celu szkolenia w pilotażu. Azzam wspomina, że bin Laden odparł:

– Co nas obchodzi Stany Zjednoczone? Dlaczego mamy je atakować?

Od zerwania z ojcem Azzama Osama przyjął znacznie bardziej radykalny kurs. Huthaifa Azzam nie był takim radykałem, jakim został w końcu bin Laden, więc mógł być potraktowany jak podejrzany, a być może nawet jako szpieg. Taka koncepcja wyjaśnia, dlaczego bin Laden urządził przedstawienie, odrzucając w czasie spotkania propozycję Yusefa. Al-Kaida była już wcześniej zaangażowana w zamachy i spiski przeciw Stanom. W 1993 roku wysłała do Somalii swoich doradców wojskowych, by wspomóc plemienne milicje w atakach na amerykańskie helikoptery. Miała też swój udział w podłożeniu bomby pod samochód w Arabii Saudyjskiej, w wyniku czego zginęło pięciu żołnierzy amerykańskich i dwóch indyjskich. Jeśli ta relacja jest prawdziwa, opisane przez Azzama spotkanie ma duże znaczenie: to pierwsza wzmianka o związku spisku z 11 września z bin Ladenem. Powszechnie przyjmuje się, że mózgiem operacji był Chalid Szejk Mohammed, ale to obsesja Yusefa na punkcie wież znajduje potwierdzenie w różnych dokumentach. Później przyznał on, że miał nadzieję, że w wyniku wybuchu bomb w 1993 roku obie wieże runą, grzebiąc dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób. Niezależnie od tego, co powiedział bin Laden podczas tego spotkania, Al-Kaida wkrótce przyjęła ten plan.

Bin Laden opuścił Sudan, gdy terroryści związani z jego organizacją połączyli się z egipskim ugrupowaniem Islamski Dżihad w celu dokonania zamachu na prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka. Po tych wypadkach zaczęto wywierać taki nacisk na rząd sudański, że doszło do wydalenia go z kraju. Były jednak także inne przyczyny wyjazdu. Co najmniej raz próbowano dokonać zamachu na jego życie, a władze saudyjskie zablokowały transfer pieniędzy z rodzinnego spadku w jego ręce. Gdy ustał napływ gotówki, dzięki której można było realizować ambitne projekty na terenie Sudanu, w maju 1996 roku Osama wyjechał do Afganistanu.

Trzy miesiące później bin Laden, przebywający ponownie na pustynnej, skalistej ziemi, na której przydarzył się pierwszy wielki cud, urządził konferencję prasową i ogłosił wojnę z „głową węża”. Odczytał listę krzywd wyrządzonych przez Amerykę, po czym zażądał wycofania amerykańskich wojsk z Arabii Saudyjskiej – „krajów dwóch Świętych Miejs”, czyli Mekki i Medyny. Obwieścił, że nadszedł czas następnej wielkiej walki, która doprowadzi do obalenia kolejnego światowego supermocarstwa – Stanów Zjednoczonych. Oznaczałoby to też koniec Izraela, państwa będącego klientem Ameryki, i świt nowej islamistycznej ery. Plan nie zawierał żadnych tajnych elementów, bo Osama otwarcie mówił o swoich zamierzeniach, podobnie jak nie ukrywał swoich intencji, gdy budował al-Masadę koło radzieckiego garnizonu w Jaji. Chodziło o to, by otwarcie stanąć do walki z wrogiem i pokazać, że stawia się natchniony opór. W gruncie rzeczy ważniejsze niż zwycięstwo stało się to, żeby zostać zauważonym, gdyż przede wszystkim liczył się rozgłos.

W 1998 roku bin Laden udzielił wywiadu Johnowi Millerowi, korespondentowi ABC News, chcąc w ten sposób dotrzeć bezpośrednio do widowni w Ameryce. Stwierdził wówczas wprost:

– Wypowiadam wojnę Stanom Zjednoczonym. Zamierzam zaatakować wasz kraj.

Mało kto w Ameryce potraktował te groźby poważnie. Jakiś stuknięty Arab siedzi sobie na pustyni i wypowiada wojnę Stanom Zjednoczonym. Ameryka miała wówczas na głowie znacznie ważniejsze sprawy, choćby romanse albo sport. Była praktykantka z Białego Domu Monika Lewinsky oświadczyła, że uprawiała seks z prezydentem Clintonem, a ten nadal wypierał się wszelkich intymnych kontaktów z tą panią. Hillary Clinton widziała w tym wszystkim „wielki prawicowy spisek”. Na czele tych, którzy domagali się impeachmentu, stał przewodniczący Izby Reprezentantów Newt Gingrich, który sam miał wówczas pozamałżeński romans z pracownicą biura młodszą od niego o dwadzieścia trzy lata. Michael Jordan pieczętował natomiast szósty tytuł NBA dla Chicago Bulls rzutem z odchyleniem oddanym w końcówce swojego ostatniego meczu w barwach tej drużyny. Tymczasem bin Ladenem zajmowali się ludzie odpowiedzialni za ochronę USA w obliczu zagrożeń zewnętrznych, ale jak widać nawet w tych kręgach postać ta nie wzbudzała zaniepokojenia.

Szejka miał jednak poważne plany i środki do ich realizacji. Zamachy bombowe na amerykańskie ambasady w Nairobi w Kenii i Dar es Salaam w Tanzanii w 1998 roku oraz atak na USS „Cole” przeprowadzony dwa lata wcześniej zwróciły uwagę Ameryki, ale większość środowisk związanych z wywiadem i armią uznawała Al-Kaidę za naprzykrzającego się szkodnika – może i dokuczliwego, kłusającego coraz boleśniej, ale niestanowiącego poważniejszego zagrożenia. Życie samego bin Ladena stawało się coraz trudniejsze, gdyż administracja Clintona wzmogła jednak wysiłki w celu odnalezienia i zabicia człowieka grożącego Ameryce. W tym okresie Szejka opuściły dwie żony, porzucając drogę dżihadu. On mimo to trwał przy sprawie, szkolił zwerbowanych bojowników, knuł kolejne spiski i kładł fundamenty pod następny cud.

Potwierdzeniem słuszności drogi bin Ladena było zniszczenie wież World Trade Center. Jakież większe dowód woli i mocy Boga można było pokazać światu? Bin Laden przywiązywał wielką wagę do znaków. Długo czekał na zadanie decydującego, śmiertelnego ciosu, wymierzonego w najważniejsze ośrodki finansowe, rządowe i wojskowe Ameryki. To zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania, bo trzeba było być albo szaleńcem, albo bez reszty oddanym sprawie, żeby wyobrazić sobie powodzenie tej misji.

Zniszczenie World Trade Center stało się drugim wielkim cudem w jego życiu. Obalenie wież nieodłącznie kojarzących się z Manhattanem, symboli bogactwa i potęgi ostatniego niewiernego supermocarstwa, zdawało się zapowiadać bliski upadek samej Ameryki. Było dowodem na to, że drogę wybraną przez Szejka wyznaczył sam Bóg.

Osama nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że samoloty mogą doprowadzić do całkowitego zniszczenia wież. W tym musiał być palec Boży. Energia uderzających w ścianę samolotów, wybuch paliwa i piekło, jakie się potem rozpętało, nie wystarczyły do wyjaśnienia cudu, który się przytrafił. Na filmie znalezionym przez amerykańskich żołnierzy w Kandaharze kilka tygodni po zamachach widać, jak bin Laden pogodnie rozmawia z grupą zwolenników przybyłych z Arabii Saudyjskiej, na przemian wychwalając Boga i zachwycając się niezwykłymi skutkami akcji. Same ataki opisywał jako cudowne, co jest zwyczajem dość powszechnym w kręgach religijnych. Człowiek w takich przypadkach upiększa prawdę swoimi marzeniami i boskimi znakami, łącząc magię z faktami i ubarwiając je przekonaniem o boskiej pomocy.

Na wspomnianym filmie bin Laden klęczał na wielkiej poduszce w wojskowej kurtce khaki,

na głowie miał biały turban i mówił tak cicho, że ledwo można go było usłyszeć. Gdy zabierał głos, milki wszyscy obecni w pokoju. Gdy podnosił smukłą lewą dłoń z dwoma wyciągniętymi palcami w taki sposób, że wyglądał jak Chrystus lub chrześcijański święty ze starej ikony, robił to bardzo sztucznie – widać, że kamera go krępowała. Na starszych zdjęciach, wykonanych w czasach, gdy nie był jeszcze tak znany, wydaje się bardziej rozluźniony i bezpośredni, można w nim nawet odnaleźć pewien wdzięk. Jego pociągłą twarz często ożywiał uśmiech. Teraz jednak to się zmieniło, teraz był ważny, więc przyjmował pozę człowieka ważnego. Na filmie mówił, że tydzień przed zamachami otrzymał informację o dokładnym dniu ataku, więc był przygotowany na to, co się stanie. W Dżalalabadzie był wtedy wczesny wieczór. Bin Laden wraz z innymi mudżahedinami usiadł przy radiu i słuchał transmisji BBC nadawanej w języku arabskim.

– Wcześniej oszacowaliśmy liczbę ofiar w szeregach wroga na podstawie usytuowania wieży – wyjaśnił. – Przewidywaliśmy, że samolot uderzy najwyżej w trzy, cztery piętra. Ja byłem w tym gronie największym optymistą ze względu na swoje doświadczenie w dziedzinie budownictwa. Myślałem, że pożar spowodowany płonącym paliwem lotniczym doprowadzi do stopienia stalowej konstrukcji budynku, co spowoduje zawalenie się pomieszczeń w tym punkcie, w który uderzy samolot, oraz pięter nad nim. Nie liczyliśmy na nic więcej.

Gdy towarzysze zaczęli świętować sukces po uderzeniu pierwszego samolotu, bin Laden (jak twierdził na filmie) powiedział:

– Bądźcie cierpliwi. – Wkrótce miały się pojawić nowe informacje. Samoloty uderzyły w wieże w odstępie dwudziestu minut, natomiast różnica czasowa między pierwszym atakiem a zamachem na Pentagon wynosiła godzinę.

Podobnie jak w przypadku pierwszego cudu, również ten miał stać się kamieniem milowym w walce bin Ladena. Z początku jednak Szejk powstrzymał się od wzięcia na siebie odpowiedzialności za zamachy.

Zaczął od nawiązania kontaktu z Hamidem Mirem, znanym pakistańskim dziennikarzem, którego poznał przed laty i udzielił mu wywiadu. W dniu zamachów Mir znajdował się w swoim biurze w Islamabadzie. Po kilku godzinach od sensacyjnej informacji przybył do niego posłaniec od Szejka i wręczył mu pisemne oświadczenie. Mir rozpoznał w posłańcu człowieka, który towarzyszył bin Ladenowi kilka lat wcześniej, podczas ich pierwszego spotkania w Kandaharze. Oświadczenie głosiło:

– Składam hołd wszystkim, którzy przeprowadzili tę operację. Nie jestem jednak bezpośrednio w nią zaangażowany.

Mir odpowiedział posłańcowi:

– Skontaktowałeś się ze mną bezpośrednio po zamachach i dotarłeś do mojego biura w ciągu kilku godzin, co znaczy, że nie byłeś wówczas w Afganistanie. To z kolei oznacza, że bin Laden dał ci to oświadczenie przed atakami. A to znaczy, że wiedzieliście doskonale, co się wydarzy.

Posłaniec stwierdził, że o niczym nie ma pojęcia.

– Szejk po prostu dał mi ten list i powiedział: „Skontaktujesz się z panem Mirem o szóstej, pójdziesz do jego biura o siódmej, a potem wrócisz”. To było moje zadanie, które wykonałem, jasne? Do widzenia.

Posłaniec wyszedł.

Mir to pakistański reporter, który jest postacią dość kontrowersyjną. Często budził niezado-

wolnienie tamtejszych władz i był oskarżany o sprzyjanie ekstremistom, ale jego artykuły są cenione na całym świecie i nierzadko uznawane za wybitne. Liczne konflikty z władzami pakistańskimi sprawiły, że wśród zachodnich reporterów cieszy się opinią człowieka niezależnego. Nic dziwnego, że zaraz po zamachach zwracało się do niego wielu dziennikarzy poszukujących kogoś kompetentnego w kwestii Al-Kaidy. Po udziale Mira w programie Larry'ego Kinga w CNN ponownie przybył do niego jeden z posłańców od bin Ladena i powiedział, że Szejk chciałby z nim porozmawiać. W listopadzie 2001 roku pojechał zatem do Dżalalabadu, by przygotować najważniejszy materiał w swoim życiu. Bin Laden był wówczas najbardziej poszukiwanym przestępcą na świecie.

Po przyjeździe do miasta czekał cały dzień, aż wreszcie skontaktowała się z nim grupka szeregowych członków Al-Kaidy, którzy stwierdzili, że nic nie wiedzą o propozycjach bin Ladena.

– Nie wiemy, dlaczego pan tu jest ani kto pana tu wzywał – powiedział jeden z nich. – Nic nie wiemy, niech pan po prostu czeka.

Mijały kolejne godziny, aż w końcu ktoś skontaktował się z Mirem i kazał mu wracać do Kabulu. Dziennikarz spędził w stolicy Afganistanu kilka dni. Najpierw przebywał w jednej bezpiecznej kryjówce, potem przewieziono go do innej. Od początku amerykańskiej interwencji minęło już kilka tygodni, a upadek talibanu był bliski. Stolica przygotowywała się na gwałtowne zmiany. Dniami i nocami słychać było bombardowania, a wybuchy wstrząsały ziemią. Wokół Mira rozpadało się budowane właśnie islamskie królestwo. Dziennikarz obawiał się o własne życie. Jeśli nie zabiła go amerykańska bomba, w każdej chwili mogli tego dokonać bojownicy Al-Kaidy. Rano 8 listopada, sześć dni przed ucieczką talibów z miasta, Mira zaprowadzono przed oblicza bin Ladena i al-Zawahiriego. Obaj stwierdzili, że przybyli do Kabulu, by wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych zabitego towarzysza.

Bin Laden wyglądał na spokojnego, nie przejmował się nadciągającą katastrofą i miał dobry nastrój. Mir siedział wraz z dwoma najbardziej poszukiwanymi ludźmi na świecie, otoczony przez innych członków ich organizacji. Drżącym głosem zadał pierwsze pytanie:

– Czy jest pan odpowiedzialny za zamachy z 11 września?

Bin Laden wyciągnął długi palec, wyłączył magnetofon Mira, po czym zapytał:

– Czy może pan zadać George'owi W. Bushowi takie oto pytanie: „Czy jest pan odpowiedzialny za śmierć wielu muzułmanów w Palestynie i Iraku?”

– Nie, nie mogę mu zadać tego pytania, ponieważ nikt mi nie da szansy na przeprowadzenie z nim wywiadu – odpowiedział Mir.

– W porządku, ale jeśli otrzyma pan taką szansę i zada to pytanie, to czy on odpowie?

– Nie – odparł Mir.

– Więc dlaczego mnie zadaje pan takie pytanie?

– Ponieważ on jest politykiem, a pan bojownikiem – odpowiedział Mir, błyskawicznie układając w głowie dalszy scenariusz. Następnie skorzystał ze sprawdzonej dziennikarskiej metody i odwołał się do pochlebstwa:

– Powiedział pan, że jest pan mudzahedinem, zatem musi być jakaś różnica między politykiem a mudzahedinem. Mudzahedin zawsze mówi prawdę. Pan musi odpowiedzieć na moje pytanie.

– Między nami, tak – powiedział bin Laden, po czym ponownie włączył magnetofon.

– Nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie, ponieważ moja odpowiedź wiązałaby się z problemami dla talibów.

Niewątpliwie już teraz nie mogli narzekać na brak problemów. Bomby wybuchły tak blisko, że dziennikarz był przerażony. Jego strach rozbawił bin Laden.

– Cóż, panie Mir, może dzisiaj zginie pan razem ze mną w tym miejscu – powiedział lekko drwiącym tonem. – Przybył pan tu, żeby przeprowadzić ze mną wywiad i być może nie będzie pan mógł go przekazać do swojej redakcji. Co się z panem stanie?

Roześmiał się wraz ze swoimi towarzyszami. Rozmowa trwała kilka godzin. Mir zadawał przygotowane wcześniej pytania. Rozmawiali o różnych próbach zamachu na życie bin Laden, a po ponownym wyłączeniu magnetofonu Szejek długo rozwodził się nad swoją pogardą w stosunku do irackiego dyktatora Saddama Husajna i przywódcy Libii Muammara Kadafiego, którzy przed laty nie poparli go w walce z ZSRR. Mir zapytał, czy prawdą są pojawiające się regularnie doniesienia o chorobie nerek Szejka i konieczności dializ. Ten kolejny raz się roześmiał i obiecał, że odpowie na to pytanie bardziej szczegółowo po zakończeniu wywiadu. Gdy Mir skończył zadawać pytania, podano śniadanie – oliwki, ser, chleb z masłem i wołowinę. Bin Laden zabrał się za posiłek z wielkim apetytem.

– Człowiek chory na nerki nie może dużo jeść – powiedział Mirowi. – Widzi pan tę wołowinę? Jem wołowinę. Widzi pan ten ser? Jem ser.

Mir spojrział na al-Zawahiriego, który potwierdził słowa bin Laden:

– Tak, jestem lekarzem i mogę potwierdzić, że chorzy na nerki nie są w stanie dużo zjeść.

– Mogę przejechać konno siedemdziesiąt kilometrów bez jednego postoju – stwierdził bin Laden.

Poświęcił Mirowi o wiele więcej czasu, niż ten się spodziewał, zatrzymując reportera na dłużej, niż ten chciał. Po wyczerpaniu listy pytań Pakistańczyk marzył tylko o jednym – wyjściu z budynku i wydostaniu się z miasta. Wiedział doskonale, że bin Laden może być celem dla Amerykanów. Po rozmowie o zdrowiu Szejka Mir zapytał:

– Czy mogę teraz wyjść?

– Nie – odparł gospodarz. – Spędzi pan z nami trochę więcej czasu i poczęstuje się herbatą. Może pan zadawać kolejne pytania, ale przy wyłączonym magnetofonie. To pozostaje między nami.

Bin Laden powiedział, że dzień po zamachach w Ameryce jego najmłodsza żona urodziła córeczkę, której nadał imię Safiyah.

– Dlaczego Safiyah? – zapytał Mir.

Bin Laden wyjaśnił, że Safiyah była ciotką Proroka i jedną z pierwszych, która nawróciła się na islam. Zrezygnowała z majątku, całkowicie oddała się religii, stawiała do walki w wielu bitwach i zabijała w obronie wiary niewiernych.

– Czy zamierza pan wykorzystać kobiety z własnej rodziny w walce z Amerykanami? – spytał Mir, pomny bardzo tradycyjnych poglądów Szejka na temat roli kobiety. Szejek się roześmiał.

– Być może Safiyah pójdzie śladami ojca – odparł, ale wycofał się z tego, gdy zorientował się, że Mir zbyt poważnie podchodzi do tej uwagi.

- Nieważne, po prostu nieważne – powiedział.
 - Nie, nie, to dla mnie bardzo istotne.
 - Dobrze, zapewniam pana, że Safiyah nie zostanie mudżahedinką, proszę się nie obawiać
- rzekł bin Laden i ponownie się roześmiał. W końcu powiedział:
- W porządku, teraz może pan wracać.

Pomimo bezustannych amerykańskich ataków i nadchodzącego upadku Szejk był pewny siebie. Przekonanie o własnej sile było spotęgowane wrażeniem, jakie wywarły zamachy z 11 września. Wszystko szło dokładnie tak, jak przepowiedział.

Bin Laden nie widział w atakach na Amerykę żadnego bezsensownego okrucieństwa, o które oskarżali zamachowców jego wrogowie. Według Szejka były sprawiedliwą i zasłużoną karą, która wynikała z woli Boga. Dla bin Ladena stanowiły po prostu obowiązek.

- Zabijamy niewiernych cywilów za to, że oni zabijają nasze dzieci – powiedział w wywiadzie dla Al Dżaziry pięć miesięcy po zamachach, przytaczając szacunkowe dane, do których często się odwoływał. Według niego „milion dzieci” zmarło w Iraku w wyniku ONZ-owskich sankcji nałożonych na kraj. Najpoważniejsi analitycy uznają tę liczbę za absurdalnie zawyżoną. Gdy bin Ladena zapytano o dzieci zabite w szkole działającej w WTC, odpowiedział:

- Zasłużoną karę dopuszcza zarówno prawo, jak i moralność. Ludzie, którym Bóg pomógł 11 września, nie zamierzali zabijać dzieci, oni chcieli zniszczyć największą militarną potęgę świata. Chcieli zaatakować Pentagon zatrudniający ponad sześćdziesiąt cztery tysiące pracowników, ośrodek, w którym działa wojskowy wywiad. Bliźniacze wieże to potęga ekonomiczna, a nie szkoła dla dzieci.

Warto w tym miejscu zaakcentować coś, z czego większość zdaje sobie sprawę, ale wydaje się o tym zapominać. Dla ludzi spoza wąskiego grona wyznawców Osamy bin Ladena, jego przekonania nie były ani nowe, ani pociągające. Dawno już przeszły do lamusa historii, a pierwszy raz pojawiły się w mrocznych czasach, gdy na rynkach miasteczek palono czarownice i heretyków. Były to poglądy niedojrzałe, bo z założenia nie brały pod uwagę niczego, co wynikało z nauki, jaką niesie historia. Nie brakuje ludzi, którzy wierzą, że pewne teksty historyczne należy odczytywać dosłownie jako przesłanie tego czy innego Boga, ale mało kto idzie tak daleko, by uznać za święty obowiązek rzeź tych, którzy się z nim nie zgadzają albo zabijać ludzi, aby osiągać założone cele. Taka filozofia przemawiała jedynie do niezbyt licznych kręgów zagorzałych fanatyków, do osobliwości współczesnego świata należy jednak to, że dzięki technologii, niewielkie grupy osób o podobnych przekonaniach mogą tworzyć wspólnotę wiernych, nawet jeśli są porzrzucane po różnych krajach i kontynentach. Mogą się nawzajem napędzać i wspierać, wywierając wpływ znacznie przerastający ich prawdziwą liczebność czy atrakcyjność głoszonej ideologii. Bin Laden pierwszy wykorzystał te narzędzia, przekształcając swoją sieć wyznawców w śmiertcioną siłę. Pomysł zamienienia zatankowanych do pełna samolotów pasażerskich w kierowane bomby sprawił, że Al-Kaida stała się niszczycielską potęgą o potencjałe równym niewielkiej armii czy małowemu arsenałowi rakietowemu. Zamachowcy-samobójcy, którzy przeprowadzili ataki, zostali zwerbowani i wyszkoleni w różnych krajach, finansowano ich dzięki globalnym transferom pieniędzy, a łączność zachowywano poprzez telefony i e-mail. Same ataki zaplanowano tak, by stworzyć straszliwe widowisko, które będzie oglądane na całym świecie. Telewizja zapewniła ogromną widownię, powtarzając obrazy i analizując je klat-

ka po klatce dla tych, którzy nie zdążyli na bezpośrednią transmisję. Słowem – ideologicznie bin Laden był zapatrzony w przeszłość, ale zastosował nowoczesne narzędzia, które dawała mu współczesność.

Z BRONIĄ W RĘKU

Schyłek lata 2010 roku

– Panie prezydencie, Leon i chłopaki z Langley chyba na coś wpadli...

Tymi słowami zakończył się jeden z porannych briefingów prezydenta Obamy w sierpniu 2010 roku. Skrót informacji dotyczących ważnych problemów związanych z bezpieczeństwem narodowym nie przedstawiał mu, jak prezydentowi Bushowi, analityk z CIA, lecz Tom Donilon, zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. Wykonywał zresztą te zadania nawet po tym, kiedy kilka miesięcy później objął najwyższe stanowisko w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Tymczasem w Waszyngtonie trwał sezon ogórkowy i nie działo się nic ważnego. Upały i duża wilgotność powietrza wyгнаły ze stolicy wszystkich poza najbardziej zdeterminowanymi turystami oraz tymi, którzy zostali na miejscu, bo po prostu nie mieli wyboru.

– To ma związek z bin Ladenem – uściślił Donilon. – Nie wiemy jeszcze, o co chodzi, ale myślę, że powinien pan odbyć z nimi krótkie spotkanie.

Donilon stał u boku Obamy od ostatniej fazy kampanii w 2008 roku, kiedy wezwano go, by wykonał takie samo zadanie, jakie przypadło mu w udziale podczas kampanii prezydenta Clintona. Jego rolą było przygotowanie kandydata do cyklu publicznych debat z republikańskim rywalem. Za prezydentury Busha Donilon długo odpoczywał od stanowisk rządowych, pracując przez kilka lat jako lobbysta w Fannie Mae, a później jako współwłaściciel waszyngtońskiej

kancelarii prawnej O'Melveny & Myers. Sercem był jednak związany z polityką i administracją rządową, więc gdy został poproszony o przygotowanie Obamy do starcia z republikańskim kandydatem, senatorem Johnem McCainem, skwapliwie przystał na tę propozycję. Donilon był przekonany, że debaty prezydenckie mają wielkie znaczenie, gdyż pozwalają wyborcom lepiej poznać kandydatów, a także zmuszają polityków do przyjrzenia się swoim słabym stronom oraz skonfrontowania ich z przeciwnikiem, a wszystko to na oczach milionów widzów. Jednym z pierwszych jego zaleceń w sprawie starz z McCainem, było rozpoczęcie debaty od kwestii polityki zagranicznej, ponieważ sądzono, że właśnie na tym polu doświadczony senator i bohater wojenny ma sporą przewagę. Legendarna żołnierska przeszłość w Wietnamie, pięć lat w niewoli po strąceniu nad Hanoi jego A-4E Skyhawk oraz dwudziestoczteroletnie doświadczenie w Kongresie to kapitał, którym senator zdecydowanie górował nad Obamą. Kandydat demokratów był młodszy o dwadzieścia pięć lat, nigdy nie służył w wojsku i nie ukończył jeszcze swojej pierwszej kadencji w Senacie. Na papierze McCain miał oczywiście lepsze kwalifikacje do objęcia stanowiska głowy państwa, jednak prezydentów się nie zatrudnia, lecz wybiera i nawet najwspanialsze CV nie znaczy tyle, co wrażenie, jakie wywiera kandydat na wyborcach. Donilon wiedział, że jeśli Obama pokaże się w ogólnokrajowej telewizji i nie przepadnie w debacie na temat bezpieczeństwa narodowego, wyborcy będą sobie mogli go wyobrazić na stanowisku prezydenta. I lepiej, żeby to się stało wcześniej, niż później. Wierzył, że Obama jest w stanie poradzić sobie z tym zadaniem.

Rola Donilona w przygotowaniu kandydata sprowadzała się do tego, żeby uświadomić mu słabe punkty jego rozumowania, zanim stanie na scenie. Był to zatem jeden z niewielu ludzi z otoczenia Obamy, których zadaniem było przeszkadzanie kandydatowi oraz zakłócanie jego spokoju i dobrego samopoczucia. Donilon dokładał wszelkich starań, by rzucać Obamie kłody pod nogi, wskazywać luki w jego rozumowaniu i kwestionować podawane fakty, zmuszając go do wyjścia poza wypróbowane slogany i gładkie frazesy.

– W porządku, takie teksty wygłaszasz podczas spotkań ze swoimi wyborcami – mawiał – ale jeśli ktoś cię naprawdę przycisnie, to co odpowiesz?

Albo rzucal:

– Słyszałem, że to powiedziałeś, ale czy naprawdę chciałbyś tego, będąc prezydentem?

Bywało, że sapał z niezadowoleniem, słysząc jedną z typowych, rozbudowanych odpowiedzi, po czym pytał:

– A jak t o objaśnisz w dziewięćdziesiąt sekund?

Kandydatowi na prezydenta chyba spodobało się takie traktowanie, ponieważ nieublagany kat jest od tamtego czasu jego bliskim współpracownikiem. Donilon przekonał się, że Obama wyróżnia się błyskotliwym umysłem oraz głęboką znajomością historii Ameryki i prawa. Trudno było pokonać go w dyskusji. Jeśli ktoś chciał go zmusić do maksymalnego zaangażowania, musiał być doskonale przygotowany. Obamę cechowała duża ekspresja, więc łatwo przychodziło mu obalenie słabego argumentu ironicznym uśmiechem, uniesieniem brwi czy pełnym sceptycyzmu przechyleniem głowy. Donilon włożył wiele wysiłku w wykorzenienie tego nawyku. Nieczęsto widywano go poza korytarzami Białego Domu – był po prostu jedną z szarych postaci wynurzających się z labiryntu ciasnych biur na parterze, zajmowanych przez kierownictwo Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Dziennikarze rzadko zwracali się do niego z prośbą o wywia-

dy, bo starał się trzymać z boku, nie eksponując swojej osoby.

Obama stawiał przed swoim sztabem wysokie wymagania, i tak jak Donilon, sam był wobec siebie bardzo krytyczny. Każdego dnia oceniał swoją pracę, stawiając sobie stopień – wysoki lub niski. Po wyborach Obama poprosił go, by stanął na czele tymczasowego Departamentu Stanu, a następnie zatrudnił w zespole NSC kierowanym przez gen. Jamesa Jonesa. Generał, były dowódca Korpusu Marynarki Wojennej, został zatrudniony w otoczeniu Obamy, by pełnić rolę łącznika z armią, z którą prezydent nie miał właściwie żadnych bezpośrednich doświadczeń. Jones od początku zastrzegł, że będzie wykonywał tę pracę tylko przez rok lub dwa, więc od początku kadencji było wiadomo, że to właśnie Donilon będzie jego następcą.

Przez ponad siedem lat, od chwili gdy bin Laden wymknął się z górskiej placówki Tora Bora podczas nieudanego oblężenia przeprowadzonego przez aliantów, nikt nie mógł wpaść na ślad najbardziej osławionego terrorysty na świecie. Przedstawiciele administracji Busha powtarzali przez wiele lat, że ukrywa się on gdzieś w górach północno-zachodniego Pakistanu, ale prawdę mówiąc, nikt nie miał pojęcia, czy to prawda. Przez lata nie pojawiały się żadne nowe ślady, nikt też nie widział bin Ladena. Obama przejął urząd z mocnym postanowieniem ożywienia działań i wzmożenia poszukiwań, a Donilon odczuwał szczególną przyjemność, mając dla prezydenta nowe informacje w tej właśnie sprawie.

26 maja 2009 roku, cztery miesiące po inauguracji prezydentury, Obama zakończył rutynowe spotkanie na temat bezpieczeństwa narodowego, zwracając się do czterech osób – Donilona, Leona Panetty (nowo wyznaczonego szefa CIA), Mike'a Leitera (dyrektora Narodowego Ośrodka ds. Walki z Terroryzmem) oraz Rahma Emanuela (swojego szefa kancelarii).

– Ty, ty, ty i ty – powiedział – chodźcie na górę. Chcę z wami o czymś porozmawiać.

Czterej mężczyźni opuścili gabinet dowodzenia i poszli za Obamą, pokonując najpierw kilka schodów, a następnie labirynt wąskich korytarzy w Zachodnim Skrzydle, by dotrzeć w końcu do Gabinetu Ovalnego. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez okna wychodzące na Ogród Różany. Nikt nie usiadł. Każdy z nich pracował już wystarczająco długo, żeby zorientować się, jak rozbudowany jest amerykański system wywiadu i wejść swobodnie w swoje nowe role. Prezydent zwięźle i krótko powiedział im coś, co zrobiło na nich ogromne wrażenie.

Zwrócił się do nich z następującymi słowami:

– Układ jest taki: chcę, żeby polowanie na Osamę bin Ladena i al-Zawahiriego stało się dla wszystkich najważniejsze. Martwi mnie, że nie mamy żadnych świeżych śladów. To musi być dla nas najwyższy priorytet, więc potrzebujemy w waszych organizacjach najlepszych ludzi. Musicie mieć pewność, że zrobiliśmy absolutnie wszystko w celu likwidacji dowództwa Al-Kaidy, zwłaszcza tych dwóch ludzi. Proszę o przekazywanie regularnych sprawozdań na moje ręce. Chcę, żeby wszystko zostało uruchomione w ciągu trzydziestu dni – cytował mi później Donilon.

Potem przyszła kolej na niego – musiał podsumować temat, sporządzając notatkę podpisaną następnie przez prezydenta. Otrzymał ją każdy uczestnik spotkania. Tekst brzmiał następująco: „W celu upewnienia się, że podjęliśmy wszelkie wysiłki – proszę mi przekazać szczegółowy plan operacyjny dotyczący zlokalizowania i wymierzenia sprawiedliwości Osamie bin Ladenowi”.

Wspomniane krótkie spotkanie w Gabinetcie Ovalnym nie było zaplanowane (w przeci-

wieństwie do każdej minuty w terminarzu prezydenta), a Obama nie omówił go wcześniej z Donilonem. Prezydent miał wtedy na głowie mnóstwo innych spraw. Zaczynał właśnie akcję wycofywania amerykańskich wojsk z Iraku i zastanawiał się nad dalszym przebiegiem trwającego w Afganistanie konfliktu. Wyraził zgodę na prowadzenie tajnej cyberwojny, której celem było zniweczenie wysiłków Iranu zmierzających do wzbogacenia uranu i zbudowania broni jądrowej. Obama usiłował też stworzyć koalicję, która wywarłaby nacisk ekonomiczny na to państwo, skłaniając je do zaprzestania prac nad bombą atomową. Ze zdwojoną energią rozbudował tajny program namierzenia przywódców Al-Kaidy przy pomocy dronów, co miało sprawić, że dniem i nocą terroryści czuliby na sobie oddech wroga. Prezydent chciał też stawić czoło chińskim działaniom militarnym, umacniając amerykańską obecność w basenie Oceanu Spokojnego. Widać wyraźnie, że na każdym posiedzeniu zespołu ds. obrony narodowej nie brakowało tematów do dyskusji. Obama podkreślił jednak w rozmowie ze mną, że brakowało mu informacji, które przekonałyby go, że w sprawie bin Ladena robi się absolutnie wszystko, podejmując wszelkie wysiłki. Chciał mieć pewność, że odpowiedni ludzie wiedzą, jakim priorytetem jest dla niego ta sprawa. W kolejnych miesiącach, pomiędzy wspomnianymi raportami, bezustannie podejmował ten temat. Pojawiał się on wśród najważniejszych zagadnień na niemal każdym spotkaniu dotyczącym bezpieczeństwa narodowego. Prezydent zawsze zadawał pytania dotyczące dwóch spraw – zwiększenia bezpieczeństwa cybernetycznego i poszukiwań Osamy bin Ladena.

Styl rządzenia Obamy opierał się na wyznaczaniu jasnych, przejrzystych priorytetów i koncentrowaniu się na nich aż do osiągnięcia określonych celów. Mniej więcej dwa razy w roku urządzał kilkugodzinne posiedzenia zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego, specjalnie rezerwując sobie czas wyłącznie na te spotkania. Zawsze przynosił z sobą notes, w którym miał wypisane swoje priorytety. Odręczne pismo prezydenta było tak drobne i staranne, że z daleka wyglądało na maszynowe.

– Nawow, mamy tu trzy najważniejsze rzeczy, nad którymi teraz pracujemy – mawiał – i chęć, żebyście na nich skupili swoje wysiłki.

Następnie omawiał swoją listę punkt po punkcie, a uczestnicy spotkania wskazywali, gdzie osiągnęli postępy, a gdzie nadal stoją w miejscu. Prezydent często przesuwiał tematy na liście i dodawał inne sprawy, ale gdy dochodził do końca wykazu, każdy wiedział doskonale, na co należało poświęcić więcej czasu i środków. Zawsze, od pierwszego takiego posiedzenia, bin Laden znajdował się na samym czele listy.

Dla prezydenta Obamy sprawa odnalezienia bin Ladena nie miała znaczenia wyłącznie symbolicznego. Od dawna krytykował „wojnę z terrorystami” prowadzoną przez Busha. Według Obamy Ameryka nie toczyła boju z jakąś abstrakcją – ideą czy taktyką, ale z konkretnymi jednostkami, które zaatakowały kraj i wciąż stanowiły zagrożenie. Gdy w 2009 roku objął swój urząd, Al-Kaida i jej przybudówki nadal stwarzały największe i najbardziej realne niebezpieczeństwo, pomimo dwóch długich, krwawych wojen oraz nieustających wysiłków amerykańskiego wywiadu i komandosów.

Obama zdawał sobie sprawę z wagi tego zagadnienia m.in. dzięki poważnemu ostrzeżeniu, jakie przekazał mu Bruce Riedel, dawny analityk CIA i naukowiec z Brookings Institution. Prezydent skontaktował się z nim kilka dni po zaprzysiężeniu i poprosił o przygotowanie sprawoz-

dania z amerykańskiej polityki w Afganistanie i Pakistanie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Osiem dni przed posiedzeniem z szefami wywiadu w Gabinetcie Ovalnym Obama zapoznał się z ustaleniami Riedela podczas długiego spotkania na pokładzie Air Force One. Riedel powiedział, że wedle jego ustaleń Al-Kaida jest w tej chwili groźniejsza niż 11 września 2001 roku.

W książce Boba Woodwarda z 2010 roku, zatytułowanej *Obama's Wars*, Riedel napisał: „Niektórzy specjaliści od Al-Kaidy mogliby powiedzieć, że skoro bin Laden ukrywa się w Pakistanie, to nie ma żadnego znaczenia. Siedzi gdzieś w jaskini i, owszem, nagrywa od czasu do czasu jakąś taśmę, ale jest już wyłącznie symbolem, a nie przywódcą światowego dżihadu. Ja jednak przekonałem się, że to nieprawda. On komunikuje się ze swoimi podwładnymi i pozostaje w kontakcie z szeregowymi bojownikami piechoty. Jego żołnierze wierzą, że to on wydaje rozkazy, a nasz sprawny wywiad to potwierdza... Oni nie żartują. Są sprytni i nie ustają w wysiłkach. Jeśli ich nie zabijemy, będą próbowali zabić nas”.

Według Obamy pokonanie Al-Kaidy było niemożliwe, dopóki na wolności pozostawał jej założyciel i duchowy przywódca. To on był mózgiem i sercem organizacji. Prezydent uważał, że bin Laden nie jest po prostu zły – on jest charyzmatycznie zły.

– Zrozumiał, że technologia i nowoczesne media sprawiają, że potencjalny wpływ wielkiego wydarzenia może zwielokrotnić moc i znaczenie nawet małego ugrupowania – stwierdził Obama w rozmowie ze mną – i choć idee typowe dla terroryzmu nie narodziły się i nie rozwinęły w głowie bin Ladena, to wydaje mi się, że ten człowiek rozumiał Zachód. Wiedział, gdzie są nasze potencjalnie słabe punkty i właśnie to czyniło go postacią wyjątkową – jedynym człowiekiem, który mógł nam wyrządzić straszliwe szkody.

Obama stwierdził, że bin Laden wprawdzie wiódł skromne życie i pielęgnował romantyczne ideały z przeszłości, ale doskonale rozumiał współczesne media i potrafił je wykorzystać. Dzięki temu wywierał wpływ znacznie przekraczający krąg jego bezpośrednich zwolenników, a zamachy z 11 września wstrząsnęły całym światem.

Prezydent Bush podzielał ten pogląd. On jednak nie potrafił poskromić swojego teksańskiego charakteru, więc od razu butnie rzucił, że chce mieć Osamę „żywego lub martwego”. Według administracji Obamy dwie wojny wywołane przez Busha stopniowo przesłoniły wszelkie inne priorytety. Donilon stwierdził, że Biały Dom dysponuje „ograniczoną przepustowością”. W ostatnich latach rządów Busha prezydent wprawdzie nadal chciał dopaść bin Ladena, ale wysiłki skierowane w tym celu były otwarcie bagatelizowane, tak jak przedstawiał to Riedel. Stwierdzono, że bin Laden jest poza zasięgiem, sprawa została właściwie odsunięta na bok, a jeśli chodzi o zadania operacyjne, nie działo się prawie nic. Administracja Busha nie była w stanie go odnaleźć, pomniejszała więc znaczenie tej sprawy.

Obama uznał takie myślenie za błędne. Działania wojenne Ameryki wiązały się z rozrosniętą biurokracją, w której nawet najważniejsze problemy ginęły, jeśli nie towarzyszył im zdecydowany nacisk ze strony Białego Domu. Tu potrzebna była konkretna lista priorytetów, która uporczywie wracała do adresatów, dopóki nie wykreślono z niej każdego z punktów. Amerykańskie jednostki wojskowe znajdowały się w ponad stu pięćdziesięciu krajach na całym świecie. Gdy jakaś misja była związana z działaniami zbrojnymi, jak w Afganistanie i w Iraku, wymagała zatrudnienia rzeszy ludzi, pochłaniała ogromne środki, a także mnóstwo czasu i uwagi decydentów stojących na samym szczycie dowódczej hierarchii. Kluczem do skutecznego

prowadzenia jakiegokolwiek wielkiego przedsięwzięcia było zachowanie priorytetów. Wprawdzie za czasów Busha bin Laden nigdy nie spadł ze szczytu listy, ale ona sama znacznie się wydłużyła. Nie pojawiły się też żadne nowe ślady. Obama chciał znowu wrócić na trop.

Minął rok i agencja wreszcie mogła się pochwalić jakimiś dokonaniem. Podczas poszukiwań członka Al-Kaidy zwanego Abu Ahmed al-Kuwaiti (Ahmed Kuwejtczyk), zaufanego doradcy i kuriera bin Ladena, na obrzeżach Abbottabadu odkryto tajemniczy zespół budynków. Wywiad od dawna ustalał wszelkie słabe punkty w odrocznym, jaki zbudował wokół siebie poszukiwany Szejka. Należała do nich rodzina, znani Amerykanom towarzysze walki, siatki (nie tylko finansowe) oraz kurierzy. Ostrożny bin Laden unikał telefonów komórkowych i połączeń internetowych, opierając się właśnie na kurierach, którzy rozpowszechniali jego listy, wiersze, a od czasu do czasu także oświadczenia w postaci filmów i nagrań. Gdy agenci próbowali śledzić drogę taśm czy innych nośników, idąc od redakcji w przeciwną stronę, zawsze zatrzymywali się jeden lub dwa kroki od źródła ich pochodzenia. Kuwejtczyk był jednym z tych ostatnich ogniw – kurierem, który osobiście docierał do Szejka. Poszukiwania trwały już osiem lat, z których pięć zabrało CIA samo ustalenie jego prawdziwego nazwiska... Podążając śladem kuriera Ibrahima Saeeda Ahmeda, namierzono w końcu wspomnianą już tajemniczą siedzibę.

Panetta przyprowadził do Gabinetu Owalnego dwóch agentów stojących na czele komórki zajmującej się poszukiwaniem bin Ladena. Główny analityk, nazywany potem Johnem (takie było jego drugie imię), był wysokim mężczyzną w średnim wieku, który za czasów studenckich grał w koszykówkę w drużynie uniwersyteckiej. Ostatnie dziesięć lat poświęcił na polowanie na Szejka. Wzrost, szeroki podbródek i grube rysy twarzy sprawiały, że wyglądał raczej na sportowca niż na człowieka spędzającego większość czasu przed ekranem komputera. W Langley podlegał Michaelowi Morellowi (składającemu niegdyś sprawozdania prezydentowi Bushowi), który awansował na stanowisko zastępcy dyrektora.

Pracownicy agencji wręczyli obecnym tajne zdjęcia, mapy i opracowane materiały, a następnie szczegółowo zapoznali prezydenta i Donilona ze swoim tokiem rozumowania. Pokazali, w jaki sposób zidentyfikowano Ahmeda Kuwejtczyka i jak namierzono podejrzaną rezydencję. Panetta porównał Abbottabad do bogatego przedmieścia w północnej Wirginii. Tajemnicza posiadłość była osiem razy większa od każdej z sąsiednich willi. W przeciwieństwie do większości, nie miała żadnego połączenia z internetem ani siecią telekomunikacyjną. Całość otaczały wyjątkowo wysokie mury zwieńczone kilkudziesięciocentymetrowym drutem kolczastym. Murem obudowano nawet patio usytuowane na drugim piętrze na tyłach domu. Nie istniała żadna możliwość zajrzenia do wnętrza domu – ani z ziemi, ani z góry. Okna wykonano ze szkła reflexyjnego lub zasłonięto. Agencja najpierw ustaliła, że rezydencję zamieszkuje nie tylko Ahmed z rodziną, ale także rodzina jego brata Abrara. W sąsiedztwie znano ich pod przybranymi nazwiskami – Ibrahima jako Arshada Khana, a jego brata jako Tareq Khana. Obaj urodzili się w Kuwejcie, ale byli wysokimi, brodatymi pakistańskimi Pasztunami o jasnej karnacji. Nigdy nie dysponowali większym majątkiem, jednak ich posiadłość wyglądała na wyjątkowo kosztowną. O tym, że bracia dbają o jej ochronę, świadczyły nie tylko wysokie mury, ale i przestrzeganie wyjątkowo surowych środków bezpieczeństwa. Nawet śmieci palili na terenie posiadłości. Ich dzieci opuszczaly zaś rezydencję tylko wtedy, gdy szły do miejscowej szkoły religijnej lub do lekarza. W telefonicznych rozmowach z rodziną mieszkającą gdzieś daleko, prowadzonych za-

wsze z punktów oddalonych od samej rezydencji, nikt nie przyznawał się, gdzie naprawdę mieszka. CIA wielokrotnie zdarzały się błędne interpretacje różnych danych, ale jedno było w tym wszystkim jasne – zwracał uwagę niezwykle poziom dbałości o bezpieczeństwo operacyjne, a na tym amerykańscy agenci znali się doskonale.

CIA dyskretnie obserwowało posiadłość, robiąc zdjęcia z powietrza i szpiegując ją z ziemi. Agenci nie mogli zaglądać do środka, ale zadawali sąsiadom niezobowiązujące pytania, dbając o to, by nie wzbudzić podejrzeń nadmiernym wścibstwem. Efektem takich działań oraz podsłuchu rozmów telefonicznych były dwa odkrycia uznane przez agencję za niezwykle istotne. Pa-netta doszedł do wniosku, że powinien o nich zawiadomić samego prezydenta.

Pierwsze odkrycie dotyczyło trzeciej rodziny, która zamieszkiwała rezydencję, przebywając na dwóch górnych piętrach wielkiego domu. Nikt z członków tej rodziny nigdy nie opuszczał terenu posiadłości. Dotyczyło to nawet dzieci, które nie uczęszczały do szkoły z innymi. Sąsiedzi z Abbottabadu, którzy znali braci Khan i ich bliskich, nie mieli pojęcia o tej trzeciej rodzinie. Pewne sygnały wskazywały na to, że bracia, którzy oficjalnie byli właścicielami posiadłości, w gruncie rzeczy służą ukrywającej się rodzinie. Jeden z nich zawsze przebywał w domu, więc trzecia rodzina nigdy nie pozostawała sama. Ibrahim Ahmed i jego bliscy zajmowali domek gościnnie na terenie posiadłości, a jego brat Abrar z rodziną mieszkał na parterze głównego domu.

Drugie odkrycie wiązało się z osobą Ibrahima Ahmeda, który najwyraźniej nadal pracował dla Al-Kaidy. Wprawdzie przed laty był blisko związany z bin Ladenem, ale agencja nie miała żadnych dowodów na to, że odnowił kontakty z organizacją. Przez wiele lat niektórzy z przesłuchiwanymi podejrzanymi twierdzili, że wycofał się z organizacji, więc w takim przypadku mógł pracować teraz dla kogoś, kto musi pozostawać głęboko w cieniu. Kto to może być? Ktoś ze zorganizowanego świata przestępczego? Bogacz, który naraził się politykom? Saudyjski milioner ukrywający kochankę lub drugą rodzinę? Ahmed zdradził się podczas podsłuchiwanej przez Amerykanów rozmowy telefonicznej, którą przeprowadził latem z jednym ze starych przyjaciół. Przyjaciel zasypał go typowymi pytaniami: Co teraz porabiasz? Jakie masz plany? Mężczyzna z początku nie odpowiadał i ignorował pytania, ale gdy przyjaciel nie ustępował, uległ, choć udzielił zaszyfrowanej odpowiedzi, mówiąc:

– Jestem z tymi samymi, co wcześniej. – Wyglądało na to, że rozmówca od razu zorientował się, o co chodzi, bo rzucił krótko:

– Niech Allah będzie z tobą – po czym zmienił temat. Wyciągnięto stąd prosty wniosek – ludzie, którymi opiekował się Ahmed w Abbottabadzie, należeli do Al-Kaidy.

Takie właśnie informacje przekazano prezydentowi.

– To najpoważniejszy trop bin Ladena, na jaki wpadliśmy od czasów Tora Bora – powiedział John.

Obama dysponował obszerną wiedzą o bin Ladenie i jego środowisku, więc już dawno przestał go sobie wyobrażać jako człowieka siedzącego w kucki w jakiejś jaskini czy ustronnym górskim obozowisku. Wszystkich jednak zdziwiło, że teraz miałby przebywać w wielkiej posiadłości usytuowanej w bogatej okolicy, znanej z pól golfowych i klimatu, który latem kusił przyjemnymi powiewami chłodnego wiatru. Prezydent zdawał sobie sprawę, że to bardzo mocne naciski na CIA przyniosły mu długo wyczekiwane nowe wieści. Zawsze żądał aktualnych danych, więc

spodziewał się, że agenci będą mu przekazywać każdy strzęp informacji. Tak było w tym przypadku – dostał jakieś fragmenty, które uznał za interesujące, ale brakowało w nich konkretów. Związek całej sprawy z bin Ladenem był dość wąty. Obama poprosił Panettę o wzmożenie wysiłków i ustalenie tożsamości ukrywającej się rodziny. Nakazał też „ściśłą dyskrecję” w kwestii tego tropu, co oznaczało, że temat miał pozostać tajny. Nie powiadomiono o nim jeszcze niko go z kręgów armii ani wywiadu. Na razie agencja miała nie zwracać się do Pakistanu o pomoc i nie zdradzać jakiegokolwiek zainteresowania posiadłością. Prezydent pozostawił otwartą kwestię poszukiwania pomocy u potencjalnych pakistańskich sojuszników, gdy agenci będą dysponować szerszą wiedzą, a tymczasem zażądał regularnych sprawozdań z postępów w poszukiwaniach.

– Jeśli chodzi o moje odczucia – mówił później w rozmowie ze mną – to nie byłem optymistycznie nastawiony do tej sprawy. Czy na tym etapie myślałem, że trafiliśmy na właściwy ślad? Wydaje mi się, że sam się broniłem przed nadmiernymi emocjami związanymi z tym, jakie możliwości się przed nami otwierają.

Na jakim etapie były wówczas poszukiwania? Od niemal dwudziestu miesięcy prowadzono działania z wykorzystaniem dronów oraz specjalne akcje komandosów. Dzięki umiejętnościom amerykańskiego wywiadu, doskonałym w czasie dziesięcioletnich działań wojennych, Obama miał w ręku narzędzia, jakimi nie dysponował dotąd żaden prezydent. Za jego kadencji posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie sprowadzały się wyłącznie do politycznych dyskusji, lecz poruszały kwestię życia i śmierci konkretnych osób. W ciągu poprzedniego dziesięciolecia pojawiły się takie rozwiązania, które umożliwiły prezydentowi podejmowanie błyskawicznych decyzji w kwestii potencjalnych celów, czyli jednostek namierzonych, zidentyfikowanych i znajdujących się na celowniku Ameryki. Tacy ludzie mogli zostać zabici na rozkaz Obamy bez narażania na niebezpieczeństwo chociażby jednego obywatela USA. W pierwszym roku jego prezydentury przeprowadzono pięćdziesiąt trzy ataki z wykorzystaniem dronów na terenie samego Pakistanu, a w 2010 roku – dwukrotnie więcej (sto siedem). Liczba ataków w Jemenie była mniejsza, ale każdego roku systematycznie wzrastała – od dwóch w 2009 roku do czterech rok później. W 2011 roku było ich już dziesięć. Niemal każdego dnia prezydent musiał podejmować szybkie decyzje, od których zależało czyjeś życie. Czy powinno się zabić tego konkretnego człowieka? Czy zabicie go może się wiązać ze śmiercią innych ludzi – może nawet zupełnie niewinnych?

Człowiek sprawujący urząd prezydenta zawsze musiał podejmować takie wybory. Czasem w grę wchodziło życie i śmierć tysięcy, a nawet setek tysięcy ludzi – wystarczy wspomnieć prezydenta Harry'ego S. Trumana rozkazującego zrzucenie bomby atomowej na Japonię. Ile razy jednak takie decyzje dotyczyły pozbawienia życia jednego konkretnego człowieka? Owszem, wcześniej zdarzały się precedensy. W czasie II wojny światowej Amerykanie rozszyfrowali japońską depezę, z której dowiedzieli się, że admirał Isoroku Yamamoto, dowódca japońskiej marynarki wojennej, będzie przeprowadzał inspekcję na Wyspach Salomona. Samolot, którym leciał, został przechwycony i zestrzelony, w wyniku czego admirał zginął. Na początku lat sześćdziesiątych prezydent Kennedy prowadził działania w celu zorganizowania zamachu na Fidela Castro. Takie przypadki należały jednak do rzadkości i wiązały się z ogromnym ryzykiem. Pod koniec drugiej kadencji Busha i za obecnych rządów Obamy urzędujący prezydent

dysponował środkami, które można porównać do karabinu snajperskiego wycelowanego w ludzi uznanych za groźnych terrorystów. Obamę zawsze informowano o celu kolejnego ataku – kim jest dany człowiek, jakie jest jego znaczenie, jakim jest zagrożeniem, jakie będą korzyści z jego likwidacji i kto jeszcze może zginąć w wyniku akcji. Do prezydenta należała decyzja o naciśnięciu spustu. To była zupełnie nowa sytuacja.

Ta wojna wymagała nowego podejścia. Po zamachach z 11 września najprostsze i najbardziej oczywiste były dwie reakcje, obie należące do repertuaru defensywnego. Można było zapobiegać najbardziej niebezpiecznym rodzajom ataków oraz lepiej radzić sobie z mniej groźnymi, gdy już do nich doszło. Stany Zjednoczone wydały w związku z tym miliardy dolarów w celu zablokowania znanych lub oczywistych celów ataku i poprawy reakcji w sytuacjach wyjątkowych. Tymi zagadnieniami zajmował się Departament Bezpieczeństwa Krajowego oraz Rada Bezpieczeństwa Transportu. Kolejnym krokiem była ogólnoswiatowa kontrola materiałów, które mogłyby zostać wykorzystane do budowy szczególnie niebezpiecznych rodzajów broni (pluton, pociski ziemia-powietrze, toksyczne środki biochemiczne). Taka strategia doprowadziła po części do inwazji Busha na Irak, prezydentowi chodziło bowiem o unieszkodliwienie arsenału broni masowego rażenia, o której posiadanie podejrzewano Saddama.

Jeśli chodzi o strategię ofensywną, stosowaną do tropienia Al-Kaidy, sprawa przedstawiała się o niebo trudniej, gdyż organizacja opuściła bezpieczne schronienia w Afganistanie i rozprzestrzeniła się po wielu krajach. Stany Zjednoczone przystąpiły do rozwiązania tego problemu, inwestując olbrzymi kapitał, na który składały się umiejętności ludzi, środki finansowe oraz technologie. Przebieg poprzednich dziesięciu lat wojny, jeśli spojrzeć na nie we wspomnianym szerokim kontekście, wiązał się przede wszystkim z pozyskaniem i doskonaleniem właściwych narzędzi do zniszczenia terrorystycznej sieci. W 2010 roku prace w tej dziedzinie nie były jeszcze zakończone, ale poczyniono ogromny postęp. Wojskowi, z typowym dla nich lekceważeniem angielszczyzny, ukuli skrótowiec na określenie nowo powstałej strategii – „F3EAD” (find, fix, finish, exploit, analyze, disseminate – znaleźć, ustalić położenie, wykończyć, wykorzystać, zanalizować, rozpowszechnić). Oznaczała ona niesamowite połączenie błyskawicznych globalnych sieci telekomunikacyjnych, dronów, komputerowych baz danych, najnowocześniejszego oprogramowania, doświadczonych analityków, niewykrywalnych helikopterów, precyzyjnej broni oraz doskonałych umiejętności pilotów i strzelców, którzy potrafili przeprowadzić zaskakujące ataki właściwie w każdym zakątku świata.

W chwili objęcia urzędu Obama odziedziczył ten nowy i wciąż rozwijający się system. Właśnie to narzędzie, a zwłaszcza wykorzystanie dronów, okazało się śmiertelnym zagrożeniem dla Al-Kaidy. Wywoływało ono wprawdzie niepokój wśród osób, które obawiały się potencjalnych nadużyć (lokalizowanie i zabijanie ludzi za pomocą zdalnie sterowanych urządzeń było dość przerażającym futurystycznym pomysłem), ale paradoksalnie stanowiło też ogromny postęp w humanitarnym podejściu do wojny. Od dawna uważano, że trzema zasadami wojny prowadzonej zgodnie z prawem powinny być: konieczność – stosowanie przemocy tylko w ostateczności, zwrócenie się wyłącznie przeciwko właściwym osobom oraz unikanie zabijania tych niewłaściwych. Trudno odmówić prawa do użycia siły w celu obrony przed bin Ladenem i jego organizacją wykorzystującą samobójcze ataki do masowych mordów. Drony nadawały się do tego celu jak żadne inne środki: możliwość bezszelestnej obserwacji celu przez wiele dni, ty-

godni, a nawet miesięcy przed podjęciem decyzji o ataku znacznie zwiększyła prawdopodobieństwo uderzenia we właściwy obiekt i wykluczała pomyłkę. Było to nieporównanie skuteczniejsze od walki na ziemi, a nawet od najbardziej precyzyjnych bomb czy pocisków sterowanych. Skoro walka była nieunikniona, to trzeba podkreślić, że drony zabiły o wiele mniej cywili niż którakolwiek ze stosowanych wcześniej broni, a na dodatek nie naraziły na ryzyko żadnego amerykańskiego żołnierza.

Obama nie nadużywał tego systemu i w większości przypadków osobiście podejmował ostateczną decyzję o zabiciu danej osoby. W niektórych okolicznościach o akcji decydował dyrektor CIA. Najpierw dokładnie analizowano dany przypadek, a następnie ustalano, czy kierować uderzenie na cel. Obama zlecił Departamentowi Sprawiedliwości i prawnikom z CIA opracowanie tajnych wytycznych, które miały stanowić pierwszy krok w stronę prawnego uregulowania tych procedur. Chodziło o to, by następcą prezydenta odziedziczył po nim jasne zasady, precedens⁹⁾ oraz wyraźnie wyznaczone ograniczenia. Administracja nie ujawniła tych wytycznych, co nie spodobało się wielu osobom zaniepokojonym coraz częstszym użyciem dronów. Nie ma wątpliwości, że przy wszystkich wspomnianych ograniczeniach Obama regularnie i bez większych oporów decydował się na naciskanie spustu.

9) Prawo precedensowe za źródło przepisów uznaje ustawy oraz orzeczenia sądowe. System ten występuje w Irlandii, Australii, Wielkiej Brytanii i USA. Prawo tworzy się na podstawie rozstrzygnięć w konkretnej sprawie wydawanych przez sąd lub władzę ustawodawczą (a więc także prezydenta). Tworzą one precedens, który w przyszłości stanowi podstawę do wydawania podobnej decyzji w podobnej sprawie. System po polsku nazywany prawem precedensowym, po angielsku nosi nazwę *common law*, czyli wspólne prawo (przyp. red.).

Wiele osób było zaskoczonych takim postępowaniem prezydenta. Bush przyszedł do Białego Domu z dość skromnym doświadczeniem wojskowym (w czasie wojny w Wietnamie służył jako pilot w lotnictwie Gwardii Narodowej), ale i tak przedstawiciele armii uznawali go za swojego człowieka. Był to prezydent, który otwarcie wyrażał swoją miłość do wojska i bez wahania popierał działania militarne. Mówił po żołniersku, zdecydowanie i twardo, przeciągając samogłoski z charakterystycznym teksańskim akcentem. Jego ojciec był bohaterem wojennym i miał w życiorysie służbę na stanowisku dyrektora CIA (siedziba sztabu CIA w Langley została nazwana imieniem George'a Herberta Walkera Busha). Obama z kolei był typowym cywilem, od samego początku uparcie i niezmiennie krytykował inwazję na Irak, którą nazwał „głupią wojną”. Na początku kampanii o nominację demokratów w 2008 roku przedstawiał się jako przeciwnik wojny, atakując we wstępnych wyborach swoich przeciwników, zwłaszcza Hillary Clinton, za to, że od początku popierała działania militarne w tym konflikcie. Obama krytykował też stosowanie kontrowersyjnych metod śledztw, do których należały przesłuchania z wykorzystaniem środków przymusu, tzw. nadzwyczajne wydawanie podejrzanych, procesy przed trybunałami wojskowymi i zatrzymywanie podejrzanych na czas nieokreślony. Argumentował, że bezpieczeństwo narodowe nie powinno górować nad wartościami wyznawanymi przez na-

ród. Wielokrotnie mówił o konieczności negocjacji z wrogiem oraz o znaczeniu wzajemnego zrozumienia, czyli o czymś, co niespecjalnie podtrzymuje ducha w szeregach armii. Podczas zaledwie dwudziestu miesięcy działalności Obamy w Senacie, większość Amerykanów najczęściej słyszała z jego ust nawoływania do jak najszybszego wycofania armii z Iraku oraz żądania dotyczące jasnego sformułowania strategii wyjścia z Afganistanu. Wszyscy spodziewali się, że będzie to prawdziwy prezydent-pacyfista.

Okazało się jednak, że podczas pierwszych dwóch lat jego prezydentury liczba ataków z wykorzystaniem dronów ponad czterokrotnie przekroczyła liczbę takich akcji w czasie obydwu kadencji Busha. Obama wykazywał przy tym niezwykle entuzjazm i uznanie dla Dowództwa Operacji Specjalnych. Wyglądało na to, że całkowicie popiera poglądy generała Petraeusa, który mówił, że chce codziennie zasypiać, mając więcej przyjaciół i mniej wrogów – ze szczególnym naciskiem na „mniej wrogów”.

Ludzie, którzy uważnie obserwowali Obamę, nie byli zaskoczeni. Od czterech lat coraz bardziej szczegółowo i wyraźnie mówił o tym, że jest gotów prowadzić wojnę, a w szczególności wojnę z Al-Kaidą. Nieco ponad rok po zamachach z 11 września, gdy prezydent Bush szykował się do inwazji na Irak, Obama – wówczas jeszcze stosunkowo nieznany poza swoim okręgiem – został poproszony o wystąpienie na antywojennym wiecu w Chicago. Był jednym z mniej znaczących mówców, a jego przemówienie nie zostało wspomniane ani słowem w porannym wydaniu „Chicago Tribune”. Przyjęto je zresztą bez wielkich emocji. David Remnick w swojej książce *The Bridge* pisze, że Obama czuł się na wiecu dość nieswojo i nie przekonała go wymowa tej akcji. Gdy słuchał rzewnych dźwięków *Give Peace a Chance* Johna Lennona, pochylił się do jednej z organizatorek – Bettylu Saltzman – i spytał, czy nie mogliby zagrać czegoś innego. Żarliwe przemówienie, które wzbudziłoby poklask wśród znużonych lewicowców zgromadzonych na Federal Plaza, mogłoby podkręcić temperaturę wiecu i spodobać się miejscowej prasie, ale zagrażałoby utratą wyborców na terenie całego stanu. Obama skonsultował się z doradcami przygotowującymi go do kampanii do Senatu, próbując sformułować przekaz, który – jak napisał później Remnick – „wyróżniłby sprzeciw wobec inwazji na Irak, a jednocześnie nie sugerowałby słabości kandydata w kwestii walki z terroryzmem, która dyskwalifikowałaby go”. Doradcy chcieli, żeby wygłosił przemówienie, bo każdy Afroamerykanin ubiegający się o stanowisko w administracji stanowej Illinois musi starać się o pozyskanie wyborców z Chicago. Obama musiał zatem mówić do zgromadzonych, pamiętając o tym, że jego głos będzie słyszany w znacznie szerszym gronie.

Przemówienie przyszłego prezydenta zostało więc bardzo starannie przemyślane. Dziś wiadać, że wygłaszał je człowiek, który stoi na początku wielkiej kariery. Było przesadnie dramatyczne i wtórne, bo wyraźnie naśladowało słynną mowę Martina Luthera Kinga, zaczynając się od słów „Miałem sen”. Pobrzmiwała w nim ostrożność i polityczna kalkulacja, ale gdy spojrzeć na nie z perspektywy kilku lat, można też odkryć głębokie przekonanie. Słowa Obamy pokazały także, jak mocno zmieniły się jego poglądy w tych kwestiach od czasu uwag zamieszczonych rok wcześniej na łamach „Hyde Park Herald”. Przemówienie zaczęło się od następującego zdania: „Pozwólcie mi zacząć od stwierdzenia, że choć ten wiec jest reklamowany jako antywojenny, to staję przed wami jako człowiek, który nie w żadnych okolicznościach jest przeciwnikiem wojny”.

Obama wspomniał wojnę secesyjną, „jedną z najkrwawszych w historii”, która uwolniła Amerykę od „plagi niewolnictwa”.

– Nie jestem więc przeciwnikiem wszystkich wojen – mówił. Wspomniał swojego dziadka, który brał udział w II wojnie światowej. – Walczył w imię wolności, należącej do arsenału demokracji, która pokonała zło, i nie walczył na marne – powiedział, po czym jeszcze raz podkreślił – nie jestem przeciwnikiem wszystkich wojen.

Powtarzał potem te słowa jak refren, naśladując Martina Luthera Kinga, który wzruszające słowa „Miałem sen” wypowiadał w swoim przemówieniu kilkakrotnie. Zapożyczenie najsłynniejszego chwytu retorycznego od Kinga, wielkiego orędownika pacyfizmu, w przemówieniu wyrażającym przekonanie o konieczności wojny, wymagało nie lada śmiałości.

– Po 11 września, po tym, jak ujrzałem masakrę i zniszczenie, kurz i łzy, poparłem władze, które obiecały wytropić i zlikwidować ludzi mordujących niewinnych w imię nietolerancji. Sam bez wahania sięgnę po broń, żeby zapobiec kolejnej takiej tragedii. Nie jestem przeciwnikiem wszystkich wojen.

Następnie potępił trwającą inwazję na Irak, nazywając ją „głupią i nierozważną”, ale słuchacze najbardziej zapamiętali jego pochwałę wojny, jako sprawiedliwej i koniecznej, jego wiarę w to, że niektóre wojny warto stoczyć – a ta z Al-Kaidą na pewno do takich należała. Przemówienie było podwójnie śmiałe w ustach kogoś, kto myślał o kandydowaniu do amerykańskiego Senatu. Obama z jednej strony sprzeciwił się powszechnym antywojennym nastrojom panującym wśród słuchaczy na wiecu, ale z drugiej – wystąpił wbrew wyborcom z Illinois, którzy masowo popierali wojnę z Irakiem i w większości sytuowali się daleko na prawo od niewielkiej grupy protestującej w centrum Chicago. Jeśli chodzi o inwazję na Irak, poglądy Obamy odbiegały od powszechnych nastrojów społecznych, ale w obliczu ataku Al-Kaidy, porzucił wezwania do prowadzenia jakiejś ogólnoswiatowej kampanii walki z ubóstwem. Był gotów „sięgnąć po broń” i osobiście stanąć do wojny z terroryzmem. Przyszłość miała mu dać taką szansę i to w znacznie bardziej bezpośredni sposób, niż mógł sobie wyobrazić.

Trzy lata później, po zwycięstwie w wyborach do Senatu w 2004 roku i szybkim awansie do pierwszej ligi politycznej, Obama stanął do walki o prezydenturę. W sierpniu 2007 roku ta walka wciąż trwała. Gdy w lutym zgłosił swoją kandydaturę, wywołał sensację, ale emocje szybko wygasły, gdyż jego strata do Hillary Clinton była znaczna. W szeregach demokratów pani Clinton była uznawana za pewniaka do nominacji, a przecież przed Obamą był jeszcze John Edwards, który miał zastąpić swoją koleżankę, gdyby jakimś trafem powinęła się jej noga.

W tamtym czasie największym atutem Obamy wydawało się właśnie przemówienie z 2002 roku. Cierpliwość Amerykanów w związku z iracką kampanią była już na wyczerpaniu, a oto stawał przed nimi atrakcyjny elegancki polityk-pacyfista. Wszyscy kandydaci demokratów stający do wyścigu do Białego Domu byli przeciwni dalszemu prowadzeniu wojny i rywalizowali w tej chwili wyłącznie o to, kto będzie najbardziej zdecydowanym i najbardziej wyrazistym pacyfistą. Obama nie był senatorem w czasie, gdy głosowano za akceptacją wojny, więc mógł pokazać, że w tej kwestii zachowuje całkowitą ideologiczną czystość i uczciwość, w przeciwieństwie do Clinton i Edwardsa. Po przemówieniu w Chicago znalazł się w szeregu tych, którzy od samego początku sprzeciwiali się wojnie, był zatem najlepszym kandydatem-pacyfistą i tak też przedstawiał się wyborcom. Najważniejszym argumentem zastosowanym przez Obamę w

ataku na Clinton była krytyka jej zgody na prowadzenie wojny przez Busha, podczas gdy on sam od początku zajmował mało popularne stanowisko, kierował się zasadami i ostatecznie okazało się, że to on miał rację.

Gwiżdza Obamy zaświeciła tak jasno, że wielu uznało go za efemerydę na firmamencie polityki. Jego przeciwnicy byli zdumieni i poirytowani mesjanistycznym żarem, jaki wywołała jego kampania oraz sama jego postać. Najlepszą reakcją było przekonanie wyborców, że Obama idzie zdecydowanie za szybko. Miał czterdzieści pięć lat, a za sobą jedynie pół kadencji na stanowisku senatora, więc nawet jeśli los wyznaczył go na pierwszego czarnoskórego prezydenta Ameryki, to nie był jeszcze gotowy na objęcie urzędu. Przecież należał do najmłodszych kandydatów kiedykolwiek ubiegających się o prezydenturę.

Brak doświadczenia miał być zatem koronnym argumentem, którego używała pani Clinton, gdy tylko Obama dał jej taką okazję. Zdarzyło się tak po debacie w CNN i na YouTube, przeprowadzonej 23 lipca, kiedy zapytano go o to, czy rozważyłby spotkanie z wrogami Ameryki bez stawiania warunków wstępnych. Pytający, którego twarz pokazano na wielkim ekranie, z aprobatą przytaczał odważną (a w konsekwencji samobójczą) decyzję prezydenta Egiptu Anwara Sadata, który w 1977 roku postanowił rozpocząć pokojowe rozmowy z Izraelem. Zapytał, czy którykolwiek z kandydatów skłaniałby się w pierwszym roku urzędowania do spotkania bez warunków wstępnych z przywódcami Iranu, Syrii, Wenezueli, Kuby i Korei Północnej w celu „zbudowania mostu nad przepaścią dzielącą nasze kraje”.

Łatwo było się wymigać od odpowiedzi na to pytanie, mówiąc na przykład: „Negocjacje są niesłychanie ważne... Nie wykluczałbym takiego rozwiązania... Nasze stosunki z tymi krajami sięgają daleko wstecz...”, lecz Obama nie uchylił się od odpowiedzi. Stał na efektownej scenie przed lśniącymi czerwono-biało-niebieskimi parawanami, mając przed sobą skromny modernistyczny pulpit ze stali i plastiku. Miał odpowiedzieć na to pytanie jako pierwszy z ośmiu kandydatów.

– Tak, rozważyłbym – odparł.

Publiczność w studiu zareagowała zdumieniem, zaskoczona bezpośredniością odpowiedzi. Wszyscy byli przyzwyczajeni do uników i ogólników.

– Oto moje uzasadnienie – wyjaśnił. – Myśl o tym, że niepodejmowanie rozmów z jakimiś państwami to dla nich kara (a taka była główna zasada dyplomacji prowadzonej przez administrację George’a W. Busha – przyp. aut.), jest doprawdy śmieszna... Możemy im nie ufać, możemy zdawać sobie sprawę z tego, że stanowią wyjątkowe zagrożenie dla naszego państwa, ale mamy obowiązek znaleźć takie obszary, w których możliwy jest postęp. Według mnie to wstyd, że nie rozmawiamy z nimi.

Hillary Clinton, która odpowiadała następną, powiedziała zdecydowanie, że nie podjęłaby takich rozmów. Wyjaśniła, że starannie przygotowano grunt pod negocjacje z wrogimi państwami i że nie można ich prowadzić zbyt pochopnie. Wydawało się jednak, że podobnie jak inni, jest zdumiona słowami Obamy. Podczas tej debaty nie zdecydowała się na ostry atak, jednak następnego dnia – bez wątplenia po analizie przeprowadzonej wspólnie z osobami odpowiedzialnymi za jej kampanię – powróciła do tego tematu w znacznie ostrzejszych słowach, określając w wywiadach wypowiedź Obamy jako „nieodpowiedzialną i szczerze naiwną”.

Tu w grę wchodziły kwestie czysto polityczne. Stany Zjednoczone, niezależnie od tego, z

której partii pochodził prezydent, od dawna pielęgnowały tradycję negocjowania nawet z największymi wrogami – począwszy od Johna Kennedy’ego („Nigdy nie negocjujemy ze strachu, ale też nigdy nie bójmy się negocjować”), poprzez Nixona otwierającego nowy rozdział w stosunkach z Chinami, aż po słynny „spacer po lesie” Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa. Postawa Obamy doskonale wpisywała się w utrwalone praktyki amerykańskiej dyplomacji. Polityka George’a W. Busha, prowadzona po 11 września („Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”) stanowiła w tym kontekście niekorzystny wyjątek, gdyż eliminowała z dziedziny dyplomacji pewną finezję. Rozsądny polityk, mający na sercu dobro stosunków międzynarodowych, a takim człowiekiem była Hillary Clinton, nie powinien pomijać okazji do rewizji relacji z wrogimi krajami, którą przecież otrzymuje każdy nowo wybrany prezydent. Cóż, potoczna mądrość zabraniała przyznawania się do takich zamiarów, bo kandydata uznawano wówczas za zbyt miękkiego. Określenie naiwny było doskonałym orężem w ręku tych, którzy chcieli pokonać Obamę w politycznym wyścigu.

Ten przymiotnik działał przeciwko niemu, bo wiele osób uznawało go za człowieka mało wyrazistego i niezbyt konkretnego. Czekало go jeszcze wiele pracy przy szczegółowym określeniu swoich poglądów, między innymi na politykę zagraniczną. W kwietniu wygłosił przemówienie, w którym utrwalił swój pacyfistyczny wizerunek, nawołując głównie do odnowy w stosunkach międzynarodowych, większej gotowości do poszukiwania konsensusu oraz do współpracy z innymi krajami, umożliwiającej osiągnięcie celów związanych z bezpieczeństwem narodowym. Wypowiedź o negocjacjach z wrogami bez warunków wstępnych sprawiła, że krytycy z łatwością mogli go przedstawiać jako kompletnego mięczaka. Można było też wyciągnąć z niej wniosek, że Obama to człowiek, który poświęca zbyt mało czasu na staranne przemyślenie swojego stanowiska.

Etykieta człowieka naiwnego szybko do niego przyłgnęła, przysparzając mu sporo problemów. Wydawało się, że eksperci telewizyjni nie potrafią wypowiedzieć jego nazwiska, nie opatrzyć go tym przymiotnikiem. Przez kilka następnych tygodni jego notowania spadały, natomiast Hillary Clinton ciągle pięła się w górę.

W sztabie Obamy pojawił się niepokój. Niektórzy namawiali go, żeby zmienił stanowisko, on jednak upierał się przy swoim.

– Chodzi o to, że ja mam w tej kwestii rację – stwierdził podczas spotkania ze swoimi doradcami, Denisem McDonoughem i Robertem Gibbem. – Dlaczego mielibyśmy nie chcieć podejmować jakichkolwiek negocjacji, gdyby pojawiła się taka szansa? – W końcu poprosił sztabowców o przeprowadzenie w ogólnokrajowym kanale telewizyjnym wywiadu, w którym chciał podtrzymać i umocnić swoje stanowisko. Uważał, że właśnie taki sygnał chce przekazać wyborcom. Proponował zerwanie z przeszłością i nowe spojrzenie na zagadnienia związane z polityką zagraniczną.

To był dopiero początek. Obama nie zamierzał pozwolić na to, by zamiast jego analizy pojawiły się postulaty przedstawiane przez innych. On chciał zająć się tym problemem samodzielnie, poszukując nowego, oryginalnego, autorskiego rozwiązania. Według niego znaczna część amerykańskiej filozofii dotyczącej obronności była uformowana według archaicznych wzorców. Pojawiały się w niej stare podziały na lewicę i prawicę, konserwatystów i liberałów, jastrzębie i gołębie – podziały ukształtowane jeszcze podczas debaty nad konfliktem w Wietnamie. Gdy ta

wojna dobiegła końca, Obama miał zaledwie trzynaście lat, a sporej liczby amerykańskich wyborców nie było jeszcze na świecie. Żadne inne wydarzenie nie naruszyło tej dawnej dynamiki podziałów tak mocno jak wydarzenia z 11 września. Dotyczyło to zwłaszcza młodych ludzi, których trudno było sklasyfikować wedle tamtych kryteriów. W przypadku większości zagadnień społecznych wyrażali oni znacznie bardziej liberalne poglądy niż ich rodzice, więc sklaniali się do głosowania na Obamę, ale jednocześnie mocno popierali zdecydowane działania armii i wywiadu. Obama wiedział, że w kwestii walki z Al-Kaidą jest takim samym jastrzębiem jak każdy Amerykanin, ale niektóre narzędzia kojarzone tradycyjnie z gołębiami (na przykład negocjacje i współpraca międzynarodowa) nie były dla niego wyłącznie środkiem do ugłaskania wroga.

John Heilemann i Mark Halperin piszą w książce *Game Change*, że kilka tygodni wcześniej Obama zaprosił do Chicago jednego ze swoich bliskich przyjaciół i dawnych profesorów prawa – Chrisa Edleya. Miał on ostro skrytykować członków ścisłego kierownictwa sztabu wyborczego Obamy za to, że nie pozwalają mu na prowadzenie kampanii według własnego pomysłu. Chodziło głównie o to, że niezwykle napięty terminarz nie pozostawia kandydatowi czasu ani miejsca na szczegółowe wyłożenie jego wizji politycznej.

– To jest człowiek, który lubi myśleć, lubi pisać, lubi rozmawiać z ekspertami – powiedział Edley, z którego zdaniem sztabowcy musieli się liczyć ze względu na jego doświadczenie wyniesione z poprzednich kampanii demokratów oraz pracy w Białym Domu – musicie zdawać sobie sprawę z tego, po co Obama w ogóle zabiera się za politykę. On bierze w tym wszystkim udział, ponieważ chce wnieść swój wkład w filozofię prowadzenia polityki państwowej, a wy musicie mu dać na to czas... Z całym szacunkiem dla zgromadzonych – powinniście po prostu odsunąć się w cień i zrobić to, czego chce wasz kandydat.

Tak więc niedługo po burzy wywołanej obietnicą „negocjacji bez warunków wstępnych” postanowiono, że Obama wygłosi kolejne poważne przemówienie poświęcone bezpieczeństwu narodowemu. Miało ono miejsce 1 sierpnia w waszyngtońskim Woodrow Wilson International Center i zawierało dość szczegółową charakterystykę poglądów Obamy na bezpieczeństwo narodowe, a zarazem zacięło wrazenie, jakoby kandydat był „naiwny” lub co gorsza „miękki” w kwestii obronności państwa.

Narodowy Raport Wywiadu (National Intelligence Estimate) opracowany wiosną tamtego roku wskazywał na to, że w poprzednich sześciu latach Al-Kaida jeszcze się wzmocniła. Napisało w nim, że po upadku talibów Pakistan stał się nowym bezpiecznym schronieniem dla tej organizacji terrorystycznej. Wszyscy kandydaci demokratów zapowiadali zmiany, ale poza obietnicą zakończenia wojny w Iraku oraz rezygnacji z najbardziej kontrowersyjnych metod pozyskiwania danych wywiadowczych (których większość i tak już zarzucono) żaden z nich nie przedstawił takiego stanowiska w kwestii bezpieczeństwa narodowego, które wyraźnie różniłoby się od filozofii Busha.

Na spotkaniu w Wilson Center były kongresmen Lee Hamilton przedstawił Obamę kilkusetosobowej publiczności, wśród której było wielu dziennikarzy. Nad przemówieniem pracowali wszyscy doradcy Obamy ds. polityki zagranicznej, więc zadbano o staranny dobór każdego słowa. Za opracowanie podstawowych założeń i wstępny szkic wystąpienia odpowiadał Ben Rhodes, który jako absolwent New York University obserwował niegdyś z brooklyńskiego nabrzeża, jak padają wieże World Trade Center. Teraz ten mężczyzna z przedwcześnie przerzedzoną

czupryną i dwudniowym zarostem należał do ścisłego sztabu kampanii Obamy. Zamiast zabrać się za swoją pierwszą powieść, dołączył do sztabu Hamiltona w czasie, gdy kongresmeni objął stanowisko współprzewodniczącego komisji badającej zamachy z 11 września. Rhodes opracował wstępne propozycje do założenia Raportu Komisji i pomagał przy tworzeniu rozdziału zatytułowanego *Co robić?*. Jeden z podrzędziół nosił tytuł *Zaatakować terrorystów i ich organizacje*, a pierwszy z zakazów brzmiał „Żadnych bezpiecznych schronień”. Na liście państw, które wedle największego prawdopodobieństwa mogłyby gościć grupy terrorystyczne, pierwsze miejsce zajmował Pakistan. Rhodes pomógł też Hamiltonowi i drugiemu współprzewodniczącemu, byłemu gubernatorowi New Jersey Tomowi Keanowi, w napisaniu książki o pracy komisji. Następnie wspomagał Hamiltona w pracy w Zespole Badawczym ds. Iraku, któremu senator współprzewodniczył, a w końcu dołączył do sztabu Obamy, jako doradca ds. polityki zagranicznej i *speechwriter*¹⁰). Współtworzył niektóre senackie wystąpienia Obamy na temat Iraku, a następnie zatrudnił się w biurze senatora w Chicago. Teraz miał przygotować zarys pierwszego przemówienia w ramach kampanii, przemówienia, które miało mieć ogromne znaczenie i podejmowało bliski mu temat.

10) Specjalista zajmujący się przygotowywaniem przemówień (przyp. tłum.).

Podczas telefonicznej konferencji z Rhodesem, McDonoughem, Samanthą Power i kilkorgiem innych doradców ds. bezpieczeństwa narodowego Obama przedstawił siedem punktów, którymi chciał się zająć w wystąpieniu. Rhodes i Power zmniejszyli tę liczbę do pięciu. Jeden punkt dotyczył wysiłków zmierzających do zniszczenia Al-Kaidy. W kwestii bezpiecznych schronień Rhodes cały czas pamiętał o słowach Obamy:

– Przedstawmy jak najostrzejsze sformułowania, które nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że zamierzamy dopaść tych ludzi – tutaj tkwi sedno całego sporu.

Stojąc przed zebranymi w Wilson Center, Obama zaczął wystąpienie od nawiązania do własnych przeżyć z 11 września. Mówił o pierwszych radiowych doniesieniach, które dotarły do niego, kiedy jechał samochodem do Chicago, a także o tym, jak stał na chodniku w Loop i patrzył na Sears Tower, a na ekranie telewizyjnym widział walące się wieże WTC. Powiedział, że w ciągu sześciu lat, które minęły od tamtej chwili, gdzieś roztrwoniono poruszające poczucie narodowej jedności oraz wspólnoty celów, które pojawiły się po atakach. Administracja Busha dobrze rozpoczęła walkę, obalając taliban i wypierając prawdziwego wroga, czyli Al-Kaidę, z baz w Afganistanie. Potem jednak zrujnowano sprawę. Zamiast ścigać organizatorów zamachów z 11 września, którzy gonili już ostatkiem sił, uciekając przed pościgiem, administracja Busha zdecydowała się na wejście do Iraku i obalenie Saddama Husajna. Natychmiast okazało się, że ten front wymaga zaangażowania większości sił zbrojnych i wywiadowczych Ameryki. Obama powiedział, że posunięcie Busha zostało „potulnie zaakceptowane” przez Kongres, świadomie atakując głównych konkurentów z własnej partii. Stwierdził, że była to „niefortunna inwazja na muzułmański kraj, która wywołuje nowe powstańcze akcje, wiąże nasze siły zbrojne, wyczerpuje budżet, zwiększa zasięg werbunku do grup terrorystycznych, prowadzi do izolacji

Ameryki, psuje wizerunek demokracji i skłania naród amerykański do kwestionowania naszego zaangażowania na całym świecie". Powołał się też na nowy raport wywiadu jako dowód, że Al-Kaida zmieniła jedynie swój adres, ale nadal ma się doskonale.

Mówca po raz kolejny wezwał do zakończenia wojny w Iraku, podkreślając, że w tym przypadku nie kieruje się przekonaniami pacyfistycznymi, lecz dążeniem do skupienia sił na prawdziwym wrogu Ameryki. Obiecał, że swoje zainteresowanie przeniesie na jeden cel – zniszczenie Al-Kaidy. Zaznaczył, że to jest właśnie misja, jaką postawiły przed Ameryką wydarzenia z 11 września, a zarazem narodowy priorytet, ważniejszy od pokojowych relacji z Pakistanem czy jakimkolwiek innym państwem. Stwierdził też, że administracja Busha zbyt szeroko definiowała wroga, co nie tylko zmniejszyło siłę naszej reakcji, ale sprzyjało propagandzie Al-Kaidy, w myśl której Ameryka toczyła wojnę z całym światem islamu. Konieczna wojna wymagała znacznie mniejszego pola działania – chodziło o to, by znaleźć, zlokalizować i zniszczyć organizację terrorystyczną. Obama mocno podkreślił swoją determinację, mówiąc, że nie będzie mowy o żadnych bezpiecznych schronieniach i skupił się szczególnie na Pakistanie.

– Korzystając z tego bezpiecznego schronienia, terroryści z Al-Kaidy szkolą rekrutów, swobodnie się przemieszczają i utrzymują kontakt z całym światem – powiedział. – Taliban stosuje strategię uderzenia i odskoku, zadaje cios w Afganistanie, po czym czmycha za granicę i tam się przyczaja w bezpiecznym miejscu. To jest dzika granica naszego świata, świata globalizacji. To kraina wietrznych pustyń, gór i niezliczonych jaskiń. Są plemiona, dla których granice to po prostu linie na mapie, a rządy to wojska, które przychodzą i odchodzą. Więzy krwi są dla nich silniejsze od sojuszy opartych na wspólnocie interesów, a ekstremistyczne grupy, głoszące hasła religijne, nierzadko uciekają się do przemocy. To trudne miejsce, ale nie możemy się tym tłumaczyć. Na świecie nie mogą istnieć bezpieczne schronienia dla terrorystów zagrażających Ameryce. Nie możemy wstrzymywać się od działań tylko dlatego, że są one trudne. Jako prezydent podjąłbym decyzję o tym, że przekazując Pakistanowi miliony dolarów w ramach naszej pomocy wojskowej, stawiamy jasne warunki – kraj ten musi poczynić wyraźny postęp w zamykaniu obozów szkoleniowych i wydalaniu obcokrajowców należących do grup terrorystycznych. Władze tego kraju muszą też sprawić, żeby talibowie przestali wykorzystywać jego terytorium jako bazę podczas ataków na Afganistan. Rozumiem, że prezydent Musharraf ma swoje własne problemy, ale powiem jasno – w tych górach kryją się terroryści, którzy zamordowali trzy tysiące Amerykanów i planują kolejne uderzenia. Popelniono straszliwy błąd, powstrzymując się od działania w chwili, gdy pojawiła się szansa na rozbicie narady kierownictwa Al-Kaidy w 2005 roku. Jeśli będziemy mieć użyteczne, sprawdzone dane wywiadowcze na temat celów o dużym znaczeniu, a prezydent Musharraf nie podejmie działań, sami wkroczymy do akcji.

Wprowadzenie końcowego zdania do przemówienia poprzedziły długie narady. Pierwotna wersja, przedstawiona przez Rhodesa, brzmiała tak: „Jeśli będziemy mieli wyznaczone cele ataku [na terenie Pakistanu], a prezydent Musharraf nie podejmie działań, sami wkroczymy do akcji”. Było ono zgodne z zaleceniami kandydata, który mówił, żeby wystąpienie było „jak najostrzejsze”. Przypadek Pakistanu był jednak delikatny, bo ten niestabilny kraj odgrywał ogromne znaczenie dla powodzenia wojny w Afganistanie. To państwo, dysponujące bronią jądrową, leży w jednym z najbardziej zapalnych zakątków świata, a na dodatek, niektóre siły w łonie organów władzy, zwłaszcza w potężnej agencji wywiadowczej Inter-Services Intelligence (ISI),

utrzymywały kontakty z islamskimi radykałami najróżniejszej maści. Prezydent Pakistanu Pervez Musharraf prowadził nietatwą grę z administracją Busha – współpracował na tyle, by nikt nie mógł uznać go za wroga, ale nie kwapił się szczególnie do tropienia ekstremistów ukrywających się w północno-zachodniej części kraju, gdzie nie sięgało już żadne prawo. Groźba polowania na „cele” z pominięciem współpracy z Pakistanem wywołała pewien niepokój w szeregu zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego pracującego dla Obamy.

Żadna z osób, które zgromadziły się w waszyngtońskiej siedzibie sztabu Obamy, by przeanalizować treść przemówienia, nie była zadowolona z ostatniej linijki. W zebraniu uczestniczyli Robert Gibbs, Susan Rice, Jeh Johnson, Rand Beers i Richard Clarke, współpracujący z Obamą w czasie kampanii jako główny konsultant ds. bezpieczeństwa.

– Posłuchaj, tak się nie mówi o tych sprawach – powiedział Clarke, wyjaśniając znaczenie współpracy z plemionami zamieszkującymi północno-zachodni Pakistan.

Jednak kandydat był nieugięty i upierał się przy tej kwestii. To zdanie wyrażało dokładnie jego poglądy i zamierzenia, które chciał zrealizować jako prezydent.

– Nie jestem przeciwnikiem wszystkich wojen – Obama naprawdę zamierzał się rozprawić z realnym zagrożeniem. Dyskusja skupiła się zatem na doborze słów i dodaniu dwóch zastrzeżeń: Jeśli będziemy mieć użyteczne, sprawdzone dane wywiadowcze i cele o dużym znaczeniu. Chodziło o to, żeby wyraźnie pokazać, że Obama mówi o podjęciu działań wyłącznie w wyjątkowych okolicznościach i w określonym, ściśle ograniczonym zakresie.

Postanowiono iść na całość i zapomnieć o ostrożnych sformułowaniach. Przyszły prezydent podejmował w swoim wystąpieniu wiele tematów, powracając do planu wycofania wojsk z Iraku, obiecując wzmocnienie wysiłków w walce z talibami w Afganistanie oraz wygłoszenie ważnego przemówienia gdzieś na Bliskim Wschodzie w ciągu pierwszych stu dni prezydentury. Miał w nim ponownie zdefiniować misję, jaką Stany Zjednoczone będą wypełniać w tym regionie. Zapowiedział też zamknięcie więzienia w Guantánamo i zakończenie programów z epoki Busha polegających na „śledzeniu” amerykańskich obywateli. Dziennikarze skupili się jednak właściwie tylko na jednym zdaniu wypowiedzi o ściganiu celów w Pakistanie. Wszyscy gorączkowo dyskutowali o wystąpieniu kandydata.

Jeff Zeleny z „New York Timesa” donosił, że Obama „obiecał wysłać amerykańskich żołnierzy do walki w celu likwidacji obozów terrorystów” w Pakistanie.

Podtytuł tekstu w „Los Angeles Times” głosił: *Obama zastrzega sobie prawo do inwazji*, a reporter Paul Richter napisał: „Senator Barack Obama powiedział w środę, że Stany Zjednoczone powinny sobie zastrzec prawo do inwazji na terytorium swojego pakistańskiego sojusznika i wycofać amerykańską pomoc finansową, jeśli wedle opinii władz prezydent Pakistanu Pervez Musharraf nie będzie podejmował wystarczających starań w celu powstrzymania terrorystów”.

Liberałowie oskarżyli senatora o przejmowanie kowbojskiej mentalności, typowej dla administracji Busha. Konserwatyści z kolei zarzucali mu rzekomy brak finezji – czyżby nie rozumiał delikatnego charakteru naszych stosunków z Pakistanem? Nawet jeśli planował podjęcie takich kroków, to powinien rozumieć, że o tym się po prostu nie mówi.

Liberalny bloger Jerome Armstrong nie ukrywał rozczarowania. „Dla postępowych demokratów, którzy pragną bardziej pokojowego przywództwa w świecie [przemówienie Obamy] nie stanowi przełomu, dzięki któremu moglibyśmy wreszcie przestać wpływać się w kolejne

starcia na Bliskim Wschodzie i odrzucić doktrynę Busha zakładającą ataki prewencyjne”.

Konserwatywny felietonista William Kristol napisał, że Obama „gorączkowo sugeruje, że wkroczy do Pakistanu”, żeby uwiarygodnić swój wizerunek twardego faceta w starciu z Hillary Clinton.

Rush Limbaugh wyśmiał Obamę w swoim programie radiowym. Zauważył, że Osama bin Laden nawoływał swoich zwolenników do obalenia Musharrafa, a teraz Obama (- Mylą mi się ci goście - rzucił z przekąsem) grozi „wejściem do Pakistanu”. Limbaugh dodał też:

- Jeśli go wybiorą, to biedny Musharraf znajdzie się w kleszczach.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że jest to bardzo nieodpowiedzialne oświadczenie - stwierdził minister spraw zagranicznych Pakistanu Khurshid Kauri. - Kampania wyborcza w Ameryce nabiera temperatury, ale nie chcielibyśmy, aby amerykańscy kandydaci walczyli o głosy i toczyli spory naszym kosztem. - Kasuri powiedział, że prezydent Bush osobiście zadzwonił do Musharrafa i zapewnił go, że uważa stwierdzenia Obamy za „nieodpowiednie” i spowodowane względami politycznymi „w okolicznościach związanych z kampanią wyborczą”.

- Nie podzielam jego zdania, zakładającego atak na jednego z naszych sojuszników - oświadczył były gubernator Massachusetts Mitt Romney, który był wówczas liderem wyścigu po nominację partii republikańskiej. - Według mnie takie uwagi nie pomagają w wysiłkach zmierzających do zjednania sobie kolejnych przyjaciół popierających nasze działania. Powiedział też, że wojska amerykańskie „nie powinny być wysyłane we wszystkie zakątki świata”, stwierdzenia Obamy nazwał zaś „niefortunnymi” i wygłoszonymi „w niewłaściwym czasie”.

Niektórzy członkowie obozu Obamy i tym razem uważali, że ich kandydat powinien przedstawić jakieś wyjaśnienia, ale on po raz kolejny odmówił. Powiedział dokładnie to, co myślał. Od członków sztabu oczekiwali, że ich publiczne stanowisko wobec tego stwierdzenia będzie jednoznaczne. Chciał, żeby negowali jakiegokolwiek stwierdzenia o „inwazji”, ale zdecydowanie popierali jego gotowość do jednostronnego działania w Pakistanie, gdyby pojawiły się odpowiednie okoliczności.

- Nie pozwolę, żeby nauk na temat polityki zagranicznej udzielali mi ci sami ludzie, którzy są odpowiedzialni za naszą katastrofę wojenną w Iraku - utrzymywał, odpowiadając na niektóre krytyczne wypowiedzi. W ten sposób wykazywał swoją gotowość do - jak sam twierdził - wykraczania poza szablonowe myślenie.

W trakcie kampanii wydano notatkę, w której kolejny raz powtórzono obietnicę kandydata: „Zdrowy rozsądek nakazywałby nam odkładać kwestię Musharrafa w nieskończoność. Obama chce położyć temu kres. Jeśli Musharraf naprawdę chce ścigać terrorystów i powstrzymać talibów od wykorzystywania Pakistanu jako bazy do swoich operacji, Obama udzieli mu wszelkiej niezbędnej pomocy. Stwierdził jednak jasno, że gdyby pełnił urząd prezydenta i otrzymał użyteczne, sprawdzone dane wywiadowcze o lokalizacji przywódców Al-Kaidy w Pakistanie, a Pakistańczycy nadal odmawialiby prowadzenia działań przeciwko terrorystom, o których wiemy, że stali za atakami na amerykańskich cywilów - użyje wówczas środków, które precyzyjnie uderzą w wyznaczony cel”.

Obama podjął kroki w celu wyjaśnienia swojego stanowiska, ale mimo to jego rzekome wezwanie do „inwazji” na Pakistan błyskawicznie trafiło do obiegu... i zaczęło ewoluować. Człowiek, który w końcu został kandydatem republikanów, senator John McCain, stwierdził wręcz,

że Obama groził „bombardowaniem” Pakistanu.

– Najlepiej nie rozgłaszać swoich zamiarów – powiedział w lutym następnego roku McCain – to naiwne. Najpierw trzeba opracować plan działania, a potem prowadzić operacje, których wymaga interes bezpieczeństwa narodowego. Nie mówi się o zamiarze bombardowania suwerennego państwa, jeśli od dobrej woli obywateli tego kraju zależy pomoc, której mogą nam udzielić przy prowadzeniu wojny mającej na celu zniszczenie talibanu i kryjówek terrorystów.

Zatem w 2007 roku i na początku 2008, wezwanie Obamy, który nawoływał do bezpośredniego, jednostronnego działania w kwestii pościgu za Osamą bin Ladenem, było zdecydowanie potępiane. On sam jednak nie zmienił swoich zamiarów i powrócił do tych planów zaraz po objęciu urzędu. Gdy tylko zasiadł na dobre w prezydenckim fotelu, natychmiast wykazał się zdecydowaniem w tropieniu kierownictwa Al-Kaidy. Nowy prezydent niezwłocznie rozpoczął wycofywanie sił z Iraku, a zamiast tego zwiększył obecność wojskową w Afganistanie i Pakistanie. Duża liczba dronów zaczęła opuszczać Irak i operować na misjach nad urwistymi górami wschodniego Afganistanu oraz wyjętymi spod prawa regionami północno-zachodniego Pakistanu. Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych, którego sztab znajdował się w bazie lotniczej Balad w Iraku, przeniosło się latem 2009 roku do Afganistanu, wzmacniając przepustowość łączy w nowej bazie w celu utrzymania połączenia pomiędzy komputerami wywiadowczymi oraz analitykami w Waszyngtonie. Jak już wspomniano, liczba dronów szybko wzrosła, a stosunki Ameryki z Pakistanem stały się jeszcze bardziej napięte.

Po otrzymaniu pokojowej Nagrody Nobla w październiku 2009 roku, w czasie podejmowania decyzji o wysłaniu kolejnych trzydziestu tysięcy amerykańskich żołnierzy do Afganistanu, Obama stanął przed szansą ponownego szczegółowego przedstawienia swoich poglądów na wojnę.

I znów Rhodes ruszył do pracy. Tym razem prezydent przedstawił mu napisany odręcznie pierwszy konspekt, w którym pojawiły się trzy cytaty z Reinholda Niebuhra, amerykańskiego teologa zdecydowanie opowiadającego się za koniecznością prowadzenia wojen i odrzucającego pacyfizm jako prostą ścieżkę do tyranii. Narodziny faszyzmu w Niemczech i Japonii oraz komunizmu w Rosji skłoniły Niebuhra do głośnej decyzji o odrzuceniu pacyfizmu, któremu był wcześniej wierny przez całe życie. Ruch ten przeżył odrodzenie po I wojnie światowej, która przyniosła bezsensowną rzeź milionów ludzi. Teraz, gdy świat stanął na krawędzi być może większej katastrofy, pacyfiści, wśród których znajdowało się wielu chrześcijańskich myślicieli z Europy i Ameryki, twierdzili, że gdyby ludzie masowo odmawiali służby wojskowej, państwa nigdy już nie byłyby w stanie wznieść wojen. Niebuhr nie podzielał tego poglądu. Zdania zacytowane przez Obamę pochodziły z eseju Niebuhra napisanego w 1939 roku *Dlaczego Kościół katolicki nie wyznaje pacyfizmu*. Teolog zamieścił w nim między innymi takie słowa: „Jeśli wierzymy, że wystarczyłoby, gdyby w Wielkiej Brytanii pojawiło się trzydzieści procent zamiast dwóch procent osób świadomie odmawiających służby wojskowej, a serce Hitlera od razu by zmiękło i nie ośmieliłby się zaatakować Polski, to podzielimy wiarę, która nie jest uzasadniona żadnymi realiami politycznymi”. Niebuhr sądził, że państwa, podobnie jak jednostki, są po prostu niedoskonałe, i tak, jak każdy człowiek musi walczyć ze złem w swoim sercu, tak i państwa muszą walczyć, by pokonać rozpanoszone zło.

Obama już przed kilku laty powiedział, że jest gotów „sięgnąć po broń”. Teraz, gdy miał do

dyspozycji większą potęgę militarną niż jakikolwiek przywódca jakiegokolwiek państwa, był nie tylko gotowy do jej wykorzystania, ale czuł wręcz moralną powinność, by to zrobić. Zamierzał postąpić podobnie jak siedem lat wcześniej, gdy stał na antywojennym wiecu w Chicago – chciał wykorzystać pacyfistyczne zgromadzenie po to, by wyrazić swoją wiarę w uzasadnione moralnie użycie przemocy. Pokojowa Nagroda Nobla wyrosła z tego samego nurtu pacyfistycznego, przeciw któremu zwrócił się Niebuhr w 1939 roku. Była jedną z kategorii ustanowionych przez Alfreda Nobla na prośbę jego przyjaciółki Berthy von Suttner, znanej XIX-wiecznej austriackiej pisarki i pacyfistki, która w końcu sama otrzymała pokojową nagrodę. Trudno się zatem dziwić, że Obama sięgnął po argumenty Niebuhra podczas przygotowań do uroczystości odebrania nagrody w Oslo.

Jego mowa na ceremonii stała się krótkim wykładem na temat konieczności prowadzenia wojen, a jednocześnie hołdem złożonym wykorzystaniu armii – przede wszystkim amerykańskiej – jako jedyne go praktycznego środka realizacji szczytnych ideałów wyznaczonych przez komitet nagrody pokojowej. Obama oddał cześć dwóm spośród najbardziej znanych XX-wiecznych wyznawców doktryny *non-violence*, dr. Kingowi i Mahatmie Gandhitemu, ale zaznaczył:

– Staję przed światem takim, jaki jest i nie mogę pozostać bezczynny w obliczu grózb wyrażanych pod adresem narodu amerykańskiego. Oczywiście jest, że zło naprawdę istnieje na świecie. Żaden pokojowy ruch nie powstrzymałby wojsk Hitlera. Stwierdzenie, że użycie siły jest czasem konieczne, to nie odwołanie do cynizmu, lecz zrozumienie historii, niedoskonałości ludzkiej natury i granic ludzkiego rozsądku.

Zło naprawdę istnieje na świecie. Barack Obama jako prezydent stanął przed możliwością sięgnięcia po broń przeciwko wrogom Stanów Zjednoczonych w sposób bardziej bezpośredni niż ktokolwiek, kto wcześniej piastował ten urząd. Przystał na to bez wahania i robił wszystko, by wykorzystać swoje możliwości. CIA od dawna nazywała każdego prezydenta „Pierwszym Klientem”, a w tej sprawie nie było żadnych wątpliwości, czego najbardziej życzy sobie ten klient.

Michael Morell, zasiadający na siódmym piętrze Langley – w biurze, którego okna wychodziły na Potomac, od dawna podzielał te poglądy. Jako zastępca dyrektora, kierując działem analiz, wiedział, że pomimo braku sukcesów pracownicy tej komórki zawsze mieli świadomość wagi swojego zadania. Nadal pamiętał, jak 11 września latał z prezydentem Bushem nad Stanami, pamiętał niepewność i strach obywateli oraz to, co poczuł, gdy wrócił do domu i spojrzał na śpiące córki. Nawet wtedy, gdy toczono wojny na dwóch frontach, nie można było narzekać na brak ludzi czy środków do ścigania bin Ladena.

Morell czuł jednak, że nacisk ze strony Obamy może przynieść jakieś skutki. Na przykład jego nowy szef, Panetta, żądał teraz regularnych comiesięcznych raportów o postępach w sprawie. W każdej wielkiej organizacji żądanie raportów o działaniach przynosi skutki, bo nikt nie chce wkładać do akt sprawy raportu, który nie wykazuje żadnych postępów.

MACHINA DO NAMIERZANIA

Zdarzały się momenty, kiedy władze amerykańskie знаły miejsce pobytu Osamy bin Ladena. CIA interesowała się nim od 1991 roku, czyli od jego wyjazdu z Afganistanu do Sudanu. To nazwisko pojawiało się niemal wszędzie tam, gdzie CIA badała rozrastający się świat sunnickiego ekstremizmu. Nie był wtedy jeszcze żadnym dowódcą, a jedynie człowiekiem, który potrafił załatwić fałszywe dokumenty, pieniądze, szkolenia, broń lub substancje chemiczne, z których można było zbudować bombę. W grudniu 1995 roku w agencji powstała niewielka komórka zajmująca się bin Ladenem, na czele której stanął Michael Scheuer.

Ten masywny, pewny siebie brodac w okularach, mówiący z akcentem typowym dla Środkowego Zachodu, nie miał w zwyczaju ukrywać swoich poglądów – w przeciwieństwie do wielu kolegów zajmujących wyższe stanowiska w CIA. Jego droga do agencji też nie była typowa. Pracował fizycznie w Union Carbide, jednocześnie studiując dwa kierunki i pisząc doktorat na kanadyjskim University of Manitoba. Jego wydział ds. bin Ladena był pierwszą komórką w historii agencji zajmującą się wyłącznie tropieniem jednego człowieka. W miarę zdobywania nowej wiedzy o tym groźnym terroryście, Scheuer był coraz głębiej przekonany o niebezpieczeństwie, jakim jest dla Ameryki Al-Kaida. Niewielka grupa, którą kierował, pracowała w biurowcu znajdującym się niedaleko głównego kampusu CIA w Langley. Scheuer nazwał to biuro na cześć swojego syna „ALEC Station”.

Najlepszą bronią do zbierania informacji wywiadowczych, jaką dysponowano w tym czasie, było „nadzwyczajne przekazanie”, czyli praktyka polegająca na aresztowaniu podejrzanego i oddaniu go w ręce władz innego państwa w celu przeprowadzenia przesłuchań. Ten zabieg umożliwiał agencji przynajmniej teoretyczne przestrzeganie prawa w kwestii zakazu stosowania tortur. CIA uzyskała zapewnienia, że więźniowie nie będą maltretowani, ale rządy niektórych państw nie przykładały do tych obietnic szczególnej wagi. Na tym etapie agencja nie miała jeszcze uprawnień do zabijania najważniejszych osób podejrzanych o terroryzm – możliwe było wyłącznie aresztowanie i przetrzymywanie ich w wyznaczonym miejscu. Nadzwyczajne przekazanie umożliwiała administracji Clintona obejście komplikacji prawnych związanych z

umieszczeniem takich osób w amerykańskich aresztach. Scheuer wspominał, że taka polityka, choć prowadzona nieoficjalnie, była uznawana za przyjętą. Gdy zwracał się do Białego Domu po wskazówki dotyczące postępowania z danym człowiekiem, odpowiedź brzmiała: „To jest twój problem”. A rozwiązania problemu skwapliwie oferowały władze państw w Afryce Wschodniej, na Bałkanach czy na Bliskim Wschodzie.

Przypadek sprawił, że pierwszy wielki przełom w działalności ALEC Station nie był wcale związany z instytucją nadzwyczajnego przekazania. Nastąpił on we wrześniu 1996 roku, gdy w ambasadzie USA w Erytrei pojawił się sudański bojownik Jamal al-Fadl, w przeszłości bliski współpracownik bin Ladena. Mężczyzna przedstawił ciekawą ofertę. Chciał powiedzieć wszystko, co wiedział na temat Al-Kaidy, w zamian za przewiezienie go do Stanów Zjednoczonych i objęcie federalnym programem ochrony świadków. Dzięki temu Amerykanie dostali pierwszą partię bezcennych informacji o Szejku i jego organizacji – ludziach, strukturze i planowanych działaniach. Rewelacje al-Fadla zwiększyły zainteresowanie Al-Kaidą, która – jak ujawnił – dysponowała wystarczającym potencjałem i była gotowa na przeprowadzenie groźnych ataków terrorystycznych.

W 1999 roku ALEC Station zatrudniało dwudziestu siedmiu pracowników, większość z nich stanowiły kobiety. Sama komórka była jak na CIA dość nietypowa i obowiązywał w niej bardzo swobodny styl. Wszyscy chodzili w sportowych ubraniach, a biuro, mając informatorów i kontakty na całym świecie, działało przez okrągłą dobę. Każdy pracownik przesiadywał w ALEC Station godzinami, więc nie przestrzegano specjalnie zasad typowych dla pracy biurowej – Scheuer na przykład regularnie ucinął sobie popołudniową drzemkę w swoim gabinecie. W miarę uświadamiania sobie zagrożenia ze strony Al-Kaidy, w grupie rosło też poczucie misji. Niektórzy pracownicy, na przykład sam Scheuer, odrzucali propozycje awansu, ponieważ byli silnie przywiązani do swojego zajęcia, a samo biuro stało się dla nich miejscem niemal świętym. W związku z tym, że w grupie Scheuera pracowało wiele ambitnych, zaangażowanych kobiet, bez reszty oddanych swojej służbie, niektórzy zaczęli ją nazywać „rodziną Mansona”.

Skoro nie można było aresztować bin Ladena w Sudanie, opracowano plan nękania go na wielu frontach. W kraju tym prowadził wiele akcji – zajmował się budową dróg, rozwojem rolnictwa i doglądał różnych innych interesów. Wspierał też finansowo działalność terrorystyczną w całym regionie. W ALEC Station pojawił się zatem pomysł akcji sabotażowej wymierzonej w sprzęt budowlany należący do bin Ladena. Plan zakładał zniszczenie silników przy pomocy mazi, która doprowadziłaby do zatarcia mechanizmów. Gdy informację o tym planie przedstawiono senackiej komisji ds. wywiadu, jeden z jej członków wyraził sprzeciw, pytając: „A jeśli to zrobicie, to nie pozbawicie pracy sudańskich rolników?”. W związku z takimi wątpliwościami projekt został odrzucony.

Niedługo potem nastąpił nieudany zamach na prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka, a podejrzania skupiły się na Al-Kaidzie. Część państw naciskała na Sudan, żądając wydania bin Ladena, który w związku z tym przeniósł się do Afganistanu i wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. Ten ruch był na rękę pracownikom ALEC Station – NSA mogła teraz podsłuchiwać jego rozmowy telefoniczne. Dysponowano też bogatym archiwum zdjęć lotniczych i satelitarnych z czasów wojny mudżahedinów z ZSRR, a CIA utrzymywała w tym kraju wiele przyjacielskich kontaktów. W 1997 roku przywódca talibów mułła Omar zaprosił bin Ladena do Kanda-

haru i zaproponował, by zamieszkał na terenie eksperymentalnego ośrodka rolniczego o nazwie Tarnak, znajdującego się na południe od miasta. Właśnie w tamtych okolicach CIA miało wyjątkowo rozbudowaną siatkę szpiegów w postaci grupy nazywanej „Tripoints”.

Agencja mogła wreszcie obserwować bin Ladena z bliska i prowadzić podsłuch zarówno jego, jak i jego ludzi. Grupa Scheuera nie miała pozwolenia na zabicie Osamy, więc opracowała plany porwania, które nabrały kształtów późną wiosną 1998 roku, czyli kilka miesięcy przed zamachami na ambasady we wschodniej Afryce. Plan zakładał przetrzymywanie bin Ladena w ustronnym górskim terenie, przesłuchanie go i przewiezienie samolotem do jednego z krajów arabskich, gdzie miał trafić do więzienia (jeśli Stany Zjednoczone nie zdecydowałyby się na bezpośrednie prowadzenie postępowania sądowego). Porwania mieli dokonać komandosi, przetransportowani helikopterem na miejsce, kiedy jednak ten nowy plan został przedstawiony kierownictwu, odrzucono go, uznając za zbyt ryzykowny. Amerykańscy żołnierze mogli zginąć, a poza tym bin Laden mieszkał z żoną i dziećmi, które mogłyby zostać podczas akcji poszkodowane. Scheuer wspominał, że ta decyzja go zaskoczyła. Postawił pytanie:

– Jakich grózb jeszcze potrzeba, żebyście w końcu coś z tym zrobili?

Niedługo potem w siedzibie ALEC Station pojawił się dyrektor George Tenet, który został wprost zaatakowany przez jedną z pracownic Scheuera:

– Pan i Biały Dom doprowadzicie do śmierci tysięcy Amerykanów.

Tenet odpowiedział, że rozumie ich gniew, ale emocje w końcu opadną. Z zewnątrz ludzie Scheuera wyglądali na nadmiernie rozemocjonowanych i przesadnie wyczulonych. Odpowiedź Teneta, w której można było wyczuć delikatne uprzedzenie, jeszcze bardziej podniosła temperaturę w ALEC Station.

– Za kilka dni wszyscy nabierzecie dystansu – zapewnił.

Scheuer pamięta, że w sierpniu, po zamachach bombowych na ambasady, zapytano go, czy plan porwania bin Ladena mógłby jednak zostać realizowany. Odpowiedź brzmiała „nie”. Szejka wiedział, że po tych atakach wzrosło prawdopodobieństwo amerykańskiej reakcji, zaczął się więc ukrywać. Okazja przepadła bezpowrotnie.

Po tych wydarzeniach Stany Zjednoczone były już gotowe zlikwidować bin Ladena. Wkrótce po zamachach na ambasady prezydent Clinton wydał zgodę na dwa uderzenia raketowe. Celem pierwszego była Al-Shifa, fabryka farmaceutyczna w Chartumie, którą podejrzewano o prace nad bronią chemiczną, a drugiego – obóz bin Ladena w pobliżu Chost. Rakiety wystrzelone z okrętów na Morzu Arabskim uderzyły w cele 20 sierpnia. CIA szacowała, że w wyniku ataków zginęło od dwudziestu do trzydziestu osób, wśród nich nie było jednak Szejka – późniejsze doniesienia potwierdziły, że opuścił on obóz Chost kilka godzin przed akcją Amerykanów.

Najważniejszym zadaniem, jakie stanęło przed ALEC Station po tych atakach było jak najszybsze namierzenie bin Ladena. Scheuer wspomina, że przekazał do Białego Domu informacje o ośmiu takich okazjach, ale za każdym razem odwoływano atak – głównie ze względu na ewentualne dodatkowe szkody. Szef ALEC Station zawsze był człowiekiem drażliwym i ekscentrycznym. W przeciwieństwie do swoich przełożonych był gotów zaakceptować owe „dodatkowe szkody”, gdyż był przekonany, że zagrożenie ze strony bin Ladena usprawiedliwia bezwzględne drastyczne działania. W końcu zaczęto na niego patrzeć podejrzliwie, traktując jak obsesjonata.

W 1998 roku, w niedzielę przed Bożym Narodzeniem, ALEC Station otrzymała informację o tym, że bin Laden przebywa w domu Haji Habash, należącym do zespołu pałacowego gubernatora Kandaharu. Operujący tam szpieg CIA wiedział, w którym skrzydle budynku, a nawet w którym pomieszczeniu przebywa bin Laden, ponieważ osobiście towarzyszył mu w drodze do tego miejsca. Agenci otrzymali sprawdzone informacje wywiadowcze z pierwszej ręki, a cel mógł być bez trudu zaatakowany raketami Tomahawk wystrzelonymi z okrętów na Morzu Arabskim.

– Zaatakujmy dzisiaj, bo następna okazja może się nie powtórzyć – doradził Gary Schroen, starszy oficer z ALEC Station.

Scheuer wraz z dyrektorem Tenetem i zastępcą dyrektora Johnem Gordonem od razu ruszył do Białego Domu. Padał śnieg. Cała trójka pojechała razem z Langley do Waszyngtonu, ale jedynie Tenet został zaproszony na spotkanie w Białym Domu, w którym dzięki urzędzonej natychmiast telekonferencji uczestniczyli najwyżsi urzędnicy administracji Clintona. Scheuer i Gordon czekali za drzwiami kilka godzin. W końcu okazało się, że nie ma zgody na uderzenie raketowe. Według Raportu komisji ds. 11 września obawiano się, że w wyniku ataku śmierć lub obrażenia może odnieść nawet do trzystu osób. Na dodatek było duże prawdopodobieństwo, że bin Laden w ostatniej chwili zmieni miejsce pobytu, jak zdarzyło się to już wcześniej. Mogło także dojść do uszkodzenia pobliskiego meczetu. Rozczarowani funkcjonariusze CIA odjechali z powrotem George Washington Parkway. Scheuera zdenerwowały szczególnie obawy urzędników związane z ewentualnym zniszczeniem meczetu.

Następnego dnia, gdy było wiadomo, że okazja minęła bezpowrotnie, Scheuer napisał do swojego starszego oficera Schroena, że nie mógł zmrzyć oka. „Jestem pewien, że będziemy żałować tego, że tej nocy nie wkroczyliśmy do akcji”.

– Powinniśmy byli działać – odpisał Schroen. – Z całą pewnością będziemy żałować decyzji o powstrzymaniu od ataku.

Scheuer pogrążył się we frustracji. W 1999 roku napisał notatkę do władz CIA, narzekając na ryzyko związane z pozyskiwaniem aktualnych informacji, nakład pracy włożonej w każde namierzanie potencjalnego celu oraz niechęć rządu do podejmowania działań.

– [Uznałem za niewłaściwe], przynajmniej do pewnego stopnia, ustawiczne narażanie naszych pracowników na niebezpieczeństwo w związku z pozyskiwaniem wiarygodnych, cennych informacji przy braku gotowości ze strony rządu do podejmowania działań mających na celu obronę amerykańskich obywateli. Chcę przy tym zaznaczyć, że powody uzasadniające decyzję o powstrzymaniu od ataku istnieją wyłącznie w umysłach członków administracji – wyjaśniał kilkanaście lat później podczas wywiadu przeprowadzonego w ramach prac nad tą książką. – Jeżeli ktoś myśli, że półtora miliarda muzułmanów powstanie i zaatakuje Stany Zjednoczone, ponieważ jakiś odłamek uderzył w kamienny meczet w Kandaharze, to musi być rasistą. Trzeba być kompletnie pozbawionym szacunku dla ludzkich wartości lub zdrowego rozsądku świata islamu, jeśli ktoś się spodziewa takich reakcji. A przecież właśnie z takim wytłumaczeniem występują ci światli ludzie, znakomici absolwenci Harvardu.

W końcu Scheuer dograł się i został pozbawiony kierownictwa ALEC Station. Wspomina, że usłyszał takie słowa:

– Chcemy, żeby powiedział pan swoim ludziom, że jest wypalony, ale proszę się nie mar-

twić – dostanie pan jakiś medal i nagrodę pieniężną.

Scheuer odparł podobno:

– A wsadźcie ją sobie w tyłek.

Po 11 września nastąpiła całkowita zmiana. Wszyscy zadawali jedno pytanie: dlaczego, gdy była taka możliwość, Stany nie zareagowały bardziej zdecydowanie na działania bin Ladena? „Obsesjonaci” pokroju Scheuera i jego „sekty” z ALEC Station nie byli już rozemocjonowanymi osobami – teraz okazali się prorokami. USA straciło szansę na nieszkodliwienie bin Ladena, zanim on zrealizował swój najważniejszy plan.

Po inwazji na Afganistan i kolejnych potyczkach pojawiły się ślady, na podstawie których Amerykanie zainteresowali się górską redutą Tora Bora, której nazwa oznacza „Czarną Grotę”. Znajdowała się ona w najbardziej na wschód wysuniętym zakątku kraju, w pobliżu granicy z Pakistanem. Mówiono, że jest to niezwykle rozbudowany labirynt jaskiń – zarówno naturalnych, jak i wydrążonych przez człowieka. Krążyły też pogłoski o tym, że właśnie to miejsce wybrał bin Laden na swoją kryjówkę. Gdy w 2001 roku, po pięciodniowym oblężeniu, Tora Bora została zdobyta przez amerykańskich żołnierzy i afgańską milicję, okazało się, że jest to niewielki kompleks złożony z jaskiń i bunkrów, który w niczym nie przypomina fortecy, jakiej się tam spodziewano. Było to kolejne miejsce, z którego Szejk zdołał umknąć w ostatniej chwili.

Według najpewniejszych doniesień bin Laden uciekł przez Góry Białe na terytorium Pakistanu, wyruszając w drogę najprawdopodobniej jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia. Od tego czasu słuch o nim zaginął...

No nie, niezupełnie...

Zacznijmy od tysięcy skrawków informacji. Nazwisk, mnóstwa nazwisk. Plotek. Zapisów przesłuchań. Numerów telefonów. Rozmów telefonicznych. Dat. Adresów. Współrzędnych geograficznych. Fotografii lotniczych. Zdjęć z obserwacji naziemnej. Nagrań filmowych. Twarzy. Tęczęówek. Informacji o sylwetce i sposobie chodzenia. Map. Odcisków palców. Starych dzienników. E-maili. Stron internetowych. Mediów społecznościowych. SMS-ów. Tweetów. Listów. Błogów. Wiadomości telewizyjnych. Audycji. Rachunków. Harmonogramów płatności. Biletów. Opłat za czynsz. Numerów kart kredytowych. Należności. Numerów kont bankowych. Lokat. Wypłat. Przelewów. Numerów rejestracyjnych. Numerów paszportów. Notatek policyjnych. Informacji o aresztowaniu. Planów podróży. Dosłownie wszystkiego, co można przekształcić w dane. Gdy poszukuje się jednego człowieka w świecie zamieszkałym przez siedem miliardów, a ten człowiek niespecjalnie chce być odnaleziony, trzeba zarzucić naprawdę wielką sieć.

Po 11 września i ucieczce bin Ladena z Tora Bora rząd USA bez reszty poświęcił się tropieniu tego człowieka. Poświęcił się do tego stopnia, że z tej perspektywy potyczki małej ALEC Station prowadzone z przełożonymi wydają się hobbyistycznym zajęciem. Wszystkie agencje i wszystkie gałęzie potężnego amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego były w pełni zaangażowane w działania. Co to oznaczało? Otóż odnalezienie i zlikwidowanie bin Ladena nie było teraz zajęciem dla małej grupki pracującej w niewielkim biurze niedaleko Langley. Teraz był to nadrzędny cel i już nikt nie musiałby siedzieć na korytarzu w Białym Domu i czekać na pozwolenie na atak. Jednocześnie odnalezienie Szejka stało się niepomiaralnie trudniejsze. Trzeba było rozwinąć narzędzia, struktury i komórki, których zadaniem było odnalezienie, namierzenie i likwidacja Al-Kaidy oraz innych, podobnych siatek terrorystycznych. W wyniku tych

prac powstał wspomniany już system, zwany „F3EAD” – warto omówić go szerzej.

Zaczyna się od strzępów. Od wszystkiego, co można przekształcić w dane – nazwisk, liczb i innych poszlak. Od informacji, w tym wywiadowczych, spływających z różnych źródeł: przesłuchań zatrzymanych, HUMINT (skrót od Human Intelligence), czyli wywiadu osobowego, SIGINT (Signals Intelligence), wywiadu elektronicznego, GEOINT (Geospatial Intelligence), wywiadu geoprzestrzennego, a nawet czegoś o nazwie MASINT (Measurement and Signature Intelligence) – wywiadu opartego na rozpoznaniu pomiarowym i sygnaturowym, w ramach którego na dane komputerowe przetwarzano informacje ściśle techniczne – radarowe, chemiczne czy dźwiękowe. Każdy fragment mógł okazać się użytecznym punkcikiem na rozległej matrycy. Fale informacji spływały więc z mnóstwa mniejszych i większych instytucji, m.in. CIA, FBI, NSA, NGA i wielu innych. Żołnierze SEAL i Delta Force dokładnie przeszukiwali wszystkie kryjówki, na które urządzano naloty, zbierając wszystko, co mogło stanowić jakikolwiek ślad. Nazywali to „drobiazgami z kieszeni”. Nikt nie wiedział, czy zupełnie przypadkowy trop nie zaprowadzi prosto do bin Ladena ani czy kiedykolwiek ktoś na taki ślad natrafi? Bywało, że nad sprawą pracowało dzień i noc kilkudziesięciu analityków CIA, a liczba i różnorodność śladów przyprawiały wszystkich o ból głowy. Zawsze istniała możliwość, która wydawała się całkiem prawdopodobna, że Szejk doczeka śmierci w swojej kryjówce i spokojnie odda ducha, leżąc na łóżku w otoczeniu żon, liczego potomstwa oraz oddanych zwolenników. Być może zdoła jeszcze przed śmiercią przypuścić ostatni atak na „Głowę Międzynarodowego Pogaństwa” i zagrać niewiernym na nosie, wstępując do raju. Dla wszystkich, którzy wierzyli w jego sprawę, wymknięcie się z rąk amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości byłoby potwierdzeniem boskiej opieki nad przywódcą Al-Kaidy.

Odnalezienie bin Ladena stanowiłoby dowód na najbardziej banalne prawdy dotyczące pracy wywiadu. Nie chodzi w niej o geniusz czy odwagę, ale o wysiłek i cierpliwość. Konieczne są też oczywiście pieniądze i czas, ale gdy mówimy o zadaniu, które zostało uznane za najwyższy priorytet nie przez jednego, ale dwóch prezydentów USA, a czas i pieniądze są właściwie nieograniczone, to wszystko sprowadza się w końcu do wytrwałości, woli i zdecydowania. Prezydent Bush słynął z tego, że w szufladzie biurka trzymał wykaz poszukiwanych terrorystów i osobiście wykreślał schwytanych lub zabitych. Numerem jeden na tej liście był zawsze bin Laden. Na codziennych spotkaniach Bush zadawał rutynowe pytanie: „Jak nam idzie?” i wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. Tak samo było z Obamą. W 2009 roku, po wspomnianym już nieplanowanym zebraniu z nowymi szefami wywiadu, podejmował ten temat na niemal każdym posiedzeniu dotyczącym spraw bezpieczeństwa.

– Czy jesteśmy już bliżej?

– Czego nowego się dowiedzieliśmy?

Sieć wywiadu takiego państwa jak USA to nie jeden system, ale wiele powiązanych ze sobą biurokratycznych układów, w których każdy specjalizuje się w jakiejś dziedzinie – nasłuchu, obserwacji, fotografowania, odczytywania danych, badania czy analizowania. Taka rozległa, wielowarstwowa struktura daje możliwość spojrzenia na daną sprawę z rozmaitych punktów widzenia. Zaletą biurokracji (wszyscy znamy minusy biurokracji, ale rzadko zastanawiamy się nad jej silnymi stronami) jest natomiast nieograniczona wydajność pracy – wytrwałej nieustannej pracy, która niczym kropla drąży twardą skalę. Godzina po godzinie, dzień za dniem,

rok po roku analitycy prowadzili prace, które wymagały poświęcenia znacznej części ich życia. Od czasu do czasu na ich dokonania spoglądał ktoś inny, by ogarnąć je świeżym okiem, uchem i umysłem, i tchnąć we wszystko nowy zapach.

Nie zapominajmy też o superkomputerach, które przekształcają na bajty miliony okrucich informacji wywiadowczych zebranych w ciągu wieloletnich prac na całym świecie i nagle to, co niemożliwe – znalezienie jednej igły w milionie stogów siana – staje się nieco bardziej prawdopodobne.

Kiedy zatem widzimy szlak, który prowadzi nas do Abbottabadu, mówimy właśnie o czymś takim – o wyrafinowanej machinie do namierzania. Gdyby prześledzić ten szlak od tyłu, od kryjówki bin Laden do skrawków informacji wywiadowczych, które do niej doprowadziły, wydaje się oczywiste, nie widać, z jakim stopniem trudności mieli do czynienia poszukujący. Nie widać lat frustracji, cierpliwego wysiłku, innowacji technologicznych, zabitych ludzi, popełnionych błędów i wydanych pieniędzy. Gdy popatrzymy tylko na jeden rozdział tej historii, ten związany z działaniami komandosów, będziemy mieli do czynienia z trzema dekadami prób i błędów, które zapoczątkowała nieudana akcja odbicia amerykańskich zakładników w Iranie w 1980 roku.

W listopadzie 1979 roku irańscy studenci zajęli ambasadę USA w Teheranie. Prezydent Jimmy Carter przez kilka miesięcy bezskutecznie podejmował wysiłki dyplomatyczne w celu uwolnienia ponad pięćdziesięciu Amerykanów przetrzymywanych jako zakładnicy na terenie ambasady. Równocześnie nowo utworzona wojskowa jednostka antyterrorystyczna Delta Force podjęła ryzykowną akcję uwolnienia tych ludzi. Wzięły w niej udział helikoptery marynarki wojennej przeznaczone do usuwania min. Za ich sterami siedzieli piloci marynarki, którzy nie mieli doświadczenia w lotach nad terenami pustynnymi. W ramach misji śmigłowce miały polecieć na zaimprovizowane lądowisko na pustyni z dala od Teheranu (zwane Desert One), gdzie zaplanowano tankowanie z wykorzystaniem wielkiego samolotu należącego do lotnictwa wojskowego. Następnie helikoptery miały lecieć do kryjówki usytuowanej w pobliżu miasta. Plan zakładał, że następnego wieczora żołnierze Delta Force wyjdą z niej, zaatakują teren ambasady, wyzwolą zakładników, a następnie zbiorą się na stadionie piłkarskim w samym centrum Teheranu, naprzeciwko ambasady. Tam miały pojawić się śmigłowce i zabrać wszystkich na lotnisko opanowane przez żołnierzy z elitarnych oddziałów U.S. Army Rangers. Stamtąd żołnierze i zakładnicy mieli polecieć prosto do kraju.

Niezwykle śmiała i skomplikowana misja załamała się już na pierwszym etapie – na zaimprovizowanym lądowisku na pustyni. W wyniku burzy piaskowej doszło do uszkodzenia śmigłowców, więc kilku pilotów musiało zawrócić. Akcja nie mogła być kontynuowana ze względu na zbyt małą liczbę helikopterów, toteż postanowiono ją przerwać.

Gdy helikoptery startowały, by dyskretnie opuścić Iran, jeden z nich zderzył się na ziemi z samolotem, co doprowadziło do wybuchu obu maszyn i śmierci ośmiu żołnierzy. Ta katastrofa pozbawiła Amerykanów złudzeń co do możliwości utrzymania nieudanej akcji w tajemnicy. Stany Zjednoczone poniosły zatem klęskę; zakładników czekały kolejne długie miesiące niewoli, Iran otrzymał doskonały argument w wojnie propagandowej (władze twierdziły, że amerykańska „inwazja” została powstrzymana przez Boga), a nieudana wyprawa prawdopodobnie pogrzebała szanse Cartera na drugą kadencję.

Epizod irański uderzająco przypomina późniejszą akcję zabicia bin Ladena i pokazuje, jak bardzo rozwinęły się zarówno umiejętności, jak i możliwości techniczne komandosów. W wyniku katastrofy z 1980 roku utworzono Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych, pragnąc wyciągnąć naukę z okrutnej lekcji, która dowiodła bezradności wielkiego mocarstwa. Kolejnym krokiem na drodze rozwoju sił specjalnych była krwawa bohaterska bitwa w Mogadiszu w 1993 roku, upamiętniona w książce i filmie *Helikopter w ogniu*. Także w tym przypadku przyczyną katastrofy była akcja komandosów, której przebieg wymknął się spod kontroli. Umiejętności ludzi, którzy namierzali Szejka, a także sprzęt i zastosowane środki taktyczne, były efektem tysięcy innych misji, z których jedne kończyły się sukcesem, a inne – porażką.

Uderzenie nie było możliwe, dopóki nie zlokalizowano bin Ladena. Znalezienie go wiązało się z reaktywacją siatki szpiegów, która została zlikwidowana w okresie odprężenia po zimnej wojnie, kiedy szpiegostwo uznano za niestosowne, bezprawne i naruszające zarówno wolności osobiste, jak i prawa człowieka. Po 11 września amerykańskie społeczeństwo ponownie doceniło wartość szpiegów operujących na ziemi oraz oczu i uszu obserwujących świat z powietrza. Przyspieszyło to rozwój systemów opartych na bezzałogowych samolotach szpiegowskich oraz sieci komunikacyjnych, zapewniających bezustanną obserwację w czasie rzeczywistym, o czym w przeszłości służyć mogły tylko pomarzyć.

Cztery miesiące po zamachach na WTC były admirał John Poindexter stanął na czele nowego programu, będącego zresztą owocem jego wcześniejszych starań. Inicjatywa, nazywana Total Information Awareness (TIA, Totalna Świadomość Informacyjna), polegała na wykorzystaniu superkomputerów do stworzenia niezwykle obszernych baz danych. Jej zasadniczym celem – jak wskazywała sama nazwa – było zbieranie dosłownie wszystkiego. Przy użyciu odpowiedniego oprogramowania można było gromadzić te dane w celu identyfikacji i lokalizacji potencjalnych terrorystów. Admirał miał na sumieniu kłamstwa, które wygłaszał przed Kongresem przy okazji afery Iran–Contras, a to nie sprzyjało budowaniu zaufania społecznego do całego pomysłu. Idea zbierania obszernych danych na temat obywateli USA była dla wielu osób przerażająca i kojarzyła się ze światem Orwella.

W tym świetle nazwa Totalna Świadomość Informacyjna była fatalna pod względem propagandowym. Najłagodniejszym określeniem, jakim obdarzano Poindextera – łysego mężczyznę o siwych wąsach – było „Wielki Brat Pentagonu”. Kongres odrzucił w końcu program w jego pierwotnym kształcie, a Poindexter wrócił do pracy w sektorze prywatnym. Okrojony projekt, w którym wyłączono możliwość zbierania informacji o obywatelach amerykańskich, został elegancko przemianowany na Terrorism Information Awareness (Świadomość Informacyjna nt. Terroryzmu).

Wybór Poindextera na szefa projektu był oczywistym błędem, zwłaszcza że prezentował go straszliwie nieudolnie, trudno jednak odmówić mu racji w kwestii samych założeń. Admirał myślał nad nim całe dziesięciolecie. Jedną z największych zalet komputera – zdolność do gromadzenia i przetwarzania ogromnej ilości danych – wydawała się oczywista, ale w praktyce okazała się tak rewolucyjna, że doprowadziła do fundamentalnych zmian w funkcjonowaniu współczesnego świata. Wykorzystywano ją wszędzie – od wyszukiwarki Google poprzez półki w sklepach Walmart, na których układano towary dostarczane przez międzynarodowe firmy dostawcze, w firmach rozsyłających paczki po całym świecie w ciągu dwudziestu czterech godzin, a

nawet w mapie ludzkiego genomu. Dlaczego zatem nie można by wykorzystać tego potencjału do śledzenia terrorystycznej siatki i rozpoznawania cennych wskazówek w śladach, które nawet dla wyszkolonych analityków wyglądają na przypadkowe wydarzenia?

Pomysł Poinintera nie tylko przetrwał, ale wręcz stał się fundamentem wszystkich działań wojennych. Umożliwił gromadzenie każdego skrawka informacji wywiadowczych o Al-Kaidzie i pokrewnych jej grupach, dostarczanych przez niezwykle aktywne instytucje wojskowe i szpiegowskie, a następnie przekształcanie tych informacji w dane przydatne w poszukiwaniu śladów. Polowanie na bin Ladena i innych terrorystów oparto w końcu na niezmiernie bogatej bazie danych, z której mógł korzystać każdy, kto posiadał dostęp do tajnych treści, niezależnie od tego, w jakim zakątku świata się znalazł. Mógł to być zarówno zespół analityków pracujących w Langley, jak i oficer marines w placówce w Afganistanie. Przesiewanie danych wymagało oprogramowania, które działałoby szybko i sprawnie, radziłoby sobie z mnóstwem informacji i potrafiło rozróżniać ważne tropy. Z rozwiązaniem tego problemu agencje rządowe zwróciły się do młodych programistów z Doliny Krzemowej. Pierwsza z takich firm, Palantir, zaproponowała program, który bez żadnych kłopotów wykonywał to, czego wcześniej oczekiwano od TIA. Firma została założona w 2004 roku przez Aleksa Karpa i Petera Thiela (miliardera, który był współtwórcą Paypal i jednym z pierwszych inwestorów w Facebooka) i zaferowała produkt Killer App („program zabójca”), który rzeczywiście zasługuje na to potoczne określenie. Świeżo upieczeni programiści z najlepszych uczelni informatycznych w kraju zebrali się w jednym miejscu pracy w Palo Alto. Pomieszczenie o powierzchni sześciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, do którego dostarczono im hamburgery i inne niezdrowe jedzenie oraz mnóstwo gier komputerowych, zostało nazwane „The Shire” w nawiązaniu do siedziby Hobbitów z *Władcy Pierścieni* Tolkiena. Sama nazwa firmy też zresztą pochodziła od magicznego kamienia z tolkienowskiej sagi, posiadającego niezwykle właściwości w zakresie widzenia oraz komunikacji. Oprogramowanie powstałe w tym osobliwym miejscu miało potem pomóc w przekształceniu amerykańskich żołnierzy jednostek specjalnych w niezwykle skutecznych tropicieli terrorystów. Palantir jest dziś wart miliardy dolarów i współpracuje m.in. z CIA, NSA, Departamentem Obrony, Agencją Wywiadu Obronnego, FBI, Narodowym Centrum Kontrterrorystycznym i Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego.

Konieczność błyskawicznego reagowania związana z tempem działań wojennych zawsze przyspieszała rozwój technologii i sprzyjała nowatorskiemu wykorzystaniu istniejących urządzeń. Po początkowych sukcesach związanych z szybkim obaleniem reżimu Saddama Husajna w Iraku, armia amerykańska stała się celem coraz intensywniejszych ataków ze strony ekstremistycznych grup sunnickich, pośród których największym okrucieństwem charakteryzował się nowy odłam Al-Kaidy kierowany przez pomysłowego zabójcę Abu Musaba al-Zarkawiego. Jego grupa zorganizowała wielką kampanię podkładania bomb przy drogach oraz brutalnych samobójczych ataków, podczas których bez skrupułów zabijano też irackich cywilów. Ukrywający się bin Laden uznawał to za błąd, a sunnicka większość w Iranie obróciła się w końcu przeciwko ugrupowaniom walczącym z Amerykanami. Równocześnie jednak JSOC pod kierownictwem generała Stanleya McChrystala niszczyła miejscowe komórki Al-Kaidy z coraz większą skutecznością, co chwila prowadząc kolejne akcje. Częstotliwość akcji, podczas których brano do niewoli lub zabijano kolejnych terrorystów, nie miała precedensu w dziejach jednostek specjalnych. Pod

koniec 2003 roku komandosi znaleźli Saddama Husajna, ukrywającego się w norze wydrążonej w ziemi. Sam Zarkawi został zabity w wybuchu amerykańskiej bomby w 2005 roku. Sukces McChrystala, uznawany za jedno z największych dokonań wojskowych w naszych czasach, opierał się na czymś, co sam dowódca nazywał „wspólnymi operacjami”. Przez to określenie rozumiał współdziałanie „specjalnych operatorów” (zespołów najlepszych strzelców z różnych wojsk) z nowym systemem komputerowym gromadzącym dane z wszelkich możliwych źródeł. Oddziały uderzeniowe stworzyły jedną potężną bazę danych w irackim Camp Victory, a drugą w afgańskim Bagram, łącząc ze sobą szczegółowe informacje. To oznaczało zaangażowanie na froncie żołnierzy specjalizujących się w innych zadaniach – zamiast naciskać na spust, musieli operować komputerową myszką.

Do takich właśnie żołnierzy należał Guy Filippelli, młody kapitan, który ukończył West Point i zdobył tytuł magistra w Oxfordzie. W 2005 roku jego dowódca w Afganistanie wysłał go do zamkniętego ośrodka sił uderzeniowych (jednostki komandosów) i poprosił o zademonstrowanie, w jaki sposób potrafi wykorzystać swój komputer. Sam Filippelli mówi o sobie, że jest maniakiem komputerowym. Za pisanie programów zabrał się jeszcze w szkole średniej, a następnie trafił na rozwijający się wydział informatyki na West Point. W Bagram pomagał dowódcom opracować systemy poprawiające kontrolę „przepływu informacji” i zajmował się włączaniem informacji wywiadowczych – zebranych podczas naziemnych akcji komandosów oraz przesłuchań zatrzymanych – do rozrastającej się narodowej bazy danych o terroryzmie. Filippelli przybył do fortecy komandosów z wielkim zapalem do pracy i przekonaniem o tym, że jego wykład porwie frontowców. Na miejscu okazało się, że strzelcy i ich towarzysze setnie się wynudzili, ponieważ tematyka wykładu wiązała się z najnowocześniejszą techniką, była więc dla nich zupełnie abstrakcyjna. Zafascynowany nią mówca zapomniał, że stoi przed tłumem żołnierzy, którzy czuli adrenalinę dopiero wtedy, gdy skakali z samolotów lub znajdowali się pod ostrzałem. Ich świat był pełnym zaprzeczeniem świata wirtualnego. Młody kapitan wyciągnął z tego odpowiednie wnioski i przy kolejnej okazji, tym razem przed mniejszym audytorium, spróbował odmiennej taktyki.

– Posłuchajcie, chłopaki, wiem, że jesteście w tym wszystkim tysiąc razy lepsi ode mnie i robiliście już te wszystkie rzeczy, ale pozwólcie mi pokazać, czym się zajmuję i za dziesięć minut będziecie mieli mnie z głowy.

Na początku było całkiem łatwo. Komandosi zajmowali się po prostu zamykaniem w areszcie podejrzanych, którzy oczekiwali na przesłuchania. Biorąc pod uwagę przynależność plemienną, pochodzenie, pokrewieństwo i inne czynniki Filippelli stworzył bazę informacji o zatrzymanych oraz coś w rodzaju mapy demograficznej. Umieszczenie zatrzymanego w niewłaściwym miejscu, na przykład z grupą osób z jego wsi, oznaczało, że współtowarzysze błyskawicznie udzieliliby mu wskazówek w kwestii przesłuchań. Filippelli wykazał, że złe rozmieszczeni więźniowie okazywali się znacznie mniej użyteczni podczas późniejszych przesłuchań.

– Słuchajcie – powiedział – złapaliście tego faceta. Dlaczego wsadziliście go razem z tamtymi gośćmi? Mogliście zrobić tak...

Powiedziawszy to, zamknął laptop i ruszył w stronę drzwi.

– Dziękuję za uwagę – powiedział. – Dajcie mi znać, jeśli będę mógł wam jeszcze w czymś pomóc.

– Czekaj! – zaprotestowali żołnierze. – Powiedz nam o tym coś więcej.

Stopniowo okazywało się, że Filippelli coraz lepiej współpracuje z oddziałami komandosów, pokazując im, w jaki sposób analiza danych może doprowadzić do znacznego zwiększenia efektywności ich działań. Możliwości oprogramowania wykraczały daleko poza zwyczajne magazynowanie informacji o zatrzymanych. W prowadzeniu działań wojennych najważniejsze jest, by uczyć się i działać szybciej od wroga. Filippelli i inni zajmujący się tego typu pracą wkrótce doszli do wniosku, że w tej rywalizacji ważne są jednostki czasu. Skoro tego podejrzanego nie można zatrzymać na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, to w jaki sposób najefektywniej wykorzystać ten czas? Jakie pytania zadać? Czego się dowiedzieć, nauczyć, żeby zadać mu najlepsze pytania w czasie, jaki ma się do dyspozycji? A to był tylko jeden z elementów układanki. Jeśli spojrzeć szerzej na misję, to zadaniem jednostek specjalnych było dotarcie do obiegu informacyjnego wroga. W przeszłości, po udanej nocnej akcji, podczas której zabito czy zatrzymano członka wrogiego oddziału, już po kilku godzinach każdy ważny członek tej grupy wiedział o tym, co się stało i próbował się szybko ukryć. Informacje rozchodziły się lotem błyskawicy. Ci, których nie złapano, pozbywali się telefonów komórkowych, niszczyli twarde dyski i ukrywali urządzenia do produkcji bomb, po czym zapadali się pod ziemię. Gdyby jednak można było wkroczyć, zanim terroryści zdążą zareagować, gdyby już po pierwszej akcji udało się złamać ich system informacyjny i pozyskać wystarczająco dużo danych – w wyniku przesłuchań albo na przykład analizy zdobytego telefonu czy twardego dysku – można by przeprowadzić nowy nalot, a nawet serię nalotów, zanim rozprzestrzeniłyby się wieści o tym pierwszym.

Bazy danych umożliwiły bezustanne zestawianie pozyskiwanych na miejscu strzępów informacji z większymi zasobami. Żołnierze-komputerowcy pokroju Filippellogo dokładnie badali wszelkie materiały znajdujące się na miejscu akcji i włączali je do narodowego zbioru danych. Przypominało to wynurzanie się ponad korony drzew, żeby ogarnąć panoramę całego lasu. Komputerowcy pomagali w połączeniu kropek w celu stworzenia dokładnego obrazu dla strzelców, wprowadzając porządek w pierwotny chaos. Nie minęło wiele czasu, a wszystkie zespoły wykonywały tę pracę samodzielnie. Poszczególne jednostki, wyposażone w najświeższe dane wywiadowcze, reagowały błyskawicznie, przeprowadzając każdej nocy wiele akcji i z łatwością wyprzedzając realny wpływ informacji w szeregach wroga. Mówiąc językiem wojskowym, doszło do „przejęcia inicjatywy”. To osiągnięcie zamieniło polowanie na terrorystów z biernego oczekiwania, analizy i przygotowań, w przedsięwzięcie o charakterze czynnym i zdecydowanym. Jeśli terroryści chcieli pozostać przy życiu, musieli utrzymywać łączność między sobą i cały czas się przemieszczać, a dzięki temu można było ich łatwiej namierzyć. W 2007 i 2008 roku w Iraku jednostki JSOC pod dowództwem McChrystala zaczęły niszczyć siatki terrorystyczne w coraz szybszym tempie, likwidując je, zanim ich członkowie zdolali się zorientować, skąd przyszło uderzenie.

Wkrótce po wyborze Obamy na prezydenta McChrystal został dowódcą całych sił w Afganistanie i przekazał JSOC wiceadmirałowi Williamowi McRavenowi, który na początku 2009 roku podpisał tajne porozumienie z nowym dyrektorem CIA Leonem Panettą, wyznaczając zasady rozszerzonej współpracy. Zatem w czasie, gdy Obama naciskał na CIA, by w końcu odnalazła bin Ladena, JSOC wzmacniało na całym świecie współpracę z agencją.

Nastąpił też rozwój uzbrojenia. Zaledwie dziewięć lat wcześniej prezydent Bill Clinton skarżył się generalowi Hugh Sheltonowi, ówczesnemu szefowi Joint Chiefs, że właściwie nie ma wyboru w kwestii poszukiwania bin Ladena.

– Przecież Al-Kaida narobiłaby w portki, gdyby nagle pośrodku ich obozu pojawiła się grupa czarnych ninja spuszczonej z helikoptera – powiedział. Było to marzenie człowieka, który miał więcej do czynienia z wojskiem w kinie niż w rzeczywistości. Jeśli ktoś miałby się spuścić na linie do obozu wroga, musiałby najpierw dokładnie wiedzieć, gdzie on jest i kto się w nim znajduje.

Teraz takie możliwości się pojawiły. Możemy negatywnie oceniać sensowność inwazji na Irak czy konflikt w Afganistanie, który wydaje się nie mieć końca, ale z całą pewnością prawie dziesięcioletnie zmagania wojenne zaowocowały ukształtowaniem nowej generacji żołnierzy i pojawieniem się sprawdzonego w boju sprzętu, zaprojektowanego specjalnie do tego, by namierzać i zabijać terrorystów. O tym właśnie mówił pisarz Bob Woodward, wywołując w 2008 roku poruszenie słowami „tajna możliwość operacyjna”, wygłoszonymi w wywiadzie w programie „60 Minutes”. Przez pewien czas spekulowano, czy nie chodzi o jakiś nadzwyczajny wojskowy program badawczy przypominający „Projekt Manhattan” z czasów II wojny światowej, w którego wyniku powstała bomba atomowa. Niektórzy wyobrażali sobie „straszliwe działo radarowe” czy urządzenie pobierające „podpis termiczny”, czyli zdejmujące odciski palców z odległości sześciu kilometrów. Okazało się, że nie chodzi o jedną tajną broń. Na nowe narzędzie składało się wszystko: odbudowane sieci szpiegowskie, superkomputery, najnowocześniejsze oprogramowanie, globalna obserwacja elektroniczna oraz elitarne jednostki komandosów.

Kolejny bardzo ważny element tej układanki okazał się jednym z najważniejszych przełomów w dziejach współczesnej wojskowości. Wynalazek ten nie narodził się w żadnym tajnym laboratorium zajmowanym przez najwybitniejszych naukowców, lecz na jednym z węgierskich lotnisk, a jego autorem był pułkownik lotnictwa James Clark.

Po skończeniu Catholic University w 1973 roku Clark zamierzał poświęcić się karierze politycznej. Wszystko sobie dokładnie zaplanował: studia prawnicze, kancelaria prawna, potem wybory do Kongresu... Przyjął jednak stypendium ROTC, dzięki któremu opłacił studia, a po ich ukończeniu otrzymał propozycję pilotowania myśliwców. Praca okazała się tak ekscytująca, że nie potrafił z niej zrezygnować, więc czteroletni kontrakt zamienił się w dziesięcioletni, a potem w powołanie na całe życie. Jego sygnał wywoławczy brzmiał „Snake” (Wąż).

W 1995 roku, gdy Clark stacjonował na węgierskim lotnisku Taszár, miał okazję pobawić się czymś, co nazwał „Gnatem”. W gruncie rzeczy był to szybowiec wyposażony w silnik z austriackiego skutera śnieżnego. W przyszłości miał zostać udoskonalony i wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia obserwacyjne. Czas unoszenia się w powietrzu znacznie wydłużono, a możliwości instrumentów optycznych zapierały dech w piersiach, silnik zaś wyciszono tak, że maszyna była właściwie bezszelestna. Efektem tych modernizacji był Predator (Drapieżnik), maszyna zdolna do przenoszenia pocisków raketowych, która stała się najbardziej pożądaną bronią w potężnym, wartym miliardy dolarów arsenale amerykańskiego lotnictwa.

Dron, czy też – jak woli go nazywać lotnictwo – bezałogowy statek powietrzny (UAV, unmanned aerial vehicle), nie był w sumie całkowitą nowością. Samoloty sterowane falami radiowymi wykorzystywano już w czasie II wojny światowej. Joe, starszy brat prezydenta Johna

F. Kennedy'ego, zginął podczas tajnej misji w Niemczech. Jego specjalnie zaprojektowany B-24, który miał uderzyć w cel po tym, jak pilot wyskoczy ze spadochronem, wybuchł zbyt wcześnie w powietrzu. Dronów używano też w Wietnamie, a Izraelczycy korzystali z nich z dobrym skutkiem w libańskiej dolinie Bekaa w 1982 roku. CIA zakupiło kilka izraelskich modeli i przekazało je zajmującej się konstrukcją broni firmie General Atomics z San Diego, żeby zajęła się ich udoskonaleniem. Clark, który stacjonował na Węgrzech, dostał cztery takie maszyny będące jeszcze w fazie badań. Umieścił je w niewielkich namiotach na pasie startowym w Taszár. Drony okazały się strzałem w dziesiątkę. Żołnierze od dawna marzyli o możliwości obserwacji tego, co kryje się za następnym wzgórzem, a Gnat przekazywał im z nadajnika panoramę o zasięgu stu kilometrów. Co więcej, dron mógł unosić się w powietrzu niemal bez przerwy, działając w systemie dwunastogodzinnych zmian. Samoloty pilotowane przez człowieka mogły latać tak długo, jak wytrzymał pilot lub do wyczerpania zapasów paliwa. Satelity zapewniały doskonałe zdjęcia, więc zapotrzebowanie na ich usługi było ogromne, ale miały wady – dużo kosztowały, było ich niewiele i nie zawsze latały nad określonym punktem. Gdy tylko Gnaty Clarka ruszyły do misji w Kosowie, już nigdy nie przerwały wykonywania swoich zadań. Zapotrzebowanie na drony rosło bez końca i do dziś pozostają one w służbie armii.

Jeśli spojrzeć na zimną wojnę z perspektywy lotnictwa, zasadniczy problem nie polegał na odnalezieniu wroga, którego lokalizacja była zazwyczaj oczywista i sprowadzała się do czołgów, silosów rakietowych, armii itd. Chodziło głównie o to, w jaki sposób można je zaatakować. Wojna, która rozpoczęła się na dobre po 11 września, stawiała wszystkich przed dokładnie odwrotnym dylematem. Terrorysty z Al-Kaidy byli łatwym celem, o ile udało się ich zlokalizować. Najczęściej kryli się w ośrodkach strzeżonych przez kilku uzbrojonych strażników. Okazało się zatem, że urządzenie, dzięki któremu można po cichu obserwować cel z dość niewielkiej odległości przez całe dni, miesiące, a nawet lata, na dodatek w czasie rzeczywistym, jest równie cenne, a może nawet cenniejsze niż sprzęt za miliony dolarów umieszczony na orbicie ziemskiej.

Współpracujący z Clarkiem generał James Poss dowodził pierwszą misją Predatorów w Iraku w 2001 roku. Irakijczycy od czasu do czasu strzelali do amerykańskich samolotów patrolujących strefy wyłączone przez ONZ z lotów, wspomagając się wielkim i ciężkim rosyjskim radarem z czasów zimnej wojny, nazywanym „podstawką pod łyżkę”. Całe urządzenie umieszczano na ciężarówce, a można je było łatwo rozpoznać po dwunastu gigantycznych antenach, sterzących w górę jak wieszaki na ubrania. Trudno było nie dostrzec tak charakterystycznego pojazdu, więc trudno również uwierzyć, że pomimo dziewięciomiesięcznych poszukiwań lotnictwo nie zdołało zlokalizować ani jednego z nich. Jak to możliwe, że coś, co jest tak wielkie i łatwo rozpoznawalne pozostawało niewidoczne przez tak długi czas? Za każdym razem, gdy amerykańska załoga wykrywała, że jest śledzona przez radar, wojsko wysyłało samolot AWACS (Airborne Warning and Control System, lotnicze stanowisko wczesnego ostrzegania i kierowania), który leciał w wyznaczone miejsce w poszukiwaniu ciężarówki z „podstawką pod łyżkę”. Nigdy nie udało się zlokalizować ani jednej. Czy to możliwe, żeby Irakijczycy po każdorazowym użyciu demontowali te wozy? Ze starych radzieckich instrukcji obsługi wynikało, że urządzenie nie mogło być rozebrane w czasie krótszym niż dwadzieścia minut, a samolot AWACS pojawiał się w odpowiednim miejscu znacznie szybciej. Lotnictwo usiłowało namierzyć radary przy pomocy U-2, ale i to nie przyniosło rezultatu. Poss wprowadzał w życie każdy pomysł, jaki przyszedł mu

do głowy. Zbadał każdy wielki budynek w okolicy. Uciekał się nawet do analiz opartych na rozpoznaniu wzorców, żeby przewidzieć miejsce, w jakim prawdopodobnie pojawi się radar. Bezskutecznie.

Predator znalazł odpowiedź już za pierwszym razem. Gdy bezszelestnie pojawił się nad irackim miasteczkiem, w którym działał system radarowy, zarejestrował taki oto obraz: Irakijczycy przejechali charakterystyczną ciężarówką przez główny plac, po czym zaparkowali pod mostem. Dzięki wykryciu tego podstępu wkrótce zlokalizowano i zniszczono wszystkie „podstawki”.

Drony wykorzystywano też w innych celach. Przed rozpoczęciem amerykańskiej kampanii bombardowania Bagdadu w 2003 roku Poss i Clark wysłali w powietrze starego Predatora, który miał wkrótce trafić na złom. Maszyna przeleciała powoli nad miastem na niewielkiej wysokości, co skłoniło Irakijczyków do uruchomienia radarów w całym systemie przeciwlotniczym stolicy, który został dzięki temu doskonale rozpracowany przez lotnictwo. Gdy Predatorowi skończyło się paliwo, runął do Tygrysu, a Irakijczycy uroczyście ogłosili zestrzelenie amerykańskiego myśliwca. Maszyna nie została nigdy odnaleziona. Następnego dnia Poss i Clark powtórzyli ten sam manewr, ale źle obliczyli zapasy paliwa. Dron nie wpadł do jeziora na obrzeżach miasta, lecz runął na ziemię przy brzegu. Ekipy filmowe, zaalarmowane informacją o zestrzeleniu amerykańskiego odrzutowca, zarejestrowały następnego dnia operację wydobywania starego drona upstrzonego graffiti. Nie było na nim ani śladu pocisku.

Pierwsze eksperymentalne modele mogły przekazywać sygnał telewizyjny wyłącznie w zasięgu objętym obserwacją, ale dość szybko podjęły współpracę z satelitami telekomunikacyjnymi, dzięki czemu widok z powietrza mógł być monitorowany w czasie rzeczywistym i analizowany w każdym zakątku świata. To był prawdziwy przełom. Drony przesyłały obraz z góry, ale takie zadanie wykonywały już przecież balony latające nad polami bitew podczas wojny secesyjnej – rewolucyjna zmiana nastąpiła wtedy, gdy obserwacja prowadzona przez bezzałogowce została włączona w istniejący globalny system telekomunikacji. Armia amerykańska mogła dzięki temu założyć na całe miasta tzw. czapki, czyli stałe elektroniczne platformy obserwacyjne. Po połączeniu tego systemu z superkomputerami wyposażonymi w oprogramowanie zdolne do odczytywania „sygnatury” konkretnego celu (na przykład czerwonego pikapa z wgniecionym prawym tylnym błotnikiem), uzyskano możliwość śledzenia go dniem i nocą.

W 2010 roku flota bezzałogowców, do których należą dziś Predatory, Reapery, Global Hawk i inne liczne maszyny, stanowiła już element zintegrowanego światowego systemu umożliwiającego operatorom przebywającym w bazach na terenie USA kierowanie misjami w każdym zakątku kuli ziemskiej. Dane obrazowe i sensoryczne przekazywano do analizy komputerom w Bazie Lotnictwa Beale w Kalifornii i do centrali CIA w Langley. Liczba dronów, idąca już w tysiące, pozwalała na równoczesne utrzymywanie nawet sześćdziesięciu pięciu „czapek”. W przypadku wybranego celu elektroniczne szpiegowskie oko mogło odpowiedzieć, ile osób mieszka w posiadłości, o której godzinie się budzą, o której kładą się spać i jaką bronią dysponują. Lotnictwo używało teraz zespołów dronów, tworząc system o nazwie Gorgon Stare (Spojrzenie Gorgony), który mógł objąć obszar o powierzchni czterech kilometrów kwadratowych, czyli wielkości miasta Fairfax w stanie Wirginia. Obraz nie musiał być bezustannie kontrolowany przez człowieka, którego z powodzeniem zastępowały komputery. One nigdy się nie nudzą,

nie rozpraszają i bez problemu podchodzą do najbardziej skomplikowanych zadań. Gdy komputer rozpoznawał, dajmy na to, samochód należący do człowieka podejrzanego o terroryzm (pojazd miał jakąś cechę charakterystyczną, która pozwoliła komputerowi na jego identyfikację), to można było śledzić każdy jego ruch latami i stworzyć szczegółową mapę podróży podejrzanego. Po połączeniu tej mapy z danymi wywiadowczymi o jego rozmowach przez komórkę oraz informacjami od szpiegów rozpoczynano budowanie szczegółowego, bardzo dokładnego wykresu związków i relacji obserwowanego, tworząc swoistą sieć. Postęp w dziedzinie instrumentów optycznych umożliwił prowadzenie obserwacji z dużej odległości, więc drony nie musiały się unosić bezpośrednio nad celem. Mogły „stać z boku”, z dala od częściowo zamkniętej przestrzeni powietrznej, na przykład nad państwem takim jak Pakistan.

Szlak wiodący do Abbottabadu – w retrospekcji tak oczywisty – w rzeczywistości oznaczał triumf taktyki polegającej na mozolnym łączeniu punkcików w coraz większy obraz. W tym przypadku zaczęło się od nazwiska. Co ciekawe, nazwiska, które nie było prawdziwe i należało do kogoś, o kim mówiło się (co było nieprawdą), że nie żyje.

Pierwszy raz nazwisko Abu Ahmeda al-Kuwaiti padło w Mauretanii, podczas przesłuchania członka Al-Kaidy, Mohamedou Ould Slahiego, którego wojenny pseudonim brzmiał „Abu Musab”. Slahi był doświadczonym mudżahedinem, dwa razy walczącym w Afganistanie – najpierw z Rosjanami, a potem z zainstalowanym przez nich marionetkowym reżimem. Następnie złożył przysięgę na wierność bin Ladenowi, a pod koniec 1999 roku, gdy mieszkał w Niemczech i studiował elektrotechnikę, zaprzyjaźnił się z dwoma młodymi Arabami, którzy dwa lata później znaleźli się w grupie porwaczy z 11 września – Ramzim bin al-Shibhem i Marwanem al-Shehhim. Obydwaj zamierzali się przyłączyć do dżihadu w Czeczenii, ale Slahi poradził im, by najpierw udali się na szkolenie do Afganistanu. Młody Mauretańczyk, wraz z Mohammedem Attą, późniejszym przywódcą grupy z 11 września, pomógł obu młodzieńcom w opracowaniu planu podróży do Karaczi i wstąpieniu na drogę prowadzącą do Stanów Zjednoczonych oraz kursów pilotażu. Ta przysługa sprawiła, że Slahi stał się jednym z pierwszych ogniw spisku z 11 września, więc po zamachach należał do najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie. Po zaledwie dziesięciu dniach wykryto, że mieszka spokojnie w swojej ojczyźnie i postawiono go przed mauretańskimi śledzcymi. Po aresztowaniu w listopadzie 2001 roku poddano go intensywnym przesłuchaniom w Mauretanii i w Jordanii – według jego zeznań był też torturowany, co jest zapewne zgodne z prawdą. Od 2002 roku Slahi przebywa w więzieniu w zatoce Guantánamo.

Relacjonując dzieje swoich wędrówek i bitew w szeregach mudżahedinów, Slahi wymienił mnóstwo nazwisk, a wśród nich Abu Ahmeda al-Kuwaitiego, który według niego już nie żył. Nazwisko, będące oczywiście pseudonimem, oznaczało „Ojca Ahmeda z Kuwejtu”. Znajdowało się ono wśród tysięcy nazwisk wprowadzanych codziennie do rozrastającej się bazy danych Terrorism Information Awareness.

Ponad rok później osoba o tym samym pseudonimie została opisana znacznie bardziej szczegółowo przez prawdziwego fanatyka o nazwisku Mohammed al-Qahtani. Ten Saudyjczyk o dziecięcych rysach twarzy poświęcił się całkowicie Al-Kaidzie i planował przyłączyć się do porwaczy z 11 września jako „mięsień” – jeden z zamachowców, którzy byli wyszkoleni do przejęcia samolotu i pilnowania pasażerów przed uderzeniem w cel. Przybył do Orlando mniej więcej

miesiąc przed atakami (czekał tam na niego Mohammed Atta), ale został odesłany przez urzędnika imigracyjnego, który okazał się bardzo podejrzliwy, choć czasy były jeszcze stosunkowo spokojne. Przyczyną odmowy wjazdu był fakt, że Qahtani miał bilet w jedną stronę i ani w ząb nie znał angielskiego. Saudyjczyk z miejsca został wsadzony do samolotu i wrócił do Afganistanu. Skoro nie dany był mu los męczennika, wrócił do bin Ladena i walczył w bitwie o Tora Bora. Podczas ucieczki, w grudniu 2001 roku, został schwytany wraz z grupą mudżahedinów przy przekraczaniu granicy z Pakistanem. Twierdził, że przebywał w Afganistanie, żeby uczyć się sztuki sokolnictwa. Po zatrzymaniu przekazano go w ręce Amerykanów, którzy dzięki odciskom palców skojarzyli go z młodym Saudyjczykiem, którego nie wpuszczono do Stanów na lotnisku w Orlando. W ten sposób Qahtani stał się obiektem wielkiego zainteresowania śledczych.

W Guantánamo przesłuchiwano go bez przerwy od początku listopada 2002 roku do stycznia 2003 roku. Rejestr, w którym zapisano każdy jego dzień, pokazuje wysiłki mające na celu złamanie oporu młodego człowieka. Qahtani wykazał się niezwykłym hartem ducha. Co jakiś czas podejmował strajk głodowy i atakował zarówno strażników, jak i przesłuchujących – często ich opluwał, jednego zaatakował „z byka”, a na innych rzucał się całym ciałem. Gdy lekarze usiłowali podłączyć mu kroplówkę, wyrwał igłę, a kiedy przywiązano mu ręce do krzesła, złapał rurkę od kroplówki w zęby i po prostu ją przegryzł.

Administracja Obamy od dawna twierdzi, że tortury nie odegrały żadnej roli w wytopieniu bin Ladena, ale żeby im dać wiarę, trzeba by zastosować bardzo zawężoną definicję tego terminu. Oskarżyciel Słahiego odmówił postawienia mu zarzutów przed trybunałem wojskowym, ponieważ odkrył, że oparto je na oświadczeniach pozyskanych w wyniku tortur. W przypadku Qahtaniego zastosowane wobec niego środki przymusu zostały doskonale udokumentowane i upublicznione, a każdy neutralny obserwator nie mógłby ich nazwać inaczej jak torturami. Właśnie ta sprawa skłoniła Departament Obrony do sformułowania wytycznych w celu ograniczenia nadużyć wobec przesłuchiwanym.

Qahtani uległ w końcu naciskom, lub jakkolwiek je określimy, porzucił historijkę o sokolnictwie i zaczął szczegółowo opisywać swoją współpracę z Al-Kaidą. W jego relacjach przewijało się wiele nazwisk osób należących do najbliższego otoczenia Szejka. Jedną z nich był wspomniany już Abu Ahmed al-Kuwaiti. Qahtani nie znał prawdziwego nazwiska tego człowieka, ale według niego nie był on wcale nieboszczykiem, miał się doskonale i ściśle współpracować z Chalidem Szejkiem Mohammedem, czyli numerem trzy w Al-Kaidzie. Na dodatek spotkał się z Qahtanem w kawiarence internetowej w Karaczi i wręczył mu wstępną instrukcję, pokazując, jak komunikować się z przywódcami grupy po przylocie do Ameryki. Peter Bergen napisał w swojej doskonałej książce *Manhunt*, że Qahtani nauczył się wtedy pisać listy na swoim koncie mailowym i zachowywać je w postaci kopii roboczej, zamiast wysyłać do adresata. Jego kompani, posiadający hasło do tego samego konta, mogli się na nie zalogować i odczytać kopię, która nigdy nie była wysyłana, przez co umykała uważnemu oku amerykańskich służb. Qahtani opisywał też Ahmeda Kuwejczyka jako kuriera.

Wspomniane nazwisko wypłynęło zatem już dwa razy i było wymienione przez dwóch różnych mężczyzn, w dwóch różnych krajach, w odstępie kilkunastu miesięcy. Na razie nikt jeszcze nie zwrócił na to baczniejszej uwagi. Na początkowym etapie polowania nie rozpowszechni-

niano zbyt szeroko zapisów przesłuchań – nawet w ramach CIA. Znaczenie jednej potężnej bazy danych wzrosło dopiero po kilku latach, gdy opracowano oprogramowanie, które mogło je wykorzystać. W pierwszych latach – mimo że dziesiątki analityków pracowały dniem i nocą, a prezydent Bush sprawdzał w szufladzie swoją listę, bezustannie pytając „Jak nam idzie”, mimo że wykorzystywano komputery – niemal niemożliwe było uporanie się z zalewem najróżniejszych wskazówek i fałszywych tropów. Departament Stanu wyznaczył nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów za informacje prowadzące do bin Ladena, a kolejne dwa miliony wyłożyło stowarzyszenie linii lotniczych oraz związek zawodowy pilotów – informacje o wysokich smukłych Arabach o oliwkowej cerze sływały teraz ze wszystkich kontynentów. Analitycy nie wiązali zbyt wielkich nadziei z żadnym z takich tropów, ale była to kwestia priorytetowa dla całego państwa, musieli więc podchodzić poważnie do każdego przypadku, a to pożerało mnóstwo cennego czasu.

W tym morzu informacji szczególnie przedstawiony pod przymusem przez Qahtaniego, choć okazał się później kluczowym tropem, nie został przez nikogo uznany za istotny. Sam Qahtani nie był żadną grubą rybą, ale szeregowym bojownikiem, jednym z tysięcy żołnierzy pojmanych w Afganistanie podczas próby przekroczenia granicy. Wszystkich przesłuchano, a ich odpowiedzi wrzucono do rosnącej bazy danych. Qahtani zasługiwał jednak na szczególną uwagę. Był arabskim bojownikiem i, w przeciwieństwie do większości przesłuchiwanym, należał do Al-Kaidy. Walczył w Tora Bora i próbował dostać się do Stanów Zjednoczonych na krótko przed zamachami, a gdyby go nie zawrócono, sam mógłby wziąć w nich udział. Był jednak tylko „mięśniami”, szeregowym bojownikiem, którego ciężko uznać za kogoś, kto jest w stanie wskazać miejsce pobytu Osamy bin Ladena. Zwrócono natomiast uwagę na jego wzmiankę o Ahmedzie Kuwejtczyku. Ten rzekomy „kurier” pomógł Qahtanemu w przygotowaniach do misji z 11 września i prawdopodobnie ściśle współpracował z Chalidem Szejkiem Mohammedem, mógł być zatem ważną postacią. Nadal jednak dysponowano wyłącznie jego fałszywym nazwiskiem. Kimkolwiek był, to w 2003 roku jego pseudonim pozostawał jedynie drobną informacją wywiadowczą w rozlewającym się szeroko oceanie danych.

Kilka miesięcy po tym, jak Qahtani zaczął mówić, w Pakistanie doszło do aresztowania samego Chalida Szejka Mohammeda. Ten tęgi, obficie owłosiony mężczyzna o ciemnej karnacji, szef operacji wojskowych oraz główny mózg zamachów z 11 września był niewątpliwie najważniejszym członkiem Al-Kaidy, jakiego kiedykolwiek udało się zatrzymać. Jego aresztowanie wzbudziło wielką sensację – oto zatrzymano człowieka, który mógł wydusić z siebie informacje o kryjówkach bin Ladena i al-Zawahiriego lub przynajmniej doprowadzić śledczych nieco bliżej, a być może zdradzić także plany przygotowywanych właśnie spisków, zanim dojdzie do kolejnych zamachów.

Wobec Chalida Szejka Mohammeda zastosowano wszelkie dostępne środki. Był brutalnie przesłuchiwany zarówno przez Pakistańczyków, jak i Amerykanów. W tajnym ośrodku CIA w Polsce pytano go o mnóstwo nazwisk, stosując przy okazji osławione podtopienia¹¹⁾ (zanotowano w sumie sto osiemdziesiąt trzy takie incydenty). Pośród nazwisk, o które pytano, pojawił się także Ahmed Kuwejtczyk. Poza wieloma informacjami uzyskanymi od Chalida Szejka Mohammeda, zarówno prawdziwymi, jak i fałszywymi, zostało potwierdzone istnienie człowieka o takim pseudonimie. Przesłuchiwany stwierdził jednak, że był on postacią mało znaczącą i już

dawno temu wycofał się z Al-Kaidy.

11) Chodzi o tzw. waterboarding. Jest to tortura oficjalnie zabroniona przez prawo międzynarodowe. Skrępowanego więźnia przywiązuje się do ławki nachylonej pod kątem dwudziestu stopni. W takiej pozycji głowa umieszczona jest poniżej poziomu stóp. Twarz przykryta zostaje celfanem lub materiałem, na który leje się wodę, przez co ofiara odnosi wrażenie, że tonie. Utonięcie jednak nie następuje, gdyż przechylona sylwetka sprawia, że woda nie splywa do płuc, pozostając cały czas w gardle, ustach i zatokach (przyp. red.).

W 2003 roku zespoły analityków z CIA nie uznawały człowieka zwanego Kuwejtczykiem za ważny trop, ale zapamiętano, że pojawił się on w różnych przesłuchaniach już trzy razy. Uznanie go za postać fikcyjną, wymyśloną przez zatrzymanego stało się więc znacznie mniej uzasadnione. Kuwejtczyk istniał i chociaż mógł być już trupem, najprawdopodobniej nadal żył i co więcej – teraz albo w przeszłości – mógł należeć do najbliższego otoczenia bin Ladena, a nawet pełnić funkcję kuriera. Jego nazwisko było fałszywe i znajdowało się wśród tysięcy takich pseudonimów, tak skąpa wiedza nie prowadziła zatem donikąd, nie wskazywała nawet kierunku poszukiwań.

Ekipy zajmujące się tą sprawą składały się z ludzi bystrych, pracowitych i z założenia nie rzucających się w oczy – to typowe dla CIA. Byli oni członkami swego rodzaju uniwersytetu analiz, a na ich czele stał Michael Morell. W szczytowym momencie w pracy brało udział ponad dwudziestu analityków – kobiety i mężczyźni. Odsetek kobiet był wyższy niż zazwyczaj przy takich przedsięwzięciach. Z jednej strony CIA chciała zachować równowagę płci, z drugiej – uznawała, że kobiety wyjątkowo dobrze radzą sobie z zadaniami wymagającymi wielkiej cierpliwości i dostrzegają niuanse często umykające mężczyznom (takie samo podejście zastosowano zresztą przy doborze pracowników do kierowanej przez Scheuera ALEC Station). Wśród pracowników przeważały osoby wkraczające w wiek średni. Analitycy wyglądali jak urzędnicy dojeżdżający do pracy w jakimś biurze i ślęczący godzinami przed komputerem lub przesiadujący na nudnych zebraniach. Podśmiewali się z wizerunku agentów CIA przedstawianych w książkach i filmach – ludzi wyskakujących z samolotów, skaczących z dachów czy mknących pod ostrzałem w sportowym samochodzie po ulicach jednej z europejskich stolic. W większości byli mołami książkowymi, ale wyglądali bardziej na księgowych czy menedżerów niższego szczebla niż na naukowców. Najprawdopodobniej tak by się zresztą przedstawili. Kierując się tajnym charakterem swojej pracy, każdy musiał zdusić w sobie indywidualizm i dążenie do oryginalności.

Fałszywych informacji o pojawieniu się bin Ladena było coraz mniej, a w 2004 roku właściwie w ogóle przestały napływać. Wydawało się, że najbardziej poszukiwany terrorysta przypadł na dobre. Zespoły analityków zaczęły przywiązywać większą wagę do porządkowania zgromadzonych danych i opracowywania lepszych metod analizy. Bin Laden miał wielką rodzinę, składającą się z niezliczonej liczby krewnych i powinowatych – każdy z nich mógł stanowić kanał przerzutowy, którym przekazywano wiadomości dla matki (bin Laden zawsze był z nią blisko związany). Wiadomo było, że jako głowa Al-Kaidy bez przerwy wysyła i odbiera wiadomości. Ja-

cyś ludzie dostarczali mu jedzenie, leki, a także informacje... Jakich metod używał? A co z oświadczeniami nagranyymi na filmach i płytach? Kto z jego bezpośredniego otoczenia zajmował się takimi nagraniami? Wszystkie zostały niezwykle starannie zbadane. Jaka tapeta znajduje się na ścianie za jego plecami? Jakie rośliny trzyma w tym pomieszczeniu? Co ma na sobie? Podczas pracy nad nagraniami analityków znacznie bardziej interesowało wydobycie informacji z tła niż to, co miał do przekazania bin Laden. Skoro mieszka w jaskini gdzieś w dzicy, to dlaczego ma takie czyste szaty? Zespół ds. „mediów” zajmował się opracowywaniem właśnie takich tropów. Kto przekazywał nagrania do Al-Dżaziry? To należało do zadań grupy kurierów. CIA mogła wytropić łańcuch posłańców aż do numeru trzy, czyli Chalida Szejka Mohammeda, a potem jego następcy, Libijczyka Mustafy al-Uzaytiego, znanego pod pseudonimem Abu Faraj al-Libbi – ale w tym miejscu ślad się zawsze urywał.

W styczniu 2004 roku kurdyjska policja aresztowała Hassana Ghula, znanego członka Al-Kaidy, który usiłował się przedostać na terytorium Iraku z pieniędzmi i schematami budowy bomb domowej roboty. Miał też przy sobie list bin Ladena do Abu Musaba al-Zarqawiego, niezwykle groźnego przywódcy irackiej komórki Al-Kaidy, która właśnie zaczynała krwawą kampanię przeciwko Amerykanom oraz irackim cywilom. Podczas przesłuchania Ghula nazwisko Abu Ahmeda al-Kuwaitiego wypłynęło po raz kolejny. Ghul przedstawił go jako ważnego kuriera i jednego z najbardziej zaufanych zaaszników Szejka. CIA miało zatem już cztery wzmianki o tym tajemniczym człowieku, którego postać zaczęła nabierać coraz bardziej realnego wymiaru. Ale kim on właściwie był? Jeśli bin Laden ukrywał się w Pakistanie, to w roli pomocnika najbardziej przydatny byłby ktoś z biegłą znajomością zarówno języka paszto, jak i arabskiego. Czy Kuwejczyk pasował do takiego wzorca? A jeśli tak, to jak wysledzić, kto kryje się pod pseudonimem?

W ostatnich latach prezydentury Busha oficjalna wersja głosiła, że bin Laden prawdopodobnie mieszka w jakiejś jaskini w Waziristanie. Ekipy CIA zarzuciły tę wersję już w 2002 roku. Nie było żadnych dowodów na jego pobyt w północno-zachodnim Pakistanie – ani jednego świadectwa, ani jednej relacji, a nawet ani jednej plotki. Krążyło też mnóstwo opowieści o tym, że prawdopodobnie cierpi na poważną chorobę nerek, ale plotki te stosunkowo szybko uznano za nieprawdziwe. Właśnie takie poszlaki dementował sam bin Laden, uczując w obecności pakistańskiego dziennikarza Hamida Mira. CIA odrzuciła je ze względu na to, że logistyka związana z dializą byłaby w takich warunkach zbyt skomplikowana, a Szejek na nagraniach filmowych prezentował się całkiem krzepko.

Gdy analitycy odrywali się od komputerów, brali udział w spotkaniach, przedstawiali nowe teorie i dyskutowali nad nimi. Opracowywano szczegółowe scenariusze i profile osób. W jakich warunkach żyje bin Laden? Kto może mu towarzyszyć? Jak duża jest grupa domowników? Gdzie jest jego obecny dom? Jak może wyglądać?

Za cztery najbardziej obiecujące drogi dojścia uznano rodzinę, organizację, finanse i kurierów. Każda z tych dróg wiązała się z konkretnym zbiorem danych – nazwiskami, liczbami, zdjęciami, przesłuchaniami itd. Wszystkie one poszerzały bazę danych, która stawała się ogromnym zbiorem potencjalnych tropów. Praca toczyła się mozolnie – dzień za dniem, tydzień za tygodniem, rok za rokiem. I wciąż nie było widać żadnego wyraźnego postępu.

Gdy w maju 2005 roku aresztowano w Pakistanie Abu Faraja al-Libbiego, ożyły nadzieje na

przełom. CIA wiedziało, że drugi pojmany numer trzy w strukturze Al-Kaidy porozumiewał się bezpośrednio z bin Ladenem po zamachach z 11 września. Po zatrzymaniu dostarczył wielu informacji, wydawało się jednak, że żadna z nich nie pomoże zespołom zajmującym się tropieniem Szejka. Tymczasem okazało się, że pośrednio udzielił im pewnej pomocy. Al-Libbiego pytano o wiele osób, m.in. o Kuwejtczyka. Powiedział, że nigdy o nim nie słyszał.

To było naprawdę interesujące. O Kuwejtczyka pytano w sumie pięciu zatrzymanych. Czterech stwierdziło, że go znało. Trzech umieściło go w bliskim otoczeniu bin Ladena (choć jeden z nich twierdził, że Kuwejtczyk nie żyje), a jeden – Chalid Szejk Mohammed – powiedział, że wystąpił on z Al-Kaidy. A teraz al-Libbi, który działał w Al-Kaidzie od ponad dwudziestu lat, mówi, że nigdy o nim nie słyszał. Jak mógł nic nie wiedzieć o człowieku, którego istnienie skwapliwie potwierdził Chalid Szejk Mohammed? Przecież organizacja nie była wcale taka wielka. Analitycy mieli takie oto dane: dwaj najważniejsi zatrzymani albo pomniejszali znaczenie Kuwejtczyka, albo zaprzeczali jego istnieniu. Mogło to oznaczać, że Ahmed Kuwejtczyk był tak naprawdę bardzo ważną figurą. Bin Laden stanowił klejnot w koronie. Jeśli zatrzymani terroryści mieliby chronić cokolwiek, to z pewnością informacje prowadzące właśnie do niego. To było jedyne możliwe wytłumaczenie. Gdy dodać do tego fakt, że Kuwejtczyk zniknął z mapy... tak samo jak bin Laden, ekipy CIA po raz pierwszy zaczęły zakładać, że nadal towarzyszy on Szejkowi i jest jego głównym łącznikiem z resztą świata.

W ten sposób Kuwejtczyk stał się jednym z ważniejszych wątków spośród wszystkich, które analizowano w poszukiwaniu dróg dojścia do bin Ladena. Jego nazwisko wciąż pozostawało jedynie pseudonimem – upłynęło pięć lat, zanim zdołano je w końcu połączyć z realną postacią. W 2007 roku CIA dowiedziało się, że prawdziwe nazwisko Kuwejtczyka brzmi Ibrahim Saeed Ahmed. Nie wiadomo, jak doszukano się tego związku. Rozwiązanie mogło być proste i pochodzić od informatora, na przykład człowieka zatrzymanego i przesłuchiwanego w innym kraju, ale mogło też zrodzić się nagle w czarodziejskim systemie, czyli w bazie danych Terrorism Information Awareness. Jeden z wyższych urzędników ujawnił, że informacja pochodziła z „państwa trzeciego”. Morell powiedział mi później:

– Można by napisać książkę o tym, jak do tego doszliśmy. – Na razie jednak taka książka nie może powstać, bo wszystko objęte jest klauzulą tajności.

Niezależnie od tego, jakim sposobem odkryto wspomniany związek, to w świetle coraz sprawniejszego działania sieci wywiadowczych opartych na agentach oraz potężnej bazie danych TIA, ustalenie prawdziwego nazwiska Kuwejtczyka w 2007 roku było dużym krokiem naprzód. Człowiek z krwi i kości miał jakąś przeszłość. Ahmed pochodził z licznej pakistańskiej rodziny, która przeprowadziła się do Kuwejtu. Zarówno on, jak i jego bracia dorastali, posługując się językiem paszto i arabskim – jeden z jego braci zginął, walcząc z Sowietami w Afganistanie. Człowiek z tak liczną rodziną musiał mieć krewnych, którzy posługiwali się telefonami, odbierali i wysyłali pocztę, i mieli komputery z dostępem do internetu. Tworzył z innymi sieć, którą można było ustalić i monitorować. Amerykanie mieli zatem możliwość błyskawicznego zbadania każdego skrawka informacji i odnalezienia powiązań w terabajtach danych wywiadowczych, analitycy mogliby zatem wychwycić podejrzany numer komórki, z którego dzwoniło z Kuwejtu do Pakistanu, następnie ustalić usytuowanie nadajnika, z którego wyszedł sygnał, a na koniec przeczesać tysiące numerów logujących się do tego nadajnika i znaleźć jakieś charakte-

rystyczne powtarzalne wzorce wykonywania połączeń. Można też było regularnie nagrywać rozmowy z tej komórki, choć na tym etapie nikt chyba nie interesował się tym wątkiem na tyle, żeby zdecydować się na takie rozwiązanie.

Postać Ahmeda Kuwejtczyka nie budziła jeszcze wielkiej sensacji. Nadal był tylko jednym z wielu potencjalnych tropów, spośród których niejeden wyglądał znacznie bardziej obiecująco. Większość wysiłków analityków skupiała się na namierzeniu nowego numeru trzy w Al-Kaidzie oraz innych ważnych członków tej organizacji, co dawałoby szanse na rozbicie przygotowywanych właśnie spisków. Kuwejtczyk był w tym momencie postacią drugoplanową. Większość informacji zebranych w jego sprawie przez te wszystkie lata wskazywała na to, że faktycznie wycofał się z organizacji, a jego dawne powiązania wystarczały do wytłumaczenia decyzji o tym, że nie chce rzucać się w oczy.

Powodem, dla którego CIA ponownie zwróciło na niego uwagę, mógł być nacisk ze strony Obamy, jaki pojawił się w 2009 roku, albo po prostu podjęcie przez analityków wątku kurierów. Możliwe też, że nie doszło do żadnej zmiany kursu, a o dostarczeniu ważnych wskazówek zdecydowało cierpliwe zbieranie informacji i doskonalenie oprogramowania badającego bazy danych TIA. W każdym razie w czerwcu 2010 roku Stany Zjednoczone zdołały w końcu zlokalizować telefon. Być może w samym aparacie czy w taryfie zaszła jakaś zmiana, być może Amerykanie zwiększyli swoje możliwości technicznie, ale skutek był jeden – mogli namierzyć Kuwejtczyka i poddać go obserwacji.

Ogromne zainteresowanie Langley wzbudziło to, co odkryto, gdy zaczęto mu się bliżej przyglądać. Okazało się, że Ibrahim i jego brat Abrar zachowują niezwykle środki ostrożności. Swoich telefonów używali wyłącznie w samochodach. Ahmed jeździł białym suzuki jimny z kołem zapasowym zamontowanym z tyłu. Samochód można było obserwować z powietrza. CIA ustaliła, że przed włączeniem telefonu mężczyzna wsiadał do samochodu i jechał co najmniej godzinę, by oddalić się od tajemniczej posiadłości w Abbottabadzie. Ibrahim i jego brat posługiwali się fałszywymi nazwiskami – Arshad i Tareq Khan. Było to interesujące, choć można by to łatwo wytłumaczyć chociażby dawnymi związkami Ibrahima z organizacją. Bracia mogli się też zajmować jakąś nielegalną działalnością. Przemyt narkotyków na pograniczu afgańsko-pakistańskim kwitł w najlepsze, przynosząc wielkie zyski. Ale mogło być i tak, że obaj wciąż pracowali dla Al-Kaidy.

Wszystkie te przypuszczenia wystarczyły, by wzmóc zainteresowanie obydwojma mężczyznami. Jeśli Ahmed Kuwejtczyk nadal pracował jako kurier, to być może mógłby doprowadzić Amerykanów do kryjówki bin Ladena.

Analitycy zaczęli bardzo uważnie przysłuchiwać się nagranyim rozmowom braci. Żaden z nich nie zdradzał, czym się zajmuje, ale widać było, że obydwaj kłamią – nawet w rozmowach z bliskimi krewnymi – gdy mówią o swoim miejscu zamieszkania. Na dodatek w jednej z rozmów Ibrahima Ahmeda pojawiła się krótka wymiana zdań, która zdawała się potwierdzać, że nadal pracuje dla Al-Kaidy.

„Jestem z tymi, co wcześniej”.

Od tej chwili CIA skupiła swoją całą uwagę na jego posiadłości w Abbottabadzie.

„ZADBAJ O TO, ŻEBY DZIECI I RODZINY ZNAJDOWAŁY SIĘ Z DALA OD MIEJSC, KTÓRE SĄ FOTOGRAFWANE I BOMBARDOWANE”

Jesień 2010 roku

Dziewięć lat po najbardziej spektakularnym sukcesie Osama bin Laden wiedział, że sprawy nie toczą się tak, jak wcześniej przewidywał. Został odizolowany od swoich zwolenników, pogrążył się we frustracji, a jego organizację zdziesiątkowano. Zamachy z 11 września były z jednej strony jego najwspanialszym osiągnięciem, ale z drugiej – największą klęską. Zniszczenie wieżowców World Trade Center i uderzenie pasażerskim samolotem w Pentagon nie przyniosły oczekiwanych efektów. Spodziewał się, że Stany Zjednoczone ogarnie strach, a cały kraj pogrąży się w chaosie i zacznie prowadzić znacznie mniej aktywną politykę międzynarodową. Okazało się,

że zamiast tego on sam i Al-Kaida muszą uciekać przed cierpliwym, zdeterminowanym i bezlitosnym prześladowcą, który nie cofa się przed niczym. Jego ruch został rozbity – dosłownie i pod względem ideowym – i trudno było nadal uznawać go za spójną strukturę. Pozostały po nim jedynie hasła i symbole, pod którymi podpisywali się ludzie niemający wiele wspólnego z jego precyzyjną, natchnioną filozofią. Tacy osobnicy splamili imię organizacji, popełniając czyny, w wyniku których ginęli, ponosili rany lub zniechęcali się ludzie, których Szejk chciał bronić i nawracać. Święta sprawa gdzieś się w tym wszystkim zagubiła. Osama był odizolowany od świata i nie mógł już osobiście kierować ruchem, mimo to wciąż się nie poddawał. Jeśli ktoś jest natknięty przez Boga, nie może się załamać.

Pisał zatem sążniste listy utrzymane w podniosłym stylu i wysyłał je w świat nieprzerwanym strumieniem. Dzięki łańcuchowi kurierów pisma docierały do ludzi, których Szejk uznawał za swoich przedstawicieli. Pomimo ponurej rzeczywistości we wszystkich listach pojawiały się optymistyczne prognozy i oceny możliwości działania Al-Kaidy. Zawierały one szczegółowe zalecenia związane z nowymi nominacjami na stanowiska zwolnione w wyniku aresztowań lub ataku dronów. Osama użyczał lub wycofywał swoje oficjalne błogosławieństwo komórkom zakładanym w innych krajach, zwracał się z żądaniem uaktualnienia danych i przekazania nowych informacji, opłakiwał zmarłych, krytykował, dawał wskazówki i motywował swoich żołnierzy, którzy byli coraz bardziej sceptyczni. Poza tym nie miał właściwie żadnych innych zajęć. Listy wystukiwał sam swoimi smukłymi, delikatnymi palcami albo dyktował jednej z żon, krocząc tam i z powrotem.

„W imię najmiłosierniejszego Boga – tak zaczął list z października 2010 roku, skierowany do Szejka Mahmouda, czyli Atiyaha Abd al-Rahmana, jednego z najwierniejszych żołnierzy, wyróżniającego się też nadzwyczaj długim stażem – niech Bóg cię ochrania. Mam nadzieję, że ten list zastanie ciebie i twoją rodzinę w dobrym zdrowiu. Składam ci kondolencje w związku ze śmiercią naszych ukochanych braci. Niech Bóg okaże ich duszom miłosierdzie i przyjmie ich do grona męczenników”.

Al-Rahman, który pochodził z Libii, ponad dwadzieścia lat wcześniej zgłosił się do Szejka w Afganistanie, gdy jako nastolatek zapalał żądzą walki z potężną radziecką machiną wojenną. Nadal wyglądał jak młodzieniec – był zaniedbany, miał jasną karnację i rzadki zarost – broda zwisała mu cienkimi kosmykami, które łączyły się w obfitszą kępę poniżej podbródka. Jeszcze niedawno al-Rahman żył bezpiecznie w Iranie, służąc jako wysłannik bin Ladena odpowiedzialny za kontakt z miejscowymi mułłami, którzy utrzymywali z Szejkiem nie najlepsze stosunki. Jedna z trzech żon bin Ladena oraz kilkoro z jego dwadzieściorga trojga dzieci przebywało od wielu lat w Iranie w więzieniach lub w „areszcie ochronnym”. Wszystko było kwestią interpretacji. Al-Rahman pomógł pośrednio w ich uwolnieniu, po czym wrócił do zachodniego Pakistanu, na ziemi zamieszkałe przez miejscowe plemiona. Przebywał gdzieś w Waziristanie Północnym lub Południowym i był gotów do ponownego udziału w operacjach Al-Kaidy.

No i nadeszła oczekiwana chwila. Szejk był pewnie rad, że znów ma przy sobie al-Rahmana. Ataki dronów na siły Al-Kaidy w Waziristanie znacznie przerzedziły jej szeregi i organizacja miała problem z wyznaczeniem kogoś na ważne stanowisko numer trzy – dowódcy operacji wojskowych, nad którym stali już tylko sam Szejk i al-Zawahiri. Na celowniku był teraz każdy członek Al-Kaidy, ale numer trzy musiał się liczyć ze szczególnym zagrożeniem. Ta robota wy-

magala całkowitego oddania i gotowości poświęcenia życia. W przeciwieństwie do najbardziej osławionych przywódców, szef operacji wojskowych musiał pozostawać w stałym kontakcie z szeregowymi członkami w ramach przygotowywania akcji, transferu pieniędzy i szkolenia rekrutów. Im większa aktywność, tym większe też było prawdopodobieństwo zostania wysledzonym przez amerykańskie satelity, drony i komandosów. Dotychczas żaden numer trzy nie utrzymał się zbyt długo na służbie. Pierwszy był Chalid Szejk Mohammed, architekt zamachów z 11 września, który został namierzony i aresztowany w Pakistanie w 2003 roku. Jego następcę, Abu Faraja al-Libiego, aresztowano w 2005 roku, natomiast kolejny szef operacji, Hamza Rabbia, został zabity w tym samym roku podczas ataku z użyciem bezzałogowca. Następny numer trzy, Szejk Said al-Masri, zginął w maju 2010 roku. Amerykanom coraz lepiej szło tropienie i zabijanie następców na tym stanowisku. Al-Rahman, który objął je po śmierci al-Masriego, został zabity rok później, a kolejny numer trzy, Abu Hafs al Shahri – zaledwie po miesiącu od nominacji, zresztą także w wyniku uderzenia Predatora. Kolejny dowódca operacji, Abu Yahya al-Libi, zginął w czerwcu 2012 roku.

W tym okresie działalności Al-Kaidy każdy list stworzony przez Szejkę w ciasnym gabinecie na drugim piętrze rezydencji w Abbottabadzie zaczynał się od modlitw za męczenników oraz spisu kondolencji.

„To jest droga dżihadu – takie stoickie stwierdzenie otwierało kolejny list do Atiyaha Abd al-Rahmana, nowego numeru trzy – Bóg rzekł: »Poświęćcie dla Niego swoje pieniądze i samych siebie«. Oni uderzają w nas, a my oddamy cios”.

Ograniczone możliwości działania organizacji były coraz bardziej widoczne. Bin Laden uprzejmie zachęcał swoich zwolenników do kolejnych ataków na Stany Zjednoczone, ale Al-Kaida nie miała już środków do przeprowadzenia tak ambitnych planów. Przygotowanie zamachów z 11 września trwało latami i wymagało licznych podróży międzynarodowych, wielomiesięcznych szkoleń, pieniędzy i ścisłej koordynacji działań. Gdy plan wprowadzono w życie, ugrupowanie znajdowało się na marginesie zainteresowań Amerykanów i całego Zachodu. Michael Sheehan, zajmujący pod koniec prezydentury Clintona stanowisko dyrektora ds. walki z terroryzmem w Departamencie Stanu, czuł się tak, jakby walił głową w mur, usiłując u schyłku lat dziewięćdziesiątych przekonać wszystkich do poważnego zajęcia się bin Ladenem i jego grupą. Michaela Scheuera i „rodzinę Mansona” złożoną z analityków ALEC Station traktowano jak panikarzy, przez co pogrążali się we frustracji.

Teraz jednak zaszła ogromna zmiana. Ameryka stworzyła niewidzialną sieć inwigilacji, która rejestrowała wszystkie interesujące ruchy. Śmierć dziesiątkowała Al-Kaidę, której przywódcy musieli się obawiać nawet przeprowadzki z jednego domu do drugiego, nie mówiąc już o organizowaniu jakiegos międzynarodowego spisku. Szejk jednak nadal śnił swój wielki sen. Jego ludzie, nawet ci, którzy podzielali wizję Osamy, zaczęli dostrzegać, że otaczany ciężką przywódca żyje w świecie fantazji. Wciąż nalegał, aby „ruszali naprzód, a ostrza pik rozkwitają czerwienią”. Bin Laden zamienił się w szalonego oficera, który wymachuje szablą i zbiera rozbite oddziały, zagrzewając do rzucania się na oślep w zmasowany ogień wroga, przy czym sam zostaje z tyłu. Szejk rozesłał po swoich ludziach obszerne analizy strategiczne i wezwał do przeprowadzenia konkretnych akcji, których realizacja była po prostu niemożliwością, a nawet szaleństwem.

„Poprosiłem Szejka Sa'ida – niech Allah okaże jego duszy miłosierdzie – by skłonił brata Ilyasa [Kashmiri] do przygotowania dwóch grup, których zadaniem byłoby przewidywanie oraz obserwacja wizyt Obamy lub Petraeusa w Afganistanie i Pakistanie, a także namierzenie ich samolotów – pisał. – Mają nie zajmować się wizytami wiceprezydenta USA Bidena, sekretarza obrony [Roberta] Gatesa, przewodniczącego kolegium połączonych szefów sztabów [Michaela] Mullena ani specjalnego wysłannika do Pakistanu i Afganistanu [Richarda] Holbrooke'a. Grupy będą wypatrywać wyłącznie Obamy lub Petraeusa. Koncentrujemy się na nich, ponieważ Obama jest przywódcą niewiernych, a zabicie go oznacza automatyczne przejście urzędu przez Bidena aż do końca kadencji, bo tak zakłada tamtejsze prawo. Biden jest zupełnie nieprzygotowany do sprawowania takich obowiązków, więc Stany Zjednoczone pogrążą się w kryzysie. Jeśli chodzi o Petraeusa, to w ostatnim roku wojny wyrósł na najważniejszą postać, zatem jego śmierć odmieniłaby losy walki. Proszę więc o to, by brat Ilyas doniósł mi o krokach, jakie przedsięwziął w tej sprawie”.

Według diagnozy bin Ladena, najważniejszym problemem nie było bezlitosne polowanie Amerykanów na Al-Kaidę, ale brak wyznaczonego celu dla organizacji. W ten sposób charyzmatyczny wódz zmienił się w zrzędę, co można wyczuć w jego listach.

„Gdy wojna ogarniała coraz większe obszary, a mudżahedini rozprzestrzeleni się po wielu regionach, niektórzy bracia zaangażowali się bez reszty w walkę z naszymi lokalnymi wrogami. Popelniano kolejne błędy wynikające z niewłaściwej oceny sytuacji dokonanej przez braci, którzy planowali operacje zbrojne”.

Nadmierna liczba operacji skierowanych przeciwko Amerykanom doprowadziła do przypadkowej śmierci niejednego muzułmanina. Osama szczególnie ostro krytykował dwie akcje przeprowadzone przez lokalnych dżihadystów powiązanych z Al-Kaidą. Pierwszą był nieudany zamach na życie afgańskiego generała Abdula Rashida Dostuma, dowódcy wojsk w regionie, dokonany w styczniu 2005 roku. Zamachowiec-samobójca wysadził się w powietrze przed meczetem w parku Gocha w rodzinnym mieście Dostuma – Sheberghan. Akcją przeprowadzono w czasie, gdy generał i jego świta uczestniczyli w nabożeństwie z okazji dorocznego święta Id al-Adha. W wyniku wybuchu rany odniosło około dwudziestu osób. Szejk potępiał też próbę zamachu na życie pakistańskiego generała Muhammada Yusefa Khana, przeprowadzoną w czerwcu 2004 roku. Także tym razem chodziło o detonację bomby przed meczetem. W obu akcjach zginęło wielu muzułmanów i – wedle słów bin Ladena – „wywarły one wyjątkowo negatywny wpływ na partyzantów dżihadu... Wyjątkowy smutek budzi powtarzanie przez człowieka tego samego błędu”.

W świetle badań z 2009 roku kampania terroru prowadzona przez iracką komórkę Al-Kaidy przyniosła ośmiokrotnie więcej śmiertelnych ofiar wśród wyznawców islamu niż wśród niewiernych. Bin Laden czerpał tego typu informacje z telewizji satelitarnej. Rozlew krwi doprowadził prawdopodobnie do tego, że wiele grup sunnickich, sprzeciwiających się amerykańskiej inwazji, zaczęło okazywać wrogość wobec Al-Kaidy. Jej działania okazały się z jednej strony wyraźnym błędem taktycznym, a z drugiej – moralnym. Obowiązywała bowiem zasada, że nie zabija się muzułmanów, o ile istnieje inny sposób osiągnięcia słusznych celów.

„[To] doprowadziło do zabijania muzułmanów (prosimy Boga o miłosierdzie, wybaczenie im win i wynagrodzenie krzywd ich rodzinom)”.

Bin Laden nie miał już pewności czy zasada dopuszczająca wyjątek w kwestii zabijania braci muzułmanów powinna wciąż obowiązywać. Wniósł o „rewizję takich przesłanek i wyznaczenie jasnych granic obowiązujących wszystkich braci, aby żaden muzułman nie stawiał się ofiarą, chyba że jest to absolutnie niezbędne... To ważne zagadnienie, na które powinniśmy zwrócić uwagę: przeprowadzenie kilku akcji bez zachowania środków ostrożności, nie wpłynęło na sympatię narodu w stosunku do mudżahedinów. Doprowadzi nas to do wygranania kilku bitew, ale ostatecznie przegramy całą wojnę. Przed przeprowadzeniem każdego ataku należy wyznaczyć dokładne kryteria oceny konsekwencji oraz rozważyć plusey i minusy, by ocenić, która z proponowanych akcji będzie najlepszym rozwiązaniem”.

Bin Ladena martwiły nawet sukcesy Al-Kaidy. W maju 2004 roku, podczas oblężenia Khobar w Arabii Saudyjskiej, duża grupa terrorystów wzięła zakładników z dwóch firm naftowych i zabiła dziewiętnastu obcokrajowców. Napastnicy należeli do odłamu zwanego „Al-Kaidą na Półwyspie Arabskim”, mającego siedzibę w Jemenie. Każdego z zakładników pytali, czy jest muzułmaninem, a jeśli zaprzeczył – podrzynali mu gardło. Większość terrorystów zabito w akcji odbicia zakładników, a wydarzenie to skłoniło Saudyjczyków do wyjątkowo brutalnych działań wymierzonych przeciwko ekstremistom.

Szejk przestrzegł teraz przed organizowaniem takich akcji w innych krajach arabskich.

„Reżim zareaguje bardzo ostro przeciwko mudżahedinom, co skłoni ich do obrony i zemsty na władzach – pisał. – Bracia i reżim pogrążą się w wojnie, której nie rozpoczynaliśmy, a siła braci nie jest jeszcze wystarczająca do takiej walki”. Właściwa strategia polegała na unikaniu konfliktu z państwami arabskimi, takimi jak Jemen, Irak czy Arabia Saudyjska, żeby „nie tracić energii na walkę z takimi reżimami na tym etapie [ani]... sympatii, jaką okazują nam muzułmanie... Jesteśmy ludźmi, którzy bronią muzułmanów i walczą z ich największym wrogiem – sojuszem krzyżowców i syjonistów”.

Doszło jednak do tego, że opinia publiczna uznawała zabitych za ofiary muzułmanów i nie już nie mogło tego zmienić – nawet zdanie bin Ladena, kierującego się bardziej klarownymi standardami. Zabijanie ludzi, mimo że dałoby się jakoś uzasadnić względami moralnymi, było dużym błędem strategicznym. Szejk powiedział, że następne ataki powinny nastąpić gdzieś z dala od Bliskiego Wschodu. Chodziło mu szczególnie o Koreę Południową.

„Przy atakowaniu Amerykanów należy wykorzystać różne możliwości, w tym brak ścisłych środków bezpieczeństwa, z jakim mamy do czynienia w krajach, w których nie przeprowadziliśmy jeszcze żadnych akcji”.

W swoich listach Szejk często dawał nauki, usiłując skierować organizację z powrotem ku najważniejszemu celom. Martwiło go nie tylko odejście lokalnych komórek Al-Kaidy od jego założeń, ale i to, że misja organizacji rozmyła się w związku z celami i zagadnieniami, które uważał za marginalne.

„Za sprawą łaskawego Boga dżihad trwa na kilku frontach [w Iraku, Afganistanie i do pewnego stopnia w Pakistanie] i to – dzięki Jego woli i wielkości, a także niezłomności tamtejszych mudżahedinów – wystarczy, by wykrawić głowę niewiernych, Amerykę, i przy Bożej pomocy doprowadzić do jej klęski. Potem naród islamski będzie w stanie wygnać tych, którzy zhańbili go słabością, służalstwem i zepsuciem. Zaraza, która toczy nasze narody, ma dwie przyczyny. Pierwszą jest hegemonia Ameryki, a drugą – obecność władców, którzy odeszli od prawa islamu

i utożsamiają się z hegemonem, służąc jego interesom w zamian za zabezpieczenie własnych korzyści. Jediną drogą do odrodzenia religii i zniszczenia zarazy... jest usunięcie hegemonu... Potem rozprawimy się z drugą przyczyną – władcami, którzy odeszli od prawa islamskiego, ucnomimy w państwie Bożą religię i wprowadzimy rządy prawa”.

Według bin Ladena nazbyt pośpieszne działania w miejscach takich jak Jemen przeszkadzały w osiągnięciu długofalowych celów. W tym kontekście uznawał dzieje talibanu za wymowną przestrożę.

„Można ocenić wyniki przedwczesnego założenia państwa muzułmańskiego, które nastąpiło przed zmiążdżeniem jego wrogów, patrząc na upadek islamskiego emiratu w Afganistanie. Modlimy się do Boga, aby nigdy więcej tak się nie stało”.

We wspomnianym październikowym liście do al-Rahmana, a także w kilku innych napisanych mniej więcej w tym samym czasie, Szejk przedstawił obszerną ocenę sprawy, swojej organizacji oraz świata. Cały czas pozostawał niepoprawnym optymistą, nie bacząc na sytuację, w jakiej się znalazł. Największym wrogiem była Ameryka, ale pod ręką był też pomniejszy przeciwnik – Pakistan. Katastrofy naturalne, jakie przytrafiły się temu państwu, a także kryzys polityczny, który je toczył w ciągu tamtego roku, Szejk uznawał za pomyślne znaki.

„Jeśli chodzi o lokalnego wroga, to wszyscy wiedzą, że znalazł się w wielkich opałach, a władzy grozi upadek, zwłaszcza po powodziach [w lipcu 2010] i wzrastającej liczbie ludzi dotkniętych kryzysem finansowym”. Powodzie były według niego „karą boską” wymierzoną Pakistanowi za „jego grzechy”, jednak zwracał uwagę al-Rahmanowi, by żaden członek Al-Kaidy nie wygłaszał publicznie takich stwierdzeń, „mając w pamięci historię Żyda z chorym dzieckiem, którego Prorok namówił do przejścia na islam, nie zdradzając mu, że powodem choroby synka jest innowierstwo”. Najlepiej jednak nie obrażać Pakistanu.

Bin Laden cieszył się z konfliktów między swoimi dwoma wrogami – Pakistanem i natowską koalicją działającą w Afganistanie pod przywództwem Amerykanów. W ostatnich miesiącach Pakistan zamknął granicę z Afganistanem, przecinając główne szlaki zaopatrzeniowe dla stacjonujących tam wojsk amerykańskich.

„Dzięki hojności Boga sytuacja zmierza w stronę oczekiwaną przez mudżahedinów. Musicie być cierpliwi i silni, a Bóg nas wynagrodzi”.

Biorąc pod uwagę uparte działania Amerykanów, wymierzających kolejne dotkliwe ciosy, nadszedł już czas, aby w Waziristanie pozostali wyłącznie najwierniejsi i najbardziej oddani „bracia”. Szejk polecił pozostałym powrót do Afganistanu, naciskając na al-Rahmana, by nakazał im pozostawienie samochodów, ponieważ w przeciwnym razie Amerykanie mogliby zacząć namierzać ich domy, a to doprowadziłoby do „zwiększenia liczby ofiar wśród kobiet i dzieci”. Bin Laden przykładał wielką wagę do ochrony życia niewinnych muzułmanów. Kazał swoim zwolennikom przemieszczać się „w pochmurne dni, aby ich ruchy nie zostały natychmiast dostrzeżone z powietrza”. Wysłał też zalecenia dotyczące swoich dorosłych dzieci, które nie ukrywały się wraz z nim, wskazując środki ostrożności, jakie powinny zachować w czasie podróży, oraz miejsca, do których miały się udać. Szejk stracił dwóch najstarszych synów, Saada i Mohammeda, którzy poświęcili życie za sprawę. Uważał się za eksperta od spraw bezpieczeństwa, zwłaszcza od unikania inwigilacji z powietrza, więc zalecał podróżującym przesiadanie się z samochodu do samochodu w tunelach. Kazał też braciom sadzić duże drzewa wokół baz operacyj-

nych, by zasłaniały widok przed kamerami obserwującymi teren z góry. Ostrzegali, że urządzenia szpiegowskie i podsłuchowe mogą być „tak małe, że można je umieścić w lekarskiej strzykawce”.

W listach z tego okresu, pełnych kondolencji i wskazówek dotyczących zachowania czujności oraz środków bezpieczeństwa, nie ma już śladu brawury charakterystycznej dla czasów młodości Szejka. Od czasu do czasu pojawiają się jedynie drobne dygresje, w których z upodobaniem nawiązuje do lat chwały. W liście do al-Rahmana, ówczesnego numeru trzy, wspomina jedno wydarzenie, które obydwu zapadło w pamięć.

„[Ataki] wzbudziły w muzułmanach sympatię do braci mudżahedinów, gdyż okazało się wówczas wyraźnie, że to oni są awangardą i strażnikami zasad wspólnoty islamskiej w walce z sojuszem krzyżowców i syjonistów, który sprowadził na lud ból i poniżenie w najróżniejszych postaciach. Jednym z sygnałów tej sympatii jest szerokie rozprzestrzenianie się ideologii dżihadu, zwłaszcza w internecie, a także ogromna liczba młodych ludzi, którzy często odwiedzają strony dżihadystów – to wielkie osiągnięcie, do którego doszło dzięki łasce Boga, pomimo wysiłków naszych wrogów”.

Jednak wspomniani wrogowie (oraz ich wysiłki) zmuszali go do ucieczki lub życia w ukryciu. Wyparła się go nawet jego własna, tak liczna i rozgałęziona rodzina. Większość najbliższych współpracowników już nie żyła lub znalazła się w więzieniu. Osama był przekonany, że Ameryka nie ośmieli się na bezpośrednie starcie z nim i talibanem w Afganistanie. W rozmowie z jednym z pakistańskich dziennikarzy pojawiły się takie przechwałki:

– Chcę, żeby Amerykanie weszli do Afganistanu, a tam rozwieją się ich wszystkie złudzenia i wszystkie błędne kalkulacje wezmą w łeb. Jestem jednak pewien, że Amerykanie nie przyjdą, bo są tchórzami. Atakują tylko bezbronnych i słabszych.

Amerykanie jednak weszli do Afganistanu i pokonali taliban. Nadal tam byli, nie zważając na koszty, a na dodatek zrobili coś, czego Szejk nie był w stanie sobie nawet wyobrazić: na prezydenta wybrali czarnoskórego o nazwisku Barack Hussein Obama, które brzmiało jak muzułmańskie. Teraz mijały dwa lata – słowa i działania Obamy osłabiły antyamerykańskie nastroje, które były pożywką dla Al-Kaidy, a drony wciąż zabijały jej członków.

Co gorsza, nieprzemysłana, brutalna taktyka Al-Kaidy oraz samozwańczych grup, które się z nią identyfikowały, doprowadziła do odsunięcia się od niej milionów muzułmanów. To byli ci sami ludzie, o których bin Laden mówił, używając słów „lud” czy „naród”. Z tym zjawiskiem nie mógł się pogodzić i uważał, że przyczyną niekorzystnego obrotu spraw była utrata przez niego kontroli nad organizacją. Izolacja uniemożliwiła mu kształtowanie wizerunku i przesłania grupy, a skoro Al-Kaidzie nie udało się przeprowadzić kolejnych spektakularnych ataków na ziemi amerykańskiej, jej znaczenie malało. Zamachy, które uradowały jego serce i wydawały się początkiem czegoś wspaniałego, stały się dla niego wielkim krokiem w tył. Cały jego świat skurczył się dziś do dwóch pięter posiadłości w Pakistanie. Ani on, ani nikt z jego rodziny nie mieli odwagi opuszczać jej progów.

Dom stał na terenie dużej parceli w kształcie trójkąta, na końcu gruntowej drogi w dzielnicy zwanej Bilal Town. Z Islamabadu, stolicy Pakistanu, jechało się tam pół godziny w kierunku północnym. Abbottabad leży w niecce otoczonej ze wszystkich stron skalistymi wzgórzami Sarban. Ze stolicy do Abbottabadu jedzie się pod górę, a stosunkowo chłodny klimat sprawia, że w

czasie straszliwych letnich upałów wielu zamożnych mieszkańców Islamabadu szuka tam odrobiny ochłody. W pobliżu miasta znajduje się kilka pól golfowych, a w oddalonym o nieco ponad półtora kilometra Kakulu działa wielka pakistańska akademicka armia.

Posiadłość była nowa i – nawet na tak zamożną dzielnicę jak Bilal Town – niezwykle rozległa. Jej powierzchnia wynosiła trzydzieści pięć arów, zatem parcela wielokrotnie przewyższała pod tym względem wszystkie sąsiednie działki. Ogródenie zbudowano z żuźlowych pustaków otynkowanych od zewnątrz. W niektórych miejscach mur miał prawie pięć i pół metra wysokości i był zwieńczony drutem kolczastym. Główny budynek składał się z trzech kondygnacji, trzecie piętro wyglądało jednak na dobudowane, bo jego wysokość wynosiła ledwie dwie trzecie wysokości parteru czy pierwszego piętra. Było dość osobliwe także z innych powodów, okna wychodziły bowiem wyłącznie na północ: pośrodku jedno duże przeszklone i pokryte nieprzezroczystą warstwą odbłaskową, a pod dachem jeszcze cztery mniejsze prostokątne i także zasłonięte. Większość ścian domu była pomalowana na biało, a okna na pierwszym piętrze przysłonięto zwykłymi białymi markizami. Szejka i jego rodzina mieszkali na górnych piętrach. Bin Laden rzadko widywali członkowie dwóch pozostałych rodzin zamieszkujących rezydencję i będących oficjalnie jej właścicielami. Głowami tych rodzin byli bracia, którzy przedstawiali się jako Arshad i Tareq Khan.

Bin Laden przebywał zatem w zamknięciu. Nie miał kontroli nad organizacją, nie poddał się jednak ani nie wycofał się z życia. Miał przy swoim boku dwie z czterech pierwszych żon, oraz nową – Amal, Jemenkę młodszą od niego o ćwierć wieku. To ona dzieliła z nim materac w ciasnym pokoju na drugim piętrze. Dwie starsze żony – Khairiah i Siham – towarzyszyły mu na przemian na pierwszym piętrze. Późniejsze wypadki pokazały, że w tym stadle nie panowała idealna harmonia. Na półce w kuchni stał syrop Avena – ludowy lek na bazie owsa, który miał dodawać wigoru mężczyznom tracącym potencję. Prawdopodobnie miał dobry wpływ na Szejka, jako że w wąskich korytarzykach krążanków na górnym piętrze gnieździło się dwanaścioro dzieci, spośród których najmłodszy syn Hussein miał zaledwie dwa lata. Ojciec Szejka przyjął aż dwadzieścia dwie żony, więc w porównaniu z nim syn był powściągliwym poligamistą – według większości świadków wypełniał swoje obowiązki względem wszystkich żon, nawet tych, które go opuściły. Zgodził się na rozwód z Najwą i Khadijah, bo znał trudności, jakie wiązały się z obroną przez niego drogą i nie chciał do niczego zmuszać ani żon, ani swoich dzieci. On sam jednak nigdy nie miał żadnych wahań w kwestii swojego zaangażowania w sprawę. Nie podnosił głosu, ale z pewnością trudno było z nim żyć. Dla Szejka małżeństwo nie polegało na równości ani na partnerstwie. Zasady jego wiary wyraźnie podkreślały patriarchy, a bin Laden był przecież wiernym wyznawcą islamu. To on rządził rodziną. Nie tylko podejmował wszystkie decyzje, ale lubił też pouczać, a jak większość mężczyzn, którzy posiadli prawdę objawioną, chętnie wygłaszał długie przemowy. Często zwracał się do swoich żon z wykładami na temat właściwych sposobów wychowania i dyscyplinowania dzieci. Codziennie musiały też wysłuchać nauki związanej z zagadnieniami religijnymi.

Wciąż trzymał się prosto, zachował szczupłą sylwetkę, a codzienne spacerowanie po otoczonej murami posiadłości dawały mu przynajmniej namiastkę ćwiczeń fizycznych. Przechadzał się pod brezentowym dachem, który rozpięto nad ogródkiem warzywnym, by ochronić go przed promieniami słońca oraz ciekawskimi spojrzeciami obcych. Szejka w młodości wyróżniał się

sprawnością fizyczną i chętnie grywał w piłkę nożną oraz w siatkówkę. Przywiązywał dużą wagę do swojej powierzchowności, więc martwiły go siwe pasma na głowie i brodzie. Najbardziej poszukiwany człowiek na świecie bardziej martwił się nie tym, że ktoś go rozpozna, ale tym, że nie zostanie rozpoznany (oczywiście wyłącznie w telewizji). Ukrył się tak głęboko, że przez całe lata widziało go niewiele osób spoza najbliższej rodziny, jednak jego nagrania i oświadczenia przemycane przez kierów rozpowszechniano po całym świecie. Nie chciał wyglądać staro. Ortodoksyjne nury islamu zakazują przedstawiania człowieka, pomijając kilka wizerunków proroka Mahometa, ale nikt nie doceniał potęgi obrazów tak bardzo jak Szejk. Istniejące wizerunki Mahometa przedstawiały zazwyczaj krępego czarnobrodego młodzieńca w zwiewnych szatach. Osama przez całe życie naśladował te obrazy, więc przed nagraniami farbował włosy i zarost na czarno, co od razu rzucało się w oczy, bo nie robił tego profesjonalnie. Włosy miały zbyt ciemny i zbyt jednolity kolor. Szejk wyglądał jak własna karykatura: Osama bin Laden z tanią farbą na głowie.

Miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Mógł wyobrazić sobie, co należy zrobić, ale nie był już w stanie przeprowadzić swoich planów. Nazwa Al-Kaida została przejęta i zbrukana przez młodszych, mniej ostrożnych wojowników w Iraku, Jemenie i innych krajach. To byli ludzie, których w przeciwieństwie do Szejka, nie krępowały ściśle nakazy wiary. Ta uzurpacja zmusiła Osamę bin Ladena do zastanowienia się nad zmianą nazwy swojego ugrupowania. W jego notatkach znaleziono wykaz alternatywnych propozycji, które w przekładzie brzmią przeważnie zabawnie i niezręcznie, ale mają wspólny mianownik – próbę skupienia członków wokół religijnych ambicji przywódcy. W miarę upływu czasu grupy związane z Al-Kaidą toczyły swoje własne wojny, usiłując rozwiązać lokalne problemy i nie zważając na całościową wizję Szejka. To już było dla sprawy groźne. Ścieżka, którą widział przywódca Al-Kaidy, była niezmienna i doskonała, a zboczenie z niej musiało oznaczać klęskę. Osama przyjmował każde działanie i każdą wypowiedź Al-Kaidy z rosnącym niepokojem.

Przykładem takiego działania była sprawa Faisala Shahzada, młodego człowieka, który został przeszkolony przez zwolenników bin Ladena z Waziristanu i miał odpalić samochód-pułapkę na nowojorskim Times Square. Niewątpliwie ludzie bin Ladena chcieli w ten sposób wykonywać zalecenia swojego przywódcy, który wciąż powtarzał, że należy przeprowadzać kolejne zamachy na terenie Stanów Zjednoczonych, atakując symboliczne miejsca, w których przebywa wiele osób. Times Square doskonale spełniał te wymagania, podobnie jak Shahzad. Był on synem zamożnego, wysoko postawionego oficera służącego w pakistańskim lotnictwie. Został wychowany w luksusie i otrzymał doskonale międzynarodowe wykształcenie. Po ślubie z Amerykanką pakistańskiego pochodzenia osiadł w Connecticut, gdzie urodziło im się dwoje dzieci. Wkrótce zaczął się ubiegać o amerykańskie obywatelstwo, które dostał po spełnieniu wszystkich wymogów. Następnie wyjechał do Pakistanu i przeszedł szkolenie, ucząc się odpalania bomb. Młody ochotnik z amerykańskim paszportem musiał być przyjęty przez obłożonych terrorystów w Waziristanie jak prawdziwy dar od Boga. Plan Shahzada został jednak udaremniony przez czujnych sprzedawców ulicznych z Times Square, a niedoszłego zamachowca aresztowano. Tuż przed wydaniem wyroku dożywotniego więzienia sędzia spytał go o przysięgę na wierność Stanom Zjednoczonym, którą złożył, przyjmując obywatelstwo.

– Przysięgałem – odparł – ale nie robiłem tego na serio.

Bin Laden uznał to za obrazę, mimo że przed laty zajmował inne stanowisko w kwestii łamania przysięg – dowodem tego jest dyskusja z jego mistrzem Abdullahem Azzamem, który sprzeciwił się planowi wysadzenia autobusu z turystami w Pakistanie.

„[Shahzada] zapytano o przysięgę, którą złożył przy uzyskaniu obywatelstwa amerykańskiego – napisał do al-Rahmana – a on odpowiedział, że po prostu kłamał. Powinieneś wiedzieć, że w islamie niedopuszczalna jest zdrada i złamanie umowy. Być może nasz brat nie był tego świadomy. Proszę, abyś zwrócił się do braci w pakistańskim talibanie, żeby wyjaśnili to swoim towarzyszom. Na jednym ze zdjęć przedstawiono brata Faisala Shahzada u boku dowódcy Meh-suda [Hakimullah Mehsud, zabity w ataku drona w 2012 roku]; sprawdź, proszę, czy Mehsud wie o tym, że przyjęcie obywatelstwa amerykańskiego wymaga złożenia przysięgi na wierność Ameryce. To bardzo ważna sprawa, ponieważ nie chcemy, aby mudżahedini byli oskarżani o łamanie przysięg”.

Wydaje się, że Szejk nie przykładał wielkiej wagi do trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się jego zwolennicy w terenie. Domagał się kolejnych ataków na Amerykę, ale brakowało mu nowych pomysłów. Zamiast tego naciskał na powtórzenie zamachów z 2001 roku. Napisał: „Byłoby wspaniale, gdybyś zebrał paru braci (co najwyżej dziesięciu) i wysłał ich pojedynczo do rodzinnych krajów, by studiowali na uczelni lotniczej. Nie informuj ich, że tworzą jakąś grupę. Najlepiej, gdyby pochodzili z krajów Zatoki, gdyż w tych krajach nauka odbywa się na koszt państwa. Należy ich dobrać z wyjątkową starannością, biorąc pod uwagę szczególne cechy. Jedną z nich jest gotowość do przeprowadzenia samobójczych ataków oraz uczestnictwa w ryzykownych, ważnych, precyzyjnie obmyślanych akcjach, o które możemy ich poprosić w przyszłości. Należy opracować system monitorowania i kontroli braci podejmujących studia lotnicze, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że osłabnie w nich wola uczestnictwa w dżihadzie... Byłoby doskonale, gdybyś zapytał braci z różnych regionów, czy nie znają kogoś wyróżniającego się dobrymi manierami, prawością, odwagą i dyskrecją, kto mógłby działać w Stanach Zjednoczonych. Kandydat powinien mieć prawo pobytu w tym kraju lub łatwość podróży do Ameryki. Powinni nam o nim powiedzieć, zanim podejmią jakiegokolwiek kroki, dając też znać, czy jest on gotów do przeprowadzenia samobójczego ataku”.

List do al-Rahmana, napisany 21 października, zamykało pytanie o wydłużające się wykazy „wdów i sierot”.

„Zadbaj o to, żeby dzieci i rodziny znajdowały się z dala od miejsc, które są fotografowane i bombardowane. Modlę się do Boga Wszechmogącego, żeby chronił ciebie i towarzyszących ci braci. Niech zapewni wam powodzenie. Niech pokój, łaska i błogosławieństwo Boga będzie z wami”.

List został podpisany jego starym pseudonimem: „Twój brat Zamray”.

Gdy Szejk pisał ten list, mógł się czuć całkowicie bezpieczny. Miał za sobą tyle lat spędzonych w ukryciu, przyzwyczał się do wszystkich surowych zasad dotyczących własnego bezpieczeństwa i nie miał najmniejszych podstaw do podejrzeń, że ktokolwiek spoza najbliższego otoczenia zna miejsce jego pobytu. Tak, mógł się czuć najzupełniej bezpiecznie.

Okazało się jednak, że się mylił.

ZAMASKOWANA NIEPEWNOŚĆ

Zima 2010/2011 roku

Jesienią 2010 roku Ben Rhodes zauważył, że w Białym Domu odbywa się coraz więcej spotkań, na które nie jest zapraszany. Od czasu przemówienia towarzyszącego odbieraniu Nagrody Nobla, to właśnie on przygotowywał przemowy i oświadczenia Obamy, w których prezydent wyjaśniał swoje posunięcia, jako zwierzchnik sił zbrojnych USA. Oficjalnie Rhodes zajmował stanowisko „zastępcy doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego odpowiedzialnego za strategię komunikacyjną i przygotowanie przemówień”. Włosy na czubku głowy nieco mu się przeredziły, pracował niemal bez ustanku, ale za to w wieku trzydziestu dwóch lat cieszył się posadą, której zazdrościłby mu chyba każdy człowiek podzielający jego zainteresowania. Niewiele było spotkań najwyższego szczebla, dotyczących zagadnień związanych z obronnością kraju, do których nie byłby dopuszczany.

Jego biurko stało w jednym z ciasnych pomieszczeń w Zachodnim Skrzydle, poniżej Gabinetu Owального i pokoi, w których zapadają najważniejsze decyzje. W gabinecie Rhodesa, jak i jego kolegów zajmujących się bezpieczeństwem narodowym, nie było okien, więc wchodziło się tam prawie jak do szafy. Skromność tych pomieszczeń była odwrotnie proporcjonalna do wagi zajęć podejmowanych przez pracowników tej części budynku. W pokoju Rhodesa mieściło się ledwie biurko i krzesło, biblioteczka wysokości mniej więcej jednego metra oraz jeszcze jedno

krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Pomieszczenie było tak skromne jak pokój dla stażystów w większości kancelarii prawnych. Rhodes pomagał prezydentowi w dopracowywaniu przemówień, kształtowaniu polityki bezpieczeństwa oraz podejmowaniu decyzji o formie, w jakiej przedstawiano opinii publicznej najbardziej delikatne zagadnienia. Wiedział, że John Brennan, główny doradca prezydenta ds. walki z terroryzmem, od kilku miesięcy organizuje częste spotkania, w których nierzadko uczestniczy Tom Donilon, doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. Tajemnicze posiedzenia określano po prostu zebraniem „grupy Brennana”. W salach konferencyjnych znajdowały się kamery monitorujące, dzięki którym urzędnicy oraz sekretarki mogli zlokalizować poszczególne osoby – podczas spotkań grupy nie przekazywały one obrazu z pomieszczenia, co wzbudziło ciekawość Rhodesa. Czyżby ponownie miało dojść do ataku na Amerykę? Czy chodziło o coś poważnego, związanego z bronią jądrową? Lista tematów, które wymagałyby wprowadzenia takiej klauzuli tajności, była naprawdę bardzo krótka. Po głowie Rhodesa krążyły różne myśli, wśród nich i taka, że być może udało się odnaleźć bin Ladena.

Kiedy Obama dowiedział się o posiadłości w Abbottabadzie, natychmiast nakazał swoim szefom wywiadu ustalić, kto w niej mieszka. Kolejne regularne sprawozdania stanowią dokumentację niezwykle wysiłków podejmowanych w celu inwigilacji rezydencji z daleka. Zatrudniono do tego wielu agentów i wykorzystano masę urzędzeń rozmieszczonych w odległości, która uniemożliwiała ich wykrycie. CIA mogła teraz bardziej szczegółowo badać życie ludzi zamieszkujących posiadłość. Bracia Khan rzadko ją opuszczali – od czasu do czasu wybierali się do meczetu lub prowadzili dzieci do działającej obok niego *medresy*, szkoły religijnej. Za mury nie wpuszczano nikogo poza jednym człowiekiem zajmującym się naprawami. Wśród najpobożniejszych ludzi w Bilal Town, a do takich najwyraźniej należeli bracia Khan, ukrywanie kobiet za murami i zamkniętymi drzwiami nie było niczym niezwykłym. Dłuższa obserwacja potwierdziła, że dzieci z ukrytej rodziny, które nie chodziły do *medresy*, opuszczały dom tylko wtedy, gdy jeden z braci zabierał je do lekarza na okresowe badania lub w przypadku drobnych dolegliwości czy skaleczeń. Agenci CIA wpadli zatem na pewien pomysł.

Nie było żadnej możliwości podglądania rodziny ukrytej na górnych piętrach. Mury były wysokie, a okna – nieprzezroczyste. Regularnie widywano tylko jednego członka tej rodziny – wysokiego mężczyznę w tradycyjnym pasztuńskim stroju i modlitewnej czapce, który codziennie spacerował po terenie posiadłości. Chodził różnym krokiem, zataczając kółka po ogródku warzywnym, który był częściowo zasłonięty brezentem, chroniącym grządki przed bezpośrednimi promieniami słońca. Można było też snuć inne przypuszczenia – może spacerujący mężczyzna chciał się pod nim skryć przed oczami, które mogłyby go wysledzić z powietrza? Kamery obserwujące teren z góry zdołały wprawdzie przekazać zdjęcia tego człowieka, jednak ich jakość była kiepska. CIA nie chciała ryzykować wysłania drona czy samolotu szpiegowskiego, który latałby dokładnie nad posiadłością, obawiając się podejrzeń ze strony rządu Pakistanu oraz spłoszenia mieszkańców. Natomiast kąt oraz wysokość ustawienia kamer naziemnych uniemożliwiała przekazanie wyraźnego obrazu twarzy mężczyzny, o którym można było powiedzieć tylko tyle, że jest wysoki i szczupły. Próbowano dokładniej zmierzyć jego wzrost na podstawie długości kroku oraz cienia, który rzucał, ale niewielka precyzja obliczeń pozwalała jedynie na potwierdzenie tego, co dostrzeżono gołym okiem – był wysoki.

Brennan czuł w kościach, że to bin Laden. Mężczyznę nazywano „Pacer” (nadający tempo). Być może Brennan już wcześniej wierzył w swoją wersję, biorąc pod uwagę niezwykle środki ostrożności, jakie podjęto przy ukrywaniu tego człowieka, ale gdy tylko zobaczył nagrania z jego wizerunkiem... miał już pewność. Ludzi poznajemy nie tylko na podstawie rysów twarzy, koloru włosów, wzrostu, tuszy czy sylwetki. Czasami rozpoznajemy kogoś, kogo widzieliśmy tylko przelotnie, przez ułamek sekundy, kątem oka. W mózgu kodujemy coś charakterystycznego w postawie, chodzie, przygarbieniu, poruszaniu głową czy kołysaniu ramionami. Brennan – rosły surowy mężczyzna – był dawnym oficerem CIA, zaangażowanym w pościg za przywódcą Al-Kaidy niemal od samego początku, czyli od czasów działalności ALEC Station. Przez cały czas pracował w Arabii Saudyjskiej, kłócąc się z Scheuerem na temat zaufania, jakim można było obdarzać (lub nie) współpracujących z nimi Saudyjczyków. Po zamachach bombowych w Afryce Wschodniej w 1998 roku Brennan ściśle współpracował z kolegami z Arabii Saudyjskiej. Widział nagrania Szejka wykonane przez Predatora jeszcze w Afganistanie. Miał przed oczami wysokiego mężczyznę w powłóczystych szatach, poruszającego się w otoczeniu ochroniarzy zdecydowanym krokiem. Teraz wprawdzie Brennan widział inne miejsce i inne ubranie, ale był pewien, że to ten sam człowiek i ten sam chód. Nie miał żadnych twardych dowodów, którymi mógłby kogokolwiek przekonać, jednak był przekonany, że r o z p o z n a ł Pacera.

Jesienią Panetta zaczął regularnie spotykać się z prezydentem i przekazywać mu najświeższe informacje, a w grudniu w Białym Domu odbyła się narada, w której poza nim uczestniczyli m.in. jego zastępca Morell, Donilon oraz Brennan. Nie mieli w kieszeni niczego, co można by uznać za przełom. Obrazy Pacera nie były na tyle wyraźne, by rozwiać wszystkie wątpliwości, żadną siłą nie udało się też przeniknąć za mury posiadłości. Specjalny zespół CIA zamieszkał w jednym z domów w Bilal Town. Jego członkowie notowali wszystko, co udało im się zobaczyć, ale było tego niewiele. Obserwowali wyjazdy i powroty braci Ahmed. Liczyli suszące się ubrania. Ustalili, że ukrywająca się rodzina składa się z trzech żon, młodego mężczyzny oraz co najmniej dziesięciorga dzieci, z których kilkoro to nastolatki lub osoby już dorosłe. Liczba żon i dzieci odpowiadała przypuszczeniom dotyczącym osób, które towarzyszyły ukrywającemu się bin Ladenowi. Szejk zawsze miał obok siebie większość swojej rodziny. Analitycy nadal nie byli w stanie potwierdzić, że tajemniczy mężczyzna to bin Laden, ale z drugiej strony żadna, nawet najdrobniejsza informacja nie podważała tej teorii. Czasami, gdy człowiek uparcie się czemuś przypatruje, gdy czeka na cokolwiek, co obali jego hipotezę, i nic takiego się nie pojawia... to brak dowodu podważającego jego tezę zaczyna uznawać za jej potwierdzenie.

– Wydaje nam się, że mamy najlepsze dane wywiadowcze na temat miejsca pobytu bin Ladena od czasów Tora Bora – powiedział Morell.

W tej sytuacji Panetta zdecydował się na spotkanie z Obamą, które odbyło się 14 grudnia w Gabinetce Ovalnym, tuż przed wyjazdem prezydenta na tradycyjny rodzinny urlop na Hawajach.

Obama wysłuchał sprawozdania, dokładnie ważąc wszystkie dowody. Słowa Panetty wywarły na nim duże wrażenie. Teraz, gdy „oczy” zostały skierowane na posiadłość, plan wydawał się całkiem prawdopodobny, a wszystkie nowe dane wywiadowcze doskonale pasowały do układanki. Obama, podobnie jak inni, był podekscytowany tym, że może zobaczyć tajemniczego człowieka. Trudno było powiedzieć dokładnie, kim on jest, ale wielkie wrażenie robiła możli-

wość przyglądania się komuś, kto chciał się ukryć przed całym światem.

– Można powiedzieć, że na tym etapie opieramy się wyłącznie na poszlakach – powiedział Obama – ale gdzieś w głębi duszy słyszę głos, który mówi, że to może być prawda.

Mimo to prezydent zachowywał ostrożność i powiedział Panettcie:

– Z zebranych materiałów mogłoby wynikać, że to jakiś szejek ukrywający się przed jedną z swoich żon.

Obama domagał się zatem kolejnych dowodów. Polecił Panettcie, by wykazał się kreatywnością i wymyślił sposób na rozwiązanie zagadki. Nakazał skupienie szczególnej uwagi na tym temacie i rozpoczęcie prac nad planowaniem różnych wariantów wkroczenia do akcji.

Wszystko zachowywano oczywiście w ścisłej tajemnicy, ale już w listopadzie Bill McRaven zaczął coś podejrzawać. Być może monitory wyłączano wtedy, gdy w biurach NSC odbywały się jakieś tajne spotkania. McRaven spędzał wprawdzie większość czasu w Afganistanie, ale trudno było przypuszczać, że dowódca JSOC nie zorientuje się, że coś się szykuje.

Kiedyś pracował w Białym Domu. Był to pierwszy etap jego powrotu do normalnych zadań po poważnym wypadku. Organizm zaczynał się dopiero przyzwyczajać do metalowych płytek i śrub, którymi połączono jego biodro. W październiku 2001 roku odebrał nieoczekiwany telefon od Dwayne'a Downinga, byłego czterogwiazdkowego generała, który kierował Dowództwem Operacji Specjalnych. Mężczyźni poznali się w ostatnim okresie służby Downinga, przed jego przejściem na emeryturę. Okazało się, że prezydent Bush poprosił go o powrót do pracy na stanowisko w Białym Domu, które zapewniało mu właściwie nieograniczone możliwości w zakresie walki z terroryzmem. Miał być specjalnym asystentem zajmującym się koordynacją działań najróżniejszych agencji i służb zaangażowanych w nową wojnę, ale zakres jego zadań nie był precyzyjnie określony. Zanim Downing oficjalnie zaakceptował tę propozycję, zadzwonił do McRavena i zapytał, czy ten nie zgodziłby się pomagać mu w tych działaniach.

– No jasne – odparł kapitan SEAL.

Kilka tygodni później Downing zajął do kapitana, który wciąż jeszcze nie doszedł do pełnej sprawności. Generał jechał akurat z San Diego do swojego nowego biura w Norfolk w stanie Virginia.

– Cześć, zdecydowałem się na tę pracę – powiedział. – Możesz się do mnie zgłosić w poniedziałek? – do tego terminu pozostawały zaledwie cztery dni.

– Tak, myślę, że tak – odparł McRaven.

Gdy pojawił się w Białym Domu na wózku inwalidzkim, Downing rzucił po prostu:

– Zorientuj się, czym się będziesz zajmował.

To była niezwykła okazja dla każdego wojskowego, zwłaszcza takiego, który przed laty porzucił myśl o awansie, decydując się na czynną służbę, skoki spadochronowe i nurkowanie. McRaven dostał zatem drugą szansę. Od samego początku było jasne, że w dłuższej perspektywie wykrycie i likwidacja tajnej organizacji terrorystycznej będzie wymagać twórczych, interdyscyplinarnych umiejętności, które od dawna szlifowano w jednostkach specjalnych. Jeśli każda nowa wojna wymagała od wojskowych nowego spojrzenia na sposoby prowadzenia walk, to McRaven był już o kilka kroków do przodu. Napisał zresztą na ten temat książkę *Spec Ops: Case Studies in Special Operations Warfare: Theory and Practice* (Operacje specjalne. Analiza przypadków

udziału wojsk specjalnych w działaniach wojennych: teoria i praktyka). Opracował w niej osiem akcji z udziałem jednostek specjalnych – od ataku Niemców na twierdzę Eban Emael w 1940 roku, po izraelski najazd na Entebbe w Ugandzie w 1976 roku. Właśnie po tej akcji prezydent Carter zaczął domagać się stworzenia podobnej jednostki antyterrorystycznej w armii amerykańskiej. McRaven odwiedził miejsca akcji, przeprowadził wywiady z wieloma uczestnikami, opracował własną filozofię i przedstawił pogląd na temat przyczyn sukcesu bądź niepowodzenia misji. Teraz zaś czekało na niego miejsce przy stole, które pozwalało mu zaprezentować własne pomysły.

Wojskowi tradycjoniści od dawna patrzyli krytycznie na samą ideę „operacji specjalnych”. Elitarne tajne oddziały prowadzące takie operacje pożerały mnóstwo środków i wymagały zaangażowania najcenniejszych ludzi, a działały tylko w wyjątkowych sytuacjach, dokonując niezwykłych czynów. Gdy takie misje kończyły się powodzeniem, uznawano to niemal za cud. Tak było w przypadku ataku na Entebbe, podczas którego izraelscy komandosi polecili do Ugandy, pokonując cztery tysiące kilometrów, zaskoczyli o wiele liczniejsze siły przeciwnika, uratowali stu dwóch zakładników i zabili wszystkich Palestyńczyków, którzy porwali francuski samolot pasażerski. Gdy akcja kończyła się fiaskiem, jak misja w Iranie w 1980 roku, komandosów krytykowano i uznawano za szaleńców. Ludzie podejmujący się takich zadań mieli świadomość wielkiego niebezpieczeństwa, a dowódcy kładli na szali swoją reputację i kariery. Wszelkie niepowodzenia rozchodziły się szerokim echem po całym świecie, natomiast sukcesami (poza nielicznymi wyjątkami, na przykład Etebbe) nikt się nie przechwalał i mało kto je zauważał. Taka była natura tej niewdzięcznej roboty.

Kłęska na pustyni w Iranie doprowadziła do powstania JSOC, którego siedziba znajduje się w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Za główną przyczynę niepowodzenia uznano problemy związane z wykorzystaniem sił i środków różnych jednostek, które nie były przyzwyczajone do współpracy. W akcji brały udział helikoptery floty wojennej, za których sterami zasiedli piloci marynarki. Mieli oni przerzucić wojskowych komandosów głęboko na terytorium Iranu, gdzie wyznaczono spotkanie z samolotami, którymi przyleciały załogi służące w siłach powietrznych. Obsługa techniczna również pracowała w lotnictwie. Ta naprędce zebrana grupa pozostawiła po sobie na pustyni zniszczone samoloty i spalone zwłoki kolegów. Jedna z najdotkliwszych porażek w dziejach amerykańskiej armii nie doprowadziła jednak do rezygnacji z takich misji, a wręcz przeciwnie – wojska specjalne zostały rozbudowane i stworzono JSOC, którego zadaniem było scalenie elitarnych jednostek z różnych sił w sprawnie działający organizm bojowy i wyposażenie ich w pojazdy i broń niezbędną do prowadzenia nietypowych działań na niewielką skalę. W ramach JSOC połączono wojskowe Delta Force, 75. Pułk Rangersów, 24th Special Tactic Squadron (Specjalną Eskadrę Lotnictwa Taktycznego, czyli jednostkę kontrolerów wsparcia lotniczego) oraz jednostki Navy SEAL. Od czasów nieudanego przerzutu żołnierzy w Fort Campbell i misji irańskiej w stanie Kentucky stacjonował 160. Pułk Lotniczych Operacji Specjalnych (Night Stalkers). W tym miejscu projektowano i testowano nowoczesne śmigłowce, szkolono też najlepszych wojskowych pilotów helikopterów, przekazując umiejętności potrzebne właśnie w operacjach specjalnych.

Rozprawa McRavena, która weszła do programu studiów w Naval Postgraduate School, wyznaczyła zasadniczą filozofię jednostek specjalnych. Opierała się ona na przekonaniu, że nie-

wielki znakomicie wyszkolony oddział może zadać decydujący cios znacznie liczniejszemu i lepiej przygotowanemu do walki przeciwnikowi. Definiował taką misję jako „prowadzoną przez siły specjalnie wyszkolone, wyposażone i wspierane w osiągnięciu celu polegającego na zniszczeniu obiektu, eliminacji przeciwnika bądź odbiciu zakładników”. Szczegółowa analiza najważniejszych czynników decydujących o sukcesie akcji sprowadzała się w gruncie rzeczy do „prostego planu, starannie opracowanego, wielokrotnie przećwiczonego w realistycznych warunkach i przeprowadzonego przy zachowaniu elementu zaskoczenia – szybko i celowo”.

Dwie wielkie wojny prowadzone przez prezydenta Busha wymagały zaangażowania setek tysięcy żołnierzy z konwencjonalnych wojsk, co stopniowo umocniło we wszystkich przekonanie, że najlepszym narzędziem walki z Al-Kaidą będą jednostki specjalne. Ogromny wysiłek i pomysłowość, których wymagało wytropienie i namierzenie celu, zależały od umiejętności ludzi zdolnych do wcielenia w życie trzeciego F ze skrótu F3EAD (finish – wykończyć). Model rozwinęty w rozprawie McRavena dotyczył przede wszystkim ataków na dobrze umocnione pozycje liczniejszego wroga, jednak zasady błyskawicznego uderzenia (proste, tajne, dobrze przećwiczone, przeprowadzone z zaskoczenia, szybko i celowo) okazały się niezwykle skuteczne w walce z przeciwnikiem ukrytym wśród ludności cywilnej. Wynikało to w znacznej części z tego, że uderzenie w dokładnie namierzony cel, w przeciwieństwie do ataków z powietrza lub bezpośrednich akcji w wykonaniu sił konwencjonalnych, nie wiązało się z zabijaniem czy raniem przypadkowych ludzi. Takie rozwiązanie umożliwiało też zbieranie na miejscu danych wywiadowczych, które były niezbędne dla rozbudowanej „maszyny do namierzania”. McRaven mógł doskonalić swoją strategię i wprowadzać w życie swoją teorię przez całe następne dziesięciolecie, tymczasem nastąpiło to w tempie, o jakim nigdy wcześniej nawet nie marzył.

Dwa lata spędzone w Waszyngtonie przed powrotem na stanowisko dowódcy w oddziale bojowym pozwoliły mu dokończyć niezbędną rehabilitację fizyczną i rozwinąć karierę na wysokim szczeblu, która otwierała mu drogę awansu na wyższe stopnie oficerskie. Dawniej McRaven niespecjalnie starał się o awans w hierarchii wojskowej – przed wypadkiem uważał się za ostatniego żołnierza marynarki, który miałby kiedykolwiek zostać admirałem. Minęło jednak kilka lat, a on znów mógł chodzić o własnych siłach i służył w Iraku jako zastępca dowódcy JSOC, gen. McChrystala. Miał też okazję podziwiać wprowadzone przez siebie rozwiązania, polegające na połączeniu błyskawicznie przekazywanych danych wywiadowczych z działaniami strzelców. Od czasu do czasu towarzyszył swoim żołnierzom w nocnych akcjach, podczas których podjeżdżano lub podchodzono do samego celu. Teraz już nie musiał skakać z samolotów, spuszczać się na linie z helikopterów ani maszerować kilometrami w pełnym ekwipunku. Podczas tych lat, najpierw pod dowództwem McChrystala, a potem na czele JSOC, admirał przyczynił się do udoskonalenia tego systemu i przekształcenia go w najdoskonalsze narzędzie prowadzenia wojny, jakim dysponowała Ameryka. Samo JSOC powiększyło dwukrotnie swoje rozmiary, licząc w końcu niemal cztery tysiące żołnierzy – zarówno mężczyzn, jak i kobiet. W ten sposób stało się piątym rodzajem sił zbrojnych, swoistą armią w armii. Miało charakter globalny, prowadziło tajne operacje w kilkunastu krajach i zostało wyłączone spod ścisłego nadzoru Waszyngtonu, który nie kontrolował już każdej akcji w najdrobniejszych szczegółach. Konieczność szybkiego reagowania okazała się ważniejsza, więc dowódcy pokroju McChrystala czy McRavena otrzymali prawo prowadzenia rutynowych działań bez oglądania się na zgodę osób

ważniejszych od nich.

W pierwszej dekadzie bieżącego stulecia McRaven i jego ludzie przeprowadzili więcej działań w ramach operacji specjalnych niż jakkolwiek tego typu oddział w historii. Dowódca szacował, że zanim wezwano go w styczniu 2011 roku do Langley, by przedstawił oficjalny raport na temat odkrycia z Abbottabadu, uczestniczył osobiście (kierując ze sztabu lub na miejscu) w tysiącach takich akcji.

Na początku 2011 roku CIA miała na polu walki z terroryzmem swoje własne niewielkie armie. Po 11 września Ameryka szybko porzuciła wszelkie skrupuły związane ze szpiegostwem i tajnymi akcjami. W czasie wojen w Iraku i Afganistanie agenci, rekrutujący się w większości z grona byłych wojskowych, coraz bliżej współpracowali z JSOC. W grudniu Panetta i Morell wrócili ze spotkania w Białym Domu, podczas którego Obama polecił im przemyślenie sposobu wkroczenia do akcji – pierwszymi jednostkami, które przysły im do głowy, były ich własne oddziały.

Początkowo rozważano dwie opcje: zbombardowanie posiadłości lub wysłanie jednostki specjalnej. Drugie rozwiązanie byłoby oczywiście o wiele bardziej skomplikowane. Wymagałoby planowania, przećwiczenia i wykorzystania najróżniejszych szczególnych umiejętności, zatem rozsządek podpowiadał, żeby pracować nad nim wyłącznie w obrębie agencji. Dodatkowym atutem było zachowanie tajemnicy, której nie ujawniano nikomu od czterech miesięcy. Osoby spoza CIA, które wiedziały o posiadłości albo miały się o niej dowiedzieć, można było policzyć na palcach dwóch rąk. Należał do nich oczywiście prezydent i kilku najwyższych urzędników zajmujących się polityką zagraniczną, w tym Brennan i Donilon. O odkryciu został też poinformowany James Clapper, dyrektor Narodowego Zarządu Wywiadu. W Departamencie Obrony wiedziało o nim czterech ludzi – sekretarz stanu Robert Gates, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Michael Mullen, wiceprzewodniczący gen. James „Hoss” Cartwright i podsekretarz obrony ds. wywiadu Michael Vickers.

Jednostki CIA siedziały jak na szpilkach i aż paliły się do jak najszybszego podjęcia samodzielnych działań, jednak Panetta i Morell wiedzieli, że mają czas. Prezydent nakazał im wyżyć siły w celu identyfikacji tajemniczego mężczyzny. Przed podjęciem decyzji o użyciu własnych jednostek chcieli skonsultować plan działań z McRavenem.

Przed rozmową dowódca JSOC wiedział tylko tyle, że CIA ma jakiś nowy ślad w sprawie bin Ladena. Takie pogłoski pojawiały się już w poprzednich latach i za każdym razem trop okazywał się błędny. Na początku wojny w Afganistanie ludzie McRavena stracili mnóstwo czasu na ściganiu ducha bin Ladena. Tym razem powiedziano mu, że ślad jest bardziej obiecujący niż większość poprzednich, ale McRaven nie zawracał sobie tym specjalnie głowy, póki nie wezwano go do Langley. Taka sytuacja nie zdarzyła się w przypadku żadnego z poprzednich tropów. Przy stole konferencyjnym w gabinecie zastępcy dyrektora zasiadł McRaven, jeden z jego najważniejszych doradców, a także Panetta, Morell oraz szefowie jednostek uderzeniowych CIA. McRavenowi pokazano zdjęcia rezydencji. Okazało się, że nikt nie miał żadnej możliwości zajrzenia do środka. Wszystko pozostawało w sferze przypuszczeń. Morell wyraźnie zaznaczył, że nie mają żadnej pewności co do tego, że naprawdę przebywa tam bin Laden, i nie wiadomo też, jaką decyzję podejmie prezydent, o ile w ogóle postanowi działać w tej sprawie. Po przedstawieniu wszystkich zastrzeżeń przyszła jednak pora na dyskusję w kwestii taktyki. Jeśli mie-

libyśmy uderzyć w ten cel, jak można by to zrobić?

Agenci CIA mieli w tej kwestii przewagę. Naszkicowali pięć różnych scenariuszy. McRaven na pierwszy rzut oka wiedział, że w gruncie rzeczy w grę wchodzi tylko jedno rozwiązanie. Natychmiast odrzucił możliwość bombardowania. Doceniał prostotę środków i brak większego ryzyka ze strony amerykańskiej, ale wojskowe doświadczenie pozwoliło mu na przeprowadzenie szybkich obliczeń, z których wynikało jedno – zniszczenie takiej posiadłości i zabicie bin Ladena (o ile się tam znajdował) wymagałyby użycia ponad dwudziestu dwóch ton amunicji. Trzeba też było rozważyć istnienie tuneli czy podziemnego bunkra, na przykład takiego, w jakim krył się Saddam Husajn. Wybuch o takiej sile spowodowałby śmierć wszystkich ludzi na terenie posiadłości i wiązałby się z nieuniknionymi ofiarami w najbliższej okolicy.

Naziemna akcja sił specjalnych nie niosła z sobą zbyt wielu problemów – doświadczeni ludzie McRavena od lat prowadzili nocne uderzenia na różne budynki, a liczba takich ataków dochodziła do kilkunastu w ciągu jednej nocy. Układ i lokalizacja posiadłości od razu podpowiadały mu jedyną drogę ataku – należało użyć niewielkiej jednostki, która przeprowadzi desant z helikoptera.

McRaven nie podejmował dyskusji, gdy dowódcy jednostek CIA przedstawiali opracowane przez siebie opcje. Kiedy przyszła kolej na jego uwagi, pogratulował Panettcie i Morellowi opracowania tak wyraźnego tropu i pokazał, w jaki sposób podeszłoby do tego JSOC. Oddział musiałby być na tyle liczny, by zabezpieczyć rezydencję po wejściu na jej teren. Największa trudność wiązała się z lokalizacją posiadłości. Abbottabad leżał w strefie „wylądzonej”, w odległości dwustu czterdziestu kilometrów od terenów kontrolowanych przez siły NATO, więc najpoważniejszy problem stanowił przerzut oddziału do celu oraz bezpieczne wycofanie bez wymiany ognia z Pakistańczykami. Było to – jak zwykły mawiać admirał – „ryzykanckie, ale wykonalne”. W ten sposób akcja wchodziła na wyższy poziom skomplikowania, trzeba więc było liczyć się z tym, że zwiększa się liczba czynników, które mogą zawieść i doprowadzić do niepowodzenia. Pomijając te problemy, natarcie na posiadłość i zabudowania było dziecinnie proste. Taktyka opracowana przez jednostki McRavena była efektem wieloletnich prób i błędów, akcji zakończonych sukcesami i porażkami. Rozwój i doskonalenie tych sił wymagało śmierci niejednego wspaniałego żołnierza. McRaven pokazał ludziom z CIA, jak postąpiłby w tym przypadku jego zespół i dlaczego wybrałby takie rozwiązanie. Zaproponował nawet człowieka, który byłby idealnym kandydatem do pokierowania tą akcją – dowódcę Zespołu Szóstego SEAL, który miał status legendy. Stał on na czele misji, podczas której w 2009 roku zabito trzech somalijskich piratów i uratowano kapitana amerykańskiego frachtowca. McRaven wyjaśnił, że najcenniejszym wkładem jego zespołu byłoby doświadczenie. Niezależnie od tego, jak starannie zaplanowano operację w Abbottabadzie, wieloletnie doświadczenie uświadomiło mu, że zawsze coś może pójść nie tak. Właściwie to zawsze coś szło nie tak. W takiej sytuacji trzeba mieć pod ręką ludzi, którzy myślą podczas działania i potrafią podejmować właściwe decyzje, będąc w stresie, ludzie, którzy znaleźli się w sytuacji kompletnie beznadziejnej, ale przeżyli. Nie było na świecie żadnych jednostek, które mogłyby pod tym względem konkurować z JSOC. Oddział SEAL, o którym myślał McRaven, wrócił właśnie do Stanów i mógł od razu przystąpić do przygotowań do misji.

Te słowa wywarły duże wrażenie na Morellu i Panettcie. Ich ludzie znali się na swojej pracy,

ale żołnierze McRavena byli najlepszymi profesjonalistami w swojej dziedzinie.

– Jeśli prezydent podejmie decyzję o przeprowadzeniu akcji na ziemi – powiedział Panetta do Morella – to najlepiej zrobią to ludzie z JSOC.

Panetta naciskał na CIA, by opracowała jakieś pomysłowe sposoby na uzyskanie lepszego wglądu do wnętrza posiadłości, jednak bez większego powodzenia. Ludzie z agencji stracili mnóstwo czasu, szukając jakiejś możliwości zajrzenia do środka. Każdy, nawet najbardziej nieprawdopodobny pomysł, poddawano pod poważną dyskusję, zanim go odrzucono. Czy był jakiś sposób na skłonienie mieszkańców do opuszczenia posiadłości? Pożar? Bomba zapachowa? Nagle wezwanie na modlitwę? Panetta miał listę pomysłów, na której umieszczał każdą propozycję. Pozostawała ona w zestawieniu, dopóki jej nie wypróbowano albo nie przedyskutowano.

Czy był jakiś sposób, żeby umieścić kamerę bliżej rezydencji, na przykład na drzewie, żeby zajrzeć za mury? A może usytuować ją dalej i wyżej, wyposażając za to w lepszą optykę? A może udałoby się wykorzystać kanalizację do wprowadzenia do domu podsłuchu lub kamery? Na terenie posiadłości rosło drzewo. Czy można by umieścić na nim małą kamerę lub urządzenie podsłuchowe? Niektóre z tych pomysłów zostały przetestowane, ale okazały się bezużyteczne. Drzewo ścięto, zanim ktokolwiek opracował sposób dotarcia do niego. Było to dziwne, bo wyglądało tak, jakby wewnątrz posiadłości znajdował się ktoś, kto widział listę opracowaną przez dyrektora CIA. Kolejne pomysły zarzucano lub uznawano za niewykonalne. Przez cały czas starano się zachowywać ostrożność, by nie zdradzić planów działania. Wystarczyło niewiele, by spłoszyć mieszkańców. Gdyby powzięli jakiegokolwiek podejrzenie, że są obserwowani, wszystko spaliłoby na panewce. Morell żył w obawie, że któregoś pięknego ranka obudzi się i usłyszy wiadomość o nagłej nocnej ewakuacji całej posiadłości.

Obserwacja wykazała, że członkowie ukrywającej się rodziny wychodzili poza mury tylko w jednym przypadku – gdy trzeba było zaprowadzić dzieci do lekarza. CIA wpadło na pomysł otwarcia w dzielnicy ośrodka dla dzieci, oferującego bezpłatne szczepienia przeciwko żółtaczce typu B. Może w ten sposób udałoby się zwabić któreś z ukrywających się dzieci? Amerykanie znaleźli pakistańskiego lekarza, Shakila Afridiego, którego życiową misją było zakładanie takich ośrodków na terenie całego kraju. Miał chodzić od domu do domu, informując mieszkańców o tym przedsięwzięciu i namawiając ich do przyprowadzenia dzieci na szczepienie. Agenci zgłosili się do Afridiego i zaproponowali znaczną sumę (równowartość kilkuset tysięcy dolarów), która pozwoliłaby na prowadzenie jego programu przez pewien czas. W zamian miał zrobić jedno – zwracać zużyte igły. Amerykanie nigdy nie powiedzieli mu, do czego są im potrzebne, a chodziło oczywiście o zebranie i zanalizowanie DNA. CIA dysponowała próbkami DNA bliskich krewnych bin Ladena. Gdyby okazało się, że materiał genetyczny któregoś z ukrywających się dzieci jest do nich zbliżony, byłoby duże prawdopodobieństwo, że Szejik jest ojcem tego dziecka. Ośrodek miał istnieć naprawdę, a szczepienia były całkowicie zgodne z prawem. Dzieci z Abbottabadu skorzystałyby na tej działalności, a CIA potwierdziłaby swoje podejrzenia. Agenci nie ukrywali przed Afridim, kim są, i poinformowali go o tym, że program jest finansowany przez CIA.

Kolejne miesiące upłynęły na opracowywaniu planów działania w Langley i Białym Domu oraz zakładaniu ośrodka przez Afridiego. Lekarz chodził od domu do domu i zapraszał rodziców

na szczepienia. Poddąło się im wiele dzieci, jednak bramy wielkiej posiadłości w Bilal Town pozostały przed nim zamknięte.

Doktor pukał do nich na próżno.

Przez cały luty planowano ewentualny nalot lub działania lądowe związane z atakiem na posiadłość. Panetta wciąż naciskał, ale CIA nie poczyniła żadnych postępów w kwestii ustalenia tożsamości Pacera. Jeden z ludzi McRavena przygotowywał szczegółowe plany, pracując w nieoznakowanym pomieszczeniu na parterze drukarni CIA. W tym samym czasie lotnictwo szykowało plan akcji z udziałem B-2, podczas której posiadłość zostałaaby starta z powierzchni ziemi w wyniku jednego błyskawicznego uderzenia. Wszystkie te przedsięwzięcia wymagały poszerzenia kręgu wtajemniczonych. Podsekretarz obrony ds. polityki bezpieczeństwa Michèle Flournoy, poinformowana o sprawie przez swojego szefa Mike'a Vickersa, rozpoczęła ścisłą współpracę z generałem Cartwrightem. Różni wysłannicy spotykali się teraz co tydzień, zazwyczaj w Białym Domu, ale czasem także w CIA, uzyskując informacje na temat najnowszych działań wywiadowczych i omawiając każdą możliwą wersję akcji. W spotkaniach „wysłanników” zazwyczaj uczestniczyli Cartwright, Morell, Vickers, Robert Cadillo, zastępca dyrektora Narodowego Zarządu Wywiadu, a czasem także John Brennan i zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Denis McDonough. Pod koniec miesiąca McRaven wziął udział w kilku takich posiedzeniach, przygotowując się do spotkania szefów służb z Obamą, wyznaczonego na 14 marca, podczas którego prezydent miał się oficjalnie zapoznać z sugerowanymi rozwiązaniami.

Urzędnicy zajmujący się bezpieczeństwem narodowym mieli jak zwykle ręce pełne roboty. Trzy dni wcześniej Japonię dotknęło trzęsienie ziemi i tsunami, które przyniosły wiele ofiar oraz ogromne zniszczenia materialne. Armia USA przygotowywała się do udzielenia Japończykom pomocy humanitarnej. Egiptem wstrząsały kolejne demonstracje i protesty, a „arabska wiosna” ogarniała kolejne kraje Bliskiego Wschodu. Te interesujące, ale potencjalnie niebezpieczne wydarzenia oznaczały zmiany w regionie, którego stabilizacja od dawna leżała w sferze najważniejszych interesów USA. W połowie lutego Obama wezwał do ustąpienia wieloletniego prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka, a teraz rozważał możliwość interwencji na ograniczoną skalę w Libii. W tym kraju trwały krwawe protesty, mające na celu obalenie dyktatury Muammara Kadafiego, którego reżim trwał od kilkudziesięciu lat. Raymond Allen Davis pracujący w Pakistanie w konsulacie w Lahore (w ramach kontraktu z CIA) zastrzelił dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy wedle jego zeznań chcieli go obrabować na ulicy. Amerykanin został aresztowany i oskarżony o morderstwo, a władze USA stawały na głowie, by doprowadzić do ekstradycji. Niezadowolone Pakistańczyków z polityki prowadzonej w ich kraju przez USA sprawiło, że incydent doprowadził do impasu we wzajemnych stosunkach. Niektórzy prokuratorzy oraz protestujący na ulicach demonstranci domagali się postawienia Davisa przed sądem i wymierzenia mu sprawiedliwej kary. W czasie, gdy przygotowywano różne możliwości naruszenia suwerenności Pakistanu poprzez atak na Abbottabad, Białe Dobre i Departament Stanu toczyły dyskusje na temat niezwykle delikatnej sprawy Davisa.

Takie było zatem tło spotkania Obamy z Radą Bezpieczeństwa Narodowego. Przyszedł czas podejmowania poważnych decyzji. Obama doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że im bar-

dzień odwlekał decyzję, tym więcej osób musiało być wtajemniczonych w sprawę, w związku z czym rosło też prawdopodobieństwo przecieku czy gwałtownej zmiany sytuacji. Cała grupa spotkała się w pokoju dowodzenia w Białym Domu, który w ciągu kolejnych dwóch miesięcy miał się stać jednym z głównych miejsc akcji w tym dramacie.

Pokój dowodzenia, znajdujący się nieco poniżej parteru Zachodniego Skrzydła, to największe pomieszczenie w kompleksie niewielkich sal konferencyjnych. Architekt, który go zaprojektował, z pewnością nie przypuszczał, że kiedyś będzie się w nim mieścić centrum decyzyjne największej światowej potęgi. Pomieszczenie, dawno temu nazwane „drewutnią”, po kryzysie kubańskim zostało zaadaptowane przez prezydenta Kennedy’ego na pokój dowodzenia. Chodziło o stworzenie bezpiecznego miejsca wyposażonego we wszystkie środki łączności z całym światem. Pokój nie ma okien i jest ciasny – znacznie mniejszy niż choćby jadalnia w eleganckiej rezydencji. Podczas renowacji w 2007 roku usunięto większość mahoniowej boazerii, od której biuro wzięło swoją nieformalną nazwę. Miało to ułatwić pracę elektronikom zakładającym kable i przewody. Obecnie na beżowych ścianach wiszą płaskie ekrany, a w niski sufit wpuszczono jaskrawe świetlówki. Pośrodku stoi długi mahoniowy stół pociągnięty błyszczącym lakierem. Wokół niego ustawiono trzynaście obitych czarną skórą krzeseł z wysokimi oparciami. Wokół niebieskiego dywanu stoją mniejsze krzesła przeznaczone dla przedstawicieli zaproszonych organów oraz dla członków sztabu. Głowa państwa siedzi w północnym końcu stołu pod okrągłą Pieczęcią Prezydenta USA. Po przeciwnej stronie nie stoi żadne krzesło, by nie zasłaniać widoku na wielki ekran, sięgający od podłogi po sam sufit. Przed każdym krzesłem leżą na stole skórzane podkładki przeznaczone dla sekretarzy obrony i stanu, doradcy ds. obrony narodowej, wiceprezydenta, dyrektora Narodowego Zarządu Wywiadu, przewodniczącego kolegium Połączonych Szefów Sztabów, prezydenta oraz, w przypadku niemal wszystkich posiedzeń, dyrektora CIA i jego zastępcy. Admirał McRaven także uczestniczył w tych spotkaniach, póki obowiązki nie wezwały go do pracy w warunkach bojowych.

Niemal każdego zaskakują niewielkie rozmiary pokoju. Gdy wszystkie miejsca są zajęte, a zdarzało się tak w przypadku wielu wspomnianych zebrań, najważniejsi przywódcy narodu po prostu tłoczą się w tym ciasnym pomieszczeniu.

Na początku marca CIA stwierdziła, że na terenie posiadłości w Abbottabadzie znajduje się „cel o dużej wartości” i jest to najprawdopodobniej Osama bin Laden. John, szef grupy z CIA i najbardziej doświadczony analityk z grona zajmujących się sprawą bin Ladena, był niemal przekonany, że jest to miejsce pobytu przywódcy Al-Kaidy. Swoją pewność określili na jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent.

Prezydent zapytał pozostałych uczestników spotkania, jak procentowo szacują prawdopodobieństwo, że chodzi o bin Ladena. Brennan miał takie samo zdanie jak John, ale pozostali nie byli tak pewni. Niektórzy uznawali, że to mało prawdopodobne. Analitycy CIA (specjalizujący się w roli adwokatów diabła) trzykrotnie przebadali tezę w celu wyszukania słabych punktów. Sprawę zanalizowali także funkcjonariusze Dyrekcji Wywiadu Narodowego, Centrum do Walki z Terroryzmem, ekipa Brennana i wewnętrzna służba w CIA. Większość określiła swój poziom pewności na jakieś osiemdziesiąt procent, ale niektórzy oszacowali go zaledwie na czterdzieści lub nawet trzydzieści procent. Obama zapytał wówczas o zdanie Morella, siedzącego przy ścianie za nim, dokładnie pod pieczęcią prezydencką.

Morell już od pewnego czasu podziwiał umiejętność podejmowania decyzji przez Obamę. Wcześniej blisko współpracował z prezydentem Bushem, którego także darzył podziwem, jednak ci dwaj politycy byli zupełnie różni. Morell i inni ludzie, którzy ściśle współpracowali z Bushem, uważali, że był to człowiek powszechnie niedoceniany. W gruncie rzeczy był bardzo inteligentny i choć nie pochłaniał pisemnych sprawozdań z aż takim zapalem jak jego następcą, to czytał je i był znakomitym słuchaczem. Błyskawicznie orientował się, gdzie tkwi sedno danej sprawy, zadawał celne pytania, skłaniał do żywej dyskusji, a w końcu bez wahania, nierzadko na gorąco, podejmował decyzję. Obama był inny – pewne przemyślenia i wnioski zachowywał wyłącznie dla siebie. Lubił przekopywać się przez pisemne raporty, następnie inicjował dyskusję z udziałem osób o przeciwstawnych poglądach, po czym najczęściej rezerwował sobie czas na rozważenie argumentów za i przeciw, a w końcu wracał do sprawy z gotową decyzją.

Morell podziwiał Obamę zwłaszcza za jedno. Organizował i uczestniczył w tysiącach spotkań informacyjnych z prezydentem, więc doskonale znał taktykę polityczną od kuchni. Doradcy najczęściej sprowadzali wybór do dwóch opcji – A i B, po czym kierowali prezydenta w stronę tej, którą sami uznali za słuszną. Wszystko polegało na umiejętnym przedstawieniu tematu. W przypadku Obamy ta metoda zupełnie się nie sprawdzała. Najpierw słuchał opcji A i B, potem zadawał dużo celnych pytań i najczęściej proponował zupełnie inne rozwiązanie – opcję C, która wyglądała na zrodzoną w całości w jego głowie. Tak zdarzyło się kilka dni wcześniej w głośniejszej sprawie związanej z Libią. Trwała właśnie długa dyskusja na temat reakcji USA na politykę Kadhafiego, dążącego najwyraźniej do krwawej rozprawy z powstańcami i cywilami, którzy protestowali przeciwko jego reżimowi. W tej sytuacji opcja A zakładała bierne przyglądanie się rozwojowi wypadków i niepodejmowanie żadnych działań. Konsekwencje byłyby oplakane, ale interwencja zbrojna USA w trzecim państwie (trwały jeszcze przecież wojny w Iraku i Afganistanie) spotkałaby się z ogromnym niezadowoleniem w kraju. Mogłaby także pogorszyć sytuację w Libii, bo nie wiadomo było, co przyniesie upadek Kadhafiego. Opcja B wiązała się z interwencją zbrojną i udzieleniem poparcia powstańcom, co oznaczało głównie dolożenie wszelkich starań, by udaremnić władzom przeprowadzenie systematycznej rzezi opozycji. Obie opcje miały solidne uzasadnienie, ale zdecydowana większość ekipy opowiadała się za pierwszą z nich. Obama przedstawił wówczas wariant C, który został ostatecznie wprowadzony w życie. Wiązał się on z przeprowadzeniem przez USA kilkudniowej serii nalotów na siły Kadhafiego, po których do akcji miała wkroczyć koalicja państw europejskich i arabskich. Po pierwszych uderzeniach wojska amerykańskie miały się wycofać z większości akcji bojowych, zapewniając jednak w ramach NATO konieczne wsparcie lotnicze i patrolując strefę zamkniętą dla lotów. Morell uważał, że było to doskonale rozwiązanie.

Według niego prawdopodobieństwo, że Pacer i bin Laden to jedna i ta sama osoba wynosiło sześćdziesiąt procent.

– W porządku, to kwestia rachunku prawdopodobieństwa – podsumował Obama. – Leonie, chcę poznać twoje zdanie.

Panetta wyjaśnił, że od czasów błędnego sygnału wysłanego przez CIA przed dziesięć laty, a dotyczącego rzekomego ukrywania przez Saddama Husajna broni masowego rażenia (to odkrycie wywołało długą i kosztowną wojnę), CIA opracowała wręcz przesadnie dokładny system obliczania prawdopodobieństwa. Była to próba zastosowania wzoru matematycznego do

zweryfikowania wniosków opartych na zdrowym rozsądku. Analitycy na każdym szczeblu hierarchii służbowej musieli nie tylko przedstawiać swoje opinie, ale też przypisać im stopień swojej pewności – wysoki, średni lub niski. Następnie wyjaśniali, dlaczego wybrali taki a nie inny. W rezultacie otrzymywano wnioski, które – o czym przekonał się prezydent (wspominał o tym w rozmowie ze mną) – nie przynosiły większej pewności, ale wręcz potęgowały chaos i wprowadzały jeszcze większą dezorientację.

Obama nie mówił wiele, spojrzał na zastępcę dyrektora i zapytał:

– Co o tym sądzisz, Michael?

Morell dużo myślał o tej sprawie. Był osobiście zaangażowany w poszukiwanie rzekomej broni masowego rażenia u Saddama Husajna i w tamtym przypadku miał większą pewność niż teraz.

– Różnica opinii nie wynika z rozbieżności w danych wywiadowczych – stwierdził. – Patrzymy na te same rzeczy. Wydaje mi się, że w tym przypadku wszystko zależy od naszych doświadczeń z przeszłości.

Wyjaśnił, że analitycy specjalizujący się w walce z terroryzmem pracują nad Al-Kaidą i w ciągu ostatnich pięciu lat odnieśli wiele sukcesów. Zniszczyli ugrupowanie terrorystyczne w Pakistanie i – bezpośrednio lub pośrednio – zapobiegli kolejnym zamachom terrorystycznym na terenie USA, byli więc pewni swojej wiedzy. Ci, którzy pracowali dłużej, jak on, dobrze znali smak porażki. Wiedzieli, że nawet najsolidniejsze analizy obarczone są marginesem błędu. Doskonałą lekcję stanowiła historia z bronią Saddama, a odpowiedzialność za nią ponosił właśnie Morell.

– Panie prezydencie, nawet gdybyśmy mieli osobowe źródło informacji – człowieka, który potwierdziłby wprost, że bin Laden mieszka w tej posiadłości, moja pewność nadal nie przekraczałaby sześćdziesięciu procent.

Powiedział też, że spędził dużo czasu nad obydwoma sprawami – bronią Saddama i człowiekiem z Abbottabadu. W pierwszym przypadku poznał co najmniej trzynaście analiz, w drugim – chyba jeszcze więcej.

– Mogę powiedzieć jedno – w przypadku broni Saddama przesłanki nie były mocniejsze, one były znacznie mocniejsze.

Stwierdzenie Morella wywołało dalszą dyskusję na temat poziomów pewności wyrażonych w procentach. Prezydent słuchał, ale właściwie podjął już decyzję.

– Będąc prezydentem, człowiek uczy się różnych rzeczy – powiedział w rozmowie ze mną. – Dowiaduje się na przykład, że zawsze ma do czynienia z prawdopodobieństwem. Na moje biurko nie trafiają żadne sprawy, które są łatwe do rozwiązania. Na moje biurko nie trafiają żadne sprawy, co do których istnieje stuprocentowa pewność, jakie rozwiązanie okaże się słuszne. Dlaczego? Otóż gdyby ludzie byli całkowicie pewni w danej kwestii, to decyzję podjąłby po prostu ktoś inny. Taka zasada ma zastosowanie zarówno w przypadku kryzysu gospodarczego jak i w przypadku strzelania do pirata. Taka zasada ma zastosowanie w przypadku większości decyzji, jakie podejmuję każdego dnia. Jestem więc przyzwyczajony do tego, że ludzie przedstawiają mi jakieś rachuby oparte na prawdopodobieństwie. W tej sytuacji zaczęło się od prawdopodobieństwa, które maskowało niepewność, zamiast dostarczać bardziej użytecznych informacji.

Obama nie bał się do tego przyznać sam przed sobą. Gdyby na podstawie tej wiedzy przystąpił do działania, byłoby to po prostu zagranie hazardowe, na dodatek o bardzo wysoką stawkę.

Jeśliby się powiedło, a Pacer okazałby się bin Ladenem, to zabicie lub schwytanie go oznaczałoby przełomowe zwycięstwo w wojnie z Al-Kaidą trwającej już prawie dziesięć lat. W ten sposób Obama spełniłby obietnicę złożoną cztery lata wcześniej podczas kampanii. Powiedział wtedy, że gdyby stanął przed taką okazją, podjąłby w Pakistanie jednostronne działania. Te słowa skrytykowali niemal wszyscy, nawet ci – jak Hillary Clinton czy Joe Biden – którzy siedzieli teraz obok prezydenta w pokoju dowodzenia, by go wspomóc w podjęciu decyzji. Ta obietnica w pewnym sensie zdefiniowała jego strategię bezpieczeństwa narodowego. Sukces okazałby się zatem dowodem niezwyklej sprawności wszystkich służb osiągniętym wielkim kosztem, chociażby ludzkiego życia. Przyniósłby satysfakcję Ameryce i światu, także w sensie emocjonalnym, a na dodatek usprawiedliwiłby determinację i wykorzystanie potężnego arsenału sił i umiejętności, jakie wszyscy wnieśli w tę sprawę. A trzeba podkreślić, że niektórzy z nich dali z siebie wszystko. Gdyby jednak prezydent przegrał – a jeszcze nikt nie zaczął przecież analizować najróżniejszych scenariuszy porażki – to dzielni amerykańscy żołnierze mogliby stracić życie, biorąc udział w akcji, która okazałaby się potem powodem do wstydu dla całego kraju. To najprawdopodobniej wzmocniłoby prestiż Al-Kaidy, podobnie jak było w przypadku fiaska na irańskiej pustyni w 1980 roku, wykorzystanego przez miejscowych mułłów. Pozycja bin Ladena, znacznie osłabiona od 2001 roku, umocniłaby się na nowo, co oznaczałoby napływ środków finansowych i kolejnych rekrutów, a w konsekwencji – następne akcje terrorystyczne. Sukces Obamy poprawiłby jego notowania w USA na kilka tygodni, ale w przypadku klęski mogłaby do niego przylgnąć łaska kiepskiego zwierzchnika sił zbrojnych, co zmniejszyłoby jego szanse na reelekcję, jak to się stało w przypadku Cartera.

Niezależnie od wyniku akcji, trzeba było sobie jakoś poradzić z rozdrażnionymi Pakistańczykami. Relacje Amerykanów z tym trudnym, dysponującym bronią jądrową partnerem, były już mocno napięte i bliskie zerwania. Obama powiedział mi potem, że niezależnie od tego, jaką podjąłby decyzję, musiał ją oprzeć na zdrowym rozsądku, wnioskując na podstawie przesłanek, które trzeba było mozołnie składać w całościowy obraz. Wciąż istniało prawdopodobieństwo, że Pacer to jakiś przywódca wojskowy z Afganistanu, który postanowił zająć się interesami, albo przemytnik narkotyków z któregoś z państw Zatoki, albo jakiś szejek ukrywający się z kochanką czy drugą rodziną. W grę wchodziły jeszcze inne przypuszczenia, które mogłyby wyjaśniać tę sytuację i zachowanie mieszkańców. Prezydent musiał oszacować, czy prawdopodobieństwo przebywania bin Ladena w tym miejscu jest na tyle wysokie, żeby uzasadniało podjęcie ryzyka.

Kiedy zatem rozmowa na temat poziomu prawdopodobieństwa przedłużała się coraz bardziej, prezydent, zazwyczaj skupiający się bardziej na słuchaniu niż mówieniu, nagle wtrącił swoją uwagę:

– Zatem nasze szanse wynoszą pół na pół – wszyscy zamilkli. – Wiecie co? To jak rzut monetą. Nie mogę opierać tej decyzji na założeniu, że będziemy mieli większą pewność niż w tej chwili.

Skoro zatem postanowił działać, jakie miał opcje? Przedstawiono mu dwie. Najprostsza i

najmniej ryzykowna dla żołnierzy amerykańskich zakładała starcie posiadłości z powierzchni ziemi wraz ze wszystkimi mieszkańcami i pobliskimi zabudowaniami. Przedstawiciele lotnictwa obliczyli, że taka akcja przyniosłaby pożądany skutek, gdyby użyto co najmniej trzydziestu precyzyjnych bomb, zrzucając je z B-2 lecącego na dużej wysokości. Można by też wystrzelić porównywalną liczbę pocisków raketowych, bo to również dałoby pewność, że nie przeżyje nikt ani w obrębie posiadłości, ani w jej sąsiedztwie. Wyparowałoby wszystko, co znajdowałoby się powyżej powierzchni ziemi, a to, co byłoby pod nią – zostałoby starte w proch. Nie byłoby też wielkiego problemu z pakistańską obroną przeciwlotniczą, bo samotny bombowiec B-2 Stealth poruszający się na dużej wysokości odleciałby daleko, zanim ktokolwiek by się zorientował, że doszło do ataku na terytorium kraju. W akcję nie byłyby zaangażowane żadne oddziały lądowe, więc nie doszłoby do konfliktu z miejscowym wojskiem czy policją. Ciemną nocą można byłoby przeprowadzić potężny niespodziewany atak, po którym zostałyby tylko dymiąca dziura pośrodku Abbottabadu, co zapewne nie zachwyciłoby Pakistańczyków. Zniszczenia towarzyszące akcji rozswieciłyby ich jeszcze bardziej i trudno byłoby się temu dziwić, ale przynajmniej zadanie zostałoby wykonane.

Obama zapytał, ile osób mieszka na terenie posiadłości. Poinformowano go, że jest tam czterech dorosłych mężczyzn, pięć kobiet i prawie dwadzieścioro dzieci. Prezydent zapytał następnie o pobliskie domy i dowiedział się, że one też zostałyby zniszczone i zginęliby w nich wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci. Ta wiadomość była rozstrzygająca. Ameryka nie mogła skazać ich na śmierć tylko dlatego, że istniała pięćdziesięcioprocentowa szansa zabicia Osamy bin Ladena.

Prezydent natychmiast odrzucił ten projekt. Powiedział, że skłoniliby się do rozważenia ataku na posiadłość z powietrza tylko w jednym przypadku – gdyby siła i precyzja ładunków sprawiła, że strefa zniszczeń byłaby znacznie mniejsza.

Następnie McRaven przedstawił scenariusz akcji lądowej, który nie został jeszcze do końca dopracowany przez jego zespół. Mógł jednak zapewnić prezydenta o jednym – gdyby jego oddział został przetransportowany na teren posiadłości, potrafiłby ją oczyścić, a następnie zabić lub pojąć bin Ladena przy minimalnej liczbie ofiar. Admirał przedstawił swoją opinię z przekonaniem i pewnością siebie, których źródłem było wieloletnie doświadczenie. Tu nie chodziło o autoreklamę. McRaven brał udział w tych spotkaniach już w pierwszych latach po 11 września i widział, jak różne frakcje, służby czy agencje próbują skłonić prezydenta do swojej wersji. Tym razem tak nie było. Biorąc pod uwagę znaczenie omawianej misji oraz stopień ryzyka, zadziwiające było, że dyskusje są tak spokojne. Panetta i Brennan od samego początku narzucili rzeczowy ton. Wcześniej, na każdym spotkaniu, w którym uczestniczył McRaven, wszystkie propozycje wykładano na stół i rozpatrywano argumenty za i przeciw. Swojemu współpracownikowi powiedział:

– Może będziemy realizować ten projekt, a może nie. W końcu zrobimy to, co będzie najlepsze dla naszego kraju. Jeśli jest to zrzuć bombę na tę posiadłość, to niech tak się stanie.

Zaprezentował zatem szkic operacji lądowej jako proste stwierdzenie faktu:

– Atak ma szansę zakończyć się sukcesem. W tej chwili nie mogę jeszcze powiedzieć, w jaki sposób wejdziemy do środka i jak stamtąd wyjdziemy. To wymaga szczegółowego planu wykonanego przez ludzi z lotnictwa, którzy są w tej kwestii zawodowcami i oceniają możliwości

obrony przeciwlotniczej Pakistanu. Oni są w stanie zaproponować drogę wkroczenia na teren rezydencji oraz wyjścia z niej. Potrafią też przewidzieć przeszkody, jakie się przed nimi pojawią przy wejściu i opuszczaniu posiadłości.

– Nie obstaję zatem przy tej formie ataku – powiedział prezydentowi. – Mówię tylko, że jeśli mógłbym tam wejść, to potrafilibyśmy przeprowadzić taką akcję. Wydostanie się z powrotem może być nieco ryzykowne. Nie chcę rekomendować ataku lądowego, póki nie siądę i nie dopracuję szczegółów.

Nawet gdyby admirał miał już dopracowane wszystko w najmniejszych szczegółach, nie zamierzał naciskać na przeprowadzenie ataku lądowego. Wiedział, że każdy z ludzi obecnych w pokoju dowodzenia dojdzie samodzielnie do takiego wniosku. Zdecydują o tym suche fakty. Był też przekonany, że prezydent nie pozwoli na to, by taka szansa wymknęła mu się z ręki. Opcja z bombardowaniem oznaczałaby straszliwy hałas, chaos, śmierć zbyt wielu niewinnych ludzi, a w rezultacie nie udałoby się w żaden sposób udowodnić, że bin Laden naprawdę zginął. Po uderzeniu, którego efektem byłaby wielka dymiąca dziura w Abbottabadzie, Pakistańczycy – co nietrudno zrozumieć – wpadliby we wściekłość. Nie byłoby żadnych szans na to, żeby Amerykanie mogli cierpliwie przesiać rumowisko w poszukiwaniu DNA. Tylko jedna rzecz byłaby warta ściągnięcia na siebie gromów ze strony Pakistanu – schwytanie bin Ladena. Należałoby jednak udowodnić, że tak się naprawdę stało, a jedynym sposobem było pokazanie go żywego lub martwego. Tylko w takiej sytuacji można by uniknąć atmosfery tajemniczości i podejrzeń związanych z przeprowadzoną akcją. Za każdym razem, gdy wysyłano żołnierzy do operacji na lądzie, niebezpieczeństwo rosło, ale ludzie admirała naprawdę znali się na swojej pracy i byli w stanie przeprowadzić taką akcję. McRaven był pewny, że Obama zdaje sobie z tego sprawę. Przekonał się też, że prezydent nie waha się przed podjęciem ryzyka. Przez ostatnie dwa lata z uznaniem patrzył na jego poczynania. Prezydent podejmował ostateczną decyzję w przypadku niemal każdej ważnej akcji prowadzonej w tym czasie przez JSOC i nie był przesadnie ostrożny. Zawsze wysłuchiwał innych, nie zdradzając swoich poglądów w kwestii ryzyka wojkowego czy politycznego, spokojnie rozpatrywał sprawę przez kilka godzin lub do następnego ranka, po czym najczęściej wracał do tematu ze słowami: „Muszę się za to zabrać”. Powiedział „nie” tylko wtedy, gdy ryzyko związane z akcją było rzeczywiście niezwykle wysokie. McRaven rozumiał, że prezydent ma szerszy zakres odpowiedzialności niż dowódca wojskowy, więc podchodził do decyzji Obamy z pełnym zaufaniem. Prezydent znacznie bardziej przejmował się niebezpieczeństwem, na jakie narażeni byli żołnierze biorący udział w akcji, niż ryzykiem politycznym, a tego właśnie oczekuje każdy oficer od zwierzchnika sił zbrojnych. W kilku przypadkach, gdy nawet przełożeni McRavena doradzali czekanie, to prezydent podejmował decyzję o wkroczeniu do akcji. Admirał wiedział więc, że nie musi wyrażać swojego stanowiska na temat wyboru jednej z opcji. Nie było takiej potrzeby.

Panetta przedstawił kolejną myśl przemawiającą za uderzeniem na lądzie. Gdyby bin Ladena nie było na terenie posiadłości, żołnierze SEAL mogliby się wycofać, nie robiąc zbytniego zamieszania. Ludzie mieszkający w rezydencji oraz ich sąsiedzi mieliby oczywiście o czym opowiadać, ale skoro byłaby to tajna akcja CIA, Stany Zjednoczone mogłyby po prostu zaprzeczyć, że mają z nią cokolwiek wspólnego. Pakistańskie władze z pewnością nie uwierzyłyby w tę wersję, ale przynajmniej nie byłoby to bezczelne naruszenie suwerenności kraju. Możliwość

wyparcia się związku z akcją sprawiała, że dołączałyby ona do licznych tajnych misji USA od lat prowadzonych w Waziristanie.

Po zakończeniu spotkania Obama poprosił przedstawicieli sił powietrznych o opracowanie bardziej precyzyjnego, wręcz chirurgicznego uderzenia oraz „opcji zdalnego ataku na cel”, co oznaczało użycie rakiet lub – co bardziej prawdopodobne – dronów. Prezydent chciał również uzyskać pełniejszy obraz akcji na lądzie. Czy można przerzucić żołnierzy na miejsce, nie wzbudzając alarmu? Czy możliwe jest dotarcie do posiadłości i wycofanie się bez konieczności walki z obroną przeciwlotniczą?

– Panie prezydencie, na razie zajmuję się tym, współpracując tylko z jednym człowiekiem. Pokazałem to, co mamy – powiedział McRaven. – Nie potrafię panu powiedzieć, czy to się uda, czy nie. Nie umiem tego stwierdzić, dopóki nie zbierzemy zespołu i nie przeprowadzimy prób. Wtedy mogę do pana wrócić z odpowiedzią.

McRaven otrzymał zatem zadanie dopracowania detali.

Oznaczało to dokładną analizę wszystkich możliwych pułapek. W grę wchodziło mnóstwo zmiennych. Posiadłość w Abbottabadzie była duża. Im większa powierzchnia, tym więcej ludzi trzeba zaangażować do akcji. W przypadku domów w Afganistanie McRaven zazwyczaj wysyłał siedemdziesięciu żołnierzy. Musieli oni otoczyć całą posiadłość i zabezpieczyć każde drzwi i każde okno. Tutaj jednak nie miał do czynienia z domem o przeciętnych rozmiarach. W grę wchodziła rezydencja o trzech kondygnacjach oraz jeszcze jeden wolno stojący budynek, w związku z czym trzeba było użyć większych sił i w dodatku przetransportować je bezszelestnie na miejsce akcji. Żołnierze musieli pokonać długą drogę tam i z powrotem, zatem należało zapewnić możliwość zatankowania przed opuszczeniem miejsca operacji. Oznaczało to konieczność wyznaczenia gdzieś za miastem punktu zbornego z lądowiskiem dla wielkich helikopterów dostarczających paliwo oraz dla sił szybkiego reagowania. Każdy śmigłowiec ma swoją charakterystykę i możliwości techniczne, zależne od wysokości nad poziomem morza, temperatury i innych czynników, należało zatem dokładnie obliczyć, ilu żołnierzy może zabrać na pokład. W sumie wszystko sprowadzało się do obciążenia helikopterów. Im większe obciążenie, tym mniejsze możliwości lotnictwa. Im więcej helikopterów w akcji, tym są widoczniejsze i łatwiejsze do wykrycia. Zwiększa się też prawdopodobieństwo usterki czy błędu pilota, czego dowodem jest nieszczęsna akcja w Iranie. McRaven wiedział, że przed dokonaniem praktycznych prób nie będzie mógł przedstawić ostatecznych obliczeń, ale już na tym etapie miał świadomość, że będzie miał zbyt obciążone maszyny i mniej ludzi, niż by chciał.

Dwa tygodnie później, pod koniec marca, McRaven wrócił z dopracowanym planem. Tym razem powiedział prezydentowi, że jest w pełni przekonany o gotowości swoich ludzi do przeprowadzenia tej akcji. Jego specjaliści od lotnictwa opracowali sposób niezauważalnego wkroczenia w przestrzeń powietrzną Pakistanu. Najpierw miały lecieć dwa niewykrywalne Black Hawki, które poruszają się bezszelestnie, unikając radarów, a za nimi dwa wielkie MH-47E Chinooki z paliwem i oddziałami wsparcia. Miały one wylądować w Kala Dhaka, osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Abbottabadu. Black Hawki miały przetransportować oddziały bojowe aż do posiadłości, a po akcji zabrać je z powrotem do Chinooków, zatankować i odlecieć do Afganistanu. McRaven stwierdził, że da się przeprowadzić tę operację bez wzbudzania alarmu. Jeśli jego żołnierze będą w stanie załatwić sprawę na terenie posiadłości w ciągu pół godzi-

ny, to najprawdopodobniej nie napotkają na żaden zorganizowany opór ze strony sił pakistańskich. Zawsze istniała możliwość, że natkną się na jakiś niewielki uzbrojony oddział policji lub funkcjonariuszy z kalasznikowymi. Mogło być i tak, że w pobliżu posiadłości czuwają jakieś patrole wynajęte przez mieszkańców, ale takie niewielkie siły nie stanowiłyby poważnego zagrożenia dla jego ludzi.

Gdyby sytuacja rozwinęła się w tym kierunku, przeszkody byłyby nieliczne i niegroźne. Ale co by się stało, gdyby Pakistańczycy byli bardziej czujni, niż przewidywano? A gdyby doszło do jakiegos poważnego opóźnienia w trakcie działań na terenie posiadłości? Podczas drugiego spotkania admirał musiał odpowiedzieć szczegółowo na masę pytań, a wielu uczestników zachowywało sceptycyzm w kwestii czasu reakcji Pakistańczyków, uznając jego obliczenia za zbyt optymistyczne. Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak blisko jest z posiadłości do akademii wojskowej? Około półtora kilometra. Czy wie, że w pobliżu jest jednostka wojskowa i placówka Inter-Services Intelligence, Pakistańskich Służb Specjalnych? McRaven zdawał sobie z tego sprawę, ale wyjaśnił, że w tym przypadku niewielka odległość wcale nie gwarantuje błyskawicznej reakcji. Nawet gdyby jakiś szeregowy żołnierz, policjant czy agent obudził się czy zaniepokoił podejrzanymi odgłosami dobiegającymi z posiadłości, to jakakolwiek skoordynowana reakcja wymagałaby po prostu czasu. Pakistańskie oddziały były przyzwyczajone do ścisłego przestrzegania rozkazów i trzymania się drogi służbowej, więc żołnierze niższego stopnia rzadko podejmowali działania bez pytania o zgodę przełożonych. To była filozofia dowodzenia, jaką tępieno w armii amerykańskiej, jednak miała się nieźle w wojskach wielu krajów w różnych zakątkach świata. Większość młodych oficerów wołałaby mieć kłopoty z powodu bierności niż z powodu błędów w działaniu. Takie właśnie założenie legło u podstaw obliczeń dających Amerykanom pół godziny na przeprowadzenie akcji na terenie posiadłości. Zdaniem admirała szybsze działanie było właściwie niemożliwe. A jeśli jednak pomyliłby się? Co by się stało, gdyby siły pakistańskie zareagowały szybciej, niż przewidywał? A gdyby na terenie domu stało się coś, co opóźniłoby działania jego ludzi?

McRaven wyjaśnił, że w przypadku pojawienia się dużego oddziału pakistańskiego, zanim jego żołnierze zdążyliby się wycofać, musiałyby dojść do wymiany ognia. Admirał chciał tego uniknąć. Wprawdzie jego ludzie wygraliby tę potyczkę, ale w konsekwencji Ameryka przegrałaby wojnę. Taki scenariusz oznaczałby, że racja moralna stoi po stronie Pakistanu. Zawsze, gdy dochodziło do śmierci choćby jednego pakistańskiego żołnierza czy policjanta z ręki Amerykanów, napięcie polityczne poważnie wzrastało. Amerykanie nie mieli przecież pewności, czy bin Laden znajduje się w tym miejscu. Gdy admirał wtajemniczył w sprawę grupę współpracowników zajmujących się planowaniem akcji, powiedział, że priorytetem jest podjęcie wszelkich starań w celu uniknięcia śmierci jakichkolwiek Pakistańczyków. Ta najważniejsza zasada miała im przyświecać na każdym etapie planowania operacji. Gdyby żołnierzom udało się szybko wejść i opuścić posiadłość, nie byłoby większych problemów, ale konieczny był też scenariusz działania, w razie opóźnienia. Jeśli żołnierze dotarliby do celu i nie zdołali znaleźć bin Ladena, ale byłiby przekonani, że gdzieś się tam przed nimi ukrywa – na przykład za niewidocznymi drzwiami czy ruchomą ścianą, a takie przypadki dość często im się trafiały – to co wtedy? Wskoczyliby z powrotem do helikopterów i spokojnie odlecieli? A co w przypadku pojmania jego żony lub innych ważnych osób, które potwierdziłyby obecność bin Ladena w okolicy? Odpowiedź brzmiała

– nie, nie odlecieliby. Doszliby za daleko i byłoby zbyt blisko celu, żeby się poddać. W tej sytuacji musieli być przygotowani do zabezpieczenia posiadłości i dokładnego przeszukiwania obiektów krok po kroku. To oznaczałoby przekroczenie limitu czasowego. Takiej sytuacji nie można było wykluczyć, a każda kolejna minuta zwiększała przecież prawdopodobieństwo konfrontacji z siłami pakistańskimi.

– Zatem po jakim czasie przestajecie go szukać? – czysto hipotetycznie zapytał swoich współpracowników McRaven. – Wiecie, że jesteście już otoczeni przez Pakistańczyków, więc co robicie?

Odpowiedź była zaskakująca. Admirał uważał, że gdyby doszło do takiej sytuacji, jego żołnierze po prostu przyczailiby się i zaczęli czekać, aż Waszyngton załatwi sprawę z władzami Pakistanu.

– Po prostu idźcie do nich i mówicie: „Panowie, to człowiek, o którym mówimy wam od kilkunastu lat. Wiedzieliście, że jeśli tam będzie, to wchodzimy. I cóż, on tam jest. Nikogo nie zabiliśmy. Siedzimy tam i czekamy”.

Według McRavena takie rozwiązanie mogłoby im dać kolejne trzydzieści minut. Poza tym nie musiałby się martwić reakcją lokalnych władz, bo sprawa byłaby już załatwiana na wyższych szczeblach pakistańskiej hierarchii wojskowej.

W tym punkcie tok myślenia admirała rozmiął się z rozumowaniem prezydenta. Według McRavena jego ludzie mogli sobie poradzić w każdej sytuacji. Gdyby nieoczekiwanie doszło do naprawde poważnych kłopotów, w odwodzie czekały pobliskie siły szybkiego reagowania – żołnierze mogliby więc wydostać się z posiadłości, stosując rozwiązanie siłowe. Jednak potem trzeba było dostać się do punktu zbornego w Kala Dhaka i opuścić przestrzeń powietrzną Pakistanu na pokładzie czterech amerykańskich śmigłowców. Niebo nad krajem patrolowały myśliwce F-16. Osłanianie helikopterów wiązało się z koniecznością stawienia czoła pakistańskiemu lotnictwu. Oczywiście siły powietrzne USA poradziłyby z tym sobie bez problemu, bo dysponowały lepszymi myśliwcami i mogły skutecznie razić z powietrza cele naziemne, ale walka byłaby w tym przypadku naprawde bardzo ryzykowna. Admirał za wszelką cenę chciał uniknąć takiego rozwoju wydarzeń. Po dwóch latach w Afganistanie, dokąd przeniesiono z Iraku zasadniczą część jego sił, zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne są stosunki z Pakistanem. A te nie były najlepsze. Śmierć kolejnych Pakistańczyków, zestrzelenie myśliwców i zniszczenie instalacji przeciwlotniczych oznaczałoby prawdziwą katastrofę w relacjach dwustronnych. McRaven uważał, że w przypadku otoczenia amerykańskich komandosów na terenie posiadłości należy unikać walki. Według niego żołnierze powinni zabezpieczyć teren, przyczaić się i czekać, aż władze w Waszyngtonie załatwią sprawę z Islamabadem. W końcu chodziło o amerykańskie wojsko biorące udział w misji oficjalnie popieranej przez Pakistan, której celem było zatrzymanie najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie. Ktoś z Białego Domu lub Departamentu Stanu porozmawiałby wtedy telefonicznie i wyjaśnił całą sytuację z generałem Ashfakiem Kayanim, szefem sztabu armii Pakistanu lub z prezydentem Asifem Zardarim. Zapytałby: Jak mamy wycofać naszych z tego miejsca, żeby uniknąć śmierci wielu osób? Nie chcemy trupów, wy też tego nie chcecie – tak właśnie McRaven wyobrażał sobie przebieg tej rozmowy. Już samo to, że żołnierze woleli przeczekać, zamiast wdawać się w wymianę ognia, pokazywało, że nie chcieli robić krzywdy Pakistańczykom i nie stanowili zagrożenia dla ich państwa.

Prezydent miał inny pogląd na tę sprawę. Nie zamierzał podejmować żadnej takiej dyskusji. Doradca ds. walki z terroryzmem, Nick Rasmussen, nazwał potem reakcję prezydenta na propozycję McRavena „instynktowną”.

– Według mnie żołnierze znaleźliby się w bardzo, ale to bardzo trudnej sytuacji. Byliby karą przetargową dla polityków, a na dodatek znajdowaliby się na obcej ziemi – wyjaśnił mi później prezydent. – Nie chciałem ich narażać na takie niebezpieczeństwo.

Gdyby Obama miał podejmować negocjacje z rozwścieczonymi władzami Pakistanu, a tak byłoby niemal w każdym przypadku, zrobiliby to, nie angażując amerykańskich żołnierzy.

Zaledwie kilka dni wcześniej Obama wreszcie zamknął trudną sprawę pracownika kontraktowego CIA Davisa, który został wypuszczony dopiero po tym, jak Stany Zjednoczone zgodziły się wypłacić dwa miliony czterysta tysięcy dolarów rodzinom zabitych przez niego mężczyzn. Incydent wywołał w Pakistanie prawdziwą burzę, bo opinia publiczna i władze miały już dość ciągłego naruszania suwerenności kraju przez Amerykanów. Tak przynajmniej wyglądała wersja oficjalna – po cichu przedstawiciele najwyższych władz w Pakistanie zajmowali znacznie bardziej elastyczne stanowisko, trudno jednak było wymagać od nich kolejnych ustępstw.

Podobnie jak w przypadku wielu państw w tej części świata, pakistańscy przywódcy nie tworzyli ścisłej, hierarchicznej struktury, lecz raczej coś w rodzaju wspólnoty opartej na nakładających się interesach – sztuka utrzymania dobrych stosunków z tym krajem polegała więc w znacznej mierze na umiejętności zachowania równowagi tych interesów. Relacje z Pakistanem były o tyle ważne, że przez granicę tego kraju płynęła większość dostaw – w tym paliwa – dla wojsk amerykańskich w Afganistanie. Nie można też było zapominać, że Pakistan posiada broń jądrową i stabilizacja w tym kraju była kluczem do bezpieczeństwa nie tylko w regionie, ale na całym świecie. Nastroje w Islamabadzie były już podgrzane, więc co by się stało, gdyby Pakistańczycy dostali nagle w prezencie niewielki elitarny oddział amerykańskich komandosów? Jak wyglądałyby próby negocjacji, gdyby zostali uwięzieni na terenie posiadłości wraz z zakładnikami, a może i z trupami, wśród których najprawdopodobniej byłyby zwłoki Osamy bin Ladena? Mogłoby się skończyć tym, że wszyscy żołnierze SEAL zostaliby zabici lub uwięzieni. Nietrudno było sobie wyobrazić również taki scenariusz.

– Byłem też przekonany, a swoją pewność opierałem na późniejszych rozmowach z McRavenem, że mogą się stamtąd wydostać bez wdawania się w walkę z wojskiem pakistańskim – powiedział mi później prezydent. – Istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że będą mogli wejść na teren posiadłości i spokojnie ją opuścić, nawet jeśli coś pójdzie nie tak, nawet jeśli nie będzie tam bin Ladena. Najpewniej wojsko pakistańskie nie wkroczyłoby do akcji, bo wedle naszych szacunków mogło zareagować dopiero po określonym czasie, więc prawdopodobieństwo wymiany ognia między żołnierzami USA i Pakistańczykami było bardzo małe. W tej sytuacji chodziło mi już tylko o to, żeby się stamtąd wydostali. Potem, wiedząc, że nasi żołnierze są już bezpieczni, jakoś byśmy sobie radzili z konsekwencjami.

Obama powiedział więc McRavenowi, że jeśli żołnierze SEAL wejdą do posiadłości, to muszą z niej też wyjść. Sprawa bin Ladena była priorytetem, dla którego warto było poświęcić nawet stosunki amerykańsko-pakistańskie. Gdyby Pakistańczycy wznieśli alarm i zareagowali szybciej, niż zakładano, to trudno – będzie musiało dojść do konfrontacji. Prezydent nakazał admirałowi poczynić wszelkie przygotowania do siłowego opuszczenia terenu rezydencji.

Obama nie podjął jednak jeszcze decyzji o akcji na lądzie. Ponownie zgłosili się do niego przedstawiciele lotnictwa i zaprezentowali plan zakładający użycie mniejszych bomb, a co za tym idzie – mniejszą strefę zniszczeń. Można by uderzyć w posiadłość, nie czyniąc krzywdy ludziom przebywającym w sąsiednich domach, ale mniejsza siła ataku oznaczałaby brak gwarancji zniszczenia podziemnych pomieszczeń. Mimo to śmierć poniosłoby wiele osób, w tym kobiet i dzieci, i nie byłoby sposobu na ustalenie, czy jedną z ofiar jest bin Laden.

Pojawiła się jednak jeszcze jedna opcja związana z atakiem z powietrza, przemawiająca zwłaszcza do Cartwrighta, jednego z ulubionych generałów Obamy. To właśnie on rok wcześniej przedstawił kompromisowe rozwiązanie w chwili, gdy prezydent miał do wyboru rozpoczęcie wielkiej kampanii przeciwko terrorystom w Afganistanie lub niemal całkowite zaprzestanie aktywności w tym kraju. Cartwright zaproponował wówczas wysłanie znacznie mniejszej liczby żołnierzy, niż domagał się Pentagon. Taki kontyngent mógł prowadzić operacje przeciwko terrorystom, ale był zbyt mały, by mówić o wykorzystywaniu sytuacji do kreowania polityki wewnętrznej.

W przypadku Abbottabadu nowa propozycja Cartwrighta wiązała się z uderzeniem w samego Pacera. Trzeba było po prostu poczekać, aż wysoki mężczyzna ubrany w *salwar kamiz*¹²⁾ oraz modlitewną czapkę wyjdzie jak co dzień na spacer po ogrodzie warzywnym, i razić go małym pociskiem wystrzelonym z bezzałogowca. Wymagałoby to wielkiej precyzji, ale lotnictwo poradziłoby sobie z tym zadaniem, korzystając z odpowiednika snajperskiego drona. W efekcie nie byłoby w centrum Abbottabadu żadnej dymiącej dziury w ziemi, żadnych martwych żon ani dzieci, akcji towarzyszyłyby niewielkie zniszczenia (o ile w ogóle by do nich doszło), nie zginąłby ani nie odniósłby ran żaden żołnierz SEAL i nie trzeba byłoby się obawiać otoczenia rezydencji przez siły pakistańskie.

12) *Salwar kamiz* – tradycyjny strój noszony w Azji (w Afganistanie, Pakistanie, Bangladeszu, Indiach, szczególnie północnych, zwłaszcza w Pendżabie) składający się z *salwar* – workowatych, zwężonych na dole spodni (szarawarów), oraz *kamiz* – luźnej koszuli, tuniki (przyp. red.).

To wszystko wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Żołnierze operujący takim sprzętem czuli się dość pewnie, ale tego typu akcje pozostawały wciąż na etapie testów. A gdyby jednak się udało i Pacer padłby na ziemię? Co wtedy? Skąd można by wiedzieć, że zabitym jest bin Laden? A gdyby to nie był on? Gdyby zabito jakiegoś szejka z Dubaju, który ukrywał się tam przed żoną? Jak to sprawdzić? W takiej sytuacji pozostałaby niepewność, a wraz z nią – w pewnym sensie – pozostałby przy życiu bin Laden, nawet gdyby to naprawdę był on. Na dodatek nie było mowy o żadnych poprawkach. Gdyby pocisk chybił, Pacer i cała jego świta zniknęli by natychmiast.

Jedna poważna wskazówka świadczyła o tym, że Obama podjął już decyzję. McRaven powiedział, że jego grupa będzie gotowa do przeprowadzenia akcji w pierwszym tygodniu maja, gdy księżyc znajdzie się w nowiu i noc w Abbottabadzie będą całkiem ciemne, co zawsze sprzyjało żołnierzom JSOC. Nikt o tym nie wspominał, ale było jasne, że ten termin wskazuje

na wybór komandosów. Opcja z dronem nie narzucała żadnego pośpiechu, bo atak miał nastąpić za dnia, podczas codziennej przechadzki Pacera. Pocisk można było wystrzelić w dowolnej chwili. Dlaczego zatem wszyscy przykładali taką wagę do faz księżycy?

Obama powiedział McRavenowi, żeby zaczął próby z pełnym ekwipunkiem i był gotowy, gdy nadejdzie nów. Nakazał też Cartwrightowi gotowość do akcji z wykorzystaniem drona. Chciał, żeby obydwie opcje były gotowe do przeprowadzenia aż do chwili, gdy podejmie ostateczną decyzję.

Jednak ludzie, którzy go znali, nie mieli wątpliwości, ku której z nich się skłania.

„ZACHOWUJĄC WSPOMNIANE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI”

Kwiecień 2011 roku

W ostatnich tygodniach życia Szejka rozwój wydarzeń zaczął go zaskakiwać. Przez cały Bliski Wschód przetoczyły się protesty i demonstracje. Ruchy tektoniczne, nazwane „arabską wiosną”, obejmowały kolejne kraje, zmieniając oblicze znanego mu dotąd świata. Ta rewolucja właściwie zupełnie nie przystawała do jego wizji, a i metody, jakie przyjęli powstańcy, były zupełnie odmienne od tych proponowanych przez niego. Obserwatorzy powszechnie zwracali uwagę na niewielką rolę, jaką odegrała Al-Kaida w tych wydarzeniach. Szejk był zaniepokojony takim obrotem spraw.

W tym czasie miał na głowie wiele problemów, o czym nie omieszkiał napisać w kolejnym liście, datowanym na 26 kwietnia. Najprawdopodobniej zaczął go pisać znacznie wcześniej, a adresatem znów był „Mahmoud” Atiyah Abd al-Rahman, który jednak nigdy nie przeczytał tych słów. To była już szósta wiosna Szejka w Abbottabadzie. Jego kalifat skurczył się do posiadłości otoczonej wysokim murem i dwóch pięter, na których w ciasnych pomieszczeniach tłoczyli się jego najbliżsi. Gdy stawał wyprostowany w modlitwnej czapce, niewiele brakowało, by sięgał głową sufitu. Spędzał noce i dni wedle dobrze znanego planu, który rzadko ulegał zmia-

nom: posiłki, siedem modlitw dziennie, lektura, codzienny zwawy spacer po ogrodzie warzywnym, lekcje poezji dla dzieci i wnuków oraz regularne kazania i wykłady dla trzech żon.

W przerwach między tymi czynnościami przesiadywał przeważnie przed telewizorem, zapoznając się z sensacyjnymi wiadomościami z całego świata. W Egipcie, Syrii, Libii, Jemenie i Tunezji tyranie upadały lub zmagaly się ze społecznymi protestami. Wszędzie aż wrzało. Narastała fala arabskiej dumy, muzułmańskiej żarliwości oraz umiłowania demokracji, jakich nie przewidział nikt, a już z pewnością nie bin Laden. Czuł się odstawiony na boczny tor, uznawał to za rodzaj kary i martwił się coraz bardziej. Wielkie przebudzenie, którego oczekiwał z takim utęsknieniem i które przecież przewidział, następowało właśnie bez jego udziału.

„Uskarżam się przed Bogiem na moje odosobnienie i samotność tak mocno – pisał w kolejnym liście – że obawiam się, że ludzie będą już mną zmęczeni, a moje idee okażą się dla nich przebrzmiałe i zużyte! Jednak skarżę się wyłącznie przed obliczem Boga”.

Trapił się coraz bardziej. Jego wizja Bliskiego Wschodu oznaczała powrót do modelu sprzed wielu stuleci – starożytnego kalifatu, w którym wszyscy prawdziwi wyznawcy zjednoczą się, tworząc wielki święty naród w obrębie państwa rządzonego ściśle według nauk Koranu w interpretacji Qutba, jego samego oraz teologów podzielających ich poglądy. Metody Szejka, samobójcze ataki na niewiernych, które miały budzić strach i wprowadzać zamęt, zostały zarzucone na rzecz ludowych, masowych ruchów wyrzekających się zazwyczaj przemocy. Tłumy radośnych, zdeterminowanych, dzielnych demonstrantów protestowały na ulicach, śpiewając, skandując wywrotowe hasła i żądając wolności oraz przemian. Osama miał wiele do powiedzenia na ten temat, wystukiwał więc swoimi smukłymi palcami teksty na klawiaturze komputera, siedząc w ciasnym gabinecie przy biblioteczce zbitej z prostych desek albo dyktował je, przechadzając się tam i z powrotem. Ostatnio zafarbował brodę i włożył eleganckie szaty, by nagrać nowe filmowe oświadczenie, które miało zostać przekazane wraz z listami. W jednym z nich, skierowanym do al-Rahmana, Szejik usiłował interpretować „arabską wiosnę” przez pryzmat swoich niezmiennych przekonań, pouczając też swoich wyznawców. Chciał w ten sposób wpłynąć na ich stosunek do przemian i stanowisko, jakie zajmą w nowej sytuacji. Trwające rewolucje uznawał za częściowe spełnienie własnych przepowiedni (nazywał je „połowicznymi rozwiązaniami”), ale widział w nich potencjalne zagrożenie dla najwyższego celu. Chodziło mu o to, że wśród zwolenników przemian było wielu młodych Arabów „zakazanych” łagodniejszymi wersjami islamu, a także – co gorsza – świeckimi zachodnimi ideami tolerancji, praw człowieka i demokracji. Nadal pisał o „Narodzie”, jako wizji zjednoczonego imperium muzułmanów.

„Na początku chcę mówić o najważniejszej sprawie w naszej historii współczesnej, czyli rozpoczęciu rewolucji Narodu przeciwko tyranom, która z łaską Boga zapewni impuls do odrodzenia godności religii i przywrócenia jej pełnej chwały. Obecnie jesteśmy świadkami łańcucha powstań, który stanowi wielkie i chwalebne wydarzenie. Biorąc pod uwagę obecną sytuację i doświadczenia historyczne, z wielkim prawdopodobieństwem można powiedzieć, że te wydarzenia rozleją się na większość krajów islamu...”.

Szejik bagatelizował zaangażowanie Stanów Zjednoczonych oraz ich wpływ na przebieg omawianych wydarzeń.

„Dla Amerykanów jest to powód do zmartwień. To doskonale. Sekretarz stanu w trakcie swojej wizyty w Jemenie stwierdziła, że obawia się, że region trafi w ręce uzbrojonych islami-

stów (...). O ile Allah pozwoli, upadek pozostałych tyranii w regionie jest pewny. To będzie zaś oznaczało początek nowej ery dla całego narodu. Te wypadki to najważniejsze wydarzenia, jakich doświadcza Naród od wielu stuleci (...). Wiemy też, że wielkie ruchy społeczne prowadzą do nieuchronnej zmiany, więc jeśli zdwoimy wysiłki mające na celu wychowanie i kształcenie muzułmanów oraz przestrzeganie ich przed połowicznymi rozwiązaniami, a jednocześnie zadbamy o udzielanie im dobrych porad, to następny etap będzie należał do islamu, o ile Allah nam dopomoże”.

Zaniepokoiło go m.in. umocnienie pozycji Bractwa Muzułmańskiego w Egipcie, ponieważ ta organizacja nie była według niego w pełni oddana idei bezwzględnego, opartego na przemocy dżihadu, za którym opowiadał się Szejk. Z radością witał wszystkie doniesienia o radykalizacji nastrojów w szeregach Bractwa, zwłaszcza wśród młodych.

„Zatem powrót Bractwa i jemu podobnych do prawdziwego islamu pozostaje kwestią czasu, o ile Allah dopomoże. Im więcej uwagi poświęcimy wyjaśnianiu sensu islamu, tym szybciej nastąpi powrót, zatem podtrzymanie muzułmańskich organizacji i kierowanie ich na właściwe tory wymaga wysiłku oraz wielkiej uwagi. Musimy pamiętać o tym, by okazać zrozumienie i dobrą wolę tym synom Narodu, którzy przez długie dziesięciolecia byli zwodzeni i kroczyli błędnymi ścieżkami”.

Szejk wyjaśniał, że w obecnej sytuacji rolą Al-Kaidy będzie „misja przywództwa i doradztwa, która jest nierozzerwalnie złączona z losem Narodu”.

Osama narzekał, że zignorowano jego dawne zalecenia mówiące o zgromadzeniu „znacznej liczby uczonych i mędrców”, którzy mieli wskazać kierunek rozwoju powstającego kalifatu. Według niego właśnie to zaniedbanie spowodowało, że „arabska wiosna” zmierzała w błędnym kierunku. „Teraz, w decydującej chwili, na nas, mudżahedinach, ciąży ten obowiązek – pisał. – To my musimy, w miarę naszych możliwości, zasypać tę przepaść i obok zachowania wiary jest to jedno z naszych najważniejszych zadań. Dzięki temu Naród zostanie wyzwolony z pomocą Allah, a religia powróci do należytnej jej chwały. Nie ulega wątpliwości, że mudżahedin ma rozliczne obowiązki, ale temu wielkiemu zadaniu powinniśmy poświęcić najwięcej sił, byśmy go nie zaprzepaścili i nie narazili przebudzonego Narodu na takie niebezpieczeństwo, jakie dawniej zagroziło rewolucjom przeciwko zachodniej okupacji”.

W przeszłości takie rewolucje zostały zawłaszczone przez skorumpowanych, ześwieczonych dyktatorów, ulegających zachodnim modom. Należeli do nich chociażby Saddam Husajn i Muammar Kaddafi. W przypadku Afganistanu przyczyną porażki była interwencja Zachodu. Bin Laden twierdził, że słuszna jest wyłącznie ta wizja, którą podziela on oraz jego wyznawcy – wizja pochodząca prosto od Boga i wiodąca do upragnionych zmian. Szejk sprzeciwiał się tym, którzy marginalizowali rolę Al-Kaidy w „arabskiej wiosnie”, twierdził, że jego wysiłki przygotowały grunt pod te wydarzenia. To działania Al-Kaidy odcięły głowę światowemu pogaństwu – czyli Ameryce – „i wzmocniły ducha braci muzułmanów, którzy odważyli się powstać przeciwko reżimom popieranym przez Waszyngton w minionym stuleciu”. Uważał, że najważniejszą sprawą było teraz zakończenie konfliktu między odłamami islamu, przynajmniej na jakiś czas, i przyłączenie się wszystkich muzułmanów do wielkiej, wciąż rosnącej fali”.

„Musimy poszerzać zakres działania naszych mediów, dbając o zawartość programów i skierowanie ich do odpowiedniego widza – tłumaczył. – Musimy dołożyć wysiłków, by Naród podą-

żył właściwą ścieżką, przedstawić konkretny plan, a następnie poddać go powszechnej dyskusji. Kolejny etap jest ważny i bardzo niebezpieczny, zatem nie może być żadnych wyraźnych różnic w naszych dążeniach. Według mnie jednym z najważniejszych kroków będzie zagrzewanie do walki tych, którzy jeszcze nie podnieśli głów oraz obrócenie ich przeciwko władcom i ich metodom. Musimy pokazać, że jest to powinność religijna i konieczność dziejowa, więc wysiłki zostaną skoncentrowane na obaleniu władców bez rozwoodzenia się nad różnicami poglądów. Należy przy tym z maksymalną uwagą rozwijać świadomość ludzi i pokazywać właściwe poglądy, wykazując równocześnie błędy w myśleniu. Powinniśmy przekazać braciom we wszystkich regionach, by zwrócili uwagę na rozpowszechnianie książki *Nieporozumienia w kwestii islamu* napisanej przez Szejka Muhammada Qutba. Proszę poinformować Szejka Yahyę (Abu Yahya al-Libi, zabity niecały rok później w wyniku ataku drona) i innych braci, którzy mają dar wymowy (...) i przekazać mi ich opinie, pamiętając o każdym z nich, gdyż nie można pomijać żadnego głosu, wnoszącego na tym etapie coś wartościowego”.

Bin Laden przeszedł następnie do spisu „ogólnych wskazówek”, zwracając się z prośbą o przekazanie Al Dżazirze oświadczenia wideo w sprawie „arabskiej wiosny” zapisanego na pendrive’ie i dołączonego do listu. Stacja miała rozpowszechnić to nagranie. Szejk prosił również o radę w sprawie eseju dotyczącego tego samego tematu. Pisząc o braciach z Al-Kaidy znajdujących się w krajach, w których następowały gwałtowne przemiany, radził: „Byłoby dobrze przypomnieć (im), by zachowali cierpliwość i spokój oraz ostrzec przed konfrontacjami” – miał tu na myśli inne muzułmańskie ugrupowania. Słusznie przewidywał, że nowo wybrane władze w większości krajów będą należały do islamskich partii i grup, takich jak Bractwo i jemu podobne. „Naszym obowiązkiem – pisał – jest zwracanie uwagi na nastroje wśród muzułmanów, zdobywanie zwolenników i propagowanie właściwych idei, jako że obecna sytuacja daje nam ogromne możliwości... W miarę upływu czasu i narastania potrzeby zmian zwiększy się liczba zwolenników (zgadzających się z celami Al-Kaidy) i rozpowszechnią się właściwe poglądy wśród młodych ludzi w różnych ugrupowaniach muzułmańskich”.

Szejk miał w tym liście wiele do powiedzenia. Od ogólnych komentarzy politycznych i porad przeszedł do szczegółowych wskazówek dla różnych jednostek swojej organizacji, działających w rozmaitych częściach świata. Przeczytał lub usłyszał, że niektórzy członkowie Al-Kaidy w Jemenu prowadzili doświadczenia z wykorzystaniem gazów bojowych, co bardzo go zmartwiło. Radził, by działali z wielką ostrożnością, wspominając o swoich zastrzeżeniach do taktyki, w ramach której obok niewiernych ginęli także muzułmanie. Wyraził ubolewanie z powodu „reakcji polityków i mediów na mudżahedinów i ich wizerunek w oczach opinii publicznej”. Pytał, dlaczego nie ma żadnych wiadomości od „braci z Iranu” i nakazał ugrupowaniu z Somalii przedstawiającemu się jako odłam Al-Kaidy (on sam nie przyznał im takiego statusu), by uwolniło zakładniczkę i kilku innych więźniów, powstrzymując się z zabiciem pozostałych do wyjaśnienia sytuacji w ogarniętej rewolucją Libii i do wyborów we Francji. Chciał, żeby „bracia w Somalii” skupili się na rozwoju gospodarki w tym zrujnowanym kraju i powstrzymali się od stosowania surowszych środków zalecanych przez szariat. Cytując Proroka, pisał: „Wykorzystaj wątpliwości, by unikać kar”.

W kolejnych częściach listu Szejk przedstawiał wskazówki dotyczące bezpiecznego przerwania konkretnych członków z kraju do kraju i pisał o podróży swojego dwudziestotrzyletniego

syna Hamzy. Nie zapomniał także o poradach dla ukrywających się. Po ponad dziewięciu latach ucieczki przed wrogiem uważał się za eksperta w tej sprawie.

„Dowiedziano, że amerykańska technologia i jej nowoczesne systemy nie doprowadzą do aresztowania mużzahedina, jeśli nie popełni błędu w kwestii bezpieczeństwa i nie da Amerykanom tropów, które ich doprowadzą do celu – pisał. – Zachowanie środków ostrożności sprawa, że ich zaawansowana technika przegrywa i nie przynosi im spodziewanych korzyści”.

Bin Laden martwił się rozwojem sytuacji na świecie, ale sam czuł się pewnie i był przekonany, że zachowywane przez niego środki bezpieczeństwa są skuteczne. Wiedział jednak, że nie każdy jest w stanie przestrzegać takiej samej dyscypliny. Według niego ludzie dzielili się na takich, którzy mogli żyć w ukryciu, oraz tych, którzy się do tego zupełnie nie nadawali.

„Jest pewien odsetek ludzi, którzy nie są w stanie żyć w ukryciu – pisał. – Trzeba więc do nich podchodzić w inny sposób, na przykład zapewniając im możliwość działania na polu walki”. Można to odczytać jako sugestię, że należy się ich pozbywać. „Dla tych, o których wiecie, że są zdyscyplinowani i zdolni do życia w ukryciu, znajdujcie domy na peryferiach miasta (...) i zapewnijcie towarzystwo zaufanych ludzi oficjalnie prowadzących jakąś zwyczajną działalność zawodową. Chodzi szczególnie o tych, którzy mieszkają w bardziej zaludnionych dzielnicach i mają wścibskich sąsiadów”.

Osama opisywał własną sytuację, posiadłość na obrzeżach Abbottabadu oraz swoich zaufanych zwolenników, braci Ahmed, którzy pod fałszywymi nazwiskami, Arshad i Tareq Khan, oficjalnie prowadzili firmę transportową. Jeśli chciał uciec przed Amerykanami, powinien prowadzić właśnie taki tryb życia. Przez cały czas trzeba było sobie jednak radzić z wielkim problemem – dziećmi.

„Podczas przebywania w mieście, jednym z najważniejszych zagadnień z zakresu bezpieczeństwa jest kontrolowanie dzieci. Mogą one wychodzić z domu tylko w wyjątkowych przypadkach, do których należy konieczność opieki lekarskiej czy nauki miejscowego języka. Nie mogą przebywać na podwórzu bez osoby dorosłej, która musi pilnować, by nie zachowywały się zbyt hałaśliwie. My, dzięki łasce Allaha, przestrzegamy tych zasad od dziewięciu lat...”.

Dziewięć lat od 11 września.

Osamie pozostało jeszcze pięć dni życia.

Gdy Szejk pisał ten list, ostatni w swoim życiu, gdy przechwalał się swoim doświadczeniem w sprawach związanych z bezpieczeństwem, gdy mówił o przestrzeganiu środków ostrożności (wspominając o problemach związanych z dziećmi i wnukami), był już na celowniku USA. Wedle amerykańskiej terminologii wojskowej został „znaleziony” (found) i „ustalono jego położenie” (fixed).

Jeśli chodzi o „wykończenie” (finish), to prezydent Obama zlecił dokładne dopracowanie dwóch opcji, które wchodziły w grę oraz pełną gotowość do wprowadzenia ich w życie w pierwszym tygodniu maja. Opcja związana z działaniem na lądzie była uzależniona od terminu. W pierwszych dniach maja księżyc miał być w nowiu. Poza tym nocą w środku wiosny na wysokości ponad tysiąca dwustu metrów utrzymywała się na tyle niska temperatura, że nie trzeba było się obawiać przegrzania helikopterów. Black Hawki miały się ustawić i zawisnąć nad celem po przylocie z Dżalalabadu. Miały lecieć półtorej godziny z dużą prędkością i znacznym obciążen-

niem, więc na miejsce przybywały mocno rozgrzane.

Na terytorium Pakistanu miały wlecieć cztery śmigłowce: dwa Black Hawki z dwudziestoma czterema komandosami biorącymi udział w akcji podążały prosto do Abbottabadu, a dwa znacznie większe MH-47E Chinooki transportowały paliwo oraz dwudziestu czterech żołnierzy z silnym szybkim reagowaniem, lądując w ustronnym miejscu poza miastem. Na pokładzie piątego helikoptera znajdował się liczniejszy oddział wsparcia, Plan C, który wprowadzono by w życie, gdyby siły uderzeniowe potrzebowały pomocy. Zakładano, że może zaistnieć potrzeba opuszczenia Pakistanu z użyciem siły. Liczny oddział wsparcia miał czekać w gotowości tuż za granicą afgańską i w razie konieczności ruszyć z natychmiastową pomocą. Wszystkie helikoptery wyposażono w urządzenia, które zapewniały niewykrywalność przez radary oraz maksymalne wyszczerzenie. Obciążenie wyliczono tak, by jak najlepiej wykorzystać wysokość, na jakiej leży Abbottabad, a także zapowiadaną temperaturę powietrza. Gdyby operację odłożono o miesiąc, odbyłaby się wczesnym latem, przy wyższej temperaturze, co zwiększyłoby obciążenie maszyn i najprawdopodobniej wymagałoby wprowadzenia korekt. Trzeba byłoby wysłać albo więcej helikopterów, albo mniej ludzi. McRaven zgromadził wszystkich żołnierzy w Dżalalabadzie i tam czekali na rozkaz Obamy.

Alternatywne rozwiązanie, zwane „opcją powietrzną”, sprowadziło się do proponowanej przez Cartwrighta próby oddania jednego strzału z bezzałogowca. Można było ją przeprowadzić w dowolnej chwili, gdy tylko Pacer pojawiłby się w ogrodzie, a prezydent wydałby rozkaz.

Trudno przecenić znaczenie tej operacji – nie tylko dla Ameryki, dla której pojmanie bin Ladena byłoby jak zamknięcie krwawiącej rany, ale i dla prezydentury Obamy. Na początku maja miał on formalnie ogłosić gotowość ubiegania się o drugą kadencję, a jego decyzja w tej sprawie była pewna. Ze względu na zastój w gospodarce popularność prezydenta stale spadała. Stosunki z Kongresem, które nigdy nie były dobre, pozostawały w impasie od listopadowych wyborów, w wyniku których demokraci stracili większość w tej izbie. Znacznie osłabła też pozycja Partii Demokratycznej w Senacie. Obama był nazywany staroświeckim rozrzutnym liberałem, a nawet socjalistą, i to w czasach, gdy Stany Zjednoczone zmagaly się z ogromnym zadłużeniem, a republikanie zaklinały się, że nie będzie zgody na podniesienie jakichkolwiek podatków. Obiecywali przy tym, że wreszcie zakończy się epoka etatyzmu. Obama, który obejmował stanowisko jako ten, który chce budować mosty, stał się człowiekiem prowadzącym do głębokich podziałów w społeczeństwie.

Większość negatywnych ocen wciąż opierała się na przekonaniu, że Obama nie był prawdziwym Amerykaninem. Niektórzy traktowali to dosłownie i twierdzili, że akt urodzenia z Hawajów został sfalszowany. Choć był chrześcijaninem oraz praktykującym członkiem Kościoła, zarzucano mu, że w duchu jest muzułmaninem. Większość ludzi nie wierzyła oczywiście w te historie, ponieważ wszelkie dowody potwierdzały, że to kompletne bzdury. Takie głosy wpływały jednak w pewnym stopniu nawet na świadomych wyborców, którzy mogli sądzić, że Obama, którego wychowanie i wykształcenie kojarzyło się przede wszystkim z lewicą, Harvardem, elitami, wielokulturowością i wielorasowości, nie podziela w pełni ideałów tworzących rdzeń Ameryki. Twierdzili, że prezydent głębiej wierzył w potęgę władzy niż w wolność osobistą. Uważali, że niespecjalnie obchodzą go ideały Ameryki i Konstytucja, bo jest ukształtowany w duchu europejskiej socjaldemokracji, która dąży do tego, by na czele gospodarki i społeczeństwa

stały władze tworzone przez intelektualistów takich jak on sam.

Ocenie polityki Obamy zaszkodził też poważnie kryzys finansowy. Próba jego powstrzymania z 2008 roku wiązała się z ogromnymi wydatkami z budżetu federalnego. Gospodarka podnosiła się z kryzysu w żółtym tempie, ludzie nie widzieli nadziei na lepsze życie, a rozmiary deficytu budżetowego budziły grozę. Na domiar złego wszystko wskazywało na to, że prezydent wciąż dąży do zwiększenia wydatków. Największe zwycięstwo Obamy w dziedzinie ustawodawstwa, czyli obowiązkowe ubezpieczenia zdrowotne, raczej osłabiło, niż wzmocniło jego pozycję polityczną. Utrwaliło się przekonanie, że jest zamaskowanym socjalistą, a w najlepszym razie tradycyjnym etatystycznym liberałem, który dużo wydaje i ściąga wysokie podatki. Krytycy twierdzili, że obowiązkowe ubezpieczenia zdrowotne oznaczają wprowadzenie całkowicie nowego programu społecznego i zwiększenie liczby istniejących obciążeń, które już prowadzą kraj do bankructwa. Uznano je za rozwiązanie niekonstytucyjne i dowód tajnych antyamerykańskich działań prezydenta. Najzacieklejsi przeciwnicy wciąż podnosili wątpliwości w sprawie jego genealogii i wychowania, więc prezydent w końcu uznał za konieczne przedstawienie pełnych zapisków ze Szpitala Ginekologiczno-Położniczego Kapi'olani w Honolulu, by dowieść, że spełnia podstawowy warunek ubiegania się o stanowisko – obywatelstwo wynikające z narodzin na terenie USA. Udowodniając, że jest prawdziwym Amerykaninem, uspokoił wszystkich (prócz największych oponentów), ale i tak wielu wciąż zarzucało mu, że bierze udział w spisku mającym na celu przekształcenie Ameryki w państwo na modłę europejską.

Bodaj najskuteczniejszym argumentem przeciwko zarzutom o brak autentyczności było działanie Obamy w roli zwierzchnika sił zbrojnych. Prezydent skutecznie i zdecydowanie bronił Ameryki. Podczas kampanii wyborczej umiejętnie doprowadził do skojarzenia swojej kariery politycznej z postacią młodego, charyzmatycznego, zdecydowanego demokrata, który pojawił się na scenie pół wieku wcześniej – Johna F. Kennedy'ego. Zyskał poparcie nie tylko senatora Teda Kennedy'ego, który zaangażował się w jego kampanię niedługo przed śmiercią, ale i samej Caroline Kennedy, porównującej go do własnego ojca. Tym samym pojawiło się jednak niebezpieczeństwo, że Obama wyda się zbyt podobny do Johna – znakomitego mówcy i szykownego młodego polityka, któremu jednak brakowało doświadczenia w roli przywódcy narodu. W końcu to dopiero prezydent Lyndon Johnson po zabójstwie Kennedy'ego wcielił w życie jego plany. To jego kunszt polityczny oraz jego upór, a także działania Kongresu, doprowadziły do ustanowienia praw, których nie potrafił wprowadzić Kennedy. Obama potrzebował takiego osiągnięcia, a zabicie bin Ladena doceniłoby nawet najwięksi krytycy. Na tej arenie prezydent mógł podejmować decyzje i działać, nie oglądając się na jakiegokolwiek zewnętrzne wpływy polityczne, zwłaszcza że chodziło o tajną operację. Na tym polu wszelkie różnice zdań były rozstrzygane wyłącznie na podstawie jego opinii i jego decyzji. Najostrzejsza krytyka działań Obamy jako zwierzchnika armii pochodziła zresztą z jego własnych szeregów. Prezydent obiecał, że zamknie wojskowe więzienie w Guantánamo, które według wielu było symbolem nadużywania władzy przez administrację Busha, nie zdołał jednak przekonać opozycji w Kongresie do przeniesienia zatrzymanych do więzień na terenie USA. Największych obietnic z kampanii udało mu się jednak dotrzymać. Najpierw zmniejszył zaangażowanie Amerykanów w Irak, a następnie doprowadził do całkowitego wycofania wojsk, zyskując powszechne poparcie społeczne. W przypadku Afganistanu na początku wysłał dodatkowo trzydzieści tysięcy żołnierzy, ale

wkrótce doszedł do wniosku, że wszelkie próby stworzenia sprawnego rządu centralnego są skazane na niepowodzenie, i po cichu zmienił kierunek działania. Jego celem było zakończenie wojkowego zaangażowania Ameryki na dużą skalę. Krytykowano go za brak zdecydowanego poparcia dla rewolucji w Libii, a potem za niewystarczające bezpośrednie działania, ale okazało się, że prowadzona przez NATO interwencja i zaangażowanie po stronie powstańców (co krytycy Obamy nazywali „kierowaniem z tylnego siedzenia”) jest całkiem sprytnym rozwiązaniem. Kraj był zmęczony dwiema długimi wojnami, więc bez większych protestów przyjmował nieco asekuranckie, pragmatyczne podejście prezydenta do wykorzystywania potęgi militarnej USA. Nawet republikańscy kandydaci walczący o nominację w 2012 roku, którzy nie marnowali żadnej okazji do punktowania Obamy, rzadko podejmowali temat bezpieczeństwa narodowego.

Rozprawa z bin Ladenem miała być zwieńczeniem dzieła, a zarazem kamieniem milowym w dziedzinie strategii oraz wielkim wydarzeniem podnoszącym morale narodu.

– Według mnie świadomość, że nie ustajemy w naszych dążeniach, była oczyszczająca dla narodu amerykańskiego – powiedział prezydent w rozmowie ze mną. – Nie wypuszczaliśmy z ręki okazji. Byłem przekonany, że to ważne. Odkąd objąłem urząd, czyniliśmy znaczne postępy w walce z ważnymi osobistościami w szeregach Al-Kaidy – tymi, które znajdowały się poniżej bin Ladena. Systematycznie usuwaliśmy poruczników, kapitanów i dowódców, więc mieliśmy poczucie, że organizacja jest zdziesiątkowana i że w przypadku likwidacji przywódcy możemy osiągnąć ostateczne strategiczne zwycięstwo. Jednak dopóki bin Laden stał na jej czele, to nawet gdybyśmy odnosili sukces za sukcesem na niższych szczeblach, wciąż miałyby ona znaczną zdolność odrodzenia się.

Pojmanie bin Ladena przyniosłoby także niewątpliwe korzyści polityczne. Nie ulega wątpliwości, że sukces wzmocniłby jego pozycję, a porażka mocno by go zabolowała. To była ta jedna jedyna rzecz, która nie udało się prezydentowi Bushowi pomimo jego buńczucznych zapowiedzi. Obama był zręcznym politykiem i przed wykonaniem każdego kroku zawsze przeprowadzał jakieś kalkulacje, a przynajmniej rozumiał, o jaką stawkę toczy się gra. Tym razem to on wiedział najlepiej, co jest nagrodą w nadchodzącej operacji. Zabicie lub pojmanie człowieka odpowiedzialnego za zamachy z 11 września doceniłby każdy Amerykanin, niezależnie od barw politycznych. Byłoby to wydarzenie nadające polityce wyższy wymiar, co w tej epoce trafia się niezwykle rzadko. Niewiele dokonań prezydenta mogłoby się równać z rozprawą z przywódcą Al-Kaidy. Wprawdzie nie doprowadziłoby to do całkowitego zniszczenia organizacji ani likwidacji zagrożenia terroryzmem, ale byłoby wielkim krokiem w tym kierunku i zamknęłoby rozdział, w którym zapisana została wielka narodowa trauma. To byłoby wspaniałe uczucie... Obama od początku twierdził, że tak ma wyglądać właściwa reakcja wojskowa. Przyrzekł, że jeśli tylko będzie miał okazję, doprowadzi do takiego rozwiązania. Teraz wprawdzie nie podjął jeszcze oficjalnej decyzji w sprawie domu w Abbottabadzie i nie wskazał wybranej opcji, ale osoby z najbliższego otoczenia były przekonane, że nie wypuści z ręki takiej okazji. Skłaniał się ku temu rozwiązaniu, a zaufanie do McRavena oznaczało, że wybierze opcję z akcją lądową.

Atak na posiadłość wiązał się z największym ryzykiem. Oznaczał konieczność odpowiedzi na masę trudnych pytań, jakich nie byłoby w przypadku akcji z powietrza. Jedno z najciekawszych brzmiało tak: co zrobić, jeśli bin Laden nie zostanie zabity, lecz pojmany. Sukces dronów,

które odegrały ważną rolę w wojnie prowadzonej przez Obamę, oznaczał jedno – w ręce Amerykanów właściwie nie trafiali już żadni więźniowie z najwyższych szczebli hierarchii. Niektórzy spekulowali, że prezydent woli zabijać członków Al-Kaidy, niż ich wyłapywać; mówiono nawet, że JSOC otrzymało rozkaz, by unikać brania jeńców.

– Biorąc pod uwagę poświęcenie bin Ladena dla sprawy, założyliśmy, że prawdopodobieństwo poddania się było bardzo niskie – wyjaśnił prezydent. – Wiedzieliśmy też, że zawsze istnieje ryzyko, że obwiąże się materiałami wybuchowymi i będzie próbował się wysadzić razem z żołnierzami. Wydaje mi się, że wszyscy myśleli tak – jeśli ma się poddać, musiałby być nagi i leżeć na ziemi. Gdyby tak się stało, aresztowalibyśmy go i wzięli do niewoli. Nie chcę wchodzić w szczegóły związane z kolejnymi działaniami, ale ostatecznie zostałaaby mu wymierzona sprawiedliwość. Na pewno byłby przywieziony do kraju.

To rozwiązanie także należało przemyśleć. Czy oni naprawdę chcieli złapać bin Ladena? A gdyby go złapali, co by z nim zrobili?

Kwestia postępowania z najważniejszymi terrorystami była od wielu lat ważnym tematem politycznym. Bush zamknął większość z nich, na przykład Chalida Szejka Mohammeda czy Abu Zubaydah, w Guantánamo i wspominał o postawieniu ich w przyszłości przed trybunałem wojskowym. Niektórzy jednak, jak chociażby Richard Reid, znany jako „Shoe bomber” (próbował wysadzić samolot, odpalając ładunki wybuchowe ukryte w butach) czy niedoszły zamachowiec z Times Square Faisal Shahzad (ten, który ku niezadowoleniu Osamy złamał przysięgę na wierność Ameryce), zostali aresztowani, postawieni przed sądem federalnym i skazani na dożywocie. Gdy prokurator generalny Eric Holder ogłosił, że zamierza postawić Chalida Szejka Mohammeda przed sądem federalnym na Dolnym Manhattanie, wywołało to falę protestów politycznych, w wyniku których jeszcze w tym samym miesiącu wycofano się z tej decyzji i postanowiono przekazać sprawę trybunałowi wojskowemu w Guantánamo.

Gdyby jednak zdarzyło się coś nieprawdopodobnego i bin Laden poddałby się, Obama widział możliwość powrotu do pomysłu z procesem karnym.

– Przemyśleliśmy najróżniejsze kwestie prawne i polityczne związane z takim rozwiązaniem. Rozmawialiśmy o Kongresie, o wysłaniu do Guantánamo, o niestawianiu go przed sądem, a także o Artykule Trzecim¹³⁾ – powiedział mi prezydent w trakcie wywiadu. – Przeanalizowaliśmy zatem mnóstwo scenariuszy, jednak, szczerze mówiąc, byłem przekonany, że jeśli bin Laden zostanie schwytyany, to moja pozycja polityczna będzie na tyle mocna, że będę mógł orędownąć za tym, aby przeprowadzić sprawiedliwy proces. Wierzyłem, że proces i wyrok wydany w imieniu prawa będzie naszą najlepszą bronią w walce z Al-Kaidą i zapobiegnie przedstawieniu bin Ladena jako męczennika.

13) Artykuł Trzeci Konstytucji USA opisuje strukturę i zakres działania władzy sądowniczej (przyj. red.).

Osama w areszcie oznaczałby dla Obamy wzrost kapitału politycznego, jakiego nie zapewniła mu sprawa Chalida Szejka Mohammeda. To właśnie mogła być kwestia zamykająca nieporozumienia i konflikty związane z wyborem drogi postępowania wobec najgroźniejszych terro-

rystów trafiających w ręce Amerykanów. Obama chciał pokazać, jaki jest właściwy sposób działania. Według niego postawienie terrorystów przed sędzią i ławą przysięgłych w sądzie karnym, przyznanie im pełnych praw przysługujących oskarżonym, w tym obrońców, pokazałoby całemu światu, że Ameryka jest oddana idei sprawiedliwości nawet wtedy, gdy ma do czynienia z najgorszymi spośród najgorszych zbrodniarzy. Wszyscy zobaczyliby w bin Ladenie nie romantycznego świętego wojownika, ale kogoś, kim był naprawdę – fanatyka dysponującego całkowicie fałszywym obrazem wydarzeń oraz sprawcę masowych zbrodni. Prezydent nie mógł się jednak ograniczyć do wybrania sobie jednego ze scenariuszy. Trzeba było dokładnie rozpatrzyć konsekwencje i zaplanować wszystkie działania.

Obama dodał:

– Myślę, że istotne będzie podkreślenie jednej rzeczy – po przygotowaniu tych wszystkich planów byliśmy jednak przekonani, że on nie podda się bez walki.

7 kwietnia żołnierze McRavena przeprowadzili pierwsze ćwiczenia w ramach prób do operacji. Pracowali na wydzielonym obszarze leżącym w głębi rozległych lasów na terenie Fort Bragg, gdzie wzniesiono wierną replikę dwupiętrowego domu z Abbottabadu. Wśród obserwatorów z Pentagonu i CIA byli przewodniczący Mullen i Michael Vickers.

W ramach tej sesji ćwiczeń komandosi SEAL zajmowali się treningiem przygotowującym ich do najważniejszego etapu operacji: nocnego uderzenia na posiadłość i dom. Nadlecieli na pokładzie dwóch Black Hawków. Jeden oddział opuścił się na linach na dach budynku i zaatakował go od góry, natomiast drugi zjechał na linach na ziemię i nacierał od strony parteru. Całość tego etapu operacji zajęła zaledwie półtorej minuty. W czasie, gdy komandosi byli w środku, helikoptery odleciały, by potem powrócić i zabrać ich na pokład. Szybkość akcji i koordynacja działań robiły piorunujące wrażenie. Tę część operacji przećwiczono dwukrotnie.

McRaven przeprowadził ten pokaz sprawności swoich ludzi między innymi po to, by zrobić wrażenie na obserwatorach. Komandosi wykonywali takie zadania tak wiele razy, że mogli do nich przystępować z zamkniętymi oczami. McRaven osobiście wybrał strzelców z Zespołu Szóstego SEAL. To był prawdziwy Dream Team złożony z ludzi, którzy podczas tysięcy akcji dowodzonych przez McRavena pokazali, że działają spokojnie i inteligentnie, zachowując zimną krew także w przypadku nieoczekiwanych problemów. Takie sytuacje wymagały błyskawicznej oceny wagi błędu, usterek czy jakiegokolwiek nieoczekiwanego zdarzenia oraz wprowadzenia niezbędnych poprawek w celu dokończenia operacji. Najważniejszymi cechami były zdolność przystosowania się do nowej sytuacji oraz umiejętność samodzielnego myślenia i podejmowania właściwych decyzji. Wybrani ludzie wielokrotnie udowadniali w walce, że je posiadli, więc w gruncie rzeczy nie potrzebowali prób, ale McRaven chciał, żeby zgromadzeni oficjele przekonali się, jak sprawni są komandosi oraz jak szybko i pewnie potrafią działać. Chodziło mu o to, by każdy z obserwatorów przekonał się na własne oczy o tempie i koordynacji działania, by usłyszał dźwięk łopat helikopterów, wybuchy granatów błyskawiczno-hukowych, odgłosy wystrzałów i wyobraził sobie, że to on jest mieszkańcem zaatakowanego domu. Dowódca chciał, żeby najwyżsi rangą wojskowi spotkali się z jego żołnierzami, obejrzelni sprzęt i broń, porozmawiali i przekonali się o ich profesjonalizmie, doświadczeniu oraz pewności siebie, a potem wrócili do Białego Domu i powiedzieli:

– Panie prezydencie, gdyby pan zobaczył tę próbę, to szczekała by panu opadła!

Zespół Szósty SEAL niedawno wrócił do kraju. Komandosi z elitarnych jednostek specjalnych wyjeżdżają na wojnę na zmianę. Niemal przez całe ostatnie dziesięciolecie regularnie służyli w Iraku czy Afganistanie po trzy, cztery miesiące, wypełnione morderczą pracą. Każdej nocy wyruszali na co najmniej jedną, a zdarzało się, że dwie lub trzy operacje. Każda jednostka uderzeniowa miała przydzielony oddział wsparcia bojowego, administrację i oddziały logistyczne, które wyjeżdżały na misję wraz z nią. Wszyscy członkowie tych oddziałów byli starannie dobierani. Po przybyciu na misję spędzali większość czasu z dala od żołnierzy wojsk konwencjonalnych – we własnych bazach operacyjnych lub w wydzielonej części większej bazy. Wykonywali poważne zadania, stykając się na co dzień ze śmiercią. W dzień odpoczywali, czyścili broń, zajmowali się ćwiczeniami fizycznymi i przygotowywali do nocnych akcji. Mieli dostęp do telewizji i internetu, ale obowiązywały ich w tej dziedzinie znacznie surowsze zasady niż większość żołnierzy. Musieli poddać się ostremu tempu pracy oraz surowej dyscyplinie. Przez kilka miesięcy spędzanych w kraju dochodzili do siebie, po czym wracali do swoich zadań. Gdy przybywali na miejsce, czekała ich po prostu robota do wykonania.

Takie życie było trudne i wyczerpujące, ale dawało też wielką satysfakcję. Ludzie zakwalifikowani do tych elitarnych jednostek najczęściej zostawali na dłużej. Umiejętności, jakich od nich wymagano w oddziale, niekoniecznie przydawały się przy wykonywaniu innej pracy. Gdy ktoś przez całe lata ma na co dzień do czynienia z akcjami, w których stawką jest życie lub śmierć – operacjami, w których adrenalina aż kipi, człowiek ryzykuje, strzela, zabija, a czasem musi też patrzeć, jak giną jego towarzysze – i gdy wierzy, że od jego pracy zależy bezpieczeństwo ojczyzny, to trudno znaleźć inne zajęcie, które będzie mogło jej dorównać. Kiedy codziennie współpracuje z ludźmi, którzy są najlepsi w swojej dziedzinie, i gdy otacza go cichy podziw ze strony spotykanych ludzi, to czuje się kimś naprawdę wyjątkowym.

Komandosi z jednostek specjalnych byli z reguły starsi o kilkanaście lat od żołnierzy z innych oddziałów. Przeważnie byli po trzydziestce i brali udział w wielu misjach, służąc w różnych jednostkach lub Zielonych Beretach, a dopiero potem założyli czarne. Niektórzy mieli już ponad czterdzieści lat, więc średnia wieku wynosiła trzydzieści cztery lata. Lubili żartować, że ich największym zmartwieniem nie jest śmierć od kuli wroga, ale kłopoty z wypadającymi dyskami. Byli mistrzami w wielu dziedzinach, a zwłaszcza w takich zadaniach, jakie mieli wykonać w Abbottabadzie – błyskawicznym i skutecznym uderzeniu w cel, podejmowaniu w ułamku sekundy właściwych decyzji co do oddawania bądź nie oddawania strzału oraz odróżnianiu swoich od wrogów i terrorystów od cywilów. Zadania wykonywali najczęściej w ciemnościach, posługując się urządzeniami noktowizyjnymi, ale w ostatnich latach, przełamując schematy, wyruszali też na akcje za dnia, by zdezorientować wroga oraz szybko reagować na najnowsze dane wywiadowcze przy wykorzystaniu nieprzyjacielskiego obiegu informacyjnego.

Gdy niedługo po powrocie do kraju zostali wezwani na ćwiczenia w ramach przygotowań do akcji, wiedzieli już, że chodzi o specjalną misję. Kiedy powiedziano im, że celem ich ataku będzie bin Laden, wzbudziło to autentyczną radość.

W drugim tygodniu ćwiczeń wyjechali do Nevady, bo tamtejsze warunki – temperatura i wysokość (ok. 1200 m n.p.m.) – były zbliżone do panujących w Abbottabadzie. Wśród obserwatorów ponownie znaleźli się przewodniczący Mullen oraz Vickers. Tym razem celem ćwiczeń by-

ło odtworzenie warunków w czasie przelotu. W trakcie prawdziwej operacji helikoptery miały odbyć półtoragodzinny lot, zanim znalazły się nad Abbottabadem. Miały lecieć bardzo nisko i bardzo szybko, by nie wykryły ich pakistańskie radary. Osoby odpowiedzialne za planowanie misji musiały dokładnie sprawdzić, czego można się spodziewać po helikopterach na takiej wysokości i przy spodziewanych temperaturach powietrza. Ile ładunków mogą zabrać, żeby funkcjonować bez problemów? Z początku wydawało się, że będą mogły przelecieć tam i z powrotem bez tankowania, ale margines bezpieczeństwa był zbyt wąski. Śmigłowce wracałyby do Afganistanu na resztkach paliwa, więc konieczne było przygotowanie punktu tankowania. W Nevadzie przetestowano cały scenariusz akcji. Replika samej posiadłości była prowizoryczna, gdyż w Fort Bragg wielokrotnie przećwiczone opanowanie terenu. Tym razem zamiast budynków postawiono kontenery, a kamienne mury wokół rezydencji zastąpiono siatką ogrodzeniową. Celem tych prób nie było szturmowanie posiadłości, lecz odtworzenie obciążeń, jakim podlegać będą helikoptery. Wszystko poszło gładko, a Black Hawki spisały się doskonale.

McRaven chciał zrobić wrażenie na Mullenie, Vickersie i pozostałych obserwatorach, gdyż liczył, że prezydent w pełni podzieli jego zaufanie do żołnierzy oraz sensu tej operacji. Rozumiał, że zaufanie było najważniejszym czynnikiem, który miał zadecydować o przydzieleniu tego zadania komandosom SEAL.

Trzeba bowiem było przyznać, że alternatywne rozwiązanie – uderzenie z użyciem drona – było kuszące i o wiele mniej ryzykowne. Atak z powietrza umożliwiał wykorzystanie broni niemal magicznej – niewielkiego pocisku sterowanego, który można wystrzelić z malutkiego bezzałogowca. Nikt, kto był zaangażowany w planowanie operacji, nie mówił o szczegółach, ale najprawdopodobniej chodziło o niedawno skonstruowany pocisk Raytheon, który był sterowany GPS-em. Jego wielkość można by porównać do przedramienia mocno zbudowanego mężczyzny. Głównym orędownikiem takiego rozwiązania był w Białym Domu generał Cartwright. Pocisk, zaprojektowany tak, aby zminimalizować skutki uboczne, nieuniknione w przypadku ataków z powietrza, mógł razić człowieka lub pojazd, nie czyniąc żadnych szkód w otoczeniu. STM (Small Tactical Munition, mały pocisk taktyczny) ważył zaledwie pięć kilogramów, przenosił głowicę bojową o masie dwóch kilogramów i był wystrzeliwany spod skrzydła drona, który miał rozmiary modelu samolotu, więc nie był zauważalny przez obronę przeciwlotniczą żadnego państwa. Należał do pocisków typu *fire-and-forget* (wystrzel i zapomnij), co oznacza, że po wystrzeleniu nie można było nim sterować. Jego zadanie polegało na znalezieniu celu i rażeniu go na podstawie precyzyjnych współrzędnych, na jakie został zaprogramowany. Pacer każdego dnia spacerował w tym samym miejscu, Cartwright był więc przekonany, że pocisk go zabije i prawdopodobnie nie zrobi krzywdy nikomu więcej. Żołnierze amerykańscy nie ponosili przy tym żadnego ryzyka. Gdyby pocisk nie sięgnął celu lub gdyby okazało się, że Pacer to nie bin Laden, mówionoby po prostu o niewyjaśnionej eksplozji w Abbottabadzie. Nikt nie byłby winny. A gdyby pocisk jednak zabił bin Ladena, to Pakistan nie powinien zbyt głośno wyrażać oburzenia, ponieważ władzom byłoby niezręcznie przyznać, że najbardziej poszukiwany terrorysta na świecie mieszkał sobie bezpiecznie w tym kraju, na dodatek półtora kilometra od siedziby narodowej akademii wojskowej.

Wspomniana broń jeszcze nigdy nie została użyta w walce, choć zastosowana w niej technologia – drony i pociski raketowe – nie była żadną nowością. Jedyna różnica polegała na jej

rozmiarach. Ale z drugiej strony... czy warto uzależniać niemożliwą do powtórzenia okazję od pojedynczego strzału, od pocisku, który jeszcze nigdy nie został użyty w boju? Opcja z dronem oznaczała też brak absolutnej pewności co do skuteczności uderzenia. Zwolennicy bin Ladena oraz ludzie podzielający jego poglądy wciąż pozostawali pod jego ogromnym wpływem, mimo że od lat się nie pokazywał. Gdyby nie było dowodów na jego śmierć, organizacja mogłaby teoretycznie przedstawiać kolejne oświadczenia i wypowiedzi skierowane do swoich członków i sympatyków, zbierać datki, nakłaniać do działania i planować kolejne ataki, jakby jej przywódca wciąż pozostawał przy życiu. Obama stałby się wtedy trzecim prezydentem USA, który wypuściłby go z rąk. Opcja z użyciem bezzałogowca wciąż pozostawiała dwie zasadnicze wątpliwości. Co się stanie, jeśli pocisk chybi? A jeżeli trafi, to jak się będzie można przekonać, że bin Laden nie żyje?

Było jasne, że jedyne pewne rozwiązanie to powierzenie operacji oddziałowi komandosów, który go wyciągnie z kryjówki – żywego lub martwego.

Jednak niemal na każdym kroku mógł pojawić się jakiś problem, który zniweczyłby cały wysiłek. Historia najnowsza pełna jest przykładów pechowych operacji, a najpoważniejszym ostrzeżeniem była klęska misji Desert One. Wystarczyło ją porównać z operacją w Abbottabadzie, by ze zdumieniem dostrzec zbieżność wielu szczegółów. W obu przypadkach konieczny był długi przelot i tankowanie na pustyni, a cel znajdował się w mieście otoczony potencjalnymi wrogami. Katastrofa w Iranie była strasliwym wstrząsem dla armii i wzbudziła konsternację w społeczeństwie, a przy okazji oznaczała koniec prezydentury Cartera. Długa bitwa, która rozgorzała po zestrzeleniu dwóch helikopterów w Mogadiszu 3 października 1993 roku, zniechęciła z kolei administrację Clintona do używania oddziałów wojskowych, co przyniosło strasliwe konsekwencje, chociażby rzeź setek tysięcy ludzi w Rwandzie w 1994 roku. Misja w Iranie była oczywistą klęską, a operacja w Mogadiszu – choć ostatecznie okazała się sukcesem – wywołała krwawą osiemnastogodzinną bitwę, która właściwie zakończyła amerykańską misję w Somalii. Na niemal każdym spotkaniu poświęconym omawianiu planów ataku na bin Ladena pojawiał się wątek jednej czy drugiej ze wspomnianych operacji, a czasem i obu.

Tylko jeden lądowy scenariusz nie przyniósłby żadnych komplikacji – gdyby bin Ladena nie było na terenie posiadłości, a żołnierze SEAL mogli ją opuścić, nie robiąc nikomu krzywdy ani nie wzbudzając żadnego alarmu. W takiej sytuacji świat nigdy by się o niczym nie dowiedział. Wszystkie inne scenariusze wiązały się z poważnymi konsekwencjami. Nawet największy sukces – zabicie lub pojmanie bin Ladena bez wdawania się w walkę z siłami pakistańskimi – miałby swoją cenę. Z pewnością wzbudziłby wściekłość tamtejszych władz i zatrułby obustronne relacje. Lista możliwych konsekwencji była przerażająca: polegli komandosi SEAL, zabici Pakiścińczycy, postawienie USA w kłopotliwej sytuacji, propagandowy triumf bin Ladena i Al-Kaidy oraz wielki uszczerbek na reputacji armii USA oraz CIA.

Jeśli prezydent miał postawić na McRavena, to admirał musiał go zarazić swoim przekonaniem o słuszności tego wyboru.

Decydujące spotkanie odbyło się w czwartkowe popołudnie 28 kwietnia w pokoju dowodzenia. Plotki głosiły, że podczas tej ostatniej narady Obama trafił na zdecydowany sprzeciw i wątpliwości, jakie nurtowały jego najbliższych doradców. W rzeczywistości prawie wszyscy zdecydowali

wanie poparli decyzję o natarciu.

Na obitych czarną skórą krzesłach wokół stołu zasiadli Obama, wiceprezydent Joe Biden, sekretarz obrony Robert Gates, sekretarz stanu Hillary Clinton, przewodniczący kolegium połączonych szefów sztabów Michael Mullen, wiceprzewodniczący kolegium James „Hoss” Cartwright, John Brennan, Thomas Donilon, James Clapper z DNI, dyrektor CIA Leon Panetta oraz jego zastępca Michael Morell. W spotkaniu nie brał udziału McRaven, który razem z oddziałem SEAL przebywał w bazie JSOC w Dżalalabadzie, by w ciągu dwóch dni przygotować się do podjęcia działań. Podczas tego cyklu narad obowiązywała prosta zasada: jeśli kogoś nie było w Waszyngtonie, to w nich nie uczestniczył – otwarcie łącza satelitarnego w celu urządzenia wideokonferencji oznaczało, że o rozmowie będzie wiedziało zbyt wiele osób. Większość prezydenckiej ekipy odpowiedzialnej za bezpieczeństwo narodowe – w tym Ben Rhodes, poinformowany o sprawie kilka tygodni wcześniej – zaczęła się zastanawiać nad sposobem przekazania światu wiadomości o operacji. Na mniejszych krzesłach ustawionych w drugim rzędzie zasiadli najważniejsi współpracownicy szefów instytucji zaangażowanych w dyskusję.

Wszyscy czuli, że operacja została utrzymana w tajemnicy naprawdę bardzo długo. Przez poprzednie cztery miesiące opracowywano szczegółowe plany, więc krąg wtajemniczonych się rozrósł i obejmował już setki osób. Przy takiej liczbie żadna tajemnica nie mogła przetrwać zbyt długo. W końcu ktoś z tych setek musiał się złamać i napomknąć coś człowiekowi, który nie był godny zaufania, albo celowo doprowadzić do wycieku, kierując się jakimiś własnymi pobudkami. Gdyby nie wykorzystano nowiu w ten weekend, trzeba byłoby czekać kolejny miesiąc, więc jeśli w grę wchodziła opcja z natarciem na lądzie, decyzja musiała być podjęta właśnie teraz.

Przez cały tydzień Pentagon i CIA miały ręce pełne roboty. Dzień wcześniej Obama ogłosił, jeszcze w trakcie kontroli z ramienia Kongresu, że generał David Petraeus, dowodzący od lipca poprzedniego roku alianckimi wojskami w Afganistanie, odejdzie z armii po trzydziestu siedmiu latach służby i zostanie szefem CIA. Panetta, który stał na czele poszukiwań bin Laden, miał zastąpić na stanowisku sekretarza obrony Boba Gatesa, zapowiadającego swoje odejście już od kilku miesięcy. Petraeus został wtajemniczony w sprawę Szejka całkiem niedawno, ponieważ do wzmocnionego oddziału wsparcia, którego zażądał Obama, należało dołączyć lotników i żołnierzy wojsk lądowych pozostających pod dowództwem generała. Kilka tygodni wcześniej – dokładnie dzień przed pierwszą próbą przeprowadzoną w Fort Bragg przez oddział McRavena – prezydent przyznał generałowi czwartą gwiazdkę i awansował go na szefa Dowództwa Operacji Specjalnych.

Obama przez cały czas wypełniał swoje codzienne liczne obowiązki. Armia USA nadal pomagała w wielkiej akcji ratunkowej w Japonii, pilnowała zamkniętej strefy powietrznej nad Libią, współpracując z europejskimi sojusznikami, monitorowała też kolejne etapy rewolucji i protestów ogarniających Egipt, Jemen, Syrię, Bahrajn i Jordanię. W tym samym tygodniu prezydent bezskutecznie usiłował przekonać Indie do podpisania z amerykańskimi firmami kontraktu na myśliwce o wartości jedenastu miliardów dolarów. Po fali tornad na środkowym zachodzie kraju, która dotknęła Kentucky, Alabamę, Luizjanę i Tennessee, władze federalne musiały udzielić pomocy ofiarom tej klęski żywiołowej. Dzień przed ostatnim spotkaniem dotyczącym Osamy prezydent zorganizował konferencję prasową w sprawie „glupot” (to jego własne sło-

wa), jakie wygadywano na temat miejsca jego narodzin, i przedstawił pełny akt urodzenia.

W tygodniu poprzedzającym naradę Brennan poprosił Mike'a Leitera, dyrektora Ośrodka do Walki z Terroryzmem, o utworzenie zespołu mającego przeprowadzić ostatnią analizę wartości danych wywiadowczych z Abbottabadu. Decydujące spotkanie zaczęło się zatem od informacji Leitera, które nie napawały optymizmem. Powiedział prezydentowi, że jego grupa zdołała ustalić prawdopodobieństwo przebywania bin Laden na terenie posiadłości na poziomie zaledwie czterdziestu procent. Jeden z członków zespołu badającego dane, doświadczony analityk, oszacował te szanse na zaledwie dziesięć procent, czyli znacznie niżej, niż ktokolwiek zakładał. Ta informacja pojawiła się tak późno, że wywołała nerwowy śmiech w zatłoczonym pokoju dowodzenia. Wspomniany analityk stwierdził podobno: „Wydaje mi się, panowie, że sami sobie wmawiacie coś, co chcecie usłyszeć”. Leiter powiedział jednak, że szacunki całego zespołu, sięgające czterdziestu procent, to i tak „o trzydzieści osiem procent więcej niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat”. Takie słowa bynajmniej nie wzmacniały pewności ani nie dodawały otuchy. Obama zapytał, czy te szacunki zostały oparte na jakichkolwiek nowych bądź nieuwzględnionych wcześniej danych. Odpowiedź brzmiała: nie. Analitycy wykorzystali te same informacje, jakie mieli wszyscy pozostali ludzie zaangażowani w sprawę. Prezydent poprosił Leitera o wyjaśnienie tej rozbieżności. Chciał wiedzieć, dlaczego poziom ich pewności był o tyle niższy od tej prezentowanej na przykład przez Johna, szefa zespołu CIA zajmującego się bin Ladenem, który cały czas uważał, że prawdopodobieństwo wynosi aż dziewięćdziesiąt pięć procent. Leiter nie udzielił prezydentowi satysfakcjonującej odpowiedzi, więc nowa ocena analityków została w ten sposób zakwestionowana. W przypadku Obamy stopień jego pewności się nie zmienił i wynosił cały czas pięćdziesiąt procent. Ostatnia analiza zespołu Leitera nie miała zatem większego wpływu na rozstrzygnięcia, poza tym, że nieco popsuła nastroje uczestników narady.

Szefowie wszystkich służb i instytucji obecni w pokoju zostali poproszeni o wybór jednej z trzech opcji – ataku komandosów, uderzenia pociskiem raketowym lub niepodejmowania żadnych działań – oraz uzasadnienie swojego stanowiska. Prezydent powiedział, że nie podejmie decyzji na spotkaniu, ale chce usłyszeć ostateczne zdanie każdego uczestnika narady. Niemal wszyscy obecni opowiedzieli się za akcją komandosów.

Spośród najwyższych urzędników tylko dwóch – Biden i Gates – sprzeciwiało się temu pomysłowi, z tym że Gates już następnego dnia zmienił zdanie.

Biden jak zwykle stawiał sprawę otwarcie, mówiąc:

– Panie prezydencie, moim zdaniem lepiej nie wchodzić. Musimy podjąć więcej starań, żeby się przekonać, czy on tam naprawdę jest.

Wiceprezydent nigdy nie ukrywał politycznych kalkulacji. Uważał, że jeśli Obama wybierze którąkolwiek z dwóch opcji – uderzenie raketowe lub atak komandosów – a operacja z jakiegos powodu się nie uda, o co wcale nie było trudno, to straci szansę na reelekcję. Biden był o tym głęboko przekonany i otwarcie wyrażał swój sprzeciw, do czego zresztą skłaniał go sam prezydent. W tym przypadku nie zgadzał się nawet z najważniejszym doradcą specjalizującym się w tej dziedzinie, czyli Tonym Blinkenem, którego wprawdzie nie poproszono o przedstawienie opinii na tym spotkaniu, ale wiadano, że już wcześniej zdecydowanie poparł natarcie komandosów i przekazał prezydentowi swoje zdanie.

Gates wyraził swój sprzeciw spokojnie, ale stanowczo. Wyraźnie opowiedział się za uderze-

niem raketowym z wykorzystaniem bezzałogowca. Przyznał, że to trudne zadanie, a atak z powietrza nie da pewności co do śmierci bin Ladena, ale sam pracował w CIA jako analityk w 1980 roku, czyli w czasie nieudanej operacji Desert One. Co więcej, siedział w tym samym pokoju dowodzenia w chwili, gdy śmigłowiec zderzył się z Herculesem na pustynnym lądowisku i obie maszyny zamieniły się w wielkie ogniste kule. Nie chciał, żeby doszło do powtórki tamtej tragedii. Widać było, jak zbłądł, gdy usłyszał pierwszy raz, że McRaven planuje tankowanie helikopterów na pustyni w okolicach Abbottabadu, bo przypomniało mu to próbę dotarcia do Teheranu sprzed ponad trzydziestu lat. Ogólny plan operacji był tak podobny do tego, który przyniósł przed laty straszliwą klęskę, że Gates czuł niepokój. Lepiej niż inni rozumiał, co oznaczałaby kolejna taka katastrofa. Wspomniał też historię bitwy w Mogadiszu. Pamiętał, że śmierć żołnierzy i uszczerbek na wizerunku były bolesnymi ciosami dla prezydentów Cartera i Clintona – teraz widział podobne zagrożenie. Jako sekretarz obrony bardziej niż ktokolwiek z obecnych doceniał znaczenie logistyki oraz rolę Pakistanu w zapewnianiu codziennych dostaw ogromnej ilości paliwa i sprzętu dla żołnierzy amerykańskich walczących w Afganistanie. Narażenie na szwank napiętych już stosunków z Pakistanem oznaczałoby najprawdopodobniej zamknięcie tej ważnej arterii. Gates stwierdził, że jest bardzo wiele do stracenia, a dane wywiadowcze na temat pobytu bin Ladena na terenie posiadłości są niepewne i opierają się wyłącznie na poszlakach. Wyraźnie potwierdziło to wystąpienie Leitera. Nieudany atak komandosów miałby poważne negatywne skutki: śmierć żołnierzy SEAL, uwięzienie ich jako zakładników, zupełne zerwanie współpracy z Pakistanem, ataki na amerykańską ambasadę w Islamabadzie. Gates powiedział więc prezydentowi, że postawiłby na drona. Gdyby Pacer rzeczywiście był bin Ladenem, prawdopodobieństwo zabicia go było całkiem duże. Gdyby natomiast pocisk nie sięgnął celu lub gdyby podejrzany okazał się kimś innym, wszyscy poczuliby rozczarowanie, ale koszty nie byłyby tak dotkliwe. Takiej właśnie rady udzielił Gates, z którego zdaniem liczyli się wszyscy zgromadzeni. Z jego wypowiedzi płynęło wieloletnie doświadczenie poparte niepodważalnym autorytetem.

Cartwright zgodził się z Gatesem, czego zresztą można się było spodziewać. To on przedstawił opcję z bezzałogowcem, a po kolejnych próbach był jeszcze bardziej przekonany, że mały pocisk raketowy skutecznie załatwi sprawę. Opowiedział się za tym także Leiter – choć jego przekonanie o tym, że Pacer to bin Laden nie było zbyt mocne, i tak uważał, że należy oddać śmiertelny strzał.

Wszyscy pozostali opowiedzieli się za wysłaniem oddziału SEAL. Z początku wydawało się, że Hillary Clinton nie poprze tej opcji. Kilka lat wcześniej otwarcie skrytykowała Obamę za wypowiedź, w której przyznał, że gdyby nadarzyła się taka okazja, uderzyłby na bin Ladena bez konsultacji z Pakistanem. Teraz piastowała stanowisko sekretarza stanu i musiała przyjąć na siebie wszystkie konsekwencje dyplomatyczne. Najpierw szczegółowo przedstawiła wszystkie za i przeciw, wskazując spodziewane oplakane skutki w kontekście relacji amerykańsko-pakistańskich, ale zakończyła ten wątek dość optymistycznym wnioskiem. Stwierdziła otóż, że stosunki między obydwojma państwami najprawdopodobniej przetrwają, bo nie są oparte na przyjaźni i zaufaniu, ale na wzajemnej zależności i interesach. Ktoś z obecnych wskazał, że gdyby pościg za bin Ladenem miał zniszczyć wzajemne relacje, to i tak są one skazane na klęskę. Napięcie stopniowo rosło, a Clinton dalej snuła swój wywód, aż doszła do zaskakującego

wniosku. Stwierdziła, że nie można było przejść obojętnie obok szansy na pojmanie bin Ladena, bo ta sprawa jest zbyt istotna dla całego państwa. W tym momencie ryzyko schodziło na dalszy plan. Należy wysłać żołnierzy SEAL.

Admirał Mullen, główny doradca wojskowy prezydenta, zanim zdradził swoje zdanie, przedstawił szczegółową prezentację. Próby przeprowadzone przez McRavena wywarły spodziewane wrażenie zarówno na nim, jak i na innych obserwatorach. Mullen stwierdził, że zaufanie, jakie pokłada w oddziale SEAL, skłania go do zdecydowanego poparcia akcji z udziałem komandosów.

Z tym zdaniem zgodzili się Brennan, Donilon, Clapper, Panetta i Morell. Brennan od dawna czuł w głębi ducha, że na terenie posiadłości ukrywa się bin Laden. Powiedział, że jeżeli rzeczywiście został namierzony, to po prostu trzeba go dopaść. Dyrektor CIA opowiadał się za tym ze szczególnym zdecydowaniem, czego można się było zresztą spodziewać. To przecież był jego projekt, a analitycy, którzy dla niego pracowali, tak rwali się do działania, że czuliby się zdradzeni przez szefa, gdyby ich nie poparł. Były kongresmen powiedział Obamie, że prezydent powinien zadać sobie takie pytanie: Co powiedziałyby przeciętne Amerykanin, wiedząc, że mieliśmy najlepszą szansę na dopadnięcie bin Ladena od czasów Tora Bora i z niej nie skorzystał? Akcja na łodzi pozwalała udowodnić, że cała misja miała sens. Dawała też możliwość wycofania się, gdyby jednak bin Ladena w tym miejscu nie było.

Nie wszyscy doradcy obecni na spotkaniu zostali poproszeni o opinię, ale każdy z nich miał okazję przedstawić swoje stanowisko w ciągu kilku poprzednich tygodni. Każdy, co do jednego, opowiadał się za akcją komandosów. Wkrótce miało się okazać, że zdanie zmieni człowiek, który przedstawił najbardziej przekonujący argument przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Gdy przebywający w Pentagonie podsekretarze obrony Michael Vickers i Michèle Flournoy dowiedzieli się, jaką opcję poparł ich szef, wprawilo ich to w zakłopotanie. Nikt jeszcze nie wiedział, co postanowi prezydent, jednak każdy miał prawo przypuszczać, że opinia Gatesa będzie miała duże znaczenie. Oboje pośpiesznie skonsultowali się w sprawie przedstawienia mu swojej opinii i zaczęli myśleć o wyrażeniu sprzeciwu, nawet jeśli miałyby to wzbudzić gniew przełożonego. W końcu uznali to za swój moralny obowiązek i w piątek z samego rana poszli do jego gabinetu. Zasiadli przy stole konferencyjnym i zaczęli go przekonywać do swoich racji, co zajęło im całą godzinę.

– Szefie, uważamy, że się mylisz – powiedziała Flournoy.

Wyjaśniła, że Gates – podobnie jak większość szefów służb i instytucji – został wtajemniczony w sprawę stosunkowo późno. Ona i Vickers spędzili znacznie więcej czasu na analizowaniu najmniejszych wątpliwości związanych z operacją. Według nich Gates nie dysponował pełną wiedzą o tym, jak starannie przemyślany był pomysł McRavena. Ponownie przedstawili mu plan akcji komandosów, opcję zapasową oraz ewentualne wyjście awaryjne, pokazując, że wszystko jest dopracowane w najmniejszych szczegółach. Wychwalali McRavena pod niebiosa. Oboje mieli wcześniej do czynienia z generałami i admirałami, którzy słusznie uznawali się za ekspertów w swojej dziedzinie i czasami zrywali się, gdy jakiś cywilny urzędnik odważył się ich krytykować czy wyrażać wątpliwości wobec starannie opracowanych planów. McRaven potraktował sprawę bez emocji, odkładając daleko na bok swoje ego. Od początku rozumiał, że waga tej operacji wiąże się z zainteresowaniem ze strony wielu osób z Pentagonu, Białego Domu i

CIA. Wiedział, że ci ludzie będą mu zaglądać przez ramię, zadawać mnóstwo pytań i wyszukiwać błędy. Flournoy podziwiała w McRavenie jedną cechę, którą nie wszyscy wojskowi najwyższego szczebla mogli się pochwalić: zdolność do przyznania, że nie wie się wszystkiego. Bywało, że na jakieś celne pytanie odpowiadał: „Przepraszam, nie zastanawiałem się nad tym, ale muszę to zrobić. Proszę mi dać trochę czasu, a wrócimy do tego tematu”. I rzeczywiście podejmował go ponownie. Był przy tym niezwykle otwarty na propozycje i w razie wątpliwości prezydenta lub innych osób zaangażowanych w sprawę, wprowadzał do swoich planów daleko idące zmiany. Flournoy i Vickers przekonali się też, z jaką starannością dobierał członków swojego zespołu, stawiając na żołnierzy, którzy niedawno wrócili z misji i przez całe miesiące noc w noc doskonalili swoje umiejętności. Gates, w przeciwieństwie do Vickersa, nie poznał tych ludzi na ćwiczeniach, nie miał okazji z nimi porozmawiać i przekonać się o ich dojrzałości i doświadczeniu. Nie zbliżył się do żadnego z nich, tak jak mieli to okazję zrobić jego zastępcy, dlatego też nie podzielał ich przekonania o słuszności tego wyboru.

Flournoy i Vickers twierdzili, że ich szef niewystarczająco przeanalizował minusy opcji, za którą obstawał, czyli ataku z wykorzystaniem drona. Według nich to nie było rozwiązanie ani czyste, ani pozbawione ryzyka. Po pierwsze – żadne z nich nie podzielało optymizmu Cartwrighta co do małego pocisku trafiającego w wyznaczony cel. Przecież ten cel się poruszał, a pocisku nie można było naprowadzać. Nie wypróbowano go nigdzie poza poligonem. Przypomnieli Gatesowi, że jest tylko jedna szansa na strzał, a w razie chybienia będzie po sprawie – bin Laden znowu ucieknie. Wystarczy sobie wtedy wyobrazić falę krytyki, zaczynającej się od zdania: Mielicie życiową szansę i spartaczyliście wszystko, używając niewypróbowanej broni?

Po godzinie rozmowy Gates zadzwonił do Białego Domu i poprosił Donilona, żeby ten przekazał prezydentowi informację o zmianie stanowiska. Obama miał ją usłyszeć dopiero po podjęciu decyzji, ale kiedy w końcu do niego dotarła, umocniła jego przekonanie o słuszności wybranej opcji. Ostatecznie każdy z głównych doradców prezydenta oprócz Bidena opowiedział się za natychmiastowym przystąpieniem do działania. Dwaj – Cartwright i Leiter – chcieli użyć bezzałogowca, zaś wszyscy pozostali poparli McRavena.

Czwartkowe spotkanie skończyło się wczesnym wieczorem. – Jutro rano przekażę wam moją decyzję – powiedział Obama.

Prezydent zdradził mi, że w gruncie rzeczy podjął decyzję tuż po zakończeniu czwartkowego spotkania. Myślał nad nią od wielu miesięcy. Zalety ataku komandosów były oczywiste i wedle rozumowania Obamy znacznie przeważały ewentualne ryzyko. Pocisk raketowy mógł chybić, a atak komandosów – w przeciwieństwie do strzału oddanego z bezzałogowca – oznaczał rozwiązanie jakichkolwiek wątpliwości. Jeśli bin Laden będzie w tym miejscu, żołnierze się o tym przekonają i dostaną go w swoje ręce – żywego lub martwego. Cóż z tego, że udałoby się go dopaść, gdyby nie można było tego udowodnić, a co gorsza – dowiedzieć się, czy akcja naprawdę przyniosła oczekiwany skutek? Wreszcie pojawiała się szansa na symboliczne zamknięcie wielkiej tragedii z 11 września i zadanie śmiertelnego ciosu Al-Kaidzie. Na dodatek Obama ufał McRavenowi, a jego doradcy niemal jednogłośnie poparli tę właśnie opcję, więc decyzja była jasna.

Jeszcze jeden ważki argument przemawiał za wysłaniem do akcji komandosów SEAL. Jeśli

ten dom był od lat kryjówką bin Ladena, to mógł stanowić prawdziwą skarbnicę cennych nośników informacji, być może i takich, które pomogłyby Stanom Zjednoczonym doprowadzić do zadania kolejnych ciosów Al-Kaidzie. Obama rozumiał logikę kryjącą się za skrótem F3EAD. Jedynym sposobem wykorzystania rzeczy osobistych bin Ladena było wysłanie ludzi, którzy mogli je zdobyć.

Przez noc z czwartku na piątek Obama analizował w myślach całą sprawę od początku. Podobnie jak przed dziesięć laty, gdy był senatorem stanowym w Illinois, także i teraz chodził spać znacznie później niż Michelle i ich córki. One położyły się do łóżek o dziesiątej, natomiast prezydent spędził kolejne trzy godziny na rozmyśleniu, krążąc tam i z powrotem po Treaty Room. Ten pokój na piętrze służył rodzinie Obamów jako salon, pełniąc zarazem funkcję prywatnego gabinetu prezydenta. Na ścianie wisi tu portret Ulyssesa S. Granta pędzla Henryego Ulke'a, wielki obraz Théobalda Chartrana przedstawiający podpisanie przez Williama McKinleya układu pokojowego z Hiszpanią, a także dzieło George'a P. A. Healyego ukazujące spotkanie Abrahama Lincolna z doradcami wojskowymi pod koniec wojny secesyjnej. W takim miejscu człowiek czuje powiew historii.

Obama tak wyjaśniał mi:

– Trzeba było po prostu wziąć głęboki oddech i upewnić się, czy o wszystkim pomyślałem. Czy nie ma jakiejś kwestii, którą pominąłem? Czy coś jeszcze musimy zrobić?

Wątpliwości wciąż krążyły mu po głowie nawet wtedy, gdy położył się do łóżka i usiłował zasnąć. Był przekonany, że dalsze zwlekanie nic nie da, a wręcz doprowadzi do porażki. Nie można było już liczyć na lepsze dane wywiadowcze i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. W końcu przeważało zaufanie, jakim prezydent darzył McRavena. Spotkał się z nim po raz pierwszy w 2008 roku, podczas wizyty w Iraku z kilkoma innymi członkami Komisji Spraw Zagranicznych Senatu. David Petraeus wydał wtedy w Bagdadzie obiad, na który zaprosił także dowódcę JSOC. Jako prezydent Obama miał z nim do czynienia znacznie częściej, zwłaszcza w ostatnich czterech miesiącach.

– Wydawało mi się, że poznałem McRavena – powiedział Obama. – Poznałem też członków oddziału SEAL. Oczywiście przyglądałem się ich ustawicznym nocnym akcjom w Iraku i Afganistanie. Zbudowaliśmy replikę posiadłości, przeprowadziliśmy próby na jej terenie, oni ją zdobyli... McRaven to człowiek, który umie przekonywać i budzi zaufanie. A ja mu wcale nie odpuszczałem. W tamtym momencie byłem przekonany, że nie będziemy w stanie lepiej przeprowadzić tej operacji za miesiąc, dwa czy trzy. Nie mogliśmy też wzmocnić naszej pewności i przekonać się ostatecznie, że bin Laden naprawdę tam jest, pozostało zatem już tylko pociągnąć za spust.

W piątkowy poranek Obama dowiedział się o telefonie od Gatesa, po czym wyszedł na South Lawn i wsiadł do helikoptera, żeby polecieć do nawiedzonych przez tornado stanów na południu kraju. Wcześniej jednak wysłał e-mail do Donilona, zapraszając go na spotkanie w Diplomatic Room wyznaczone na ósmą.

Donilon, McDonough i szef sztabu Bill Daley czekali już w przestronnym eleganckim pokoju, gdy pojawił się w nim prezydent ubrany w ciemnoniebieską kurtkę. Widok z okien tego pokoju, należący do najbardziej malowniczych w całym Białym Domu, obejmuje spadzisty trawnik na tyłach oraz wyrastający w oddali Monument Waszyngtona. Na trawie czekał prezy-

dencki helikopter.

– Zaczynamy – powiedział Obama. – Wchodzą nasi komandosi. Przygotujcie wytyczne.

KONIEC

1 – 2 maja 2011 roku

Ludzie McRavena czekali w gotowości w Dżalalabadzie. Gdy w piątkowe popołudnie przekazano im rozkaz prezydenta (różnica czasu między Afganistanem a Waszyngtonem wynosi osiem i pół godziny), wiedzieli, że do akcji ruszą najwcześniej następnego dnia wieczorem, czyli w sobotę 30 kwietnia.

Większość z dwudziestu czterech starannie dobranych członków grupy rekrutowała się z Czerwonej Eskadry Zespołu Szóstego SEAL. Od tamtych wydarzeń, tylko jeden z nich wypowiedział się publicznie na temat akcji. Mnie nie udało się porozmawiać z żadnym z nich, zatem moja relacja opiera się na wywiadach z prezydentem, wysokimi urzędnikami CIA, a także na źródłach z JSOC, Białego Domu i Pentagonu. Korzystałem też z wywiadów z członkami zespołu SEAL, którzy nie brali bezpośredniego udziału w akcji, a także z relacji byłego żołnierza SEAL, którą opublikował pod pseudonimem Mark Owen.

O wyborze komandosów SEAL zadecydowała przede wszystkim ich obecność na miejscu. Rozrastające się JSOC zostało trzy lata wcześniej podzielone przez McRavena – zadaniem Delta Force była kontynuacja misji w Iraku, natomiast członkowie SEAL zostali rozlokowani w Wysuniętych Bazach Operacyjnych (Forward Operating Bases; FOBs) w najbardziej zapalnych regionach Afganistanu. Według niektórych najwyższych pracowników Pentagonu za powierze-

niem misji zespołowi SEAL przemawiało i to, że w ostatnich latach przeprowadził on kilkanaście udanych tajnych operacji na terenie Pakistanu. Żołnierze byli przyzwyczajeni do tego, że podczas takich akcji wysocy dowódcy dokładnie ich kontrolują za pośrednictwem łączы głosowych i telewizyjnych, nazywanych przez nich „Generałem Telewizorem”. Czasami dowódcy, którzy byli oddaleni o kilometr, dawali się ponieść emocjom i zaczęli nimi kierować jak postaciami w grze komputerowej, krzycząc: „W lewo! W prawo!”.

Bezpośredni dowódca – człowiek, za którym mieli wejść na teren posiadłości – był niepozornym oficerem marynarki, zbliżającym się już do czterdziestki. Gdyby kiedyś producenci z Hollywood szukali kogoś do tej roli, trudno byłoby znaleźć aktora przypominającego oryginał – krępego szatyna o wyrazistych rysach twarzy. W swojej elitarnej jednostce miał już status legendy, którą zbudowało dziesięć lat dowodzenia w walce. Tak przywykł do swojej pracy, że opowiadał o niej jak doświadczony majster o jakimś projekcie budowlanym. Zawsze mówił z kamienną twarzą, więc gdy rzucał jakimś żartem, co nie zdarzało się zbyt często, rozmówcy orientowali się dopiero po dłuższej chwili.

W akcji miał też uczestniczyć tłumacz języka paszto oraz doskonale wyszkolony owczarek belgijski malinois, wabiący się Cairo. Zadaniem psa oraz tłumacza, mężczyzny w średnim wieku, który specjalnie na potrzeby tej operacji nauczył się opuszczać na linie z helikoptera, było odwrócenie uwagi ciekawskich w czasie, gdy komandosi SEAL wykonywali swoją robotę. Tak jak w przypadku każdej operacji, komandosi zajmowali się teraz przygotowaniem sprzętu i broni, oliwieniem, czyszczeniem i testowaniem celowników laserowych oraz urządzeń noktowizyjnych, dopasowywaniem pasków od uprząży i hełmów. Wszyscy doskonale znali koszary w Dżalalabadzie, które od lat były dla nich drugim domem.

W rozmowach żołnierzy rzadko pojawiała się kwestia, która była stale obecna w ich myślach – niebezpieczeństwo. We wszystkich zakątkach Afganistanu znajdowały się małe bazy FOB, których nazwy upamiętniały żołnierzy poległych w akcjach. To byli ich przyjaciele, podchodzili do swojej pracy z takim samym profesjonalizmem i taką samą uwagą, a mimo to wrócili do kraju w aluminiowych trumnach. Na terenie baz urządzano im kącki pamięci, wywieszając na ścianach i tablicach ich zdjęcia. Liczba komandosów z jednostek specjalnych znacznie przewyższała żołnierzy z innych formacji. Fotografie kontrastowały ze zdjęciami innych poległych osiemnasto-, dziewiętnasto- czy dwudziestoletnich chłopaków ze zwykłych jednostek, którzy zginęli w wybuchu bomby podłożonej na drodze, w ataku mózdzierzowym czy podczas rutynowego patrolu. Komandosi byli starsi, a na zdjęciach często mieli brody i nosili miejscowe cywilne stroje. Niektórych upamiętniono fotografiami w wyjściowym mundurze z baretkami, galonami i odznaczeniami. To byli zawodowcy specjalizujący się w walce w warunkach wojennych. Dla większości z nich służba w tych oddziałach była spełnieniem zawodowych marzeń. W przeciwieństwie do młodszych kolegów, nie szukali wytłumaczenia, dlaczego ten czy tamten żołnierz został trafiony kulą, a im się udało. Wiedzieli, że to niekoniecznie kwestia błędnej decyzji, chwilowego przytępienia zmysłów czy zwłoki w działaniu. Wiedzieli, że człowiek się szkoli i ćwicz, idzie do akcji z ludźmi równie doskonale przygotowanymi do zadań, a mimo wszystko może zginąć. O udziale w akcji, której celem było dopadnięcie bin Laden, marzył po 11 września chyba każdy żołnierz tych jednostek.

Wsparcie dla grupy uderzeniowej stanowili żołnierze oraz helikoptery i samoloty, jednak

McRaven miał nadzieję, że nie będzie potrzeby wykorzystania ich w tej akcji. Poza trzema MH-47E Chinooki, w pogotowiu czekały myśliwce i samolot dozoru radiolokacyjnego, które mogły się przydać do neutralizacji pakistańskiej obrony powietrznej i naziemnej. Gdyby doszło do takiej sytuacji, kierowanie operacją przeszłoby z rąk McRavena i Joint Operation Center w Dżalalabadzie w ręce generała Petraeusa stojącego na czele głównego dowództwa w Kabulu.

Sam Petraeus dowiedział się o operacji zaledwie kilka tygodni wcześniej, gdy generał Cartwright i dowódca CENTCOM przekazali mu ogólne informacje na ten temat. Jego siły miały być użyte wyłącznie wówczas, gdyby misja się nie powiodła, więc o wszystkich szczegółach dowiedział się od McRavena dopiero kilka dni przed akcją. Nikt z jego sztabu nie był poinformowany o operacji. Petraeus zetknął się z nazwiskiem bin Ladena kilkanaście lat wcześniej, gdy stał na asfaltowym pasie lotniska w bazie lotnictwa Pope i czekał na samolot z ciałami amerykańskich żołnierzy zabitymi w ataku Al-Kaidy na USS „Cole”. Jeszcze za czasów administracji Clintona uczestniczył w naradach, podczas których postanowiono uderzyć raketami typu Cruise na cele w Sudanie i Afganistanie. Teraz monitorował operację w Abbottabadzie, ale gdyby wszystko szło dobrze, miał tylko obserwować przebieg wydarzeń.

W sobotę po południu prezydent zadzwonił do McRavena i zapewnił go, że pokłada pełne zaufanie zarówno w nim, jak i w jego żołnierzach.

– Niech Bóg wspomaga pana i pańskich żołnierzy – powiedział Obama. – Proszę im przekazać moje osobiste podziękowanie za ich służbę.

Dodał też jedno zdanie, które było oczywistością.

– Będę starannie śledził cały przebieg tej akcji.

Kilka godzin później, w sobotnie popołudnie czasu waszyngtońskiego, Ben Rhodes usiadł przy komputerze w swoim ciasnym biurze w Białym Domu i zastygł w bezruchu. Prezydent będzie musiał w końcu powiedzieć obywatelom USA i całemu światu o tym, co się stało lub co się dzieje w Pakistanie. Zadaniem Rhodesa było przygotowanie konspektu wystąpienia zarówno na wypadek sukcesu, jak i klęski.

George Little, rzecznik prasowy CIA, spędził niedawno kilka godzin na pracy z rzecznikiem prezydenta, analizując każdy możliwy scenariusz rozwoju wydarzeń. Opracowali zalecenia dotyczące kontaktów z mediami i opinią publiczną, uwzględniając wszelkie możliwości. Wszystko zostało spisane i ujęte w punktach. Najprościej było ze wskazówkami dotyczącymi najlepszego scenariusza – żołnierze wchodzą i wychodzą bez walki. Gdyby po wejściu na teren posiadłości okazało się, że nie ma tam bin Ladena, i nie narobili większego hałasu, plan zakładał zaprzeczenie wszystkiemu. Operacja miała zatem pozostać tajna, czyli oficjalnie nie byłoby jej w ogóle. Ale co się stanie, jeśli pojawią się jakieś komplikacje? A takich możliwości było mnóstwo: mogły się przydarzyć w przypadku zabicia bin Ladena, schwytania go, a także wtedy, gdyby go nie było w zaatakowanym domu. Rzecznicy analizowali punkt po punkcie wszystkie rozwiązania.

Po tej ciężkiej pracy Rhodes zasiadł do opracowywania konspektów, a po głowie krążyły mu tysiące różnych opcji. Zaczął od najkorzystniejszego scenariusza, zapisał pierwsze zdanie, po czym utknął w miejscu.

– Nie, tak nie mogę – pomyślał. – Lepiej nie zapeszyć. Gdyby napisał o schwytaniu lub zabicu bin Ladena, a żołnierzom by się nie powiodło, na papierze pozostałby wymowny, bolesny

dokument. A gdyby napisał, że nie udało się złapać bin Ladena... Nie, nie chciał do tego przyłożyć ręki. Jeśli będzie musiał, zrobi to, ale lepiej poczekać, dopóki naprawdę nie znajdzie się w takiej sytuacji. Tym sposobem nie napisał ani słowa. Odłożył to zadanie na później i zaczął się przygotowywać do kolacji z dziennikarzami.

Poprzedniego wieczora odbyła się rozmowa na temat czasu przeprowadzenia akcji w Abbottabadzie. Wspomniana kolacja była najważniejszym dorocznym uroczystym spotkaniem towarzyskim w Waszyngtonie. Na miejscu miała być telewizja, a zaproszenia skierowano do celebrytów z Hollywood, sławnych sportowców, najważniejszych polityków i znanych dziennikarzy. Główną atrakcją był jak zawsze prezydent USA, który zazwyczaj przygotowywał zabawne wystąpienie, żartując z samego siebie i z dziennikarzy. Gdyby Obama wybrał opcję z natarciem komandosów, operacja prawdopodobnie odbywałaby się właśnie w czasie tej uroczystej kolacji. Jak by to wyglądało, gdyby prezydent dowcipkował przed gośćmi, a w tym samym czasie gdzieś daleko jego żołnierze narażaliby swoje życie? A jeśli coś poszłoby nie tak i wszyscy musieliby nagle wyjść z przyjęcia? Dziennikarze od razu zorientowaliby się, że stało się coś ważnego. A gdyby z kolei wszyscy ważni goście nie pojawili się na imprezie, to każda redakcja na całym świecie wiedziałaby, że chodzi o jakieś istotne wydarzenia.

Gdy w końcu ktoś rzucił, że można poprosić McRavena o odłożenie akcji o jeden dzień, Hillary Clinton nie wytrzymała:

– Nie możemy pozwolić na to, żeby kolacja z dziennikarzami w Białym Domu miała wpływ na podjęcie strategicznej decyzji.

Te słowa ucięły wszelkie dyskusje. Obama zwrócił się do Donilona:

– Tom, jeśli okaże się, że akcja odbędzie się właśnie w tym czasie, powiesz im po prostu, że mam kłopoty żołądkowe i muszę się z nimi grzecznie pożegnać.

Kwestia kolacji rozwiązała się sama, gdy synoptycy McRavena ustalili, że w sobotę wieczorem w rejonie Abbottabadu może się pojawić mgła. W tej sytuacji dowódca postanowił odłożyć operację o jeden dzień – do niedzielnej nocy.

Gdy zatem nadeszła ta ważna chwila, najbardziej emocjonująca w całej prezydenturze Obamy, prezydent i jego sztab byli w trakcie przygotowań do uroczystego przyjęcia.

Rhodes był tak zdenerwowany, że z początku wcale się nie wybierał na tę kolację, ale zmienił zdanie, gdy wyobraził sobie, że zostaje w domu i przez cały czas nerwowo krąży po pokoju, nie mogąc myśleć o niczym innym. Kolacja pozwoli choć na chwilę oderwać myśli od tej sprawy. Sytuacja była jednak dość dziwna. Wśród setek gości może kilkanaście osób знаło tajemnicę. Każda z nich rzucała się w wir przyjęcia, żeby choć na kilka godzin zapomnieć o akcji, i szło im całkiem nieźle, dopóki nie spotkali kogoś innego z kręgu wtajemniczonych. Gdy Michael Morell wychwyił w tłumie wzrok Rhodesa, ten posłał mu błady, bolesny uśmiech, którym go rozbawił.

Obama nie na darmo był uznawany za człowieka o stalowych nerwach. Nawet jeśli denerwował się niedzielną akcją, nie dawał tego po sobie poznać. Goście wybuchali śmiechem, gdy dowcipkował o długotrwałym sporze dotyczącym jego korzeni oraz publicznym wizerunku, w którym można było się czasem dopatrzeć wątków mesjanistycznych. W końcu zaproponował pokazanie nieznanego filmu ze swoich narodzin, którego – jak twierdził – nigdy nie oglądał. Okazało się, że jest to fragment disneyowskiego *Króla Lwa*, w którym przyszły władca przychodzi na świat na afrykańskiej równinie – chmury się rozstępują i promienie niebiańskiego świa-

ta spływają na nowo narodzone lwiątko. Puszczając tę bajkę, wbił szpilę nie tylko dziennikarzom, ale także wciąż pchającemu się w światło kamer – swego czasu w roli kandydata na prezydenta – Donaldowi Trumpowi, który od dawna głośno domagał się dowodu na amerykańskie obywatelstwo Obamy. Prezydent mimochodem rzucił, że kongresmenka Michele Bachmann, która głośno go krytykowała i zamierzała stanąć do wyścigu prezydenckiego z ramienia republikanów, urodziła się najprawdopodobniej w Kanadzie.

Jego słowem towarzyszyły wybuchy śmiechu.

– Tak, Michele – powiedział. – Tak to się zaczyna.

Dołożono wszelkich starań, żeby niedziela wyglądała jak każdy inny dzień. Prezydent wyjechał na tradycyjną partyjkę golfa do bazy lotnictwa Andrews, ale tym razem rozegrał tylko dziewięć dołków. Najważniejsi członkowie sztabu i gabinetu mieli się pojawiać w Białym Domu stopniowo, według ustalonego wcześniej harmonogramu. Szefów służb i instytucji poproszono, by ekipy ochrony zachowały większy dystans niż zwykle i nie rzucały się w oczy, bo ciąg czarnych SUV-ów podjeżdżających pod Białą Dom zawsze zwracał uwagę postronnych. Samochody miały parkować gdzie indziej niż zwykle. Odwołano wszystkie zarezerwowane na niedzielę wycieczki po Zachodnim Skrzydle – wzbudziło to podejrzenia George’a Stephanopoulosa z telewizji ABC, który doskonale znał zwyczaje Białego Domu jeszcze z czasów pracy w ekipie prezydenta Clintona. Gdy dowiedział się o odwołaniu wycieczek, zapytał szefa sztabu Billa Daleya, o co chodzi, i dowiedział się, że „pojawił się problem z instalacją wodno-kanalizacyjną”. Niedzielne wycieczki cieszyły się dużą popularnością wśród urzędników instytucji federalnych, którzy mieli okazję pokazać, że są blisko najwyższej władzy, oprowadzając rodziny i przyjaciół. Dla wielu osób spoza Waszyngtonu zwiedzanie Białego Domu było głównym powodem pobytu w stolicy, więc zamknięcie Zachodniego Skrzydła wywołało pewne rozczarowanie. Osobista sekretarka Obamy także planowała pokazanie gmachu swoim gościom, do których należeli członkowie obsady kinowego hitu *Kac Vegas*, biorący poprzedniego wieczora udział w uroczystej kolacji. Z samego rana zadzwoniła do Rhodesa.

– Nie można by zrobić wyjątku dla mnie i tej ekipy? – spytała.

– Nie – odparł Rhodes. Nie mogło być żadnych wyjątków.

Rada Bezpieczeństwa Narodowego zebrała się o ósmej rano, natomiast przedstawiciele poszczególnych instytucji – o dziewiątej.

Na drugim końcu świata było już późne popołudnie. McRaven tak zaplanował akcję, by uderzyć w cel w Abbottabadzie o pierwszej w nocy czasu pakistańskiego. Wybrał taką porę, aby na terenie posiadłości i w Bilal Town było jak najciszej i żeby jego ludzie mieli przed sobą jeszcze kilka godzin ciemności, która zapewniłaby im czas na spokojnie dokończenie zadania, odlot na północ do Kala Dhaka w celu tankowania oraz wydostanie się z Pakistanu. W związku z tym mieli wystartować z afgańskiej bazy około godziny dwudziestej trzeciej czasu miejscowego (lećcąc na wschód, zmieniali strefę czasową o pół godziny) i po dziewięćdziesięciu minutach dotrzeć na miejsce w wyznaczonym czasie. Oznaczało to, że operacja zacznie się o czternastej trzydzieści czasu waszyngtońskiego, a uderzenie w dom nastąpi około szesnastej. Żeby nie doszło do żadnych nieporozumień, McRaven przez całą noc miał przed sobą iPada, na którym widział wszystkie strefy czasowe.

Gdy oddział uderzeniowy przygotowywał się do akcji, w Białym Domu zbierali się ludzie od-

powiedzialni za nadzór i działania polityczne. Na miejsce wezwano niektórych z najważniejszych członków ekipy Obamy i po raz pierwszy poinformowano ich o misji. Rzecznik Białego Domu Jay Carney był ze swoimi dziećmi na wycieczce i przeczytał e-mail od Rhodesa dopiero godzinę po wysłaniu. Otrzymałą informację przekazał dyrektorowi ds. komunikacji Danowi Pfeifferowi.

– Wiesz, o co w tym chodzi? – zapytał.

Pfeiffer odparł, że dostał takie samo wezwanie i on też nie ma zielonego pojęcia, w jakiej sprawie.

W pokoju dowodzenia oraz sąsiednich niewielkich salach trwały prace nad urządzeniem wideokonferencji. Panetta, który oficjalnie kierował operacją z sali konferencyjnej w Langley, miał pojawić się na dużym ekranie i przekazywać bieżące komentarze McRavena, obserwującego akcję na swoim stanowisku w Dżalalabadzie. Wysoko nad Abbottabadem, tak wysoko, że nikt go nie mógł zauważyć, zawisł niewielki RQ-170 Sentinel – niewykrywalny dron z potężnym obiektywem, który na żywo dostarczał obraz z operacji. Generał lotnictwa Marshall „Brad” Webb, krótko ostrzyżony mężczyzna o szerokiej twarzy, siedział w jednej z salek konferencyjnych w niebieskim mundurze ozdobionym mnóstwem baretek i sprawdzał połączenie wideo z dronem oraz McRavenem. Gdy Donilon dowiedział się, że generał chce się przenieść z transmisją do pokoju dowodzenia, od razu zaprotestował. Nie chciał, żeby Obama oglądał operację na żywo i komunikował się bezpośrednio z McRavenem. Mogłoby to wyglądać tak, jakby prezydent kierował natarciem „z tylnego siedzenia”. Ustalono, że bezpośrednie połączenie będzie miał wyłącznie Webb.

W południe odbyła się ostatnia narada poświęcona omówieniu planów. Na chwilę wpadł na nią prezydent, ubrany w białą koszulkę do golfa oraz niebieską kurtkę. Każdy z szefów otrzymał plany działania zakładające cztery możliwe opcje rozwoju wydarzeń. Polecono im też przeprowadzenie rozmów telefonicznych z wyznaczonymi osobami – w zależności od wyniku akcji.

Wszyscy wiedzieli, że czeka ich długi dzień i noc, więc w jednej z mniejszych sal konferencyjnych nakryto stół, na którym pojawiły się półmiski z górami kanapek oraz butelki z wodą. Pracownicy NSC spędzili wczesne popołudnie na analizie „scenariusza” – wielkiego segregatora, w którym umieszczono zbiór możliwych opcji rozwoju wydarzeń. Kto ma do kogo dzwonić, jeśli coś pójdzie nie tak? Ile danych wywiadowczych można ujawnić po akcji, żeby uzasadnić jej przeprowadzenie? Jeśli pojawią się jakieś problemy, do których państw należy zwrócić się z prośbą o wsparcie? Z którym z pakistańskich przywódców najlepiej się skontaktować? Kto ma z nim najlepsze kontakty osobiste? Admirał Mullen pozostawał na przykład w bardzo dobrych stosunkach z generałem Kayanim. Na kogo trzeba naciskać, gdyby żołnierze biorący udział w akcji znaleźli się w opałach? Czy trzeba będzie poprosić prezydenta o przeprowadzenie rozmowy telefonicznej z przywódcą obcego państwa, gdyby akcja się nie powiodła? Cokolwiek się zdarzy, trzeba będzie wyjaśnić Pakistańczykom mnóstwo spraw: Oto, dlaczego podjęliśmy niestandardową decyzję i nie podzieliliśmy się z wami tą informacją. Oto dlaczego nie współpracowaliśmy z wami.

W przypadku sukcesu scenariusze były prostsze. Znacznie więcej stron poświęcono porażkom.

Prezydent wrócił o czternastej trzydzieści. Nadal miał na sobie białą koszulkę do golfa i niebieską kurtkę.

Tymczasem w Kabulu generał Petraeus złożył niezapowiedzianą wizytę w pokoju dowodzenia JSOC.

– Wiesz może, o co chodzi? – naiwnie zapytał pułkownika Billa Ostlunda, który był oficerem łącznikowym JSOC.

– Tak, w tej chwili mamy dziewięć operacji, a wieczorem będzie jeszcze kilka, tak mi się wydaje – odparł Ostlund. Jego ośrodek monitorował operacje prowadzone przez sztab sił uderzeniowych z Dżalalabadu na wypadek, gdyby pojawiły się problemy wymagające interwencji wyższego dowództwa. Zazwyczaj chodziło o wypadki helikopterów lub ofiary wśród ludności cywilnej. Teraz nie działo się nic szczególnego – ot, normalny nocny dyżur.

Pułkownik nic nie wiedział o planowanej akcji z bin Ladenem, ale od kilku dni przeczuwał, że szykuje się coś poważnego. Niedawno pojawił się u niego McRaven, który przyjechał z Dżalalabadu i przed spotkaniem z generałem Petraeusem zapytał Ostlunda, kiedy ostatnio sprawdzano biuro dowódcy w poszukiwaniu ewentualnego podsłuchu.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek było przeszukane – odparł pułkownik, po czym rzucił żart, kpiąc z braku ostrożności, jaki demonstrowała regularna armia. – Generał Petraeus ma pewnie otwarte okno, pod którym czai się jakiś Afgańczyk.

McRaven roześmiał się i poprosił Ostlunda, żeby wyszedł na czas jego spotkania z dowódcą. Sytuacja była nietypowa, ponieważ do tej pory Ostlund brał udział we wszystkich spotkaniach z admirałem, również w tych, w których uczestniczył szef placówki CIA oraz Petraeus. Zrozumiał, że szykują się jakieś interesujące wydarzenia, a ponieważ Petraeus rzadko zaglądał do jego ośrodka operacji specjalnych, doszedł do wniosku, że będą one miały miejsce właśnie tej nocy.

– Możesz poprosić swoich ludzi, żeby wyszli? – zapytał generał. – Wtedy porozmawiamy.

Gdy wszyscy opuścili pomieszczenie dodał:

– Nie muszą wracać od razu.

Kiedy zostali już całkiem sami, Petraeus zapytał:

– No więc jak myślisz, co się dzieje?

Ostlund przypuszczał, że albo dojdzie do akcji mającej na celu uwolnienie Bowe'a Bergdahl, amerykańskiego żołnierza wziętego do niewoli przez talibów dwa lata temu, albo o schwytanie bin Ladena. Chciał dodać do tej listy Aymana al-Zawahiriego, numer dwa w Al-Kaidzie, ale zapomniał, jak się wymawia jego nazwisko.

– Trafieś, chodzi o to drugie nazwisko – powiedział Petraeus.

Mężczyźni usiedli obok siebie na końcu stołu w kształcie podkowy, na którym ustawione były wyłączone komputery. Naprzeciwko mieli ścianę z ośmioma plazmowymi ekranami pokazującymi różne obrazy. Nie było wśród nich bezpośredniego przekazu z ataku na bin Ladena, ponieważ zajmowało się tym CIA, mogli za to śledzić na żywo czat ze sztabu JSOC, CIA i Białego Domu.

Petraeus przejął klawiaturę od Ostlunda i zaczął wstukiwać pytania do szefów poszczególnych służb. W pewnej chwili skierował pytanie do admirała McRavena, zwracając się do niego

per „Bill” – wzbudziło to popłoch Ostlunda, bo Petraeus korzystał z jego konta, a pułkownik nie miał zwyczaju zwracać się do swoich dowódców po imieniu.

– Mógłby pan powiedzieć im, że to pan z nimi rozmawia, a nie ja? – poprosił go.

Po ostatnim rozkazie Panetty: Wejdźcie tam i dopadnijcie bin Ladena, a jeśli go tam nie ma, zmywajcie się jak najszybciej! – McRaven rozpoczął operację.

Dwa Stealth Black Hawki uniosły się w powietrze z lądowiska w Dżalalabadzie dokładnie o dwudziestą trzecią część czasu lokalnego. Oba były całkowicie zaciemnione i obciążone maksymalnym, precyzyjnie obliczonym ładunkiem. Każdy z żołnierzy SEAL miał na sobie pełny ekwipunek: mundur z pustynnym kamuflażem, hełm, okulary z noktowizorem, rękawice (do szybkiego opuszczania się po linie) i twarde nakolanniki (przydatne, gdy żołnierz klęka, oddając strzał). Wszyscy dostali też broszurki ze zdjęciami ludzi, których spodziewano się zastać na terenie posesji. Uzbrojenie stanowiły różnego rodzaju pistolety oraz krótkolufowe karabiny automatyczne wyposażone w tłumiki. Broń ciężka nie była im potrzebna, ponieważ wiedziano, że mieszkańcy posiadłości nie będą się zbyt zaciekle bronić. Gdyby po wylądowaniu okazało się, że trzeba stawić czoło uzbrojonym ludziom, było pewne, że nie będzie ich wielu. Żołnierze SEAL mieliby i tak ogromną przewagę – atakowali w ciemności, szybko i brutalnie, mieli dopracowany każdy ruch i mogli działać w nocy tak samo jak za dnia.

Mniej więcej po dziesięciu minutach lotu helikoptery znalazły się nad pasmem skalistych szczytów i pokonały granicę z Pakistanem. W tej samej chwili w Dżalalabadu wyleciały trzy potężne Chinooki. Jeden miał wylądować przy samej granicy, jeszcze na terytorium Afganistanu. Kolejne dwa miały lecieć inną trasą i dotrzeć do lądowiska na północ od Abbottabadu. Black Hawki zniżyły lot i mknęły na niewielkiej wysokości szeroką dolinę Mardan, zmierzając daleko na północ od Peszawaru.

Komandosi JSOC chętnie mówią o sobie, że są „grotem włóczy”. To określenie niewątpliwie pasowało do obrazu dwóch helikopterów błyskawicznie sunących na wschód w nocnych ciemnościach. Był to ostatni cios, na który złożył się ogromny wysiłek włożony przez wielu ludzi w ciągu ponad dziewięciu i pół roku. W działania podjęte po 11 września w celu schwytania bin Ladena i jego niewielkiej grupy oddanych zabójców zaangażowały się ekipy dwóch prezydentów oraz tysiące ludzi pracujących w amerykańskiej armii i wywiadzie. Należeli do nich analitycy na zmianę czuwający przez całą dobę, oficerowie CIA odbudowujący sieci szpiegowskie oraz pracownicy zajmujący się inwigilacją satelitarną, lotniczą i elektroniczną, którzy działali w wielu służbach i instytucjach. To oni doskonalili drony, zapewniali połączenia telekomunikacyjne na żywo, tworzyli oprogramowanie komputerowe i opracowywali zarówno strategię, jak i taktykę działań. Komandosi SEAL na pokładzie Black Hawków byli zaś odpowiedzialnością Ameryki na rękawicę rzuconą 11 września.

McRaven siedział w dużym prostokątnym pokoju bez okien. Wokół siebie miał ludzi pracujących przy komputerach, a na ścianie ze sklejką – rząd monitorów. Na jednym z nich miał pojawić się obraz z samego natarcia, dostarczony z drona Sentinel, ale na razie nie było jeszcze na co patrzeć. Na kolejnym ekranie pokazywano punkty oznaczające aktualną pozycję helikopterów. Gdy dwa mniejsze śmigłowce przekroczyły granicę z Pakistanem, napięcie lekko wzrosło, podobnie jak kwadrans później, gdy w ich ślady poszły dwa Chinooki – żadna maszyna nie

wzbudziła na szczęście alarmu miejscowej obrony przeciwlotniczej. McRaven miał do dyspozycji całą potęgę amerykańskich służb bezpieczeństwa, mógł więc dokładnie monitorować ruchy Pakistańczyków, a z każdą upływającą minutą było wyraźnie widać, że nie robią nic... Grupy uderzeniowe naruszały już wcześniej przestrzeń powietrzną Pakistanu, biorąc udział w tajnych misjach na terenach plemiennych, było więc pewne, że uda się niepostrzeżenie pokonać granicę, ale i tak pojawiła się ulga, gdy helikoptery były już po drugiej stronie. Admirał wcześniej ustalił, że jeśli operacja osiągnie określony stopień zaawansowania, to będzie kontynuowana nawet wtedy, gdy Pakistańczycy zorientują się, że coś jest nie tak. Wkrótce okazało się, że wyznaczony przez niego punkt został już przekroczony – zaciemnione helikoptery sunęły w stronę Abbottabadu i nie pozostawało nic innego jak tylko czekać.

Od tej chwili McRaven wiedział już, że nie będzie musiał podejmować żadnych decyzji, chyba że przydarzy się coś naprawdę złego.

A tymczasem na wielkim ekranie w pokoju dowodzenia w Białym Domu od czasu do czasu pojawiały się nowe informacje o ruchach helikopterów, odczytywane przez Panettę. Jeden z asystentów Obamy powiedział:

– Panie prezydencie, to jeszcze chwilę potrwa, więc może nie chce pan tu teraz siedzieć i patrzeć na ten etap operacji?

– Nie, w porządku, posiedzę i popatrzę – odparł Obama. Dziewięć i pół roku wcześniej w Chicago siedział w zatłoczonym pokoju w suterenie i obserwował rozwój wydarzeń po ataku na WTC, a teraz oglądał właśnie ostatni akt tego dramatu. Biden jak zwykle był w ruchu, wchodził i wychodził z pokoju, a gdy się zorientował, że w sąsiedniej sali można na żywo śledzić przekaz od McRavena i z Sentinelą, wszedł do środka i tam już pozostał. Na końcu stołu zobaczył Webba, który wpatrywał się bez przerwy w swój laptop.

W Dżalalabadzie obok McRavena siedział starszy sierżant, który cały czas pozostawał w kontakcie z Webbem i innymi członkami dowództwa. W pewnej chwili spojrzął na admirała.

– Proszę pana – powiedział – generał mówi, że do sali właśnie wszedł wiceprezydent.

Tuż za nim stał sekretarz obrony Gates.

McRaven wiedział, że niewyraźny warkot silników nadlatujących Black Hawków będzie można usłyszeć mniej więcej dwie minuty przed dotarciem do celu. Helikoptery były niewykrywalne, zaprojektowane tak, by uniknąć radarów i cichsze od standardowych modeli, ale gdy znalazły się bezpośrednio nad głową, i tak robiły duży hałas. Nad posesję nadlatywały z północnego zachodu, co można już było zobaczyć na gruboziarnistym obrazie przekazywanym z góry z kamery Sentinelą.

Od tej pory wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Wszyscy patrzyli z przerażeniem jak pierwszy helikopter, zamiast zawisnąć nad posiadłością, aby umożliwić żołnierzom SEAL opuszczenie się na linach i odlecieć zgodnie z planem, nagle obraca się gwałtownie wokół własnej osi, zahacza ogonem o mur i uderza w ziemię. Akcja rozpoczęła się zatem niezwykle pechowo.

Pilot Night Stalkera próbował zawisnąć nad ziemią, ale maszyna nie wykonała manewru, a zamiast tego zaczęło ją zarzucać na boki. W wyniku analizy powypadkowej udało się dojść do

przyczyny tego zdarzenia. Otóż posiadłość była otoczona kamiennym murem, podczas gdy replikę domu zbudowaną w Nevadzie ogrodzono siatką. Okazało się, że powietrze pod mocno obciążonym Black Hawkem ogrzało się znacznie szybciej, niż zakładano. W związku z tym gęstość powietrza była zbyt mała w stosunku do starannie obliczonej wagi maszyny. Helikopter mógł się utrzymać w powietrzu tylko wtedy, gdy się przemieszczał, więc gdy pilot spróbował go utrzymać w jednym miejscu, spadł na ziemię.

Żołnierze 160. Pułku są szkoleni po to, by radzić sobie w takich dramatycznych sytuacjach – pilot działał więc szybko, zgodnie z wypracowanymi nawykami. Tracąc wysokość, znalazł płaskie miejsce, w którym mógł przeprowadzić kontrolowane twarde lądowanie. Znajdowało się ono w zachodnim rogu posiadłości, obok zagrody dla zwierząt. Obrócił maszynę ogonem w tamtą stronę, celowo zahaczając o szczyt zachodniego muru, dzięki czemu przechyliła się w przód i opadła na ziemię. Lądowanie było twarde, ale helikopter spadł na koła, a to było najważniejsze. W ciągu tych dramatycznych sekund pilot wykonał manewr, dzięki któremu śmigłowiec nie upadł na bok, co oznaczałoby prawdziwą katastrofę. Jeśli obracające się łopaty wirnika uderzają w podłoże, kadłub może odpaść lub gwałtownie zmienić położenie. W tym przypadku skończyło się na zaryciu przodem w ziemię. Przypięci pasami komandosi siedzieli na fotelikach, które zostały specjalnie zaprojektowane, żeby amortyzować takie twarde lądowania. Przed chwilą helikopterem zarzucało, a teraz leżał na ziemi pod kątem czterdziestu pięciu stopni, z wirnikiem ogona zaczepionym o krawędź muru okalającego posiadłość.

W Białym Domu nikt z obserwujących akcję na małym monitorze nie widział dokładnie, co się stało. Patrzyli na tę scenę dzięki kamerze umieszczonej bardzo wysoko w górze, więc nie wiedzieli nawet, że helikopter został unieruchomiony, a jego ogon opiera się na murze. Jednego byli pewni – maszyna wylądowała na terenie posiadłości, a tego nie przewidywał plan operacji.

Wszyscy zamarli, a McRaven czekał na jakieś informacje z miejsca akcji. We wszystkich dyskusjach dotyczących ewentualnych problemów pojawiał się wątek helikoptera, który zahaczył o samolot i wybuchł na pustyni w Iranie w 1980 roku oraz dwóch śmigłowców rozbitych w zatłoczonym Mogadyszku w 1993 roku. A teraz w pierwszych sekundach akcji jeden z Black Hawków spadł na ziemię.

Obama aż do tej chwili postępował zgodnie z radą Donilona i przyjmował najnowsze informacje o misji z drugiej ręki, siedząc w pokoju dowodzenia i rozmawiając z Panettą przez łącze wideo. W sąsiednim pomieszczeniu przebywały osoby odpowiedzialne za monitorowanie bezpośredniego przekazu wideo i prowadzenie rozmów przez komunikator. Wszystko zmieniło się po wypadku helikoptera – prezydent nagle wstał i wyszedł z pokoju, zmierzając przez korytarz do sąsiedniego biura.

Hillary Clinton, która stała z Benem Rhodesem przy tacy z kanapkami, odprowadziła wzrokiem prezydenta.

– Ben, czy według ciebie prezydent powinien na to patrzeć? – zapytała.

– Nie będzie niczym kierował – odparł Rhodes. – To w końcu tylko transmisja.

Gdy Webb zauważył wejście Obamy, poderwał się z krzesła, żeby ustąpić mu miejsca. Prezydent ruchem dłoni pokazał, że nie trzeba.

– Siadę sobie tutaj – powiedział, wybierając krzesło w kącie. – Muszę na to popatrzeć.

Webb przekazał na czacie informację o wejściu prezydenta.

Wiadomość dotarła do sztabu w Dżalalabadzie. Starszy sierżant przekazał ją McRavenowi:

– Prezydent właśnie wszedł do pokoju.

Chwilę później pojawiła się Hillary Clinton, która zajęła jedno z wolnych krzeseł ustawionych przy stole. Wkrótce w ciasnym pokoju tłoczyli się inni pracownicy ekipy, którzy chcieli zobaczyć, jaki będzie rozwój wydarzeń.

Tymczasem McRaven – co było zrozumiałe – miał w Dżalalabadzie prawdziwe urwanie głowy. Nie było czasu na zmartwienia, obserwację ekranu czy wyjaśnianie czegokolwiek Waszyngtonowi. Szybko ustalił, że żaden z żołnierzy nie został ranny. Wszyscy przygotowywali się do natarcia na cel z ziemi. Każdy z nich wielokrotnie udowodnił, że potrafi doskonale reagować na ewentualne niepowodzenia. Właśnie dlatego zostali wybrani do tej misji. Problemy były dla nich chlebem powszednim, tym bardziej, że w gruncie rzeczy rzadko się zdarzało, żeby jakies komplikacje nie pojawiły się już na samym początku szturm. McRaven również nie pierwszy raz tracił helikoptery, więc miał pod ręką całą listę możliwych rozwiązań.

Michael Morell, który obserwował akcję na ekranach w Langley wraz z Panettą, innymi wysokimi funkcjonariuszami CIA oraz członkami zespołu ds. bin Ladena, przeżył chwilę grozy, gdy helikopter spadł na ziemię, ale podobnie jak inni natychmiast się uspokoił, widząc opanowanie McRavena. Admirał nie okazał żadnego niepokoju, nie wyglądał też na szczególnie zaskoczonego.

– Panie dyrektorze, jak pan widzi, mamy helikopter uziemiony na podwórzu – zwrócił się do Panetty. – Moi ludzie są przygotowani na taką sytuację i wszystko załatwią.

W Białym Domu nikt jeszcze nie wiedział, co się dzieje. Na twarzy Obamy malował się niepokój. To właśnie wtedy fotograf pracujący w Białym Domu zrobił słynne zdjęcie, na którym uwiecznił zatłoczony pokój. Pośrodku widać Webba w niebieskim mundurze. Pochylił się nad laptopem i uważnie obserwuje transmisję wideo oraz okienko czatu, usiłując ustalić, co się wydarzyło. W rogu siedzi Obama ze zmarszczonymi brwiami, za Webbem stoi Donilon ze skrzyżowanymi ramionami, a po jego bokach widać admirała Mullena i Billa Daleya. Hillary Clinton zasłania dłońią usta, a Gates i Biden wyglądają na przybitych rozwojem wydarzeń. Przy ścianach cisną się pracownicy sztabu. Każdy z napięciem wpatruje się w ekran, którego nie widać w kadrze.

Obama był zdenerwowany jak nigdy dotąd. Wiedział, że gra idzie o wysoką stawkę, przede wszystkim dla żołnierzy z uziemionego helikoptera, ale także dla kraju, dla jego rządu i dla niego samego... Wcześniej przekonał sam siebie, że jest gotów przyjąć porażkę, ale gdy patrzył na nią na ekranie w czasie rzeczywistym... Później przyznał, że te chwile niepokoju należały do najdłuższych w jego życiu. Drugim takim przypadkiem było oczekiwanie na informację od lekarzy, gdy młodsza córka trafiła do szpitala z powodu zapalenia opon mózgowych.

Gdy helikopter spadł na ziemię, drugi Black Hawk zszedł z planowanego kursu i wylądował poza posiadłością na świeżo zasianym polu uprawnym. W ramach planu miał tylko na chwilę zawisnąć nad ziemią poza terenem posesji, żeby wysadzić tłumacza, psa i czterech żołnierzy, a następnie przelecieć nad dwupiętrowy dom, na którego dach mieli się opuścić pozostali członkowie zespołu. Obserwatorom wydawało się, że cały plan natarcia wziął w łeb.

Tymczasem nagle okazało się, że z obu helikopterów wybiegają komandosi i zaczyna się szturm. Uziemienie maszyny spowodowało jedynie chwilową zwłokę w działaniach. Obserwatorzy w Waszyngtonie z ulgą zobaczyli, że operacja trwa nadal, niezależnie od tego, co się stało. McRaven ze swoim nosowym teksańskim akcentem rozkazał poderwać się z ziemi jednemu z dwóch Chinooków czekających w korycie rzeki w Kala Dhaka.

Żołnierze z uziemionego śmigłowca szybko przemieścili się wzdłuż muru od jego wewnętrznej strony, zatrzymując się tylko po to, żeby wysadzić metalowe drzwi prowadzące do domu. Oddział z helikoptera, który wylądował za murem, wpadł do środka innym wejściem. Na ekranach pojawiły się rozbłyski. Komandosi weszli na dach i do środka domu.

Jak relacjonowali później członkowie rodziny bin Ladena, ludzi przebywających na górnym piętrze obudził nagle donośny huk. Jedna z dorosłych córek Szejka wbiegła z pierwszego piętra na drugie, ale natychmiast kazano jej wrócić na dół. Bin Laden powiedział swojej żonie Amal, żeby nie włączała światła. Było to zresztą i tak niemożliwe – żeby ułatwić komandosom zadanie, agenci CIA przed operacją wyłączyli prąd w całej dzielnicy. Szejek siedział więc na górze w ciemnościach i czekał z Amal na to, co się wydarzy.

Część komandosów weszła do garażu w domku gościnnym. Takie zespoły przeprowadzały szturm na budynki, w których podłożono materiały wybuchowe, zdarzało się też, że miały do czynienia z ludźmi obwiązanymi takimi ładunkami. Gdy w trakcie ataku zobaczyli jakiegoś mężczyznę, mieli nawyk strzelania bez ostrzeżenia. Podczas wejścia przywitał ich ogień, jednak ostrzał był chaotyczny i nieskuteczny. Najprawdopodobniej strzelał kurier Ibrahim Saeed Ahmed – Ahmed Kuwejtczyk. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, zabijając go i raniąc w bark jego żonę.

Kolejna grupa żołnierzy weszła do głównego budynku i zaczęła go metodycznie przeczyszczać. Abrar Ahmed, brat kuriera, przebywał w sypialni na parterze razem ze swoją żoną Bushrą. Oboje zostali zastrzeleni.

Żołnierze przeszukali parter, idąc od pokoju do pokoju. Nie natknęli się przy tym na ogień. Przeszli przez dwie duże spiżarnie i kuchnię. Nikt nie znał układu pomieszczeń wewnątrz domu. Gdy dotarli do zamkniętych metalowych drzwi na tyłach, prowadzących na schody, którymi wchodziło się na wyższe piętra, założyli niewielki ładunek C-4, wysadzili je z zawiasów i ruszyli na górę. Na szczycie schodów zastrzelili syna bin Ladena Chalida – szczupłego brodatego dwudziestotrzylatka w białym podkoszulku. Na tym piętrze znaleźli też płaczące kobiety i dzieci, które nie stanowiły żadnego zagrożenia. Żołnierze nie wiedzieli, że na terenie posiadłości jest jeszcze jeden dorosły mężczyzna, przebywający w sypialni na drugim piętrze.

Pierwotny plan zakładał, że połowa nacierających komandosów wejdzie przez balkon na drugie piętro. W tym przypadku dotarliby do bin Ladena błyskawicznie – prawdopodobnie w tej samej chwili, gdy ich koledzy strzelali na dole do braci Ahmedów. Zamiast tego Szejek przez piętnaście długich minut czekał w ciemności na zbliżających się krok po kroku komandosów. Ich karabinki były wyposażone w tłumiki, więc gdyby żadna z ofiar nie zaczęła strzelać, to nie usłyszałby wystrzałów Ahmeda ani krzyków, płaczu czy huku wysadzanych metalowych drzwi. Być może słyszał jednak stłumione wystrzały z broni żołnierzy SEAL. Okna drugiego piętra, na którym się ukrywał, wychodziły na północ, poza mur posiadłości. Uziemiony helikopter znajdował się w zachodnim rogu posesji, a drugi wylądował na południu, więc bin Laden mógł się tylko

domyślać, kto chce go schwycić. Być może przypuszczał, że to oddziały pakistańskie. Kiedy na-
pastnicy wysadzili drzwi zagradzające drogę na drugie piętro, Szejk najprawdopodobniej zo-
rientował się, że wchodzi na górę po niego.

Trzej komandoszi szli po schodach, rozglądając się na boki i sprawdzając wszystkie kąty, a
jednocześnie ubezpieczając się nawzajem. Według jednego z nich¹⁴⁾ pierwszy żołnierz spo-
strzegł wysokiego, brodatego, śniadego mężczyznę w czapce modlitewnej i tradycyjnych luź-
nych szatach pakistańskich – koszuli do kolan i spodniach przypominających spodnie od piżamy.
Strzelił do niego co najmniej jeden z komandosów. Mężczyzna szybko wycofał się do sypialni,
a żołnierze wpadli za nim. W środku zobaczyli dwie kobiety pochylone nad śmiertelnie rannym
bin Ladenem, który został postrzelony w głowę. Pierwszy komandos brutalnie je odsunął, a po-
zostali dwaj stanęli nad Szejkiem i oddali kilka kolejnych strzałów w klatkę piersiową.

14) Chodzi tu o komandosa, posługującego się pseudonimem Mark Owen, który był
pierwszym (i jak dotąd jedynym) członkiem oddziału szturmowego, który przedstawił
swoją wersję wydarzeń. Jego relacja różni się w kilku szczegółach od tej, jaką ja złoży-
łem z rozmów z różnymi osobami z JSOC. W pierwszej wersji żołnierze ścigali bin Lade-
na od szczytu schodów do sypialni, gdzie otrzymał pierwszy strzał w pierś. Następnie
odsunięto na bok jego żonę Amal, a stojący nad nim żołnierz strzelił mu w głowę.
Wersja w moim tekście jest oparta na relacji Owena, którą uznaję za bardziej praw-
dopodobną. W początkowej fazie zbierania materiałów do tej książki prowadziłem z
nim rozmowy, jednak postanowił on nie zdradzać mi swojej wersji (przyj. aut.).

Cała walka trwała kilka sekund. Amal została postrzelona w nogę. Bin Laden trzymał broń
na półce w sypialni, ale nie wziął jej do ręki. Nie było żadnych wątpliwości co do jego tożsamo-
ści, mimo że w prawej części czoła zionęła ogromna jama. Wkrótce cały świat miał zobaczyć
zdjęcie zmasakrowanej głowy architekta zamachów z 11 września.

– Dla Boga i Ojczyzny, hasło Geronimo. Geronimo. Geronimo – usłyszał McRaven.

Słowo „Geronimo” należało do zaszyfrowanej „listy kontrolnej” zawierającej kolejne etapy
operacji. Oznaczało, że osiągnięto najważniejszy cel natarcia, czyli unieszkodliwiono bin Lade-
na. McRaven natychmiast zawiadomił o tym Panettę i wkrótce fala podniecenia zaczęła ogar-
niać CIA, Biały Dom oraz Kabul, w którym nasłuchiwali Petraeus i Ostlund. Petraeus z satysfak-
cją uniósł zaciśniętą pięść.

– Geronimo zidentyfikowany – usłyszał Obama, siedzący w kącie zatłoczonej salki konfe-
rencyjnej w Białym Domu.

Prezydent wiedział, że identyfikacja nie jest jeszcze pewna, więc nie poddawał się emo-
cjom. Zapewne czuł ulgę, ekscytację i zadowolenie, ale stłumił te uczucia. W tej chwili ważne
było, że komandoszi zaczęli się wycofywać, a zatem wkrótce może dojść do jakichś starć. Na te-
renie posiadłości doszło przecież do wypadku helikoptera i wybuchów. Jeśli Stany Zjednoczone
musiałyby wspomóc swoją grupę szturmową w trakcie wycofywania (a myśliwce czekały w po-
gotowiu), to najgorszy etap operacji dopiero się rozpoczynał. Prezydent pomyślał: „A teraz
zmywajcie się jak najszybciej!”.

Jednak po tym, jak usłyszał informacje od McRavena, zdał sobie sprawę, że nie dopytał o

jedno – czy bin Laden został zabity, czy schwytany, rzucił więc:

– Dowiedz się, czy Geronimo EKIA (Enemy Killed In Action – wróg zabity podczas akcji)?!

Odpowiedź brzmiała:

– Roger, Geronimo EKIA.

McRaven przekazał tę wiadomość do Panetty i do Białego Domu.

– Wygląda na to, że go dopadliśmy – powiedział Obama, jeszcze nie wierząc w te słowa.

Zwłoka pomiędzy tymi dwiema informacjami wzbudziła pewne kontrowersje, co wypłynęło w późniejszych relacjach. Wyglądało bowiem na to, że komandosi najpierw znaleźli bin Ladena, potem go ścigali, a zabili dopiero po kilku minutach. Tak naprawdę odnalezienie i zastrzelenie bin Ladena zamknęło się w czasie, który był potrzebny trzem komandosom na sforsowanie drzwi do jego pokoju. Od przybycia helikopterów na miejsce upłynęło osiemnaście minut.

McRaven zwrócił się do Panetty:

– Posłuchaj, mam hasło „Geronimo”, ale muszę ci powiedzieć, że to nie jest jeszcze potwierdzone. To dopiero pierwsza informacja. Proszę, zachowajcie jeszcze odrobinę cierpliwości – wyjaśnił, że w czasie takich akcji poziom adrenaliny u komandosów rośnie nieskończoność. Na dodatek patrzyli na wszystko przez okulary z noktowizorami. Wprawdzie byli zawodowcami, ale...

– Nie dzielimy skóry na niedźwiedziu, dopóki nie wrócą i nie dostaniemy dowodów – McRaven, podążając nieświadomie za tokiem myślenia Obamy, przypomniał Panettcie i innym obserwatorom:

– Nasi komandosi wciąż są uziemi.

Na ekranie było teraz widać, jak komandosi wychodzą z domu, prowadząc grupę kobiet i dzieci, które nie doznały żadnych obrażeń. Zaprowadzili je do rogu posiadłości, z dala od uszkodzonego helikoptera. Kilku komandosów wyniosło worek ze zwłokami. Wcześniej ciągnęli ciało bin Ladena za nogi, pozostawiając za sobą na schodach krwawy ślad. Jedna z córek powiedziała potem, że pamięta, jak głowa jej ojca uderzała po drodze o każdy stopień. W końcu zwłoki włożono do nylonowego worka i zasunięto zamek. Komandosi poruszali się spokojnie i rozważnie, więc Obamie wydawało się, że to wszystko trwa zbyt długo. W tamtej chwili wszyscy oczekiwali reakcji Pakistańczyków. Prezydent marzył o jednym – żeby jego żołnierze wreszcie znaleźli się w powietrzu.

Okazało się jednak, że zamieszanie na terenie posiadłości nie wzbudziło większego zainteresowania ani w sąsiedztwie, ani w kraju. Tłumacz, który pod tradycyjną długą pakistańską koczulą miał kevlarową kamizelkę, odpędził kilku mieszkańców sąsiednich domów, których przyciągnęły dziwne hałasy. Trening w opuszczaniu się na linie do niczego mu się nie przydał, ponieważ helikopter wylądował obok posesji. Większość gapiów wycofała się, widząc groźnego psa Cairo. Tłumacz powiedział im zdecydowanym tonem w języku paszto, że mają wracać do domów, ponieważ trwa „operacja służb bezpieczeństwa”. McRaven, który uważnie obserwował pakistańskie wojska, nie dostrzegł żadnych niepokojących sygnałów. Akcja pozostała niezauważona.

Żołnierze mieli jeszcze dużo pracy na terenie posiadłości – zarówno w budynku, jak i na zewnątrz. Na górze komandosi pośpiesznie pakowali notatki bin Ladena, zabierając też komputer, dyski, pendrive’y i „drobiazgi z kieszeni Szejka” – czyli wszystko, co mogło zawierać przy-

datne dane wywiadowcze. Pomogli zejść na dół rannej Amal, najmłodszej żonie bin Ladena, która po arabsku wymyślała Amerykanom. W czasie akcji zginęli wszyscy czterej mężczyźni mieszkający na terenie rezydencji oraz jedna z kobiet. Kobiety, które przeżyły, oraz ich dzieci zostały skrępowane plastikowymi kajdankami. Przypuszczaly, że zostaną gdzieś wywiezione. Gdy jeden z żołnierzy zapytał po arabsku, czy bin Laden jest wśród ofiar, potwierdziły, że Szejik został zabity. Jedno z dzieci także powiedziało, że jest to bin Laden.

Chinook wezwany przez McRavena wylądował za murem posiadłości, czyniąc wiele hałasu. Żołnierze zabrali się do zakładania materiałów wybuchowych na unieruchomionym Black Hawku oraz niszczenia tajnej awioniki przy pomocy młotka. Lekarz, który przyleciał Chinookiem, rozsunął zamek worka, w którym leżały zwłoki bin Ladena, po czym pobrał próbki krwi i szpiku kostnego do badań DNA. Po dwudziestu minutach worek ze zwłokami przeniesiono do Black Hawka. Jedną z próbek szpiku umieszczono na pokładzie Chinooka. Zebrane materiały dla wywiadu także rozdzielono na dwa helikoptery.

W końcu obserwatorzy siedzący w Białym Domu ujrzeli, jak uziemiony Black Hawk staje w ogniu po wybuchu podłożonych ładunków. Ekipa saperska ruszyła do Chinooka i oba śmigłowce uniosły się w powietrze, zostawiając za sobą potężną ognistą kulę, oniemiałe skrępowane kobiety i dzieci oraz ciała czterech ofiar. Za kilka dni w internecie pojawiło się zdjęcie przedstawiające najprawdopodobniej zakrwawione zwłoki Chalida bin Ladena.

Helikoptery były już w powietrzu, ale napięcie nie opadało. Najpierw poleciały na północ do Kala Dhaka, by tam dołączyć do drugiego Chinooka i uzupełnić zapas paliwa w Black Hawku. Po dwudziestu pięciu minutach ruszyły w lot powrotny do Dżalalabadu. Przez cały czas nie było żadnej reakcji ze strony Pakistanu. Kiedy w końcu lotnictwo poderwało w powietrze dwa F-16, grupa uderzeniowa była już w bezpiecznym miejscu, poza granicami tego kraju.

Helikoptery wylądowały w Dżalalabadzie o trzeciej rano czasu lokalnego. Żaden z żołnierzy biorących udział w akcji nie odniósł najmniejszych obrażeń. Wprawdzie stracili helikopter, ale udało im się przechrzyżyć obronę przeciwlotniczą Pakistanu i zabić Osamę bin Ladena.

Komandosi SEAL byli tego pewni, ale Biały Dom i świat musiał mieć konkretne dowody. McRaven odszedł na jakieś dwadzieścia minut od stanowiska, z którego kontaktował się z USA, żeby powitać na pasie startowym żołnierzy wynoszących z helikoptera worek ze zwłokami. Po rozsunięciu zamka wykonano zdjęcia, które natychmiast przesłano do Waszyngtonu i Langley. Mężczyzna nie żył od godziny i czterdziestu minut – otrzymał postrzał w głowę, więc twarz miał opuchniętą i zdeformowaną.

McRaven zwrócił się do Langley z pytaniem adresowanym do zespołu ds. bin Ladena:

– Ile ten człowiek ma wzrostu? – zapytał.

– Około stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów – odpowiedziano.

Martwy mężczyzna był niewątpliwie wysoki, ale nikt nie miał pod ręką taśmy mierniczej, więc jeden z żołnierzy, który miał dokładnie sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, położył się obok zwłok. Trup mierzył mniej więcej tyle samo.

Gdy helikoptery wzbily się w powietrze, prezydent wrócił na górę i poprosił, żeby go zawołać, gdy już wylądają. Wczesnym wieczorem czasu waszyngtońskiego zaczął wspólnie z innymi członkami ekipy przeglądać pierwsze nadesłane zdjęcia.

Gdy Rhodes zobaczył fotografię, natychmiast rozpoznał bin Ladena, mimo że twarz trupa była zdeformowana. Ujrzał człowieka, który przed piętnastu laty zwołał konferencję prasową, by wypowiedzieć wojnę Stanom Zjednoczonym. Człowieka, który od tamtego czasu znał historię krwawymi śladami. Rhodes pomyślał, że albo jest to bin Laden, albo jakiś śniady, szczupły wysoki mężczyzna z długą brodą, wyglądający dokładnie tak samo jak Szejk. Byłby to człowiek, który mieszkał w ukryciu otoczony rodziną bin Ladena i chroniony przez kogoś, kto ściśle współpracował z Al-Kaidą? Nie, to na pewno był on.

Kiedy McRaven wrócił na swoje stanowisko dowodzenia, Obama spytał:

– Co o tym myślisz?

– Bez badań DNA nie mogę stwierdzić, że mam stuprocentową pewność – odparł admirał. – Ale powiem, że prawie na pewno on.

McRaven powiedział, że żołnierze dopiero zaczynają składać raport z akcji, ale pewne wypowiedzi kobiet przesłuchanych na terenie posiadłości wskazują na to, że zabili właściwego człowieka. Po chwili powtórzył:

– Panie prezydencie, jestem głęboko przekonany, że zabiliśmy tam bin Ladena.

Prezydent wołał jednak zachować ostrożność. Co by się stało, gdyby przekazana na cały świat informacja o zabiciu założyciela i przywódcy Al-Kaidy okazała się błędna? Trudno było sobie wyobrazić gorszy scenariusz. Gdy Panetta, Morell i John, szef komórki ds. bin Ladena, przyjechali do Białego Domu, Morell zapoznał prezydenta z analizą rysów twarzy przeprowadzoną przez CIA, na podstawie której z dziewięćdziesięciopięcioprocentową pewnością stwierdzono, że martwy mężczyzna to bin Laden. Prezydent zapytał o analizę DNA, ale Morell powiedział mu, że wyniki będą znane najwcześniej w poniedziałek rano.

Czy nie lepiej będzie poczekać? Po co ryzykować? Był wczesny niedzielny poranek. Obama, siedzący na fotelu dowódcy w pokoju dowodzenia, zapytał, czy ogłosić śmierć bin Ladena jeszcze tego wieczora, czy czekać na wyniki badań DNA. Czy uda się utrzymać wszystko w tajemnicy? Wszyscy zgodnie stwierdzili, że nie – nie w epoce internetu i telewizji satelitarnej. Nie można przecież było ukryć, że na terenie posesji w Abbottabadzie doszło do pożaru, że było tam kilka trupów, żony i dzieci bin Ladena zostały zatrzymane przez Pakistańczyków. Informacje o tych wydarzeniach płynęły bez przeszkód z Dżalalabadu do Kabulu i dalej, na cały świat. Gdyby Biały Dom zachowywał milczenie, nie wiadomo, jaka wersja wydarzeń krążyłaby po świecie ani jakie teorie spiskowe by powstały.

– Tak naprawdę nikt w to nie uwierzy, póki nie powiemy, że to prawda – powiedział Obama. – Zatem nie martwię się ewentualnymi przeciekami. Powinniśmy to potwierdzić, gdy będziemy w stanie to zrobić, nie ulegajmy naciskom.

Niezależnie od tego, kiedy miałyby się pojawić oświadczenie Białego Domu, trzeba było się skontaktować z Pakistanem i udzielić wyjaśnień. Nikt nie wiedział, jak zareaguje druga strona. Akcja stanowiła oczywiście naruszenie suwerenności tego kraju, a fakt, że Stany Zjednoczone, sojusznik, nie zwróciły się wcześniej o pomoc czy konsultację, był po prostu afrontem. Obama wyjaśnił mi później swoje dylematy w następujący sposób:

– Łatwiej przelknęliby to wszystko, gdyby od początku było wiadomo, że to bin Laden. W przypadku wątpliwości ciągnących się dwa lub trzy dni kwestia naruszenia suwerenności Pakistanu zostałaby rozdmuchana do niewyobrażalnych rozmiarów.

Postanowiono, że admirał Mullen zadzwoni do generała Kayaniego. Dowódca pakistańskiej armii wiedział już oczywiście o amerykańskim helikopterze uziemionym w Abbottabadzie, ale w Islamabadzie był wczesny poranek i nikt jeszcze się nie zorientował, co tak naprawdę się stało. Mullen zawiadomił Kayaniego, że Stany Zjednoczone przeprowadziły operację, w wyniku której zginął Osama bin Laden.

– Gratulacje – powiedział Kayani.

Od tego punktu rozmowa potoczyła się dość gładko. Oczywiście oba państwa musiały się liczyć z pewnym napięciem we wzajemnych stosunkach, ale generał natychmiast rozwiązał kwestię terminu wydania oświadczenia.

– Mam tu problem – powiedział. – Krąży teraz mnóstwo opowieści o amerykańskich helikopterach i akcji w głębi Pakistanu. I nie mamy dobrego wyjaśnienia. Byłoby najlepiej, gdybyście mogli wystąpić i powiedzieć, co się zdarzyło.

Te słowa były rozstrzygające. Oświadczenie musiało pojawić się wieczorem. Rhodes zabrał się do roboty i zaczął spisywać uwagi, z którymi nie mógł sobie poradzić poprzedniego dnia. Inni szefowie służb wzięli do rąk broszury z wykazem czynności, jakie należało podjąć w przypadku sukcesu operacji, i zaczęli dzwonić do kolejnych szefów państw. Obama telefonicznie poinformował byłych prezydentów Busha i Clintona, którzy polowali na bin Ladena, gdy piastowali urząd, a także do premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona. W ten sposób wyraził szacunek wobec państwa, które przez cały czas poszukiwań bin Ladena pozostawało najwierniejszym sojusznikiem Ameryki.

Jim Carney i jego pracownicy zaczęli zapraszać dziennikarzy akredytowanych przy Białym Domu, zawiadamiając ich, głównie drogą mailową, że planowane jest specjalne oświadczenie. Wszystkim przekazał następującą wiadomość: „Chcę, żebyście przyjechali, ale nie mogę powiedzieć, dlaczego”. Większość przypuszczała, że zabito Muammara Kadafiego, bo dzień wcześniej zginął jeden z synów libijskiego dyktatora. Nikt nie sądził, że chodzi o bin Ladena.

Wiadomość jednak wypłynęła. Użytkownicy Twittera mieszkający w Abbottabadzie od wielu godzin rozprawiali o helikopterach i tajemniczych wybuchach. Dokładnie wtedy, gdy śmigłowce z komandosami pojawiły się nad posesją, pakistański informatyk Sohaib Athar wrzucił następującą informację: „Helikopter krąży nad Abbottabadem o pierwszej w nocy (to się rzadko zdarza)”. Kilka minut później doniósł o głośnym huku, który wstrząsnął oknami jego domu. Takie doniesienia się powtarzały, ale nikt nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło, dopóki Keith Urbahn, były szef personelu Donalda Rumsfelda, sekretarza obrony w administracji Busha, nie przekazał na Twitterze następującej informacji: „Godna zaufania osoba przekazała mi, że zabił Osamę bin Ladena. Super!”. Za chwilę dodał: „Nie wiem, czy to prawda, ale módlmy się, żeby tak było”. Te tweety pojawiły się godzinę przed tym, jak Obama wszedł do Wschodniego Pokoju, żeby wygłosić oświadczenie. Wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy.

Tymczasem przebywającego w Białym Domu Carneya zawołano przed ekran telewizora, w którym włączono kanał ESPN nadający program „Sunday Night Baseball”. Właśnie trwała bezpośrednia transmisja z meczu Philadelphia Phillies–New York Mets rozgrywanego w filadelfijskim Citizens Bank Park. Wypełniony po brzegi stadion skandował „USA! USA! USA!” Była dwudziesta druga czterdzieści pięć. Po chwili spikerzy powiedzieli przez głośniki, że pojawiły się doniesienia o śmierci bin Ladena.

Jednak zgodnie z przewidywaniami Obamy wszyscy czekali na oficjalne potwierdzenie ze strony Stanów Zjednoczonych. Prezydent zasiadł zatem za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym, żeby wprowadzić ostatnie poprawki do przemówienia ułożonego przez Rhodessa, po czym udał się do Pokoju Wschodniego, skąd miał je wygłosić na cały świat. Po drugiej stronie ulicy, na Lafayette Square, zgromadziły się tłumy ludzi świętujących sukces i skandujących: „USA! USA! USA!”.

O dwudziestej trzeciej trzydziści pięć prezydent pojawił się w telewizji. Przeszedł po czerwonym dywanie, stanął przy mównicy i rozpoczął swoje wystąpienie:

– Dobry wieczór! Dziś wieczorem mogę ogłosić narodowi amerykańskiemu i całemu światu, że Stany Zjednoczone przeprowadziły operację, w czasie której zabito Osamę bin Ladena – przywódcę Al-Kaidy i terrorystę odpowiedzialnego za zamordowanie tysięcy niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Powiedział o zamachach z 11 września, które były według niego „najgorszym atakiem na naród amerykański w naszej historii” i które „zapadły głęboko w narodową pamięć”. Mówił o tym, jak długo bin Laden umykał amerykańskim służbom. Prezydent wyraził dumę ze swojego wkładu w to osiągnięcie, wspominając swoje zalecenie skierowane do Panetty wkrótce po objęciu urzędu. Obama nakazał wówczas, by uznać za priorytet zabicie lub schwytanie najważniejszego przywódcy Al-Kaidy. Wspominał też w przemówieniu o wysiłkach narodu w walce z talibami, ale nie powiedział ani słowa o Iraku. Uznał za swoją zasługę także zmianę niewłaściwych priorytetów, przy których trwała administracja Busha.

– Wreszcie w sierpniu ubiegłego roku, po latach żmudnej pracy naszych służb wywiadowczych, poinformowano mnie o tropie, który miał prawdopodobnie doprowadzić do bin Ladena – wyjaśnił. – Daleko nam było do pewności i poświęciliśmy wiele miesięcy na dotarcie po tej nitce do kłębka. Regularnie spotykałem się ze swoim zespołem ds. bezpieczeństwa narodowego w miarę uzyskiwania kolejnych informacji, wskazujących na to, że prawdopodobnie zlokalizowaliśmy kryjówkę bin Ladena na terenie posiadłości w głębi Pakistanu. Wreszcie w ubiegłym tygodniu uznałem, że zgromadzone dane wywiadowcze pozwalają na podjęcie działań i zezwoliłem na przeprowadzenie operacji, której celem było schwytanie Osamy bin Ladena i wymierzenie mu sprawiedliwości.

– Dzisiaj Stany Zjednoczone przeprowadziły operację, której celem był atak na wspomnianą posiadłość znajdującą się w pakistańskim mieście Abbottabad – kontynuował Obama. – Nie wielki oddział Amerykanów wykonał zadanie z niezwykłą odwagą i profesjonalizmem. Żaden z naszych ludzi nie odniósł obrażeń. Żołnierze dołożyli też wszelkich starań, by nie było ofiar wśród ludności cywilnej. Po wymianie ognia zabili Osamę bin Ladena i zabrali jego zwłoki.

Prezydent zaznaczył, że groźba ataków ze strony Al-Kaidy nadal istnieje, i obiecał dalszą walkę z tym ugrupowaniem. Po raz kolejny podkreślił, że Stany Zjednoczone nie prowadzą wojny z islamem, i wspominał o prezydencie Bushu, który także starał się uniknąć nieporozumień w tej kwestii. Oskarżył bin Ladena o to, czego obawiał się sam Szejik, czyli o niechciane dziedzictwo:

– Bin Laden nie był przywódcą muzułmanów, on był ich masowym mordercą. W istocie rzeczy Al-Kaida wymordowała setki wyznawców islamu w wielu krajach, także w Ameryce. Jego odejście powinno być zatem przyjęte z radością przez wszystkich, którzy wierzą w pokój i ludz-

ką godność.

Prezydent podziękował „niezliczonym pracownikom wywiadu i służb walczących z terroryzmem, którzy niestrudzenie pracowali, by w końcu osiągnąć ten cel. Amerykanie nie widzą na co dzień pracy tych ludzi i nie znają ich nazwisk, jednak dziś czują satysfakcję z ich starań, mając przed sobą wynik poszukiwania sprawiedliwości”.

– Składamy podziękowania ludziom, którzy przeprowadzili tę operację, gdyż są uosobieniem profesjonalizmu, patriotyzmu i niezmiernzonej odwagi.

Prezydent zakończył wspomnieniem ducha jedności, jaki stał się udziałem narodu po zamachach z 11 września i jakiego Amerykanie ponownie doświadczali tego wieczora.

– Pamiętajmy, że dokonujemy tego wszystkiego nie dzięki naszemu bogactwu czy potędze, lecz dzięki temu, czym jesteśmy: jednym narodem pod opieką Boga, niepodzielnym i zapewniającym każdemu wolność i sprawiedliwość. Dziękuję. Niech Bóg was błogosławi. I niech błogosławi Stany Zjednoczone.

Dla Białego Domu ta noc się jeszcze nie skończyła. W biurze Carneya w Zachodnim Skrzydle odbyła się wspólna telefoniczna konferencja prasowa z udziałem Michaela Morella, Mike'a Vickeysa i Johna Brennana. Morell, który towarzyszył prezydentowi Bushowi w dniu zamachów i od tamtego czasu brał udział w poszukiwaniu bin Ladena, odmówił teraz odpowiedzi na większość szczegółowych pytań dotyczących polowania na przywódcę Al-Kaidy. Przedstawił za to zawiłe streszczenie działań prowadzących do odnalezienia Ahmeda Kuwejtczyka.

– Przez wiele lat przesłuchiowano licznych zatrzymanych – powiedział. – Potem powstał złożony obraz sieci kurierów, z której wyłowiliśmy tego jednego, którym interesowaliśmy się szczególnie. W ten sposób dotarliśmy do tajemniczej posesji. To, co uzyskaliśmy na podstawie złożonego obrazu, zostało potem opracowane przy wykorzystaniu innych środków wywiadowczych.

Morell wyraził satysfakcję ze współpracy CIA z wojskiem.

– Ta operacja przeprowadzona przez CIA i armię USA była niewątpliwie ogromnym sukcesem i jest dowodem partnerstwa łączącego służby wywiadu oraz wojsko przez wszystkie lata po 11 września. CIA pragnie wyrazić najgłębszą wdzięczność wszystkim wojskowym biorącym udział w tej operacji... Wiemy, że walka z Al-Kaidą będzie trwała także po śmierci bin Ladena.

Wszyscy skończyli pracę dobrze po północy. Morell opuścił Białą Dom mniej więcej o wpół do pierwszej w nocy. Najpierw usłyszał, jak wielki tłum po drugiej stronie ulicy skanduje „USA! USA! USA!”, a potem coś, czego jako wieloletni pracownik agencji nigdy by się nie spodziewał. Otóż ludzie zaczęli krzyżeć: „CIA! CIA! CIA!”. Podszedł do samochodu, którym miał pojechać do domu i rodziny. Przez ostatnie dwa miesiące pracował po szesnaście godzin dziennie i nie mógł zdradzić swojej żonie, z jakiej przyczyny. Tego popołudnia jego córka brała udział w ostatnim koncercie chóru, kończąc naukę w szkole średniej. Gdy wychodził o szóstej rano do pracy, żona zapytała, czy nie mógłby przyjść na ten występ.

– Nie mogę – odparł.

– To jej ostatni koncert – powiedziała.

– Po prostu nie mogę – stwierdził, nie mogąc udzielić żadnych wyjaśnień. Żona nie była szczególnie zachwycona tą odpowiedzią.

Wieczorem, gdy prezydent zaczął się przygotowywać do wygłoszenia oświadczenia, Morell zadzwonił do domu. Koncert dawno się już skończył.

– Włącz telewizor – powiedział – zrozumiesz, dlaczego mnie nie widziałeś przez ostatnie dwa miesiące.

Teraz chciał jak najszybciej znaleźć się w domu.

Carney i Rhodes zostali w Białym Domu do drugiej. Rzecznik miał w lodówce kilka piw, które wypili, świętując sukces. Cały czas, mimo późnych godzin nocnych, słychać było okrzyki z drugiej strony ulicy. Obaj panowie ze zdziwieniem zobaczyli tłum tak liczny, że ochrona Białego Domu początkowo nie zgodziła się na to, by wypuścić ich samochodami. Rhodes postanowił zatem, że wróci do domu pieszo.

Miasto wyglądało jak w sylwestra. Tłumy ludzi tańczyły na ulicach, śpiewając i skandując patriotyczne hasła. Ulicami sunęły trąbiące samochody. Dziewczyny wychylały się przez szyberdachy, wymachując ramionami i wiwatując. Rhodes powrócił myślami do 11 września i chwili, w której z przerażeniem patrzył z brooklyńskiego nabrzeża na wałce się wieże. Większość świętujących wyglądała na studentów – mieli koło dwudziestki i zapewne studiowali na pobliskim Georgetown lub George Washington University, co oznaczało, że w dniu zamachów byli jeszcze dziećmi.

Sam Rhodes miał teraz trzydzieści dwa lata. Al-Kaida i bin Laden rzucili ponury cień na życie zarówno jego, jak i tych młodych ludzi. Dziś ten cień zniknął. Rhodes na swój sposób był zaangażowany w tę walkę od samego początku. Nie był żołnierzem i – w przeciwieństwie do wielu rówieśników – nie ryzykował życiem w bitwie. Do nikogo nie strzelał jak odważni komandosi, którzy przeprowadzili operację, ale poświęcił wszystkie swoje zdolności i całkowicie zmienił swoje życie. Najpierw, zamiast poświęcić się pracy literackiej, postanowił pracować dla Lee Hamiltona, następnie pomagał przy pisaniu Raportu Komisji ds. 11 września, a potem pracował w ekipie Obamy. Kształtował i wyrażał słowami wojenną filozofię prezydenta, wskazując, kto jest prawdziwym wrogiem i dlaczego pokonanie go to rzecz najistotniejsza nie tylko ze względu na bezpieczeństwo narodowe, ale i na sprawiedliwość oraz honor. Śmierć bin Ladeną zamknęła w życiu Rhodessa pewien etap – od pamiętnego dnia w Brooklynie po pracę nad wystąpieniem prezydenta w sprawie zabicia przywódcy Al-Kaidy. To była historia jego młodego życia. Tej nocy szedł do domu i czuł, że także on odniósł swoje zwycięstwo.

BLASK

Wiosna 2011 roku

Odnalezienie i zabicie Osamy bin Ladena było kolosalnym osiągnięciem, więc prezydent Obama miał słuszne powody do dumy. Ale czyje tak naprawdę było to osiągnięcie? W swoim wieczornym przemówieniu prezydent wymienił „niezliczonych pracowników wywiadu i służb walczących z terroryzmem”, którzy ciężko pracowali przez ponad dziesięć minionych lat, czyli za rządów aż trzech prezydentów. Podziękował też komandosom SEAL, którzy narażali życie w sprawnej akcji zakończonej całkowitym sukcesem. Wyraził wdzięczność sojusznikom, którzy przez wiele lat współpracowali z Ameryką w poszukiwaniu i przesłuchiwaniu członków Al-Kaidy. Wymienił wśród nich Pakistan, który mógł się czuć urażony z powodu naruszenia suwerenności i braku powiadomienia przed operacją. Prezydent znaczną część zasług przypisał jednak samemu sobie...

- Wkrótce po objęciu urzędu zwróciłem się do Leona Panetty z zaleceniem...
- Poinformowano mnie... Regularnie spotykałem się ze swoim zespołem ds. bezpieczeństwa narodowego w miarę uzyskiwania kolejnych informacji....
- Uznałem... i zezwoliłem...
- Dziś, pod moim kierownictwem...

To wszystko było prawdą. Obama istotnie zasłużył się, czyniąc poszukiwanie bin Ladena

najwyższym priorytetem. Należy mu się uznanie za staranne przygotowanie gruntu pod akcję, w której nie zginęli niewinni, postronni ludzie, a szkody były niewielkie. Prezydent przyjął ogromne ryzyko, związane nie tylko z bezpieczeństwem żołnierzy biorących bezpośredni udział w operacji, ale ze swoją prezydenturą i przyszłością. Być może Obama jak najbardziej zasłużył na awansie teraz owoce udanej misji, skoro wcześniej zdecydował się na stawienie czoła wszelkim konsekwencjom, jakie mogłyby się pojawić w przypadku fiaska operacji...

Trzeba jednak powiedzieć, że jego ekipa szybko zabrała się za rozdmuchiwanie i reklamowanie historii, która wcale nie potrzebowała takich zabiegów. Ludzie prezydenta zaczęli robić to, do czego są stworzeni zawodowi politycy – przedstawiać tę opowieść tak, żeby wyciągnąć z niej jak najwięcej korzyści.

Wokół historii polowania na Osamę pojawiły się pewne zafalszowania, które miały upiększyć obraz jak drobinki lśniącego brokatu. Ten proces zaczął się już w pierwszych dniach po zabiciu szefa Al-Kaidy. Po przemówieniu Obamy John Brennan zwrócił się do dziennikarzy z następującymi słowami:

– Amerykański oddział wdał się w wymianę ognia... Osama bin Laden stawił opór. – Stwierdził także, że mężczyźni przebywający na terenie rezydencji „niewątpliwie użyli kobiet jako żywych tarczy”.

Następnego dnia posunął się jeszcze dalej, mówiąc, że sam bin Laden wykorzystał żonę jako tarczę. Był to jeden z elementów strategii propagandowej, która miała przedstawiać przywódcę Al-Kaidy jako tchórza i hipokrytę.

– Oto Osama, człowiek mieszkający na terenie posiadłości wartej milion dolarów, kryjący się za plecami kobiet, które służą mu za żywe tarcze. To dowód na to, jak fałszywe były opowieści, które przedstawiał przez wiele lat... Oto wysłał ludzi, żeby prowadzili dżihad, a sam żyje sobie bezpiecznie w luksusowej rezydencji.

W kolejnych wywiadach pojawiał się wątek związany z wielokrotnie podkreślanym przez Obamę przekonaniem, że Al-Kaida jest głównym wrogiem Ameryki. Na tej podstawie wezwał kiedyś szefów wywiadu do uczynienia z poszukiwań bin Ladena zadania o najwyższym priorytecie i umieszczenia go „na samym szczycie listy”. Teraz podkreślał, że dzięki temu po latach nieudanych starań pojawił się wreszcie nowy impuls, który doprowadził do odnalezienia przywódcy organizacji. Wielu najwyższych urzędników administracji używało w rozmowach ze mną określenia „ograniczona szerokość pasma”, mówiąc o tym, że nawet zadania uznane przez gabinet za najbardziej priorytetowe bywają odsuwane na bok czy wręcz zapomniane. Dotyczyły to szczególnie dwóch wojen Busha, które usunęły w cień polowanie na bin Ladena. Obama wyrażał podobne zdanie w trakcie kampanii w 2007 i 2008 roku, twierdząc, że prezydent Bush „pogubił się i stracił z oczu nadrzędny cel”.

Na początkowym etapie planowania Obama nalegał, żeby komandosi SEAL byli przygotowani na siłową ewakuację z Pakistanu, zamiast bronić posiadłości w oczekiwaniu na dyplomatyczne negocjacje, które miałyby pomóc w opuszczeniu terytorium tego kraju. Było to ryzykowne rozwiązanie, za którym stały słuszne argumenty. Prezydent stawił bezpieczeństwo amerykańskich żołnierzy wyżej niż obawy związane z utrzymaniem stosunków dyplomatycznych z Pakistanem. Takie podejście do misji, nie zalecane bynajmniej przez McRavena, mogło oznaczać, że jej pokłosiem będą zabici pakistańscy żołnierze i policjanci oraz strącone pakistańskie

myśliwce. Ta decyzja wymusiła zmianę planu operacji, gdyż wymagała m.in. wzmocnienia sił pomocniczych. Już po fakcie członkowie ekipy Obamy wskazywali, że była ona niezwykle istotna w kontekście uratowania operacji po wypadku pierwszego Black Hawka. Twierdzili, że tylko dzięki uporowi prezydenta, nalegającego na stworzenie solidnego planu awaryjnego, McRaven miał w odwodzie przygotowanego Chinooka z siłami szybkiego reagowania.

W ciągu kilku tygodni po akcji przeprowadzono analizę dokumentów przejętych na terenie rezydencji Osamy. Według urzędników CIA i administracji okazało się, że wbrew temu, co niektórzy twierdzili, bin Laden nie był zupełnie odizolowaną, nieważną postacią, lecz aktywnie kierował z ukrycia swoją organizacją, opracowując na przykład plany spisków na życie Obamy i Petraeusa oraz organizując kolejne ataki na terytorium USA.

Ważną rolę w propagandzie odegrał też wiceprezydent Biden, przejawiający szczególnie talent do wyolbrzymiania własnych zasług. Tym razem wykorzystał go w służbie swojemu szefowi, nazywając akcję „najśmielszym planem stworzonym w ciągu ostatnich pięciu stuleci”. Biden powiedział, że Obama postawił sprawę tak zdecydowanie, mimo że wielu mu to odradzało. Zaproponował, że jedynym człowiekiem, który całkowicie popierał to rozwiązanie, był Leon Panetta. Stwierdził też, że Obama ma „stalowy kręgosłup”.

Podobne wątki pojawiały się w różnych przekazach relacjonujących całą operację oraz jej skutki. Nie było to żadne skoordynowane działanie – różne wersje po prostu nakładały się na siebie, wywołując skumulowany efekt. Gdyby to wszystko pozbierać, to oficjalna podkoloryzowana wersja tej opowieści wyglądałaby mniej więcej tak... Dzielnym nowym prezydentem skupił wszystkie siły zajmujące się bezpieczeństwem narodowym i skierował je w jedną stronę, by zrealizować priorytetowe zadanie schwywania bin Ladena. Pod jego kierownictwem doszło do ożywienia zamierającej aktywności w tej dziedzinie oraz odkrycia i dokładnego zbadania nowego tropu wiodącego do przywódcy Al-Kaidy. Okazało się, że bin Laden nie mieszka wcale w górskiej jaskini, lecz żyje jak milioner w „luksusowej” rezydencji na zacisznym przedmieściu jednego z pakistańskich miast. Pierwotny plan przygotowany przez amerykańskich wojskowych przewidywał poddanie się siłom pakistańskim, jeśli doszłoby do konfrontacji, jednak prezydent przejął kierownictwo i naklonił przedstawicieli armii do zmiany projektu. Nowa wersja zakładała gotowość do ewakuacji z użyciem siły oraz zabezpieczenie w odwodzie takich sił, które stawiałyby czoło wszelkiemu oporowi. To właśnie ta porada prezydenta ocaliła operację, ponieważ po wypadku Black Hawka żołnierze mogli skorzystać z pomocy helikoptera, który tylko czekał na sygnał, by wzbicić się w powietrze. Prezydent był otoczony przez doradców, którzy albo sprzeciwiali się natarciu na posiadłość, albo wyrażali głębokie wątpliwości, nie poddał się jednak naciskom i wydał rozkaz przeprowadzenia jednej z najbardziej odważnych akcji wojskowych w historii ludzkości. Dzięki tej decyzji dzielni komandosi SEAL zabili bin Ladena w trakcie wymiany ognia na terenie posesji, mimo że usiłował schować się za swoją żoną, traktując ją jak żywą tarczę. Na podstawie dokumentów znalezionych w kryjówce ustalono, że bin Laden wcale nie odsunął się na dalszy plan, lecz wciąż kierował organizacją terrorystyczną ze swojej kryjówki.

Ta wersja zawiera część prawdy, lecz tylko część...

Zacznijmy od maja 2009 roku, czyli od decyzji Obamy, który wezwał Panettę i Mike'a Leiterra na niezapowiedziane zebranie w Gabinetie Ovalnym. Nowo wybrany prezydent rzeczywi-

ście wyraźnie stwierdził, że uważa polowanie na bin Ladena i Aymana al-Zawahiriego za najważniejszy priorytet swojego gabinetu w kwestii bezpieczeństwa narodowego. Ale czy to cokolwiek zmieniło? Pewien wysoki funkcjonariusz wywiadu powiedział mi, że nie.

– Tu nie zaszła żadna wielka zmiana – stwierdził – i tak robiliśmy już wszystko, co było możliwe, i to od lat.

Według niego nalegania Obamy przyniosły jednak skutek, gdyż zmusiły szefów różnych zespołów zajmujących się bin Ladenem do przygotowywania regularnych sprawozdań z postępu w działaniach. Powiedział też, że aktywne zainteresowanie dyrektora Panetty sprawiło, że ludzie skupili się na wykonaniu zadania...

– Myślę, że konieczność dostarczania regularnych raportów wymogła na naszych pracownikach jeszcze większe poświęcenie, ale wątpię, by w tym miejscu leżała przyczyna przełomu – tłumaczył. – Środki mieliśmy dokładnie takie same. Nasze zainteresowanie przywódcami Al-Kaidy nigdy nie ucierpiało ze względu na brak raportów.

Jeśli spojrzymy na wszystko z pewnego dystansu, to okaże się, że trop wiodący do bin Ladena nie wynikał ze zmiany priorytetów, lecz z mozolnej, żmudnej pracy. Każdy z najważniejszych „przełomów”, jak chociażby uzyskanie pseudonimu „Ahmed Kuwejczyk” z kilku źródeł, ustalenie jego prawdziwej tożsamości w 2007 roku, zlokalizowanie miejsca jego pobytu w 2010 roku oraz śledzenie jego kroków aż do Abbottabadu, był rezultatem ustawicznej, cierplivej, mało efektywnej roboty ciągnącej się całymi latami. Żaden przełom nie został uznany za istotny, dopóki posiadłość Ahmeda Kuwejczyka nie zaczęła budzić wzmożonego zainteresowania analityków. Aż do tego momentu był jednym z wielu tysięcy możliwych tropów, zmagazynowanych w ogromnej, wciąż rozrastającej się bazie najróżniejszych danych. Znacznie większym osiągnięciem stało się połączenie tych pozornie niezwiązanych ze sobą faktów, jednak nawet wówczas ich suma doprowadziła jedynie do domu człowieka podejrzanego o to, że kiedyś był kurierem i pomocnikiem bin Ladena. Odnalezienie rezydencji stało się możliwe dzięki temu, że CIA od dziesięciu lat badała każdy trop, a analitycy od dawna głowili się nad tym, jak Osama może mieszkać. Układ i charakter posiadłości pasował do ich wizji – uznali, że przywódca Al-Kaidy obywa się bez wielkiej obstawy, a towarzyszą mu żony i dzieci oraz jeden czy dwaj zaufani pomocnicy. Teoria, że zalecenie Obamy z 2009 roku, związane ze zmianą priorytetów, doprowadziło do namierzenia bin Ladena, jest zatem o tyle prawdziwa, że po fakcie każdy krok na drodze do sukcesu okazuje się krokiem właściwym. Tak, Obama mówił o zmianie priorytetów, zatem słusznie przypisuje mu się znaczenie, jednak prawda jest bardziej złożona – odnalezienie bin Ladena było triumfem biurokratycznej maszyny wywiadowczej, która przez cały czas zbierała i analizowała dane. Ta machina ruszyła za rządów prezydenta Clintona i nabrała wielkiego impetu po 11 września, gdy prezydentem był George W. Bush. Te działania miały trwać tak długo, jak będzie trzeba – i trwały prawie dziesięć lat. Świat nie jest mały i trudno jest odnaleźć człowieka, który działa inteligentnie i podejmuje wszelkie starania, by go nie odnalezione.

Trzeba także zaznaczyć, że w tych działaniach wykorzystano tortury lub co najmniej środki przymusu podczas przesłuchiwania zatrzymanych. Pierwsze dwie wzmianki o Ahmedzie Kuwejczyku pochodziły od Mohamedou Ould Slahiego i Mohammeda al-Qahtaniego i zostały zdobyte podczas cyklu przesłuchań z wykorzystaniem środków przymusu. Trzecią informację, za-

wierającą fałszywą charakterystykę Kuwejtczyka jako człowieka, który się wycofał z działalności w organizacji podał Chalid Szejk Mohammed podczas jednego z wielu przesłuchań z podtapianiem. Ważną rolę Kuwejtczyka potwierdził Hassan Ghul, którego przesłuchiowano w jednym z tajnych więzień CIA. Same przesłuchania Ghula także objęto klauzulą tajności. Nie wiadomo, jakie metody zostały wykorzystane w jego przypadku, ale agencja zwróciła się do Departamentu Sprawiedliwości o zgodę na zastosowanie środków przymusu. Trudno tu przedstawiać uproszczone opowieści o więźniu, który pod przymusem wykrztuszał z siebie informacje, stanowiące najważniejszy trop, nie wiadomo jednak, czy udało się je zdobyć bez uciekania się do brutalnych metod. Dotyczy to szczególnie Qahtaniego, który milczał tak długo i uparcie, że trudno przypuszczać, by złamał się bez stosowania przemocy. Być może tortury nie były czynnikiem rozstrzygającym ani nawet koniecznym, ale niewątpliwie stanowią one jeden z wątków tej opowieści.

Wysiłki mające na celu przedstawienie bin Ladena jako człowieka wiodącego słodkie życie w „luksusowej” rezydencji opierały się na kłamstwie, ale na dodatek pomijały ważną, bardzo wymowną kwestię. Posiadłość w Abbottabadzie była rozległa jak na dzielnicę, w której leżała, ale mieszkały w niej cztery pary dorosłych ludzi oraz prawie dwadzieścioro dzieci. Wedle wszelkich kryteriów poziom życia wybranego przez bin Ladena był daleki od tego, jaki prowadził przeciętny Amerykanin z klasy średniej. W Stanach Zjednoczonych zdarzają się więzienia, w których skazani mają lepsze warunki, aczkolwiek w żadnym z nich nie można mieszkać z trzema żonami. O wiele więcej mówi fakt, że bin Laden musiał ukrywać się przed wszystkimi, nawet własną rodziną i najbliższymi sąsiadami. Kolumbijski król narkotyków Pablo Escobar, najbardziej poszukiwany przestępca przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, tropiony przez służby własnego państwa i amerykańskie siły specjalne, przez cały ten czas mieszkał i przemieszczał się niemal jawnie po swoim rodzinnym Medellín, ciesząc się szacunkiem wielu mieszkańców. Niektórzy ludzie uznani przez USA za terrorystów żyją spokojnie wśród swoich plemion w różnych regionach Pakistanu czy Afganistanu i są tam uznawani niemal za bohaterów. Dla bin Ladena nie było na świecie takiego miejsca, w którym cieszyłby się powszechnym szacunkiem. Al-Kaida nie była masowym ruchem w jego rodzinnej Arabii Saudyjskiej ani na Bliskim Wschodzie, ani w ogóle w żadnym kraju arabskim. Miała swoich wyznawców, którzy mogli doprowadzić do gwałtownych wystąpień, gdy dochodziło do takich prowokacji, jak publiczne spalenie Koranu przez niezbyt rozsądnego pastora z Florydy czy też publikowanie obraźliwych rysunków przedstawiających Proroka, jednak w porównaniu z milionami Arabów wychodzących na ulice wiosną 2011 roku i domagających się wolnych wyborów, Al-Kaida była zaledwie małą sektą. „Naród” ludzi myślących podobnie jak bin Laden był wytworem czystej fantazji. Gdyby Szejk odważył się ujawnić swoją twarz w Pakistanie, państwie bądź co bądź muzułmańskim, z pewnością ktoś by go wydał, kierując się albo szlachetnością i poczuciem obowiązku, albo nagrodą w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów. Możliwe zresztą, że tak się stało, gdyż CIA do tej pory nie ujawniła wszystkich szczegółów i nie zdradzi, czy ktokolwiek odebrał wyznaczoną nagrodę.

Decyzja Obamy w sprawie wzmocnienia oddziału szturmowego i stworzenia planu operacji, który zakładał możliwość siłowej ewakuacji z terytorium Pakistanu, wcale nie uratowała całego przedsięwzięcia. Żadna taka misja JSOC nie zostałaby przeprowadzona bez udziału czekających

w gotowości wojsk szybkiego reagowania. McRaven tak czy inaczej sprowadziłby do Pakistanu dwa Chinooki, które były potrzebne do wsparcia i tankowania śmigłowców. Większe siły, których domagał się Obama, składały się z żołnierzy i samolotów, wkraczających do akcji wyłącznie wtedy, gdyby nastąpiła zdecydowana reakcja wojsk pakistańskich. W trakcie działań okazało się, że nie są potrzebne, więc cały czas pozostawały na terytorium Afganistanu.

Decyzja prezydenta w sprawie wzmocnienia oddziałów uderzeniowych, by w razie konieczności mogły przy użyciu siły opuścić Pakistan, mówi wiele o pogorszeniu stosunków między obydwojma państwami. Warto wspomnieć słowa jednego z szefów służb, który na rozstrzygającej naradzie w dniu 28 kwietnia stwierdził, że skoro relacje są tak złe, że ta akcja może je zniszczyć, to i tak zbyt długo nie przetrwają. Po ciężkich negocjacjach w sprawie uwolnienia kontraktowego pracownika CIA Raymonda Davisa Obama z pewnością niechętnie patrzył na perspektywę kolejnych rokowań, których celem byłoby wypuszczenie dwudziestu paru komandosów SEAL. W rozmowie ze mną stwierdził:

– Według mnie sytuacja, w której oni zostaliby zatrzymani w Pakistanie, stając się kartą przetargową w ramach polityki wewnętrznej tego państwa, była bardzo, ale to bardzo trudna.

McRaven od wielu lat prowadził sporadyczne akcje na terenie północnego i południowego Waziristanu. Tego typu operacje były oficjalnie zabronione, ale Islamabad przyrywał na nie oko, więc admirał miał podstawy sądzić, że gdyby jego żołnierze zostali przyłapani w Abbottabadzie przez siły pakistańskie, dałoby się wypracować jakieś rozwiązanie. Gdy rozpatrywał konsekwencje nieudanej akcji, najzupełniej logicznie uznał, że interesom Ameryki znacznie bardziej zaszkodzi śmierć Pakistańczyków niż wykrycie oddziału SEAL w miejscu, w którym nie powinien się znaleźć. Prezydent miał na ten temat inne zdanie, jednak na szczęście dzięki sprawności komandosów okazało się, że były to jałowe rozważania.

Podjęjąc decyzję o natarciu na posesję, Obama wcale nie działał wbrew opinii swoich najważniejszych doradców. Na rozstrzygającym spotkaniu osiągnięto właściwie jednogłośnie co do podjęcia działań – jedynie Biden namawiał prezydenta do zwłoki, a Cartwright i Leiter opowiedzieli się za atakiem przeprowadzonym przy użyciu małego pocisku wyrzuczonego z drona. Podczas spotkania tę opcję poparł też Gates, ale następnego dnia rano zmienił zdanie. Wszyscy pozostali doradcy i współpracownicy Obamy, szefowie i wiceszefowie służb oraz pracownicy sztabu, zwłaszcza ci, którzy najlepiej znali analizy i plany, jednogłośnie opowiedzieli się za natarciem komandosów. Jeśli natomiast chodzi o „pięć wieków” wspomnianych przez Bidena, to te chelpliwe słowa więcej mówią o jego znajomości historii wojskowości niż o śmiałości misji.

Warto tu wspomnieć o wiele odważniejszą operację, o której rzadko się mówi w tym kontekście. Gdy trzydzieści jeden lat wcześniej prezydent Carter podjął ryzyko i dał rozkaz przeprowadzenia niezwykle trudnej próby uwolnienia ponad pięćdziesięciu zakładników przetrzymywanych w Iranie, nawet jej uczestnicy dawali sobie co najwyżej dwadzieścia procent szansy na sukces. Konsekwencje klęski – ośmiu zabitych, kolejne dziewięć miesięcy spędzonych przez zakładników w niewoli i porażka Cartera w walce o drugą kadencję – to bolesny dowód na to, jak wysokie ryzyko podjęto w tej grze. Mimo to rok po ataku na bin Ladena republikański konkurent Obamy w wyborach prezydenckich w 2012 roku, Mitt Romney, zupełnie bezsensownie wymierzył Carterowi policzek, bagatelizując znaczenie decyzji Obamy i twierdząc, że „każdy gospodarz Gabinetu Owального zrobiłby to samo, nawet Jimmy Carter”. Można by to skontro-

wać znacznie mocniejszym argumentem – otóż Romney nie nakazałby przeprowadzenia natarcia, bo przecież w 2007 roku krytykował Obamę za samą myśl o takim rozwiązaniu.

Spśród wszystkich wątków ubarwiających przekaz, jakie pojawiły się w relacjach, bodaj najciekawsze jest zdanie wyrażane na początku przez Brennana, który twierdził, że bin Laden został zabity w trakcie „wymiany ognia” i wykorzystał kobiety jako „żywe tarcze”. Biały Dom wycofał się później z tych stwierdzeń, a ich wytłumaczenia należy szukać w połączeniu trzech elementów: zamieszania stającego w pierwszych godzinach po akcji, zupełnie bezsensownego wyolbrzymiania heroizmu komandosów oraz typowego dla starych wojowników odmalowywania odwiecznego wroga w jak najczarniejszych barwach. Brennan zajmował się sprawą bin Ladena od niemal piętnastu lat, zaczynając w latach dziewięćdziesiątych od pracy w charakterze oficera CIA na Bliskim Wschodzie. Niewątpliwie należał do niezbyt licznej grupy osób, które uznały sukces operacji za swój wielki osobisty triumf, więc nieco przesadził w komentarzach. Wkrótce okazało się jednak, że wprowadziły one pewne zamieszanie...

Wbrew pierwszym doniesieniom na terenie posiadłości nie doszło do wymiany ognia. Z moich badań oraz publikowanej relacji jednego z komandosów SEAL wynika, że poza pierwszymi chaotycznymi strzałami oddanymi przez Saeeda, ogień otwierali wyłącznie żołnierze amerykańscy. Ważne jest, że na początku to oni zostali ostrzelani, choć ogień był nieskuteczny i krótkotrwały. Oddane strzały potwierdziły, że przynajmniej niektórzy mieszkańcy posesji są uzbrojeni i stawiają opór. Skoro pojawił się ogień, członkowie oddziału musieli się spodziewać dalszych strzałów, dopóki nie sprawdzili i nie zabezpieczyli całej posiadłości. Nikt z pozostałych dorosłych osób postrzelonych podczas akcji – czworga zabitych i dwóch rannych – nie był uzbrojony. Komandosi błyskawicznie oceniali sytuację. Żadne z dzieci nie odniosło obrażeń, a tylko jedna z trzech postrzelonych kobiet została zabita. Trudno po fakcie oceniać ludzi, którzy ryzykują życie, przeprowadzając błyskawiczną akcję opanowania posiadłości, w której przebywają zatwardziali wrogowie strzelający do nich w ciemności, ale dostępne dowody wskazują na to, że gdyby komandosi chcieli wziąć bin Ladena żywcem, zrobiliby to.

Gdy żołnierze stopniowo opanowywali dom, Szejk przebywał na drugim piętrze przez niemal piętnaście minut. Gdyby budynek obłożono ładunkami w celu dokonania wielkiego samobójczego wybuchu (przeciwko czemu przemawiała obecność dzieci), miałby aż nadto czasu na detonację, zanim którykolwiek z komandosów dotarłby do sypialni na górze. Rana, jaką odniosła Amal, oraz konieczność odsunięcia jej od leżącego bin Ladena miały zapewne związek z pojawieniem się historii o żywych tarczach. Wedle opublikowanych relacji oraz na podstawie moich własnych źródeł mogę stwierdzić, że bin Laden zginął w wyniku kilku strzałów. Jeden trafił go w głowę, powodując upadek, a kolejne dosięgły piersi, gdy już leżał i konał na podłodze. Bin Laden w żaden sposób nie pokazał, że chce się poddać, ale nie stawił też aktywnego oporu. Jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie okoliczności, logiczne wydaje się, że gdyby priorytetem komandosów było schwytanie go żywcem, dziś znajdowałby się w rękach Amerykanów, a Obama dysponowałaby „politycznym kapitałem” do postawienia organizatorów zamachów z 11 września przed sądem.

Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że komandosi SEAL nie mieli zamiaru brać przywódcy Al-Kaidy żywcem, nawet jeśli nikt z Białego Domu czy dowództwa nie wydał takiego rozkazu. W gruncie rzeczy musieliby dostać bardzo wyraźne polecenie schwytania bin Ladena,

żeby powstrzymać się od możliwości zastrzelenia go na miejscu. Komandosi, którzy uczestniczyli w operacji, mieli ogromne doświadczenie w takich akcjach, więc przywykli do przemocy i zabijania. Naturalnym odruchem było zastrzelenie bin Ladena, gdy tylko go ujrzeni, tak samo jak w przypadku wszystkich mężczyzn, na jakich trafili na terenie posiadłości.

Warto sobie jednak wyobrazić alternatywny scenariusz. Widok Szejka siedzącego na ławie oskarżonych przed sędzią i przysięgłymi byłby dla jego zwolenników znacznie mniej atrakcyjny od wizerunku bin Ladena mężczyznika. Może lepszym rozwiązaniem byłoby postawienie przed wymiarem sprawiedliwości żywego Osamy. Podczas przesłuchań mógłby okazać się twardy jak skała, ale w przypadku nielegalnych organizacji często zdarza się, że najważniejsi przywódcy są bardziej skłonni do kompromisu niż ich podwładni. Gdyby zaczął rozmawiać ze śledczymi, mógłby przekazać mnóstwo informacji o Al-Kaidzie, jej strukturze i finansach, członkach i metodach działania, historii i ideologii, a także aktualnych planach. Bin Laden w rękach Amerykanów stanowiłby niewątpliwie wielkie wyzwanie dla prawników i polityków, a sam prezydent stwierdził w rozmowie ze mną, że takie posunięcie mogłoby mu przynieść korzyść. Miliony Amerykanów poczuły jednak satysfakcję na wieść o śmierci najgroźniejszego terrorysty świata i o tym, że ostatnim obrazem, jaki zabrał ze sobą na tamten świat, był widok komandosa z Navy SEAL mierzącego z karabinka automatycznego.

Z dokumentów przejętych podczas operacji wylania się obraz bin Ladena jako człowieka zdeterminowanego, narzucającego swoją wizję walki i wciąż marzącego o masowych zamachach w Ameryce. Te wątki pojawiają się w jego listach, w których można jednak odczytać jeszcze coś innego – osamotnienie, izolację, frustrację i brak kontaktu ze zdziesiątkowaną organizacją. Bieg historii sprawił, że znalazł się na bocznym torze i nie potrafił się z tym pogodzić.

W sumie jednak te wszystkie zabiegi koloryzujące operację zabicia bin Ladena były niczym w porównaniu z efektownym lądowaniem prezydenta Busha na pokładzie lotniskowca USA „Abraham Lincoln” w 2003 roku oraz przemówieniem wygłoszonym pod ogromnym transparentem z napisem „MISJA WYKONANA”. Cała ta akcja stała się synonimem politycznej blagi – zapamiętali ją wszyscy, a już na pewno Bush, którego to wspomnienie będzie pewnie przesładować do grobowej deski. W tamtym przypadku misja, czyli amerykańska inwazja na Irak, z pewnością nie została wykonana, a krwawa wojna miała się jeszcze toczyć przez osiem długich lat. W swoich wspomnieniach zatytułowanych *Decision Points* Bush pisze, że w przytoczonym wydarzeniu chodziło o całkiem inny przekaz, ale i tak w końcu stwierdza:

– To był wielki błąd.

W przypadku Obamy nie było mowy o wpadce na taką skalę. Mimo to działania Białego Domu w dziedzinie propagandy doskonale ilustrują szaleństwo związane z przypisywaniem sobie wszelkich zasług. Harry Truman powiedział kiedyś:

– To zdumiewające, ile można osiągnąć, jeśli nie zwraca się uwagi na to, komu przypadnie uznanie i zaszczyty. Można na to też spojrzeć z drugiej strony i powiedzieć: To zdumiewające, jakie uznanie i zaszczyty przypadają tym, którzy na nie zasługują, a wcale się o to nie starają”.

Obama niewątpliwie zyskał ogromne uznanie ze strony społeczeństwa. Po niedzielnym wieczornym oświadczeniu jego notowania podskoczyły o prawie dziesięć punktów procentowych, a rok później ustabilizowały się na poziomie nieco wyższym niż przed operacją. Dzięki zabiciu bin Ladena wielu przestało uważać Obamę za człowieka nieautentycznego, pomimo

nieustających wysiłków ze strony republikanów. Popularność prezydenta pozostała na wysokim poziomie nawet wśród ludzi rozczarowanych jego polityką. Od tej pory nie można go już było przedstawiać jako pacyfistę. Po wycofaniu Amerykanów z Iraku i rozpoczęciu wycofywania z Afganistanu pojawiło się zagrożenie oskarżeniami o „miękkosć” w kwestii bezpieczeństwa narodowego. Zabicie bin Ladena sprawiło, że Obama zyskał autorytet jako głównodowodzący armii, a zarazem zdecydowanie podkreśliło słuszność jego bezlitosnego pościgu za przywódcami Al-Kaidy. Nawet gdy działania rozszerzono na Jemen, to liczba ataków terrorystycznych przypisywanych różnym odłamom Al-Kaidy stale się zmniejszała. W 2012 roku Stany Zjednoczone coraz częściej kierowały swoje akcje przeciwko bojownikom średniego szczebla, ale łączna liczba ataków z wykorzystaniem dronów stopniowo malała. Nie można stąd wysnuć jednoznacznych wniosków, ale biorąc pod uwagę, że możliwości amerykańskiego wywiadu bynajmniej się nie zmniejszyły, wydaje się, że pozostało po prostu mniej celów.

Trzy dni po ataku na dom w Abbottabadzie prezydent udzielił wywiadu w programie „60 Minutes”, w którym stwierdził:

– Od czasu, gdy zostałem prezydentem, był to niewątpliwie jeden z najbardziej satysfakcjonujących tygodni nie tylko dla mojej prezydentury, ale i dla Stanów Zjednoczonych. Bin Laden był oczywiście nie tylko symbolem terroryzmu, ale i masowym mordercą, który przez długi czas unikał sprawiedliwości. Myślę, że wiele pokrzywdzonych przez niego rodzin straciło już nadzieję, ale my mogliśmy w końcu zdecydowanie powiedzieć, że dopadliśmy człowieka, który spowodował śmierć tysięcy ludzi na amerykańskiej ziemi i który był przywódcą okrutnego ekstremistycznego dżihadu na całym świecie. Wszyscy czujemy głęboką wdzięczność za to, że mogliśmy wnieść swój wkład w działania zmierzające do powstrzymania tego człowieka.

Zabicie bin Ladena nie było wyczynem przywódcy na miarę desantu przez kanał La Manche¹⁵⁾ czy powstrzymania Nikity Chruszczowa w kulminacyjnym punkcie zimnej wojny¹⁶⁾, ale stanowiło zdecydowane militarne zwycięstwo w epoce, w której takie dokonania należą do rzadkości. Dla Amerykanów było ono właściwym, wyrazistym zakończeniem historii zamachów z 11 września i prawdopodobnie będzie oznaczać symboliczny, a być może także rzeczywisty koniec Al-Kaidy. Już w chwili śmierci swojego założyciela Al-Kaida przeżywała ciężkie chwile – zarówno rewolucje przetaczające się przez kraje arabskie, jak i bezustanne ataki amerykańskich dronów i komandosów sprawiły, że jego odejście, traktowane przez niektórych jako męczeństwo, nie przysporzyło organizacji zbyt wielu nowych członków. Sprawa, o którą walczył, być może była niegdyś przesiąknięta pewnym duchem romantycznym, który teraz jednak zupełnie się ulotnił. Przejęcie władzy przez islamistyczne ugrupowania w wyniku wyborów w Egipcie i Tunezji nieco zaniepokoiło Zachód, ale zdolność do przeprowadzania demokratycznych zmian oznacza zmniejszenie wpływów radykalnych ekstremistów. Sam bin Laden zmagał się z tym problemem w ostatnich tygodniach swojego życia. Metody stosowane przez jego ugrupowanie sprawiły, że przestali je popierać nawet muzułmanie podzielający poglądy Szejka. W połowie 2012 roku nowy przywódca Al-Kaidy, Ayman al-Zawahiri, nadal cieszył się wolnością, ale nie jest to człowiek obdarzony szczególnym talentem organizacyjnym ani zdolnością do pociągania za sobą tłumów wyznawców.

15) Chodzi tu o lądowanie aliantów w Normandii, czyli operację Overlord z 6 czerwca 1944 roku (przyp. AW).

16) Tzw. kryzys kubański, jaki miał miejsce w październiku 1962 roku wywołany ułokowaniem radzieckich wyrzutni rakietowych na terytorium Kuby (przyp. AW).

Niemal rok później prezydent powiedział w rozmowie ze mną:

– Jeśli spojrzemy na sprawę w wymiarze międzynarodowym, to wydaje mi się, że przypominała ona światu o jednym – pod względem militarnym Ameryka zdecydowanie góruje nad innymi państwami. Możemy sprawnie przeprowadzić takie operacje, do jakich nie jest zdolny żaden inny kraj. Moim zdaniem, przypomnieliśmy narodowi amerykańskiemu, że przynajmniej w pewnych dziedzinach nasz rząd potrafi działać dobrze, a jeśli naprawdę się w coś zaangażujemy, to możemy współpracować i osiągać cele.

– Gdy po zabiciu bin Ladena – wspominał – pojechałem do Nowego Jorku na skromną uroczystość, żeby porozmawiać ze strażakami, którzy stracili połowę swojej jednostki, z dziećmi ludzi zabitych 11 września, z wdowami oraz wdowcami, i żeby po prostu zrozumieć, jak bardzo doceniają to, że Ameryka nie zapomniała ani o nich, ani o tamtych wydarzeniach, poczułem głębokie wzruszenie. Misja nastęrczyła nam pewnych trudności, m.in. doprowadziła do napięcia w stosunkach z Pakistanem, które już nie były najlepsze. Gdy okazało się, że terroryści mogą znaleźć w tym kraju bezpieczne schronienie, trudno było ukryć zły stan naszych wzajemnych relacji. W ciągu ostatniego roku musieliśmy sobie radzić z tym trudnym problemem. W sumie jest to jednak przykład takiej decyzji, którą podejmuje się bez pewności, że wszystko pójdzie dobrze, a potem, patrząc z perspektywy czasu, widzi się, że poszło jak należy.

Napięte stosunki z Pakistanem uległy znacznemu pogorszeniu po incydencie z listopada 2001 roku. W wyniku ostrzału ze strony sojuszników zginęło wówczas dwudziestu czterech pakistańskich żołnierzy. Na szczęście relacje oparte na obustronnych interesach, a nie na przyjaźni i zaufaniu, pozwoliły przetrwać kryzys. W lipcu 2012 roku, w zamian za znaczną pomoc finansową, Pakistan ponownie udostępnił szlaki dostaw dla amerykańskich wojsk w Afganistanie, a Amerykanie kontynuowali w Waziristanie swoje ataki z wykorzystaniem dronów.

Pakistańczycy niemal przez rok przetrzymywali żony, dzieci i wnuki bin Ladena, po czym deportowali je do Arabii Saudyjskiej. Podczas przesłuchań prowadzonych przez agentów wywiadu i CIA kobiety wyjawily, że bin Laden mieszkał na terenie Pakistanu przez siedem lub osiem lat. Przed osiedleniem w domu w Abbottabadzie czterokrotnie zmieniał miejsce pobytu. W tym czasie urodziło mu się czworo dzieci. Jeśli informacje od władz pakistańskich są zgodne z prawdą, to życie rodzinne założyciela Al-Kaidy było dalekie od sielanki. Najstarsza z towarzyszących mu żon, Khairiah, darzyła szczerą nienawiścią najmłodszą – Amal. Doszło do tego, że została oskarżona przez Siham, trzecią z żon przebywających w Abbottabadzie, o wydanie męża agentom CIA. Nie mam żadnych dowodów na potwierdzenie tej tezy. Nie uzyskano też żadnych użytecznych informacji pozwalających na zlokalizowanie pozostających przy życiu przywódców

Al-Kaidy. Posiadłość w Abbottabadzie została zrównana z ziemią w lutym 2012 roku.

Pakistański lekarz Shakil Afridi, który współpracował z CIA przy próbie pozyskania próbek DNA od dzieci bin Ladena, został aresztowany i oskarżony o zdradę. Obecnie odsiadyuje wyrok trzydziestu trzech lat więzienia. Pakistańczycy twierdzą, że stanął przed sądem w związku z zarzutami niedotyczącymi pomocy, jakiej udzielił CIA, jednak Stany Zjednoczone ostro potępiły jego uwięzienie, a władze amerykańskie nadal starają się o to, by odzyskał wolność.

– Ten człowiek ma jedną pasję, opiekę nad zdrowiem dzieci – powiedział jeden z wysokich funkcjonariuszy amerykańskiego wywiadu. – Zakłada ośrodki zdrowia w całym Pakistanie, żeby szczepić dzieci. Zaproponowaliśmy mu pieniądze na założenie punktu szczepień w Abbottabadzie. To nie miała być żadna atrapa, lecz prawdziwy ośrodek zdrowia. Pieniądze, które od nas otrzymał, zostały przeznaczone na program szczepień. Ten człowiek nie miał pojęcia o powodach naszego zainteresowania tym projektem.

Komisja budżetowa Senatu zareagowała odebraniem Pakistanowi trzydziestu trzech milionów dolarów pomocy finansowej – w ten sposób każdy rok wyroku kosztował okrągły milion. Senator John McCain nazwał zaś pracę doktora dla CIA „czynem niemającym absolutnie nic wspólnego ze zdradą”.

W piątek po ataku na posesję Obama poleciał do Fort Campbell w Kentucky na spotkanie z oddziałem komandosów SEAL oraz z pilotami helikopterów. Początkowo prezydent poprosił o spotkanie z samymi komandosami, jednak McRaven zaproponował, by w czasie wizyty w Campbell podziękował także pilotom Black Hawków, którzy mają tam swoją bazę, a ich jednostka nie została tak doceniona jak strzelcy biorący udział w operacji.

– Możemy sprowadzić wszystkich do Fort Campbell – powiedział Donilonowi admirał, proponując, by prezydent spotkał się jeszcze z żołnierzami 101. Dywizji Powietrzno-Desantowej, która właśnie wróciła z misji w Afganistanie. Tego dnia Obama wziął zatem udział w czterech spotkaniach, kończąc je przemówieniem skierowanym do ponad dwóch tysięcy żołnierzy.

W pierwszym spotkaniu uczestniczył oddział komandosów SEAL oraz piloci biorący udział w akcji. Wszyscy zgromadzili się w ponurej sali wykładowej na terenie bazy. Obamę uderzyło, że to tacy „zwyczajni” ludzie. Poza jednym czy dwoma wyjątkami wcale nie przypominali umiejętnościom bohaterów hollywoodzkich filmów akcji, była to grupa wysportowanych mężczyzn w wieku od dwudziestu paru do nieco ponad czterdziestu lat. Niektórzy mieli posiwałe skronie. Obama pomyślał, że gdyby byli inaczej ubrani, to można by ich wziąć za pracowników banku czy prawników. Zdał sobie sprawę z tego, że tym, co decyduje o ich wyjątkowości, nie jest wcale sprawność fizyczna, lecz ciężko zdobyte doświadczenie i mądrość.

Przed salą znajdowała się makieta posiadłości. McRaven powiedział na początku, że szczegółowo pokażą prezydentowi wszystkie etapy operacji. Powiedzą wszystko poza jednym – kto zastrzelił bin Ladena. To miało pozostać tajemnicą oddziału. Prezydent nie zadał tego pytania, a komandosi nie zdradzili swojego sekretu.

W dalszej części spotkania wystąpił pilot helikoptera, który tak sprawnie przeprowadził awaryjne lądowanie na terenie posiadłości. Wysoki chudy brunet nie zwykł przemawiać przed dużą grupą, zwłaszcza taką, w której znajdował się prezydent Stanów Zjednoczonych. Opisał szczegółowo, co się stało z jego maszyną, i jak celowo doprowadził do upadku. Wyjaśnił, że gdy

tylko zdał sobie sprawę z tego, że śmigłowiec spada, wykonał manewr, którego celem było osadzenie ogona na murze, by maszyna wylądowała na kołach.

– Czy to była wina pogody? – spytał Obama.

– Tak – odparł pilot. – Powietrze było cieplejsze i rzadsze, niż zakładano w planie operacji.

Następnie szczegółowo przedstawił zjawiska aerodynamiczne, które spowodowały upadek Black Hawka.

Po pilocie głos zabrał dowódca oddziału komandosów SEAL. Ze śmiertelną powagą, ale i z wielką swobodą zwrócił się do zgromadzonych, zaczynając od podziękowań dla pilota helikoptera.

– Jestem dziś tutaj dzięki niesamowitemu wyczynowi tego faceta.

Następnie przedstawił długie sprawozdanie z dziesięciu lat pracy nad przygotowaniem do udanej misji. Powiedział, że potencjał, jakim dysponował on i inni żołnierze obecni w sali, kształtował się przez te wszystkie lata walk. Za kompetencje i umiejętności taktyczne trzeba było zapłacić życiem wielu kolegów, którzy służyli razem z nimi. Dowódca wspomniał bazy operacyjne w Afganistanie, których nazwy upamiętniają poległych żołnierzy. Każdy z nich, wraz ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek służyli przez te lata w jednostce, w gruncie rzeczy nadal był członkiem ich oddziału. Następnie wyjaśnił, że powodzenie akcji zależało dokładnie od każdego żołnierza z oddziału obecnego na spotkaniu, uzasadniając to konkretnymi przykładami. Podkreślił kompetencje pilota, który umiejętnie ustawił spadający helikopter na kołach. Wspomniał też o tłumaczu, który zdołał przekonać ciekawskich, żeby się oddalili od posesji w trakcie działań komandosów.

– Nie mam pojęcia, co moglibyśmy zrobić, gdyby wszyscy ci ludzie zaczęli się tam nagle wdzierać – przyznał.

Wspomniał też innych, nawet psa Cairo.

– Mieliście tam psa? – zapytał zaskoczony prezydent.

– Tak, proszę pana, zawsze zabieramy ze sobą psa – odparł dowódca.

– Hmm – rzucił Obama. – Bardzo chciałbym go zobaczyć.

– No cóż, panie prezydencie, radziłbym w takim razie zabrać ze sobą jakieś smakołyki – odpowiedział surowo dowódca.

Wszyscy zgromadzeni gruchnęli śmiechem.

Następnie dowódca zapoznał prezydenta ze szczegółami akcji. Gdy odniósł się do błędów i kontrowersji pojawiających się w doniesieniach prasowych, a dotyczących detali, Obama machnął ręką.

– Nie martwcie się tą sprawą – powiedział. – To tylko Waszyngton, to tylko media, to tylko taki tam hałas.

Te słowa także wzbudziły śmiech mężczyzn.

Dowódca zrelacjonował, jak szybko i bez komplikacji żołnierze przeszukiwali dom, trafiając w końcu na bin Laden. Tak wyglądała ta akcja z jego perspektywy. Powiedział, że zarówno on, jak i jego żołnierze byli zdumieni znalezionymi na górze cennymi materiałami, które zaczęli błyskawicznie pakować do worków. Stwierdził, że bodaj najtrudniejszym etapem misji było zaprowadzenie żon i dzieci do najdalszego zakątka posiadłości, gdy uziemiony helikopter był już obłożony materiałami wybuchowymi. Chodziło o to, by nikomu nie zrobić krzywdy podczas wy-

sadzania uszkodzonej maszyny.

Gdy dowódca skończył swoje wystąpienie, prezydent wstał i podziękował wszystkim uczestnikom akcji. Zdradził, że jego doradcy znacznie się różnili w opiniach, szacując prawdopodobieństwo tego, że na terenie posesji przebywa sam bin Laden.

– Ale już na samym początku pogodziłem się z faktem, że w przypadku danych wywiadowczych nigdy nie możemy mówić o stuprocentowej pewności – powiedział. – Podjąłem taką, a nie inną decyzję, ponieważ miałem stuprocentowe zaufanie do waszych umiejętności.

Nazwał żołnierzy „najlepszym oddziałem bojowym w historii ludzkości”.

Rhodes rozejrzał się po sali i doszedł do wniosku, że to radykalne stwierdzenie może być rzeczywiście zgodne z prawdą. Miał przed sobą elitę JSOC – ludzi starannie dobranych do charakteru tej misji. Biorąc pod uwagę dziesięć lat bezustannych walk, trudno byłoby znaleźć drugą grupę tak doświadczonych szturmowców. Prezydent już wcześniej wręczył McRavenowi prezent w postaci pozłacanej taśmy mierniczej, ponieważ akurat takiego przyrzędu zabrakło w nocy, gdy próbowano określić wzrost bin Ladena. Teraz nagroził zespół najwyższym wyróżnieniem, jakie naród amerykański może przyznać oddziałowi wojskowemu – Presidential Unit Citation¹⁷⁾, po czym uściśnął dłoń każdemu z obecnych. Z zaskoczeniem i wzruszeniem przyjął podarunek od żołnierzy – flagę, którą mieli ze sobą podczas operacji. Po powrocie z akcji opatrzone ją na odwrocie podpisami wszystkich uczestników i umieszczono w ramce. Prezydent zawiesił ją w swoim mieszkaniu na pierwszym piętrze Białego Domu.

17) Presidential Unit Citation to odznaczenie, w którym prezydent USA – zwierzchnik i dowódca sił zbrojnych – wymienia zasługi jednostki wojskowej, która w trakcie wykonywanego zadania wyróżniła się szczególnym heroizmem (przy. red.).

Podczas rozmowy ze mną w Gabinetcie Ovalnym Obama zwrócił uwagę na drony, które stały się najdoskonalszym nowym orężem, jakim dysponował w walce z Al-Kaidą. Podkreślił, że sam charakter wojny z wykorzystaniem bezzałogowców stwarza nieistniejące wcześniej zagrożenia dla osoby piastującej urząd prezydenta.

– Myślę, że zarówno dla mnie, jak i dla moich następców wyzwaniem może być wypracowanie rozwiązań prawnych i procedur zakładających nadzór nad wykorzystaniem broni bezzałogowej. Z tym problemem będziemy się jeszcze zmagać przez jakiś czas. Musimy brać pod uwagę, że technologie mogą się błyskawicznie rozwinąć także w innych krajach oraz liczyć się z tym, że ponieważ wszystko odbywa się gdzieś daleko poza nami, pojawia się pokusa rozwiązania dokuczliwych problemów dotyczących naszego bezpieczeństwa bez brudzenia sobie rąk.

Prezydent zauważył też, że ogromny wpływ na postępowanie w prowadzeniu wojny miał rozwój niewielkich, doskonale wyszkolonych oddziałów żołnierzy, takich jak komandosi SEAL.

– Każdy z żołnierzy sił specjalnych jest czymś ojcem, mężem lub synem. Gdy wysyłamy ich na akcję, wiemy, że mogą nie wrócić. Ja, jako głównodowodzący, martwię się o nich dokładniej tak samo, jak o każdego żołtodzioba stacjonującego w Kandaharze. Wydaje mi się, że jeśli spojrzymy z perspektywy wojskowej, to ciężko będzie przecenić znaczenie oddziałów SEAL. Zostały one stworzone z myślą o osiągnięciu bardzo konkretnych celów w trudnym terenie i często

zapobiegają popełnianiu większych błędów strategicznych, jak na przykład wprowadzeniu do walki liczniejszych oddziałów, co zawsze wiąże się z poważniejszymi konsekwencjami. Gdy zatem mówimy o walce z terrorystycznymi siatkami w krajach, które nie do końca radzą sobie z tym problemem lub są ogarnięte anarchią, to wykorzystanie jednostek specjalnych jest rozwiązaniem bardziej dyskretnym i bezpiecznym, a co za tym idzie przysparza danemu państwu mniej problemów.

W ostatecznym rozrachunku żadne rozwiązanie nie okaże się skuteczne, jeśli nie będziemy traktować innych krajów jak partnerów, jeśli nie wykorzystamy środków dyplomatycznych, jeśli nie będziemy próbowali zmienić naszego wizerunku w oczach świata muzułmańskiego, bo tylko wtedy uda się powstrzymać falę nowych ekstremistów. Siły specjalne nie są idealnym, uniwersalnym rozwiązaniem, ale bardzo się cieszę, że nimi dysponujemy.

Podsumowując – nowe środki, m.in. broń stworzona do walki w ramach wojny nowego typu, znakomicie zdały egzamin. Zapytałem też prezydenta o to, jaki wpływ na Al-Kaidę miała śmierć bin Ladena.

– Stało się tak, jak przewidywaliśmy – odpowiedział. – Organizacja straciła swój mózg, serce i skutecznego przywódcę. Gdy dodamy do tego zdziesiątkowanie szeregów bojowników, to zapewne czeka ją strategiczna porażka. Ponownie jednak zaznaczam, że Ameryka powinna mieć oczy i uszy otwarte, ponieważ jeszcze przed śmiercią bin Ladena zauważyliśmy, że działania operacyjne Al-Kaidy przenoszą się na Półwysep Arabski i do Jemenu. Komórki Al-Kaidy pojawiły się również w krajach Maghrebu. Nadal najważniejsza jest czujność i wytrwałość w walce.

Okazuje się też, że coraz większe szkody mogą wyrządzać terroryści działający samotnie. Nie są to zniszczenia porównywalne z zamachami z 11 września, ale stanowią duże zagrożenie, więc musimy podjąć jakieś kroki. Zabicie bin Ladena nie rozwiązało wszystkich naszych problemów, ale wcale się tego nie spodziewaliśmy. Było to jednak wielkie wydarzenie i będę zawsze wdzięczny wszystkim pracownikom wywiadu oraz wojskowym, którzy brali udział w jego poszukiwaniach. To oni zasługują na najwyższe uznanie.

Niedługo po operacji do Białego Domu dostarczono album ze zbiorem zdjęć przedstawiających zabitego bin Ladena. Przez tydzień dyskutowano nad ich ujawnieniem jako dowodu jego śmierci, jednak prezydent ostro się temu sprzeciwił. Taka decyzja była o tyle łatwiejsza, że nikt nie kwestionował śmierci przywódcy Al-Kaidy. Prezydent stwierdził, że Ameryka nie zamierza wykonywać żadnej „rundy honorowej wokół stadionu”.

W pamiętną niedzielną noc w Białym Domu wszyscy nerwowo zastanawiali się, jak poinformować o sukcesie, ale później z satysfakcją przyjmowali entuzjastyczne reakcje społeczeństwa. Na drugim końcu świata był już poniedziałkowy poranek, a żołnierze admirała McRavena przygotowywali się do ostatniego etapu – pochówku Szejka.

Po długich naradach i konsultacjach ustalono, że najlepszym rozwiązaniem będzie pogrzeb na morzu. Brak grobu oznaczał pozbycie się problemów związanych z pielgrzymkami wyznawców do miejsca złożenia szczątków męczennika. Ciało bin Ladena zostało zatem umyte, obfotografowane ze wszystkich możliwych stron, a następnie przetransportowane samolotem V-22 Osprey na pokład lotniskowca USS „Carl Vinson” pływającego po północnej części Morza

Arabskiego.

Departament Stanu, dopełniając formalności, zwrócił się do władz Arabii Saudyjskiej z propozycją przewiezienia zwłok bin Ladena do ojczyzny, jednak Szejk także po śmierci był w tym kraju *persona non grata*. Gdy przedstawiciel saudyjskich władz usłyszał, że alternatywnym rozwiązaniem jest pogrzeb na morzu, odparł:

– Podoba nam się ten plan.

Na pokładzie okrętu odbyła się krótka ceremonia zgodna z zasadami islamu. Ciało zawinięto w biały całun i obciążono.

Ostatnie kolorowe zdjęcia w pośmiertnym albumie nie miały w sobie nic z makabreski. Ten cykl był naprawdę poruszający. Fotograf marynarki wojennej uwiecznił pogrzeb, który odbył się w słoneczny poranek 2 maja 2011 roku. Na jednej z fotografii widać zwłoki zawinięte w biały całun. Kolejne przedstawia ciało leżące w poprzek na desce ze stopami wysuniętymi już poza pokład. Na następnym ujęciu zwłoki wpadają do wody, lekko ją rozbryzgując. Potem widać je już pod powierzchnią. Przypominają na nim upiorną torpedę zmierzającą w kierunku dna. Przedostatnim zdjęcie ukazuje już tylko kręgi na błękitnej wodzie. Na końcowym zdjęciu powierzchnia morza jest spokojna.

Doczesne szczątki Osamy bin Ladena znikły na zawsze z tego świata...

PODZIĘKOWANIA I UWAGI

Założyłem, że Osama bin Laden posługiwał się swoim ojczystym językiem mniej więcej tak sprawnie, jak *native speaker* angielskim, pozwoliłem więc sobie tu i ówdzie wygładzić niezbyt zręczne tłumaczenia dokumentów bin Ladena dokonane przez CIA. Oficjalne tłumaczenia można znaleźć na stronie internetowej Centrum do Walki z Terroryzmem West Point: www.ctc.usma.edu.

Zazwyczaj dokładnie podaję wszystkie źródła wykorzystane przy pisaniu swoich książek, jednak w tym przypadku liczba osób, które nie życzyły sobie ujawnienia tożsamości, okazała się bardzo duża.

Za najważniejsze źródła pisane posłużyły mi dwa doskonale artykuły – *Getting bin Laden* Nicholasa Schmidle’a („The New Yorker”, 8 sierpnia 2011 roku) oraz (we fragmentach rozdziału 4) *Killer App* Shane’a Harrisa („The Washingtonian”, 31 października 2012 roku). Lekturą obowiązkową dla każdego, kto pisze o Osamie bin Ladenie, jest *The Looming Tower* Lawrence’a Wrighta, a także doskonale reportaże Petera Bergena, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat zapracował na opinię największego dziennikarskiego autorytetu w tym temacie. Niniejsza publikacja zawdzięcza wiele książkom Bergena opartym na relacjach ustnych – *The Osama bin Laden I Know* i *Manhunt*. W tej ostatniej Bergen odtwarza niektóre sceny przedstawione przeze mnie w niniejszym tekście, jednak moje opisy, podobnie jak całość książki, oparłem wyłącznie na własnych badaniach i rozmowach – w niektórych przypadkach z tymi samymi osobami.

Pragnę wyrazić szczególnie podziękowania mojemu synowi Aaronowi, kuzynowi Davidowi Keane’owi oraz ich firmie Wild Eyes Productions, za pomoc przy wywiadach. Chcę też gorąco podziękować Benowi Rhodesowi, Jayowi Carneyowi, Dave’owi Monizowi i Prestonowi Golsonowi za pomoc w zorganizowaniu wywiadów, a także ludziom z JSOC i CIA, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać, prosząc jednak o zachowanie anonimowości.

Wśród pozostałych osób, którym chciałbym podziękować, znajdują się:

Samira Abdullah Mouhey el-Dein Azzam, Huthaifa Azzam, Tony Blinken, John Brennan, James Clark, Faheem Dashty, Thomas Donilon, Michèle Flournoy, Larry James, Peter Jouvenal,

Habibullah Khan, Hamid Mir, Michael Morell, Asad Munir, Barack Obama, William Ostlund, David Petraeus, Samantha Power, Stephen Preston, Matt Flavin, Guy Filippelli, James Poss, Denis McDonough, Nick Rasmussen, Michael Scheuer, Gary Schroen, Kalev Sepp, Michael Sheehan, Michael Vickers, Jamal Ismail i Ahmad Zaidan.

SPIIS TREŚCI:

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
- Dedykacja
- Prolog
- 1. Definicja zła
- 2. Droga dżihadu
- 3. Z bronią w ręku
- 4. Machina do namierzania
- 5. „Zadbaj o to, żeby dzieci i rodziny znajdowały się z dala od miejsc, które są fotografowane i bombardowane”
- 6. Zamaskowana niepewność
- 7. „Zachowując wspomniane środki ostrożności”
- 8. Koniec
- 9. Blask
- Podziękowania i uwagi